

EDWARD SÓWKA

SADOWIEŃSKIE OBRAZY

*Zebrane wspomnienia z dawnego i bliższego
życia Sadownego i okolic*

SADOWNE 1970

SPIS TREŚCI

WSTĘP	str. 4
ROZDZIAŁ I	
Nasza ziemia rodzinna	str. 6
ROZDZIAŁ II	
Położenie i terytorium	str. 16
ROZDZIAŁ III	
Ludność i jej zajęcia	str. 23
ROZDZIAŁ IV	
Zwyczaje i obyczaje	str. 45
ROZDZIAŁ V	
Nazewnictwo gwarowe regionu sadowieńskiego	str. 80
ROZDZIAŁ VI	
Relikty dawnej przeszłości	str. 89
ROZDZIAŁ VII	
Oświata i Kultura	str. 102
ROZDZIAŁ VIII	
Obrazy przemocy, gwałtu i okrucieństwa	str. 130
1. Tragiczny wrzesień	str. 130
2. Wieczna chwała Bohaterom Polskiego Września	str. 136
3. Sadowne w niewoli hitlerowskiej	str. 138
4. Okupacyjna administracja	str. 141
5. Achtung Fleckfieber	str. 146
6. Ludzie i szakale	str. 150
7. Polnische und russische banditen	str. 158
8. Szarańcza spod znaku Własowa	str. 179
9. Wyzwolenie	str. 180
ROZDZIAŁ IX	
Sadowieńskie portrety	str. 182

1. Czesław Wycech	str. 182
2. Ecce homo sadowiensis	str. 186
3. Bolesław Szabelski	str. 194
4. Jan Kić	str. 199
5. Stanisław Rytel	str. 199
6. Stanisław Iwaniuk	str. 199

ROZDZIAŁ X

Kronika wcześniejszych wydarzeń w regionie sadowieńskim od czasów najdawniejszych do roku 1970	str. 200
--	----------

WSTĘP

Odległe i zamierzcłe to czasy, gdy przodkowie nasi prowadzili inny tryb życia, odmienny całkowicie i daleki w treści swojej od współczesnego życia naszego.

W tych najdawniejszych czasach w większej części naszego kraju rozciągały się lasy i puszcze nieprzebyte, w których roiło się od zwierzyny i ptactwa rozlicznego.

Niezbadane ostępy leśne i puszcze głębokich knieje były wówczas królestwem wygastego już zupełnie tura, stanowiły doskonałe, niedostępne zimowe legowiska niedźwiedzia, były schronami dostojnych żubrów, łosi, jeleni i drobniejszej druzyny zwierzęcej.

Wśród takich borów, lasów i puszczy, udeptanymi szlakami ścieżek i dróg przemykał się nieraz człowiek, władca ziemi odwiecznej i terenów, na których zamieszkiwał – w pojedynkę lub jak losy kazały gromadnie, zależnie od potrzeby.

Ciche i spokojne na ogół knieje bywały często świadkami zwierzęcych zmagania między sobą lub napełniały się gwarem podnieconych głosów ludzkich. Biada zwierzęciu, które znalazło się wówczas w zasięgu maczugi albo oszczepu ciśniętego krzepką ręką człowieka - myśliwca. Obok wód obfitujących w ryby, las stanowił wtedy jedyne i niemal główne zainteresowanie człowieka. Był dla niego wszystkim co wiązało się z treścią jego bytowania.

Żyjąc prymitywnie uprawiał wydartą puszczy znojnym trudem wykarczowaną glebę. W rzekach, jeziorach i strugach łowił ryby. Z barci leśnych podbierał pszczołom słodki miód. Z lasu czerpał jagody, grzyby i wszelką obfitość runa leśnego. On mu dostarczał drewna na opał i wyniosłych, rdzennych sosen na budulec, w nieprzebytych zaś kniejach uganiał się za dziką zwierzyną, która dawała smaczne, zdrowe mięso oraz cenne skóry i ciepłe futra na dokuczliwe, mroźne zimy.

Lecz zdarzało się, że spokojny żywot naszych przodków skłócony bywał napadami złych sąsiadów. Przeciągały nie raz przez ziemię polską hordy półdzikich Tatarów, łupiąc i niszcząc dorobek wielu lat. Perzynę i zgliszczka pozostawiały zbrojne, chciwe łupu druzyny napastniczych Niemców. Nie omieszkały także plądrować naszych ziem plemiona ruskie, Jadźwingowie, a nawet zamorscy Szwedzi, którzy rozlawszy się „potopem” po całym niemal kraju potrafili spadać niespodzianie nawet do małych głuchych osad i wsi, znacząc za sobą ślady rozlanej niewinnie krwi, grozy niezwyklej, pożogi i ogromnych zniszczeń.

Zwykle po takich napadach długo dymiły ruiny i zgliszczka pozostałe z niedawnego przedtem życia.

Również i wtedy lasy i puszcze stawały się wiernymi przyjaciółmi człowieka. Osłoną swych drzew i zarośli chroniły go i kryły przed wnikliwym i groźnym okiem nieprzyjaciela.

Biada temu kto nie zdążył skorzystać z ucieczki w głębokie knieje puszczy i borów. Bywało, że zapędzony w tatarski jasyr lub krzyżacką niewolę musiał nieraz do śmierci spożywać gorzki chleb jeniecki, znosząc brzemień ciężkiego trudu niewolnych, ciężkich robót ponad siły. To też lud polski kierując się instynktem, wybierał na osiedla miejsca zakryte, niedostępne, będące jednocześnie dogodnym śpichlerzem dla łatwiejszego i dogodniejszego życia.

Bywały także w większości lata długiego spokoju i owocnej, pokojowej pracy. Wzrastała wtedy zamożność i zasobność naszych pradziadów, rozkwitał dobrobyt, uśmiech radości pojawiał się na strudzonych znojem czerstwych twarzach... Losy wróżyły lata spokojne, dostatnie i szczęśliwe.

Tak upływały przynosząc wiele przemian wieki całe. Czas świadek minionych dawnych dni i lat odmierzał swe niestrudzone godziny i wieki, pogrążając życie przodków naszych w niepowrotną otchłań przeszłości dziejowych.

Ten właśnie staruszek-czas był świadkiem wielu ciekawych i mniej interesujących scen, wydarzeń i faktów. Tworzyła się przeszłość osnuta kanwą zapisów kronikarskich, powstawały dzieje – rodziła się historia. Wiele spośród tych wydarzeń uszło uwadze dziejopisów. Zostały z różnych względów pominięte i nie zapisane. Nie będą one wiadome ludzkości po wsze czasy i nie znajdą nigdy miejsca na kartach historii.

Ciekawą jest historia minionych czasów, z której dowiadujemy się o życiu naszych przodków. Wiemy, że wiadomości o tamtych czasach nie są zmyśloną baśnią, że są prawdziwe i oparte na konkretnych źródłach kronikarzy polskich i obcych. Z tych zaś czasów, kiedy jeszcze pisma nie znano lub było ono dla większości niedostępne, kiedy stopień kultury ziem naszych był prymitywnie niski – dzisiejsi uczeni archeolodzy potrafią na podstawie znalezisk i wykopalisk odczytać z niezaprzeczalną dokładnością dane o życiu pradawnych z czasów prehistorycznych.

Ogromną zatem wartość dla potomnych przedstawiają wszelkiego rodzaju informacje o czasach przeszłych naszych praociców, dziadów i włodarzy ziemi naszej, z której wyrosliśmy.

W zapisach niniejszych znajdzie się garść wiadomości o czasach dawnych i teraźniejszych regionu sadowieńskiego, świadczących o życiu różnym: dobrym i złym, radosnym i okrutnym dla wielu z nas i naszych przodków. Obejrzymy pisane portrety znakomitych i zwyczajnych rodaków tej ziemi. Oczyma własnej wyobraźni zobaczymy niedawno przeżyte momenty i lata czasów tkwiących jeszcze świeżo w naszej pamięci, wreszcie spojrzymy na rzeczy i dzieła czasów ostatnich, do których treści niezwyklej dostarczaliśmy wspólnie zbiorowym, społecznym wysiłkiem.

Dzieje te, choć niezbyt obfite w szczególne wydarzenia na miarę niezwykłą, będą dla mieszkańców regionu sadowieńskiego ciekawe, bowiem zaznajomią nas z faktami, które niejednokrotnie zatarły się już w pamięci, pozwolą bliżej zetknąć się z przeszłością naszej

ziemi, przyciągną nas bardziej do niej, a być może otworzą szerzej serca dla większego jej umiłowania.

ROZDZIAŁ I

NASZA ZIEMIA RODZINNA.

Sadowne – niewielka wieś, wciśnięta w krąg okolicznych lasów, łąk i pól, nie mająca pretensji by nawet miasteczkiem ją zwano, bo wsią się urodziła, taką przetrwała już ponad 450 lat i taką zapewne jeszcze długo pozostanie – jest centralnym, rzec można stołecznym, ośrodkiem ziemi sadowieńskiego regionu.

Ileż myśli, ukochania i wspomnień kryje w sobie jej nazwa! Na ziemi tej ujrzały światło dzienne setki i tysiące mieszkańców – rodaków, którzy spędziwszy swoje tutaj życie, złożyli sterane trudem znoju ludzkiego zbożate kości na niewielkim pagórku miejscowego cmentarza, albo odchowawszy się i wyrósłszy pracowali na niej w mozole lub wyemigrowali w świat szeroki dla poszukiwania lepszej, lżejszej doli.

Zrosły się z tobą ziemio nasza ukochana, wspomnienia wielu twoich mieszkańców z lat dziecinnych, pełnych beztroskich dni i lat wypełnionych ukochaniem każdego zakątka, spenetrowanego po wielokroć podczas upojnych godzin szczeniących gonitw i zabaw...

W pamięci niejednego odżywają częste wspomnienia lat młodości opromienionych radością szczerą, serdeczną, miłosną przygód i przeżyć, albo okraszonych gorzkim nieraz żalem niepowodzeń, czy szarego smutku malującego się na stroskanej bólem twarzy po stracie osób umiłowanych lub najbliższych.

Nawet, gdy były one takie czy inne, pozostaną z pewnością w umysłach jej rodaków, jako trwałe i niezniszczalne znamiona wspomnień wyrytych na zawsze w pamięci urodzonych na równinie ziemi sadowieńskiej.

Od dawien dawna Sadowne jako miejscowość, wprawdzie niewielka, posiada mimo to swoje ustalone od niepamiętnych czasów części dzielnicowe. Sama nazwa w niczym nie jest związana z sadami jakby wydawać się mogło. Jego miano na pewno nie istniało od zarania swej historii, lecz jak mówi legenda powtarzana bardzo często jeszcze w czasach przedwojennych przez lud miejscowy, a szczególnie przez ludzi starych – miała wywodzić swoje pochodzenie od słowa sadowić się, usadawiać się. Najprawdopodobniej nazwa naszej miejscowości wynikała w sposób zwyczajowy i utarła się wśród dawnego ludu podczas osadnictwa tych ziem, które do roku 1514 w miejscu dzisiejszego Sadownego były puste i niezamieszkałe. Stopniowe osadnictwo, osadzanie, sadowienie się na tych ziemiach pierwszych mieszkańców Sadownego być może dało początek jego nazwie, która bez jakichkolwiek zmian utrzymała się do dziś.

Istnieje jeszcze inna wersja mniej prawdopodobna, lecz nie pozbawiona całkowicie słuszności, twierdząca, że nazwa naszej wsi powstała od czasu założenia przez Kapitułę Warszawską na tych terenach parafii kościelnej, tj. od roku 1524. Według tej legendy, podczas objazdu delegacji kapitulnej po terenie dzisiejszej parafii dla ustalenia miejsca na pobudowanie pierwszego kościoła, wybrano dla tych celów niewielki pagórek położony w pobliżu skrzyżowania dróg, otoczony zewsząd lasami i mokradłami, gdzie dziś stoi obecny kościół. Po trudach podróży, zsiadłszy z bryczki delegacji zatrzymali się w tym miejscu, uznając je za najbardziej przydatne do pobudowania świątyni. Wydawało się im jednocześnie i to bardzo słusznie, że miejsce to będzie punktem środkowym dla obszaru wyznaczonej przez Zarząd Kapituły parafii. Wierząc tej wersji, przyjęć by należało prawdopodobieństwo genezy nazwy Sadownego od wyrażenia jednego z tych delegatów, który rzekomo miał się wyrazić: - „Tu chyba usadowimy ten kościół” -. Tak, czy inaczej, obydwie przypuszczenia prowadzą się do jednego i nieomylnego stwierdzenia, że nazwa metropolii naszego regionu wywodzi się od wyrazu „sadowić”, tj. osadzać się, co w początkach istnienia naszej wsi było ściśle związane z osadnictwem pierwszych mieszkańców Sadownego.

Inne miejscowości tak samo wprawdzie były zaludniane przez napływających osadników, ale geneza ich nazw wywodzi się najczęściej od lokalnych warunków i ich przymiotów w jakich się rodziły. I tak np. większość nazw okolicznych wsi wynika z charakteru terenu naszej ziemi, która w przeważającej części była pokryta głębokimi, podmokłymi lasami. Stąd pochodzą nazwy: Grabiny, Zieleniec, Sokółka, Sadoleś, Zalesie, Brzózka, Szynkarzyna (pierwotnie Sękarzowizna), podobnie jak Sadoleś zwany był początkowo Sadolasem. Lesisty charakter naszej ziemi od najdawniejszych czasów wiązał się z życiem jej mieszkańców i miał duży wpływ na kształtowanie się wielu dziedzin ich codziennych potrzeb, zwyczajów, a często i warunków bytowania.

Podobnie, lecz nieco z innych powodów powstały nazwy poszczególnych dzielnic Sadownego, których można naliczyć aż 11- oto one: Kowalewskie, Kuźnica, Drak, Majdan, Pruska Kępa, Choina, Wieś, Poświętne, Piaski i Las. Kowalewskie dziś już zanikłe, położone było między dzisiejszym Drakiem a Kuźnicą, a nazwę swą, jak się łatwo domyśleć, wywodziło od kowalstwa, silnie tu rozwiniętego ze względu na obecność w Sadownem darniowej rudy żelaza, przetwarzanej i przekuwanej tu na Kuźnicy w II połowie XVIII i na początku XIX wieku.

Jeszcze do roku 1939 nazwa Majdan, gdzie dziś położona jest leśniczówka przy drodze do Orzełka, utrzymywana była i codziennie niemal wymawiana. Ze względu na sąsiedztwo okolicznych lasów i ówczesne duże zapotrzebowanie na produkty otrzymywane z drewna, jak smoła, węgiel drzewny, dziegieć i terpentyna, istniała tu przetwórnia drewna i karpiny na produkty wyżej wymienione. Miejsca takie w dawnych czasach nazywano majdanami, na których zamieszkiwali ludzie pracujący w tym przetwórstwie. Jeszcze dziś wnikliwe oko badacza przeszłości odnajdzie tu dobrze zachowane ślady istnienia smolarni na sadowieńskim Majdanie w postaci resztek klepiska i zagłębień świadczących o jej istnieniu.

Zanikła już dziś prawie zupełnie nazwa części Sadownego zwana Poświętnem. Zajmowała ona część działek rolnych przydzielonych przez plebana osadnikom sprowadzonym tu do obróbki ziemi w jego folwarku. Działki te położone były w pobliżu kościoła zajmując wschodnią część Sadownego. Dziś położone tu są osady Broniszów, Czajków, Wardów, Kalbarczyków i innych. Ich poprzedni właściciele to Konik, Sówka, Ciok, Warda.

Część ziemi leżąca na zachód od stawu I mostu, przez który przepływa Bojewka, zwana była od stu pięćdziesięciu lat Pruską Kępą, zamieszkiwaną dziś przez rodziny Parysów, Jagusiów, Tomasików i Chojnowskich. Po III rozbiórce Polski, kiedy ziemie nasze znalazły się w rękach Austriaków, w miejscu tym zaborca pobudował domy dla swych urzędników celnych, którzy tu zamieszkiwali z uwagi na poblizłe granicy z Prusami przebiegającej poprzez linię Bugu. To wydzielone od reszty Sadownego miejsce obsadzone przez zaborczą straż graniczną, ludność nasza nazwała „kępą”, co w rozumieniu naszego ludu zawsze było określane jako miejsce wzgardzone, obrzydłe, do którego odnoszono się z niechęcią i wstrętem. W tym przypadku dla dosadniejszego określenia pogardy dodano jeszcze wyraz „pruska” i tak już zostało, chociaż zaborcy przebywali tu zaledwie czternaście lat. Zostali tylko po nich niektórzy ich plemieńcy, wasymilowali się w nasze środowisko i pozostali w nim, łącząc się z naszymi na zawsze. Do dziś spotyka się po nich nazwiska mocno spolszczone, jak np. Cymerman (niem. Zimmermann).

Zachodnia część Sadownego, położona między ulicą Mazowiecką a szosą, nazywana była od dawna Choiną. Jeszcze do dziś w pobliżu domostw Stefana Wódki i Franciszka Krupy tkwią ślady dawnej puszczy wytrzebionej niemal całkowicie w postaci nielicznych sosen, zwanych przez miejscową ludność „chojakami”. Miejsce poroste chojakami przezwane zostało Choiną i nazwa ta związała się na wiele lat z jej mieszkańcami, którzy z biegiem czasu coraz gęściej się tu zasiedlali. Miejsce to zamieszkiwali przeważnie rzemieślnicy, wyrobnicy i skrajna biedota żyjąca nędznie nie wiadomo z czego. Była to garść ludzi upodlona pod względem społecznym i z reguły jakoś niżej traktowana niż inni. Przez nieuzasadnioną niczym pogardę nazywano ich „choiniarzami”. Do roku 1909 nie było tu ani jednego domu. Z chwilą pobudowania nowego, obecnie istniejącego kościoła, a w związku z tym niespodziewanego widoku rozwoju życia gospodarczo-handlowego ówczesnego Sadownego, zaczęli doń napływać rzemieślnicy, którzy, wykupując niewielkie parcele budowlane od miejscowych gospodarzy, osiedlali się tu tworząc rzemieślniczą kolonię zwaną później Choiną. Jak nietrudno się domyśleć nazwa ta wiązała się ściśle z istnieniem tu rosnących sosen (chojaków), między którymi widniały ubogie, nieraz bardzo nędzne domostwa gnieźdzące pod swymi strzechami największą biedotę dawnego Sadownego. Pod względem świadomości społecznej i politycznej wielu spośród mieszkańców Choiny przejawiało dążenie radykalne jako działacze wiejscy, których nazwać można bojownikami o postęp i sprawiedliwość, o Polskę jako państwo, w którym nie było różnic klasowych i upodlenia warstw pracujących. Do czołowych przedstawicieli z tej postępowej i wysoce uświadomionej grupy „choiniarzy” zaliczyć należy Stanisława Borkowskiego, Jana Ojdanę, Adama

Kamińskiego, Władysława Kotlińskiego i Stanisława Józwicka. Wizerunek jednego z nich jako człowieka pokazano w pracy niniejszej w rozdziale „Portrety”. Z wymienionymi tu działaczami sadowieńskiej lewicy z Choiny współpracowali w latach dwudziestych ich duchowi przywódcy: Czesław Wycech, Jan Kić i Wacław Polkowski. W działalności swojej wysoce upolityczniona grupa świadomych i postępowych bojowników z Choiny, żyjąc najczęściej w biedzie i niedostatku, rozumiała swą krzywdę społeczną jakiej doznawali i oni i im podobni, budziła w mizernym ich życiu świadomość buntu i opozycji przeciw złu zakorzenionemu w niesprawiedliwym ustroju ówczesnego państwa polskiego.

Z innych dzielnic Sadownego, zanikłej dziś już niemal zupełnie, wymienić należy istniejącą jeszcze do wybuchu II wojny światowej, a obecnie zabudowaną prawie całkowicie sporą część zwaną ze względu na swój pustynny charakter Piaskami. Był niewielki piaszczysty kawałek terenu Sadownego, położony między dzisiejszą osadą główną a Poświętnem, wokół którego tkwiły ubogie domostwa Żydów, ich bożnica oraz kilka osad gospodarskich. Ze względu na lichą wartość uprawną plac ten nie był nigdy uprawiany, a służył wyłącznie do gier i zabaw sadowieńskiej dzieciarni. Grzęzły tu co prawda nogi do kostek w sypkim, żółtym piasku, ale z uwagi na brak innego lepszego placu było to znakomite miejsce do wyżywiania się dziecięcych urwisów w przeróżnych zabawach. Dziś po tym piaszczystym placu ślad nawet nie pozostał – zabudowano go niemal całkowicie i nawet najwnikliwszy badacz przeszłości Sadownego nie umiałby określić granic dawnych Piasków. Dużą ich część przeznaczono pod zabudowę domostw, a resztę pokrywają place i gospodarcze zabudowania dzisiejszej Gminnej Spółdzielni. Na uboczu Piasków, od strony południowo-zachodniej, rosła potężnych rozmiarów dzika grusza i niewielka ilość skarłałych samotnie w ziemi tkwiących sosen, resztek dawnej puszczy.

Do dzielnic nowszych Sadownego zaliczyć należy jego część zwaną dziś Lasem. Jeszcze na niewiele lat przed II wojną światową teren ten, dziś gęsto zabudowany, stanowił przereźdzone mocno, mieszany las łączący się w jedno z jego dalszymi połaciami sięgającym i dziś pod Zieleniec, Krupińskie czy Szynkarzynę. W latach dwudziestych obecnego stulecia nie było tu ani jednego domu i było to ulubione miejsce zbierania jagód i grzybów oraz na jego przydrożnej polanie zabaw młodzieży sadowieńskiej - zwanych majówkami. W latach trzydziestych pojawiły się pierwsze domy, a za nimi jak przysłowiowe grzyby po deszczu wyrastały inne, zapelniając ten teren i czyniąc z niego nową mieszkalną dzielnicę naszej pięknej miejscowości.

Kuźnica, to na równi z Kowalewskim, dawne części Sadownego związane swymi nazwami z rzemiosłem kowalskim, które tu rozwinięte było ze względu na obecność w okolicy Sadownego rudy darniowej. Piece hutnicze znajdujące się na Kowalewskim i Kuźnicy przetapiały tę rudę na surówkę żeliwną. Kooperantem tych hut był pobliski Majdan, dostarczający koniecznego do wytopu węgla drzewnego. Wprawdzie niezbyt długo istniały tutaj te huty zwane także dymarkami, ponieważ niska wydajność sadowieńskiej rudy okazała się nieopłacalna i zakłady te około roku 1818 całkowicie zlikwidowano. Tradycja rzemiosła

kowalskiego tkwiła tu potem jeszcze przez długie lata i utrzymywana była przez rodzinę Węgrzynów, lecz i oni ostatecznie zlikwidowali swą kuźnię, po której dziś nawet śladu żadnego nie ma. Świadectwem istnienia tu pieców hutniczych są zagłębione tuż pod powierzchnią ziemi drobne kawałki żużla piecowego, które na pagórkach Kuźnicy i w miejscach po Kowalewskim spotkać dziś często można, jako dowody potwierdzające dawną obecność hut żelaza.

Mimo, że całe Sadowne do chwili obecnej od dawien dawna jest wsią, to jednak jego część położona za szosą, wzdłuż drogi do Rażen, nosi zwyczajową nazwę, utartą przez wiele już dziesiątków lat, a określaną ze względu chyba na swój wybitnie rolniczy charakter, Wsią. Handlowo – rzemieślniczy charakter głównej części Sadownego przy ulicy Kościuszki i jej przyległych terenów nazywany był często osadą. Wspomnianą wyżej część zwaną Wsią zamieszkują i zamieszkiwali od dawien dawna rolnicy, których przodkowie osiedlili się tu podczas kolonizowania i zasiedlania tych ziem w ramach normalnego osadnictwa, jakie prowadziła na tych ziemiach Kapituła Warszawska dla gromadzenia rąk roboczych do wykonywania pracy pańszczyźnianej w pobliskim dworze – folwarku raźnieńskiego i na ziemi plebańskiej. Do najstarszych rodzin chłopskich w tej części Sadownego zaliczyć należy: Sychów, Kądziałów, Zbrzeźnych, Oltonów, Brzostków, Sówków, Krupów, Zakrzewskich i Ojdanów. Inne rodziny osiedliły się tu znacznie później. Niektóre działki rolne nabywane były w czasach późniejszych drogą dobrowolnego wykupu. Droga prowadząca przez sadowieńską Wieś była kiedyś błotnista, niemal wiecznie rozmokła i pełna dziur i niebezpiecznych, i dla ludzi i dla zwierząt, wybojów. Nizinny charakter tej części Sadownego, a w szczególności tereny położone po prawej stronie drogi wiodącej do Rażen, utrudniały nawet sytuowanie zabudowań gospodarskich, których tu nie budowano i do dziś ich nie ma, aż dopiero na samym końcu drogi, gdzie znajdują się posiadłości Kądzieli, Wójcika, Piwka i Sychów. Dziś te mokradła osuszono przez zmeliorowanie i utwardzenie drogi lesem i żużlem piecowym. Zniknęły w tej wybitnie wiejskiej dzielnicy Sadownego stare, niskie odwieczne chaty wiejskie, a ich miejsce zajęły pobudowane już po wojnie nowe, przestronne domy murowane. Stało również wiele nowych nie krytych już słomą zabudowań gospodarczych, do których od roku 1958 dotarła energia elektryczna, dająca oświetlenie i zastępująca siłę rąk ludzkich i jarzmo ciężkiej pracy zwierząt, szczególnie koni.

Trudno jest znaleźć w jakimkolwiek słowniku, nawet w staropolskim Z. Glogera – wytłumaczenia wyrazu „drak”. A tymczasem w Sadownem i okolicy istnieje takie wyrażenie utarte w tym regionie, od dawna oznaczające sosnową listwę drzewną, darta z łupliwego kawałka szerokości 2 do 2, 5 cm, dowolnej długości i grubości ok. 1 cm, służącą do wybijania krzyżowego ścian domu drewnianego pod warstwę tynku, sporządzanego różnie albo z zaprawy glinianej w dawniejszych czasach albo z wapienno-piaskowej w czasach nowszych. Nie znajdując innego odpowiednika w słownictwie polskim, a opierając się raczej na nazwie regionalnej wyżej wymienionej, należy przypuszczać, że nazwa dzielnicy Sadownego położonej przy drodze do Sokółki i Kołodziaża, zwana od niepamiętnych czasów Drakiem, od tych tynkowych deszczulek się właśnie wywodzi. Na potwierdzenie powyższego przytoczę

wypowiedź w tej sprawie dawnego mieszkańca Sadownego, zmarłego przed wojną 1939 r. w wieku ponad 80 lat, Jana Marcjanika, który w swych częstych nieraz wynurzeniach o przeszłości naszego regionu opowiadał, że tuż za Kowalewskim, przy drodze ww. mieszkało w dawnych czasach kilku robotników leśnych, trudniących się darcie z gorszych pniaków sosnowych tzw. dranek lub draków, służących właśnie do tynków w budynkach mieszkalnych. Stosowanie ich w czasach obecnych należy już do wielkiej rzadkości, choć jeszcze gdzieś przez ludność uboższą wykorzystywanych. Z łatwością natomiast spotkać je można w budynkach starych, wznoszonych przed wieloma laty. Tak więc, część Sadownego zwana Drakiem znajduje również pewne uzasadnienie na pochodzenie swej nazwy. Dziś tu tkwi kilkanaście zaledwie gospodarstw, które stanowią jakby odrębną kolonię rozrastającego się wciąż Sadownego.

Od początku swego istnienia, bo już od pierwszej połowy XV wieku, odkąd to historia określa ślady pierwszego życia naszego regionu, przewinęło się przez ten teren tysiące tu osiadłych i urodzonych. Różne były ich losy i koleje. Jedni, trwając w uporczywym, trudnym mozole codziennego, osadniczego życia, karczowali puszcę sadowieńską, wydzierając jej spłachcie ziemi pod uprawę ziemiopłodów. Inni, w poszukiwaniu lżejszej, lepszej może doli, wędrowali przenosząc się w różne strony kraju. Bywało, że dziesiątki, a nawet setki i tysiące naszych dawnych poprzedników, z braku odpowiednich środków zapobiegawczych marły gromadnie podczas panujących tu epidemii „morowego powietrza”, jak wówczas mówiono. Byli i tacy, którzy w dobie okrutnego niedostatku opuszczali wielodzietne, przeludnione rodziny i zwabiani błyskotliwymi obietnicami agentów myszujących po wsiach – emigrowali na „Saksy”, do obu Ameryk, Francji, Belgii czy innych obiecujących „złote góry” krajów. Wielu tych poszukiwaczy lepszego chleba, zetknąwszy się z surowym, często niezdrowym klimatem lub pracą ponad siły, wymierali w dalekich, zamorskich krainach, w których najczęściej pierwszeństwem do życia była bezlitosna walka dyktowana prawem pięści w zdobywaniu chleba i obiecywanej przez agentów fortuny. Potomkowie naszych rodaków, którzy przetrwali ciężar tych zmagania, po dziś dzień żyją w tamtych krajach, wasymilowali się w ich warunki i zrosli się z nimi na zawsze.

Wielu naszych rodaków pochłonęły wojny i najazdy przeróżne, których przez naszą ziemię przetoczyło się wiele. Najświeższą w pamięci i najokrutniejszą w swych straszliwych skutkach była II wojna światowa. Do dziś pozostał po niej koszmar bolesnych, wstrząsających wspomnień o bestialstwie ludzkim nie mającym sobie równych w dziejach narodów i świata. Wojna ta wypędziła z kraju także wielu mieszkańców regionu sadowieńskiego poza jego granice, pod obce nieba. Wielu z nich, wciągnąwszy się do armii zaprzyjaźnionych, walczyło z hitleryzmem na różnych frontach świata. Byli i tacy, którzy walcząc we wrześniu 1939 r. na ziemi ojczystej, polegli śmiercią żołnierzy-bohaterów i wieści żadnych dotychczas o nich nie ma. Było takich wielu, którzy znalazłszy się po zakończeniu wojny w dalekiej Australii, Anglii, Francji czy Ameryce, obrawszy sobie nowe ojczyzny, pozostali w nich bez myśli powrotu do kraju. Na pewno trapi ich nostalgia i myślami codziennie wracają do swojego miejsca

urodzenia, na wykołysaną w snach nadbużańską równinę łąk, lasów i pól, niezapomnianą ziemię sadowieńską.

Ziemia nasza kryje w sobie ofiary wandalizmu hitlerowskiego z tej okrutnej wojny. Wiele istnień ludzkich zgasił napastnik we wrześniu 1939 r., jak również podczas przeprowadzanych tu akcji pacyfikacyjnych, z których szczególnego omówienia wymaga martyrologia sadowieńskich i okolicznych Żydów, mordowanych tu masowo w grudniu 1942 oraz styczniu i lutym 1943 r.

Miejscowy cmentarz parafialny w Sadownem jest także miejscem wiecznego spoczynku 50 nieznanym polskim żołnierzom, bohaterom tragicznego września 1939 roku.

W Grabinach, Zarzeczce, Wilczogębach, Płatkownicy, Sadolesiu i Sadownem śladami zbrodni nieludzkich znaczyli hitlerowscy oprawcy swój krwawy tutaj pobyt. Są to miejsca uświęcone niewinnie przelaną krwią rodaków na tych ziemiach wyrosłych.

Męczeńska ziemia nasza, na równi z innymi ziemią polskiego kraju, była nie tylko w dobie ostatniego najazdu, lecz również i na przestrzeni wielowiekowego jej istnienia, obficie zroszona krwią chłopską, która po wsze czasy świadczyć będzie potomnym o swej ofierze głębokiego do niej przywiązania. I dlatego także, nie tylko z racji naszego z niej rodowodu, czcić ją i szanować powinniśmy, jako macierz naszą, z którą losy mieszkańców regionu sadowieńskiego zrosły się na zawsze.

Czyż nie kochać jej za to, że nas wydała i zrodziła?... Czy nie miłować i uwielbiać za jej nas karmienie i odziewanie?

Kochamy cię ziemi najmiłsza za twe bogate, kwietne łąki nadbużańskie, łąny żytnie i pszeniczne pachnące chlebem powszednim i szumiące podczas plonowania miłosną modlitwą bytu twego i naszego!... Ileż piękna, poezji życia, mgielnej ciszy i zadumy leśnej znajdziesz w resztkach dawnej puszczy sadowieńskiej przetrzebionej gospodarną ręką polskiego drwala, a ostatnio chytrymi pazurami chciwego zdobywcy niemieckiego zaborcy? Ucierpiały bardzo w dobie hitlerowskiej okupacji lasy nasze piękne! Wyniosłe, wiekowe starodrzewy legły w dobie tych okrutnych czasów pod toporami niszczycielskiej, zaborczej gospodarki. Wiecznie malowniczy Jegiel, a w nim Bogackie Góry, lasy sęgarskie, sadoleskie, ociętowskie czy Krupińskie – Borki Płatkownicy i Sójkówka po wielekroć przemierzane i spenetrowane w poszukiwaniu jagód, grzybów lub innego runa leśnego – dostarczyły wielu wzruszeń, zadowolenia i radości z napełnianych nimi dzbanów, kobiałek czy koszów.

Ileż razy podczas takich wypadów spotykałeś się rodaka naszej ziemi z mieszkańcami tych lasów – sarną albo dzikiem odyńcem biegnącym z tupotem i trzaskiem łamanych gałęzi przez bagna i trzęsawiska „Mokrego Jegła”?

Ostatnio nawet pojawił się w naszych stronach i polubił je bardzo chroniony wysoce, wspaniały i ociężały łoś, dawny, nierzadki tu osadnik tych lasów i mokradeł.

Z drobniejszych: płochliwe zające, lisy, a nawet borsuki tkwiące uparcie w swych głębokich jamach, zaś z ptactwa - rozliczna ilość drobnych, których nie sposób wyliczyć i większych jak: cietrzewie, puchacze, myszołowy, jastrzębie, czaple, bociany i krzykliwe żurawie.

Czyż nie ukrywasz nasz rodaku w głębi swego serca tajemnej, przechodzącej już prawie w niepamięć, wdzięczności dla naszych lasów, które w chwilach grozy wojennej osłaniały cię igliwem i listowiem swych gałęzi przed złym, okrutnym okiem hitlerowskiego zaborcy? Kryły i chroniły nas wówczas one i ocaliły niejednego od zguby całkowitej lub pojmania w niewolę.

Wszystko to ziemia nasza ukochana, w którą wrośliśmy i tkwimy na niej codziennie z uporem i miłosnym przywiązaniem!

Najczęściej włączeni w kołowrót żmudnej pracy zawodowej nie dostrzegamy jej piękna, krasy niezwyklej i uroku, którymi tak bardzo zachwycają się przebywający tu rokrocznie od wielu dziesiątków lat warszawscy letnicy, lub inni przybysze znajdujący się tu nieraz przypadkowo.

Oczy nasze przywykły do obrazów natury codziennie nas otaczającej i dlatego są nam obojętne, szare, powszednie i zdałoby się bezbarwne. Wokół całego regionu sadowieńskiego, w cudownie pięknych zakątkach leśnych lub malowniczych obrazach nadbużańskich nizin, istnieją dziesiątki zmieniających się co krok uroczych, wspaniałych tematów malarskich dla artysty plastyka, miłośnika piękna – stanowiące niezaprzeczalnie ukształtowaną typowość natury polskiego nizinnego krajobrazu.

Omszałe, wielowiekowe dęby Sójkówka, Płatkownicy czy grzebalnego cmentarza to milczący, wiekowi świadkowie minionej przeszłości i historii naszej ziemi.

Siwe, czapiaste, przydrożne i łąkowe wierzby, łyskające wypróchniałymi od starości trzewiami swych pni lub wybielone pędzlem natury płaczące brzozy, zadumane olchy, trzęsące się wiecznie osiki i rącze, strzeliste topole, a wraz z nimi śmigłe sosny i zawsze zielone świerki, to typowi przedstawiciele drzewostanu polskiego, których tu znajdziesz niezliczoną rzeszę.

Jesteś nasza ziemia rajem wędkarzy i rybaków różnego autoramentu. Płynący leniwie Bug i wpadające do niego strumienie i rzeczki, jak Ugoszcz, Bojewka i Wilącza, mniejsze i większe stawy i jeziora rozliczne, rozrzucone we wsiach nadbużańskich, to wody obfitujące w przeróżne gatunki ryb. Zetkniesz się tu namiętny wędkarzu z drapieżnym i przemożnym władcą nizinnych wód – szczupakiem, a sandacz, rabuś wodny, buszuje bezkarnie za drobnicą w spokojnej wodzie Bugu. Okonie, dzikie karpie, płocie, leszcze, liny i wiele, wiele innych pluszczą i błyskają w ciemnych toniach jezior, stawów i strumieni ku pożądanym oczom amatorów wędziska, przenikającym ponure głębiny nizinnych otchłani wodnych.

Miłośnikom sportu myśliwskiego, zagorzałym zwolennikom strzelby, zrzeszonym w łowieckich kołach, dostarczasz ziemi nasza w określonych porach roku – zwierzyny i ptactwa łownego.

Dziki, sarny, lisy i lęklive szaraki, oto obiekty pożądania myśliwskiego oka. Nad Bugiem i pobliskimi wodami jezior w szuwarach i zaroślach gęstych, stada cyranek podrywają się do strzału ku uciezce i radości zapalonych, brodzących nieraz po pas w wodzie zwolenników starej prapolskiej „żyłki” łowieckiej.

Jesteś nasza ziemi nawiedzana w porze wiosny, i to czasem dwukrotnie, fatalną w skutkach powodzią, powodowaną wylewami leniwego wprawdzie, lecz groźnego i drapieżnego wtedy Bugu. Przeciwny, leżący na wysokim brzegu Brok przegląda się wówczas w lustrze rozlanych szeroko odmętów wiosennej powodzi. Zalana jesteś wtedy ziemi i niewidoczna. Spod ogromnej tafli spienionych wód sterczą w twoje podłoże wierzyby pochyłe i olchy wyniosłe, a wierzchołki polowych płotów znaczą granice terenów pastwiskowych, rezerwatów żywieniowych koni i bydła.

Jedyną korzyścią, jaką każda powódź po sobie zostawia, to żyzny muł rzeczny, który rosnącym nad Bugiem łąkom dostarcza życiodajnych soków. Dzięki temu stanowią one niezaprzeczalne bogactwo naszego regionu, dając wiele wartościowej paszy inwentarzowi gospodarskiemu.

Nie jesteś zbyt urodzajna ziemi nasza. Nie stanowisz gleby pełnowartościowej. Tylko w Morzyczynie, Rażnach i Kołodziążu struktura twoja jest nieco bogatsza i żywniejsza. Lubi w tych wioskach rosnąć złocista pszenica, pożądanie wielu jej uprawników. W reszcie wsi naszego regionu jesteś ziemi nasza ubożuchna, piaszczysta, olszowa, przeniknięta zimnicą, nie dając bujnego wzrostu ziarnom w ciebie rzuconym. Liche, nędzne żyta, owsy, jęczmiona i w przeważającej części ziemniaki, stanowią twoje główne ziemioplody.

W latach odległych, kiedy porośnięta byłaś w ogromnej swej części gęstą puszcza, rodziłaś ziemi nasza wyniosłe drzewa rozliczne, w których bartnicy hodowali pszczoły dające obfitość złocistego miodu. Nie darmo historyk tych ziem (T. Szczuchura – „Nad Bugiem, Ugoszczą, Wilączę”) zowie ciebie „krajną miodem płynącą”. Bogactwo różnorodnych w puszczy i na łąkach ziół i roślin miododajnych, stanowiły wówczas nieprzebrane źródło nektaru, podstawowego surowca dla pracowitej pszczołej społeczności. Dziś osłabłaś w swej miodnej płodności. Zmniejszyła się ilość pasiek, a bartników - zwanych dziś pszczelarzami - policzysz na palcach obu rąk.

Solą twego życia, ziemi nasza najmiłsza, był, jest i będzie zawsze człowiek. Choć kiedyś, w dawnych czasach, byłaś ziemią pańską – prawem natury, potrzeby i nakazu przeznaczenia, stałaś się w swoim czasie ziemią prawowitego jej gospodarza – stałaś się ziemią chłopską – własnością tych, którzy odwiecznie tobie byli przeznaczeni. Nigdy pańskie, a tylko chłopskie, pracowite ręce wydzierały cię puszczy mrocznej i dzikiej, byś rodzić mogła rośliny uprawne. To one, chłopskie dłonie, a nie inne, pieściły cię i pielęgnowały, karczowały

ostępy i knieje, zamieniając je z twardym, chłopskim uporem na urodzajne zagony – chleb dające!

Z nadzieją i pożądliwą myślą o przyszłych plonach, miłosnym spojrzeniem ogarnia cię rolnik – twój najlepszy, najbliższy i wierny przyjaciel, który w ranny czas wiosny i lata rozkochanymi oczyma włodarza spogląda na cel swej pracy, na mocne i krępe pędy źdźbeł żytnich i pszenicznych sperlonych błyskającymi diamentami kropel rosy, chyłących się pod ciężarem dorodnego nieraz ziarna. To jego, niezawodnego twego towarzysza utrudzone ręce karmią cię nawozem, spulchniają twą strukturę byś płodniejszą była i rodziła najbogaciej, oddając mu swe plony w upalny czas żniwnego lipca i w chłodne, zasnuwane niemi babiego lata mgliste dni złotej, polskiej jesieni.

Po wielomiesięcznym trudzie hojnego płodzenia szarzejiesz w dni listopadowe, aby pod całunem zimowej pokrywy śnieżnej, skuta okrutnym mrozem, przetrwać, zażywając zasłużonego odpoczynku do nowej wiosny, która odwiecznym swym prawem wiedzona – tchnie w ciebie dawkę nowego, cudownego życia – rodzenia dla soli twojej – człowieka, włodarza twego i serdecznego przyjaciela.

Zrodziłaś lub wychowałaś sadowieńska ziemię ludzi zwykłych i zasłużonych Ojczyźnie, którzy zdrowie swoje, życie i siły oddali w ofierze dla pomnażania Jej wielkości, sławy i chwały, pracując z myślą dla Niej na wielu różnych odcinkach. Ich znakomita działalność na polu państwowym, społeczno-twórczym, kulturalnym i gospodarczym pomnaża wartości potęgując Jej wielkość, sławę i dobre imię w szerokim świecie.

Taką a nie inną jesteś ziemię nasza rodzinna i za to wszystko co nam dawałaś i dajesz, kochamy cię serdecznie, pragnąc w jesieni naszego życia złożyć w twoim chłodnym tonie nasze utrudzone wędrówką znoju, pracy i życia – kości. Przyjmiesz je, boś je zrodziła po to, aby na powrót w proch obrócić.

ROZDZIAŁ II

POŁOŻENIE I TERYTORIUM.

Region sadowieński, obok prostyńskiego, jest terenem najdalej wysuniętym na północ w powiecie węgrowskim, dawnej części województwa lubelskiego, od roku 1938, po terytorialnych zmianach administracyjnych – w województwie warszawskim.

Północną swą połacią, od cypla na wysokości przeciwległego Broku, aż do krańca opierającego się o posiadłości wsi Brzuza od strony zachodniej, wspierają się ziemie nasze o koryto rzeki Bug, stanowiący jednocześnie część granicy powiatu węgrowskiego z powiatem ostrowsko-mazowieckim.

Od strony południowo-zachodniej graniczymy z Gromadzką Radą Narodową Łochów, zaś od strony południowej z nieco mniejszą od naszej i uboższą w gleby ziemią stoczkowską.

Linia graniczna naszej obecnej GRN w ogólności, z wyjątkiem rzeki Bug, stanowi linię nieregularną, poszarpaną, zmieniającą często kierunek. W wielu miejscach przecina ona drobniejsze i większe strumyki, przebiega często przez łąki, bagna i trzęsawiska, których tu nie brak, jak również przez pola uprawne lub zwarte lasy. Kształtem swoim pod względem graficznym, patrząc na mapę, gmina Sadowne przypomina wyraźny trójkąt ustawiony swym wierzchołkiem ku północy, podstawą opierający się o południe, bokiem lewym o północny-zachód, a prawym o północny-wschód.

W środku tego trójkąta, na skrzyżowaniu dróg biegnących w różnych kierunkach, przysiosie dzielącej region sadowieński na dwie prawie równe części – położone jest Sadowne.

Piękna to i szczególnie w lecie ruchliwa miejscowość. Otoczona od strony południowo-wschodniej dość głębokimi lasami, czyni wrażenie przyjemne i miłe dla oka.

Nic dziwnego, że ze względu na pobliskie, pożyteczne dla zdrowia lasy, była kiedyś przed wojną i jest obecnie w porze letniej, chętnie odwiedzana przez spragnionych słońca, odpoczynku i wytchnienia po wielkomijskim zgiełku letników warszawskich. Ożywia się wtedy Sadowne okraszone gwarem dzieciarni miejskiej przyjeżdżającej tu na kolonie letnie. Żywiej pulsuje wtedy życie gospodarcze, przynosząc większe korzyści materialne miejscowym i okolicznym rolnikom.

W Sadownem koncentruje się życie całego naszego środowiska. Tu znajdują się biura władzy terenowej GRN, milicja, Urząd Pocztovo-Telekomunikacyjny, sklepy różnorodności, biuro i magazyny Gminnej Spółdzielni, Kasa Spółdzielcza, Klub „RUCH”, sala teatralno-kinowa

Ochotniczej Straży Pożarnej, apteka, Wiejski Ośrodek Zdrowia i Lecznica dla Zwierząt, Przedszkole, Szkoła Podstawowa i Liceum Ogólnokształcące – typowa wiejska szkoła średnia dla chłopskich dzieci z okolicznych wsi i gromadzkich rad narodowych.

Pod względem administracyjnym gmina Sadowne składa się z kilkunastu większych i mniejszych wsi.

W najbliższym sąsiedztwie Sadownego od strony zachodniej rozciąga się rozwleczone terytorialnie wieś Ocięte, słabo zabudowana przeważnie w koloniach o niewielkiej wartości glebowej, posiadająca wiele małożytecznych trzęsawisk, użyźnionych ostatnio przez zmeliorowanie.

Z Ociętym graniczą Grabiny, wieś położona na gruntach niskich, podmokłych, o niewielkiej wartości produktywnej.

Nieco większą zwartość pod względem zabudowy przedstawia wieś Szynkarzyzna, opierająca się od południa o lasy stanowiące jedno z poważniejszych bogactw naszego terenu.

Wyżej ku północy położona jest Zarzetka, tuż obok niej Zalesie, złączone obecnie z dawnym Podborzem w jednolitą pod względem administracyjnym gromadę.

Wciśnięta w szeroki łuk Bugu, nad którym rozłożyły się wspaniałe łąki stanowiące bogactwo jej mieszkańców, położona jest najstarsza wieś naszego regionu – Rażny, datująca początki swego istnienia prawdopodobnie od roku 1425.

Obok Rażen i Zalesia rodzinna wieś wielkiego naszego rodaka Marszałka Sejmu PRL Czesława Wycecha – Wilczogęby, potem ponemieckie: Sójkówek, Płatkownica z doskonałymi jak Rażny i Wilczogęby nadbużańskimi łąkami i również ponemiecki Sadoleś o dużym do grudnia 1939 r. procencie tej ludności przybyłej na te tereny około roku 1829 w czasie zaludniania i kolonizowania tych ziem przez dawnego ich właściciela hrabiego Andrzeja Zamojskiego.

Nad rzeczką Ugoszcz rozsiadło się niewielkie, zamknięte wokół lasami Krupińskie, wywodzące prawdopodobnie swą nazwę od wodnego młyna, w którym niegdyś przerabiano ziarno na krupy, tj. kaszę.

W pobliżu linii kolejowej Białystok-Warszawa położona jest wieś Zieleniec, której nazwa od początku pobudowania kolei służyła przez długi lata, bo aż do roku 1928, nazwie stacji kolejowej zamienionej potem na Sadowne Węgrowskie.

Po kilku latach rozłąki w granice gminy Sadowne włączono napowrót od grudnia 1968 r. Sokółkę, Kołodziej wieś, Kołodziej – Rybie oraz nieco wcześniej dwie gromady z gminy Prostyń: Morzyczyn Włociański i Morzyczyn Włoki.

Główną rzeką naszego terenu jest Bug, czyniąca ostre zakręty i szerokie łuki swego koryta w okolicy Wilczogąb i Rażen.

Szeroka i piękna ta rzeka jest w okresie wiosenno-letnim przedmiotem zainteresowania wielu wędkarzy i rybaków, stanowi także w porze wiosennej poważne niebezpieczeństwo gwałtownych powodzi i wylewów niszczących niejednokrotnie trud pracy rolników. Wynika to z niskiego położenia naszych terenów nadrzecznych, które w najbliższej przyszłości mają być zabezpieczone wysokimi wałami przeciwpowodziowymi. W ten sposób groźna powodzi zostanie raz na zawsze zażegnana i tereny uprawne w wielu wsiach całkowicie przed wylewami uchronione.

Na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat teren nasz został trzykrotnie nawiedzony przez powódzie w sposób groźny dla upraw, dróg, zwierząt i ludzi. Stało się to w latach: 1888, 1923 i 1958.

W roku 1888 wg zapisów kroniki parafialnej miejscowego kościoła „dnia 29 marca, w Wielki Piątek nastąpiła gwałtowna odwilż po ostrej i śnieżnej zimie. Niespodziewanie w nocy nastąpił wielki, niepamiętny wylew Bugu. Woda zalała większą część parafii, zniszczyła pola, łąki, domy, dobytek, a nadto zerwała mosty na szosie blisko Sadownego i wyrwała w tych miejscach doły kilka metrów głębokości. Płacz, wołanie o ratunek biednych mieszkańców zagłuszał szum, huk płynącej kry lodowej z wielkim pędem. Każdy ratował się jak mógł: na dachach domów, wierzchołkach drzew lub pływał w czółnie, jak Noe na korabiu wśród potopu. Na szczęście 1 kwietnia woda gwałtownie zaczęła opadać i mieszkańcy mogli wracać do normalnego trybu życia. Rok ten smutnie zapisał się w pamięci całej okolicy nadbużnej”...

Groźnymi i gwałtownymi w swych skutkach były również powódzie w latach 1923 i 1958. Woda powodziowa sięgała wówczas do Sadownego w pobliżu kościoła i poczyniła wiele szkód polowych i drogowych. W roku 1958 do akcji przeciwpowodziowej zostało oprócz miejscowych ludzi wprowadzone także i wojsko. Dzięki posiadanym amfibiom i helikopterom dostarczało ono do wsi najbardziej zagrożonych Morzyczyna, Rażen, Płatkownicy, Zalesia i Wilczogąb artykułów pierwszej potrzeby, żywności oraz pomocy lekarskiej ludziom i zwierzętom domowym. Nieustanna czujność specjalnych wart w Wilczogąbach zapobiegła przerwaniu ochronnego wału przeciwpowodziowego usypanego przez mieszkańców tej wsi przed wieloma laty dla ochrony pól uprawnych.

Smutny i bolesny obraz przedstawia nasz teren po takich wyskokach spokojnego na ogół Bugu. Długo potem rolnicy nasi leczą rany zadane ich gospodarstwom przez nieokiełznany żywioł wodny!

Przez rzekę tę przerzucony jest most łączący nasz teren z powiatem ostrowsko-mazowieckim. Po wielokrotnych zniszczeniach pierwszej i drugiej wojen światowych został on całkowicie odbudowany i oddany do użytku publicznego w dniu 2 grudnia 1951 roku. Most ten długości około 400 metrów zbudowany jest na palach drewnianych z konstrukcją żelazną, drewnianą nawierzchnią i obudową stanowi, mimo swej nienajlepszej konstrukcji,

ważny element komunikacyjny łączący nasz teren z północną częścią województwa warszawskiego, a poza nim z województwem białostockim.

Do chwili pobudowania tego ważnego węzła drogowego przeprawa przez Bug odbywała się przy pomocy promu zbudowanego na przeprawie obok spalonego mostu przez Radę Miejską w Broku. Prom ten był przez szereg powojennych lat jedynym środkiem przewozu przez rzekę, lecz stanowił jednocześnie ze względu na przeciwległy, wysoki brzeg Bugu niebezpieczeństwo zjazdu po dość stromym zboczu dla koni i wozów wjeżdżających na niego. Największe nasilenie przewozów było w poniedziałki z uwagi na odbywające się w tym dniu jarmarki w Ostrowi Mazowieckiej.

Ofiara takiego niebezpiecznego zjazdu na ten prom stał się koń Józefa Józwicka gospodarza z Sadownego, który spełniając przez wiele lat funkcję dostawcy towarów do Gminnej Spółdzielni i dla miejscowych piekarzy, prowadząc w miesiącu marcu 1947 roku naładowany workami i pakami wóz, nie zdołał zahamować staczającego się szybko z pochyłości pojazdu i utopił konia. Mimo natychmiastowej i licznej pomocy obecnych przy promie ludzi, konia niestety nie zdołano uratować. Pozostał na promie tylko wóz wypełniony po brzegi towarem i mąką.

Rzeka ta jest także miejscem kąpeli wielu plażowiczów i amatorów sportu pływackiego. Ze znanych, sprawdzonych i bezpiecznych miejsc do kąpeli w Bugu zaliczyć można tylko plażę w Broku, która posiada miejsce wyznaczone do kąpeli i odpowiednio oznakowane ze względu na dość wartki nurt rzeki i niebezpieczne wiry grożące utratą życia dla nieopatrznych śmiałków.

Na przestrzeni ostatnich kilku dziesiątków lat rzeka ta pochłonęła wiele ofiar, z których do najbardziej bolesnych zaliczyć należy wypadek utonięcia 23 czerwca 1953 roku dwojga dzieci ze Szkoły Podstawowej w Grabinach wraz z nauczycielką Aurelią Balówną, która, ratując swych uczniów, razem z nimi poniosła bohaterską śmierć w nurtach nieubłaganego Bugu.

Rzeka nasza nie należy do rzek uregulowanych i spławnych. Dno jej jest niejednolicie równe, posiadające mielizny, doły oraz liczne łachy piaszczyste. W czasach dawniejszych, nawet jeszcze w okresie międzywojennego dwudziestolecia, była ona dogodnym szlakiem dla spływu drewna wiązanego w długie sznury tratw kierowanych sprawnymi rękami oryli i retmanów. Dziś ten rodzaj transportu, ze względu na daleko zakrojone oszczędności drewna po ostatniej rabunkowej gospodarce hitlerowskiego okupanta, stał się zupełnie niewidoczny i zaliczyć go można już tylko do wspomnień z dawnych lat.

Z mniejszych rzeczek naszego terenu wymienić tu należy Ugoszcz długości ok. 35 km, wpadającą w okolicy wsi Brzuza do Bugu, a biorącą swój początek w okolicy stoczkowskich Grabin, zwanych niegdyś Grabniakiem. Rzeczka ta, choć niewielka, potrafi w okresie wiosennych roztopów lub nawet ulewnych deszczów czynić znaczne szkody w zasiewach i uprawach polowych w pobliżu nad nią położonych, a nawet zrywa mniejsze mostki.

Inną, krótszą i mniej groźną jest struga zwana od miejsca swych źródeł Bojewką, ponieważ wypływa z trzęsawiska położonego na terenie wsi Bojewo. Następną po niej długości ok. 20 km jest mulista o rdzawej wodzie Wilącza, która jak jej poprzednie siostrzyce kieruje swe płynące żółtym tempem wody do królowej rzek naszego terenu – Bugu.

Poza tym nizinny teren naszego regionu poprzerynany jest liczną siatką drobniejszych strumieni i rowów kopanych ręką ludzką, ostatnio maszynami, dla osuszenia terenów dotychczas podmokłych, obecnie po zmeliorowaniu już w większej części wykorzystywanych przez rolników.

W ukształtowaniu swoim teren naszych okolic jest wybitnie równinny, porośnięty gęsto drzewostanem liściastym z przewagą olchy i wierzby, przystaniającymi zewsząd horyzont.

Nie znajdziesz tu terenów otwartych, pustych sięgających bezkresnie aż do majaczącej sinej głębi tła krajobrazu. Oko spoczywa zawsze na pobliskich drzewach i krzewach, które swoim bezładnym malarskim rozmieszczeniem czynią z naszego terenu pejzaż kompozycyjnie ciekawy, pełen piękna i artyzmu w swoim prawdziwie polskim bogactwie równinnego obrazu malarskiego.

W części nadbużnej osiedlający się tu niegdyś przodkowie wybierali wśród nizin miejsca pagórkowate, dogodne do zakładania swoich siedzib w obawie przed wylewami Bugu.

Nic dziwnego, że wioski takie, jak: Płatkownica, Sadoleś, Ocięte, Sójkówek, Rażny, Zalesie i częściowo Wilczogęby, nie stanowią zwartych gromad, lecz rozrzucone są na takich właśnie pagórkach chroniących przezornych mieszkańców przed złośliwymi często wodami z powodzi i wylewów Bugu.

Od strony południowo-wschodniej, ukryte w głębi lasu zwanego Jeglem i dlatego z dala niewidoczne, znajdują się pokryte drzewostanem leśnym pagórkowate wzniesienia zwane przez miejscową ludność od dawien dawna – Górami Bogackimi. Druga ich część zalega długim pasem od Sadownego - Draku aż po wieś Zieleniec. Według mapy warstwicznej wznoszą się one do 125 m nad poziom morza i stanowią w okresie zimy dogodne miejsca dla młodych amatorów sportu narciarskiego.

Są to wzniesienia składające się z piasku o bardzo dużej zawartości związków krzemowych. Przeprowadzone w roku 1967 geologiczne badania tych pagórków wykazały, że są to najbogatsze w krzem piaski na terenie województwa warszawskiego i najbardziej nadające się do produkcji materiałów budowlanych, a w szczególności cegły silikatowej. Zawierają one ponad 90% wysokogatunkowych związków krzemowych, które ze względu na swą jakość mogą być wykorzystane do wytwarzania tak bardzo potrzebnych naszemu powiatowi i województwu materiałów do budownictwa.

Centrala Rolnicza Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” postanowiła, po uprzednim uzgodnieniu z Ministerstwem Leśnictwa, pobudować tu kosztem ponad 40 milionów złotych zakłady produkcyjne materiałów budowlanych, które w najbliższej przyszłości zapewnią pracę setkom ludzi naszego terenu, trudzących się codziennymi dojazdami do różnych zakładów pracy w Warszawie.

Pokaźną część całości naszego regionu zajmują lasy. Wypełniają one dużą połąć południowej jego strony, obejmując wsie: Szynkarzyzna, Grabiny, Ocięte, Krupińskie, Zieleniec, Sokółka, Sadoleś, Kocielnik i od strony południowo-wschodniej Sadowne. Na terenie wsi Sójkówek i Płatkownica położone są zwarte, mocno w czasie ostatniej wojny przetrzebione lasy zwane Borkami.

Są to, w ogólności biorąc, resztki dawnego, większego rezerwatu leśnego określanego przez historyka tych ziem z dużym zabarwieniem uczuciowości – puszcą sadowieńską (T. Szczechura – „Nad Bugiem, Wilczą, Ugoszczą”), łączącą się w tej części dawnego Mazowsza od północy z tzw. Puszą Białą, od zachodu za Liwcem przechodziły w królewską Puszcę Sulejowską.

Rabunkowa gospodarka w okresie przedwojennym właściciela części tych terenów pseudo-hrabiego Kurnatowskiego, zięcia hrabiego Zdzisława Zamojskiego i podczas wojny przez hitlerowskiego okupanta, bardzo zubożyła drzewostan tych lasów, w których dziś nie znajdziesz już sosen wiekowych, stanowiących przebogaty materiał zwany dawniej „starodrzewem”, rdzenny i przepojony złocistą żywicą. W większości lasy te stanowią drzewostan mieszany z przewagą sosny, rzadziej świerka oraz brzozy, olchy i w niewielkich ilościach jesionów.

Dla zwierząt dzikich lasy nasze są schronieniem dla dzików, lisów, borsuków, zajęcy i saren. W okresie powojennym widoczne także były nieliczne sztuki wilków zapędzonych tutaj prawdopodobnie w okresie działań wojennych 1944 r. z dalekiej Wileńszczyzny i ziem wschodnich. Dziś już się ich nie spotyka, ponieważ w latach pięćdziesiątych zostały całkowicie wytrzebione jako groźne drapieżniki leśne. Jeden z nich, pokaźnych rozmiarów basior zastrzelony przez leśniczego Jerzego Zabokrzyckiego, przekazany został szkole w Sadownem. Odpowiednio spreparowany i wypchany jest po dziś dzień okazem zdobiącym gabinet naukowy pracowni biologicznej Liceum Ogólnokształcącego.

Z ptactwa dzikiego, lasy nasze i pola są siedliskiem rozlicznej drobnej ptasiej druzyny, zaś z większych notujemy tu dzikie kaczki, żurawie, czaple, czajki, białe bociany, jastrzębie i coraz rzadziej cietrzewie, myszołowy, puchacze, puszczyki i sowy.

Królem naszych lasów i ich dostojnym gościem stał się od niedawna wysoce w hierarchii leśnej ceniony, znajdując się pod bardzo troskliwą opieką i ochroną biologiczną rogiaty łoś. Zwierzęta te przywędrowały prawdopodobnie z dalszych, większych rezerwatów leśnych i znalazły tu dogodne warunki bytowania osiedliły się na stałe, o czym świadczy wg relacji leśniczego Augustyna Pelca pokaźny ich stan pogłowia w roku 1967 w ilości 26 sztuk.

O pewności zadomowienia się łosi w naszych lasach pośluży fakt istnienia młodych sztuk zauważonych przez służbę leśną w tymże roku, biegających swobodnie obok swych matek zwanych kłębami. Wydawanie przez łosie potomstwa ma być wg leśników nieomylnym znakiem ich stałego przywiązania do uroczysk leśnych. Piękne te zwierzęta stanowić będą niezaprzeczalną ozdobę naszych lasów i powinny być nie tylko przez służbę leśną, lecz także przez wszystkich mieszkańców naszego regionu otoczone jak najbardziej troskliwą opieką. O wartości tego zwierzęcia powinno się mówić na zebraniach gromadzkich ze starszymi, jak również z młodzieżą szkolną coraz liczniej dziś zrzeszoną w Szkolnych Kołach Przyjaciół Zwierząt. Zadowoleni i dumni winniśmy być z tego, że przebywające w naszych lasach łosie obrały je sobie za miejsca stałego siedliska i zamieszkania.

Dużą część naszego terenu zajmują pola uprawne, łąki, pastwiska i różne nieużytki. Do głównych ziemiopłodów zalicza się żyto i ziemniaki, w mniejszej zaś ilości owies, jęczmień, rzadziej gryka, proso i pszenica.

Ze względu na coroczne prawie wylewy powodziowe Bugu, jak również przeważającą część łąk i pastwisk, ziemia nasza nie była nigdy samowystarczalną do utrzymania ludzi i zwierząt gospodarskich. Zboże potrzebne na chleb i tucz zwierząt rzeźnych było zawsze, a szczególnie w okresie przednówka, sprowadzane z jarmarków ostrowskich, gdzie jest go zawsze znacznie więcej. Ziemniaki, słoma żytnia, owsiana czy pszeniczna to również płody rolne sprowadzane nieraz masowo z ziemi zabużańskiej.

Łyse, piaszczyste wydmy, rozmokłe bagna i trzęsawiska to nieużytki pokrywające znaczną część naszego terenu. Stanowią one w przeważającej większości ziemię małowartościową, nie nadającą się nawet do wypasu zwierząt czy pod uprawę. Tylko gdzieniegdzie na piaszczystych wzgórkach widnieją nieśmiałe, liche łubiny i żyta ubogie w kłos i ziarno, a także w wątłą, wiotką słomę.

W okresie lat mokrych rośliny te wegetują tu jako tako, lecz podczas upalnych susz nikną w oczach i marnieją, całkowicie nie dając rolnikom nawet zwrotu ziarna w te piaszczyste nieużytki wrzuconego. Stąd wynika niejednokrotnie i nierówność w zamożności i dostatku naszych gospodarzy. Ziemie bogatsze dają większe plony, a uboższe świecą biedą i niedostatkiem. Nic dziwnego, że ich posiadacze wynajmują się do pracy zarobkowej w dalekiej Warszawie, dojeżdżając do niej codziennie. Mozolny i ciężki to trud dla wielu setek mieszkańców naszego terenu i jedynie tylko pobudowanie zakładu produkcyjnego, wyżej omawianego, może ten problem radykalnie rozwiązać.

ROZDZIAŁ III

LUDNOŚĆ I JEJ ZAJĘCIA.

Tereny obecnej Gromadzkiej Rady Narodowej Sadowne wchodziły od najdawniejszych czasów w skład środkowo-wschodniej części Mazowsza, a nie Podlasia, jak często mylnie twierdzili mieszkańcy naszych osiedli. Poblize ziemi podlaskiej ustaliło także pojęcia, lecz etnografia i kultura tego regionu wskazują niezbicie na przynależność do tej dzielnicy. Od niepamiętnych dziejów istniały one w tej dzielnicy kraju, o czym mówią i potwierdzają swymi zapisami historycy i kronikarze.

Przez wiele tysięcy lat ziemia mazowiecka była pusta i niezamieszкана. W okresie polodowcowym tworzyły się na niej, jak i w reszcie naszego kraju, bagna stopniowo wysychające, zaś po nich wyrastać zaczęły bujne trawiaste stepy nie tykane nigdy ręką ludzką, wzrastały, więdły i opadały smagane ulewnymi deszczami, użyźniając przez wieki całą skorupę ziemi dla przyszłego wzrostu drzew i roślin rozlicznych.

Z biegiem czasu, wraz ze stopniowym łagodnieniem i ocieplaniem się klimatu, na terenach całych ziem propolskich, a w tym i naszego Mazowsza, zaczęły one porastać wysokopienną puszcza i nieprzebytymi lasami.

Wczesne i najdawniejsze wzmianki dawnych kronikarzy obcych wspominają o przejściowym, krótkotrwałym tu życiu plemion koczowniczych, a dopiero później ludności osiadłej, której głównym zajęciem było rolnictwo.

Istnieją z tych pradawnych czasów nikiłe ślady o wędrownych gromadach ludzi-myśliwców pierwotnych koczowników, którzy nie przywiązując swego życia do stałego osiedlania, przierzucali się często z miejsca na miejsce w poszukiwaniu coraz lepszych i bogatszych terenów obfitujących w zwierzynę.

Prowadzone na Mazowszu badania archeologiczne wskazują niezbicie na podstawie znalezisk i przeróżnych cennych wykopalisk, jakimi są narzędzia pracy, krzemienne noże, kobyce i męskie ozdoby, przedmioty codziennego użytku, strzały, oszczepy i maczugi z epoki kamiennej, że są to resztki narzędzi i prymitywnej broni sprzed wielu tysięcy lat, którymi w tamtych, odległych czasach posługiwali się nasi praprzodkowie.

Jako przykład ciekawy dla naszego terenu, będący najlepszym świadectwem istnienia takich rzeczy, może posłużyć fakt znalezienia w dniu 4 kwietnia 1965 r. przez ówczesnego ucznia klasy siódmej sadowieńskiej szkoły podstawowej Dobosza Jerzego we wsi Sadowne, w obrębie gospodarstwa jego dziadka Jana Kądzieli, cennego znaleziska w postaci

uksztaltowanego i z większej bryły ludzką ręką obrobionego noża krzemienno lub grotu myśliwskiego oszczepu, który albo jest dowodem zamieszkiwania tu plemion w epoce kamienia łupanego, albo też zgubiony został przez wędrujące grupy koczowniców-myśliwców.

Z biegiem czasu ze względu na łatwiejszy sposób życia, jak i też obronę przed dzikim zwierzem i złymi ludźmi, plemiona koczownicze i grupy wędrownych myśliwców zaczęły tworzyć społeczeństwa gromadne, których głównymi zajęciami były: myślistwo, zbieractwo, następnie w czasach późniejszych próby osvajania dzikich zwierząt i pierwszego na ziemiach prasłowiańskich rolnictwa.

Wynalazek łuku, maczugi i oszczepu, następnie znajomość ognia, czyniły stopniowo na przestrzeni setek i tysięcy lat życia tych ludzi pierwotnych łatwiejszym i wygodniejszym.

Według obliczeń archeologów dopiero w trzecim tysiącleciu przed naszą erą poczęli na ziemi leżące między Odrą, Wisłą i Bugiem napływać przybysze z okolic naddunajskich umiejący wypalać naczynia gliniane, uprawiać rolę, potem hodować bydło.

Wraz ze stopniowym rozwojem życia, produkcji i konieczności zabezpieczenia warunków tego bardzo prymitywnego bytowania, zaczęto wprowadzać wyroby krzemienne, potem z brązu, a następnie po wykryciu i umiejętności przetapiania rudy – narzędzi i broni z żelaza.

Z lat 1800 – 1500 p.n.e., którą określa się jako epokę brązu, istnieją potwierdzone na podstawie wykopalisk dowody przebywania osiedleńców na ziemiach mazowieckich.

Również na podstawie dociekań uczonych, historyków i archeologów potwierdza się, że plemiona prasłowiańskie już zamieszkiwały ziemię polską od 3 500 lat. Zaś z epoki żelaza (700 – 400 lat p.n.e.) istnieją ślady w postaci znalezisk i wykopalisk o będącym tu na Mazowszu życiu naszych przodków.

W okolicach Przasnysza podczas prowadzonych tu prac wykopaliskowych i badawczych stwierdzono i odkryto z wędrowek południowców europejskich, a w szczególności rzymskich kupców zapuszczających się na ziemię naszą po złoty bursztyn zwany jantarem, w postaci znalezisk rzymskich monet, wyrobów różnego rodzaju, a nawet mogli rzymskich wojowników, którzy tu prawdopodobnie zahaczali i o Mazowsze.

Bywało, że pracę i dorobek wielu pokoleń osiadłych tu na stałe plemion prasłowiańskich niszczyły wędrujące plemiona koczownicze ze wschodu, które, prowadząc napastniczy tryb życia, liczebną swoją przewagą i przemocą, rabując i biorąc niewolników, zostawiały dymiące ruiny i zgliszcza. Długo potem trzeba było na nowo tworzyć nowe warunki do dalszego trudnego nieraz żywota.

Najazdy dzikich plemion koczowniczych ze wschodu datują się najbardziej w okresie wczesnego średniowiecza.

Mimo tych poważnych i najczęściej trudnych przeciwności lud tu osiadły trwał uparcie na swojej ziemi, rozwijając po wielokroć od początku życie rolnicze, pasterskie, myśliwskie i rękodzielnicze.

Z upływem czasu dyktowany potrzebami wynikającymi z warunków dogodniejszego życia, zaczyna zanikać charakter pierwotnej wspólnoty rodowej, powstają i tworzą się rodziny, a z nich rody samodzielne, łączące się coraz częściej w większe związki wspólnot terytorialnych.

Następuje wówczas proces podziału ludności na klasy społeczne – tworzy się różnorodność tych klas, opanowana stopniowo przez władztwo książąt i wielmożów.

Tworzą się gródki i grody, osady i wiejskie osiedla, które dla łatwiejszego ze sobą współżycia łączą się ze sobą szlakami komunikacyjnymi, drózkami i drogami, stanowiącymi jednocześnie dogodne połączenia handlowe.

Ogromną wówczas rolę w życiu człowieka odgrywały pod względem komunikacyjnym drogi wodne.

Głównymi szlakami transportu i żeglugi z południa na północ do Bałtyku były główne rzeki Mazowsza – Wisła i długi odcinek Bugu. Stwarzało to z kolei zachęcające możliwości do zakładania nad nimi licznych osiedli, osad, grodów, a potem miasteczek i większych miast.

Dzięki żegludze rozwijało się i kwitło życie gospodarcze i handlowe tych osiedli. Stopniowo przybywało ludności, rozwijały się warunki społeczno – ekonomiczne, wzrastała zamożność miast, osiedli i grodów – zaczęły rysować się zręby przyszłego państwa jako towaru polityczno – geograficznego, które przetrwało jako model ukształtowany zdecydowanie na organizm państwowy, wchodzący w rachubę państw Europy już przez 1000 długich lat, obchodząc w niedawno minionych latach swój milenijny jubileusz jako naród o ponad 30-milionowej ludności, będącej po dziesięciowiekowych swych dziejach kontynuatorem następnego tysiąclecia i dalszego coraz wspanialszego rozkwitu Ziemi – Ojczyzny.

Mieszkańcami obecnego rejonu Gromadzkiej Rady Sadownej jest zamieszkujący tu lud osiadły od wieków niepamiętnych, początkowo nieliczny, ubogo żyjący, którego liczebność uzupełniona została około roku 1525 nowymi osadnikami sprowadzonymi przez Kapitułę Warszawską do pracy na ziemi plebańskiej prawdopodobnie z ziemi kurpiowskiej. O pochodzeniu kurpiowskim tych osadników świadczą jeszcze do niedawna pieśni ludowe śpiewane chętnie z okazji wesel i innych domowych uroczystości, ubiory ludowe o cechach wybitnie kurpiowskich, spotykanych jeszcze w przedostatnim dziesiętku lat przed wybuchem II wojny światowej między ludem zamieszkałym w Morzyczynie, Rażnach, Zalesiu czy Szykarzyźnie.

Charakterystyczne, szerokie u dołu suknie kobiece szyte z samodziałów tkanych własnoręcznie na domowych krosnach i ozdabiane w swoisty sposób. Barwne kurpiowskie pasiaste zapaski – fartuchy, którymi okrywały się kobiety „od święta”, szare samodziałowe sukmany męskie lub malowane w szczególnie piękne wzory różnokolorowe „skrzynie” i kufry beczkowate spełniające rolę pomieszczeń do przechowywania cenniejszej bielizny i odzieży, oto nieliczne przykłady, których dziś już niestety nie spotkamy w żadnej wsi naszego terenu. Ozdobą wnętrza chat były na sposób kurpiowski wiszące u pułapów w każdej niemal chacie „pająki”, konstruowane przemyślnie z kawałków żytniej słomy i wielokolorowych bibutek.

Zdobnictwo ciesielskie w budowie chat krytych z reguły słomą stanowiło nieodzowny element zewnętrznej estetyki przybierania małych przeważnie okien, okiennic i szczytów domów.

Zwyczaje i obyczaje stosowane na wiejskich weselach, chrzcinach czy stypach pogrzebowych zawierały wiele pierwiastków przeniesionych tu przez tych osadników z ziemi kurpiowskiej.

Innym momentem świadczącym o kurpiowskim pochodzeniu naszych przodków jest wzmianka w kronice miejscowego kościoła, że „byli prawdopodobnie Kurpie, gdyż tak ich miejscowi mieszkańcy nazywali i nieprzyjaźnie na nich spoglądali. Dziś już się wszelkie ślady różnic zatarły, tylko, gdy chce jeden drugiemu dokuczyć i przykrość wyrządzić, to go Kurpiem przezywa”.

Głównym ich zajęciem było rolnictwo, uzupełniane często połowami ryb w wodach Bugu i rozrzuconych małych stawach i drobnych jeziorach. Zapobiegliwa Kapituła Warszawska, dla podniesienia i tak już znacznych korzyści osiągniętych ze swych dóbr, osiedlała „rzemieślników biegłych w rozmaitym fachu: ciesielstwie, kowalstwie, bartnictwie, kołodziejstwie i szewstwie”. Byli tu zdolni młynarze, kołodzieje, piwowarzy, a nawet wspomina się o karczmarzach.

Po dzień dzisiejszy pozostały stworzone od tych zawodów nazwiska jak: Karczmarczyk, Bednarczyk, Piwek lub Piwko, lub takie, jak Kowalczyk, Ślusarz, Stelmach i inne.

O kurpiowskim pochodzeniu niektórych mieszkańców naszej okolicy świadczą istniejące jeszcze do dziś nazwiska puszczańskie jak np.: Koziół, Czajka, Sówka, Wróbel, Konik, Czapla, Wrona, itp.

W ten sposób osiedlali się przybysze z różnych okolic słabo wówczas zaludnionego kraju, a najwięcej z ziemi kurpiowskiej. Po dziś dzień żyją w Sadownem potomkowie owych osiedleńców, z których wymienić można osiadłych na plebańskiej ziemi tzw. „Poświętnem” – Wardów, Sówków, Czajków, Cioków, Koników, Marcjaników i innych.

Tu, gdzie obecnie położone są wsie Płatkownica, Sadoleś, Sójkówek i Ocięte, rozciągały się lasy wielkie, wśród których rosły gęste zarośla, grunt w nich był podmokły, bagienny, trudnodostępny. Cały ten obszar po ostatnim rozbiorze kraju znajdował się pod zaborem austriackim, później zaś dostał się pod zabór rosyjski i w tym to czasie przeszedł w posiadanie hrabiego Andrzeja Zamojskiego.

Hrabia ów, zebrawszy okolicznych chłopów, zaproponował im aby ten obszar zagospodarowali, zamieniając nadbużańskie lasy i trzęsawiska na łąki i pastwiska, a gdzie się da również na ziemię orną. Za to według żądania Zamojskiego płaciliby czynsz dzierżawny i inne powinności wynikające z użytkowania. Mimo, że chłopstwu brak było łąk i pastwisk, jednak widmo ciężkiej i mozolnej pracy przy karczowaniu i osuszaniu trudnych do pracy terenów odstręczało żądnych ziemi chłopów i proponowanej przez hrabiego oferty nie przyjęli.

Wówczas Zamojski nie bacząc zupełnie na względy polityczne zwrócił się z identyczną propozycją do Niemców. Ci skwapliwie skorzystali z hrabiowskiej oferty i około roku 1829 zaczęli się osiedlać.

Pierwszymi kolonistami niemieckimi na tych ziemiach, jak wspomina kronika szkoły w Płatkownicy, byli Niemcy: Matt i Bajer.

Po przybyciu, rozpatrzeniu się i zagospodarowaniu sprowadzili więcej swych plemieńców, którzy podobno wywodzili się z dalekiej Alzacji i Lotaryngii. Niektórzy z nich twierdzili, że są pochodzenia francuskiego, gdyż rzekomo ich dziadkowie byli Francuzami.

Do roku 1856 korzystali oni z usług religijnych kościoła katolickiego w Sadownem: zawierali małżeństwa, chrzcili dzieci i grzebali zmarłych.

W roku 1856 wybudowali w Płatkownicy własny drewniany dom modlitewny połączony ze szkołą w jedną całość. Nauczyciel ich dzieci odprawiał jednocześnie nabożeństwa i udzielał wszelkich usług religijnych.

W roku 1909 wybudowali na miejscu drewnianego kościoła murowany, a połowę budynku drewnianego przeznaczili na szkołę, drugą zaś część na dom ludowy, który w roku 1915 sprzedali na rozbiórkę. Obok kościoła wybudowali wówczas dom dla zakonnic ewangelickich tzw. „Diakonek”. Zakonnice te pracowały w Warszawie w szpitalu ewangelickim, zaś do Płatkownicy przyjeżdżały na wypoczynek w okresie wiosenno – letnim. Zajmowały się one podczas swego tu pobytu leczeniem miejscowej ludności.

Drewniany budynek szkoły, postawiony przez nich z części pierwszego domu modlitwy, przetrwał do roku 1963, w którym spłonął w noc październikową, natomiast murowana „kircha”, pobudowana w roku 1909, została w latach pięćdziesiątych przez miejscową ludność rozebrana, a materiał z niej przeznaczono na budowę pięknej, wieloizbowej szkoły, którą oddano do użytku w roku ...

W roku 1864, kiedy car Aleksander II wydał ukaz o uwłaszczeniu, ziemie te przeszły na własność kolonistów niemieckich. Z wdzięczności za to Niemcy z Płatkownicy i Sójkówka wystawili w Sójkówku pomnik ku czci cara i wmurowali w niego tablicę z napisem:

„Na pamiątkę uwłaszczenia
włościan dnia 19 lutego/2 marca 1864 r.

Włościanie gminy Płatkownica

Bogu na chwałę

monarsze

Aleksandrowi II-mu

na szczerą pamiątkę ten pomnik

wzniesli dnia 19 lutego/2 marca 1867 r.”

Tablica ta przetrwała w tym pomniku do roku 1917, kiedy ją po ustąpieniu zaborczych wojsk rosyjskich usunięto. Cegłę z pomnika w Płatkownicy przeniesiono do Sadownego i zbudowano pomnik, w który wmurowano marmurową tablicę poświęconą Tadeuszowi Kościuszce z okazji setnej jego rocznicy śmierci. Tablica z Sójkówka poniewierała się przez lat około 40 po różnych zakątkach. Odnaleziona w roku 1955 przez nauczycieli szkoły sadowieńskiej Bogusława Kicia i Edwarda Sówkę przeniesiona została do szkoły, gdzie znajduje się w niej po dziś dzień jako dokument świadczący o stuletniej przeszłości.

W roku 1915 wszyscy niemieccy koloniści wywiezieni zostali w dniu 4 marca do Rosji. Na gospodarstwach opuszczonych gospodarowali miejscowi Polacy, którzy tu zamieszkiwali w znikomym procencie. Po trzyletnim tam pobycie wrócili tu w roku 1918, zajmując na powrót swoje gospodarstwa. Gospodarowali na tych ziemiach do grudnia 1939 roku.

Przez cały czas swego tutaj pobytu Niemcy z Polakami żyli w najlepszej zdawałoby się przyjaźni. Młodzież jednych i drugich urządzała wspólne zabawy, starsi nie przejawiali względem siebie wrogich zamiarów i uczuć i pozornie wszystko układało się jak najlepiej.

Kiedy nadszedł tragiczny dla naszego narodu wrzesień 1939 roku potulni dotychczas koloniści niemieccy pokazali się kim byli w rzeczywistości.

Z chwilą wtargnięcia na naszą ziemię wojsk hitlerowskich stosunek kolonistów do Polaków zmienił się całkowicie.

Nastąpił teraz krwawy rozrachunek z tymi Polakami, którzy kiedyś podczas dobrej z nimi komitywy nieopatrznie poróżnili się lub zadarli z kolonistami. Tajone przez wiele dziesiątków lat zamaskowane fałszywą przyjaźnią wrogie uczucia wypląły gwałtownie na wierzch. Zjadany przez ponad wiek cały chleb polskiej ziemi znalazł teraz okazję do haniebnego

zapłaty tym, którzy z nimi wspólnie żyli i pracowali w idealnej zdawałoby się zgodzie. Po zawładnięciu ziem polskich przez zaborcę, swego oczekiwanego jak sami mówili „wybawcę z polskiego ucisku”/!/, zmienili się nie do poznania i poczuli panami tej ziemi, okazując bardzo jaskrawie swą wyższość nad ludnością polską.

Tak na przykład Polak Jan Karczmarczyk z Płatkownicy prowadził zadawniony, słuszny dla siebie spór o miedzę z sąsiadem Niemcem Bajerem. Spór ten w okresie poprzedniego, wspólnego, sąsiedzkiego współżycia między nimi nie przybierał nigdy charakteru większego nasilenia lub nawet wyraźnej niezgody. W rzadkich tylko nieraz momentach był przedmiotem wymiany zdań, lecz zupełnie nie stanowił istoty poważniejszego gruntowego zatargu, jakich jest wiele między sąsiadami.

Tłumione, ukryte w głębi niemieckiej duszy pierwiastki tajonej zemsty, znalazły dla siebie upust we wrześniu 39 roku. Po wkroczeniu pierwszych oddziałów armii hitlerowskiej na ziemię sadowieńską – Bajer w towarzystwie żołdaków hitlerowskich udał się do Karczmarczyka i nocą wywłóktszy go z domu zastrzelił i z oznakami tlejącego, jak sam się potem chwalił, jeszcze w nieszczęśniku polskim życia zakopał go do ziemi.

W podobny sposób zamordowali koloniści niemieccy mieszkańca wsi Sójkówek Józefa Gołaszewskiego. Dotychczas nie wiadomo co było przyczyną tego haniebnego porachunku.

Po tych wypadkach błąd strach padł na resztę zamieszkujących nie tylko we wsiach poniemieckich, lecz także w Sadownem i innych miejscowościach mieszkańców polskich. Wielu kryło się przez długie tygodnie, aż do wyjazdu kolonistów w grudniu 1939 r.

Byli również wśród nich także ludzie o dobrej woli w stosunku do elementu polskiego. Do takich należała mieszkanka Sadolesia, Niemka Podszusowa, zamężna z Polakiem, która oparła się przesiedleniu i pozostała tu aż do roku 1945, w którym została zamordowana. Do podobnych należeli Hintz z Ociętego i Jabs. Ci wyjątkowi Niemcy nie wyrządzali Polakom najmniejszej krzywdy, żyli z nimi nawet podczas okupacji w przyjaźni, a do znamienitych wypadków świadczących o dobrym stosunku zaliczyć należy fakt uratowania przed rozstrzelaniem rodziny Świątkowskich w Sadolesiu (r. 1944 VIII) przez Podszusową, która swą umiejętną zapobiegliwość potrafiła wyperswadować rozwścieczonym do ostateczności żołdakom o niewinności stojących już pod ścianą śmierci nieszczęśników (przyczyna: skradzenie karabinu przez Fr. Wójcika).

Jeden z młodych Niemczaków z Płatkownicy nazwiskiem Hejze przechwalał się wobec Polaków, że gdyby wojna wybuchła w rok później, tj. w roku 1940, to przybrała by ona na tych terenach inny, na pewno gorszy dla Polaków obrót.

Jak się potem okazało, w Płatkownicy i Sadolesiu istniała przed wojną niemiecka tajna organizacja młodzieżowa pod nazwą „Hitlerjugend”, w której pod pozorem ćwiczeń orkiestry dętej, jaką rzeczywiście posiadali, prowadzono regularne zbiórki młodzieżowe pod

kierunkiem przyjeżdżających tu tajnych instruktorów wojskowych, uczących władania bronią i przygotowywali ich do z dawna przewidywanej wojny.

Niestety, nasze międzywojenne władze sanacyjne nic o tym nie wiedziały i dopiero wpadły na jej ślad w czasie coraz bardziej zaostrzających się stosunków polsko – niemieckich w ostatnich dniach sierpnia 39 roku.

Nastąpiły wówczas wśród kolonistów niemieckich aresztowania i wywózka do Berezki Kartuskiej, z której w pierwszej połowie września cali i zdrowi powrócili.

Podczas pożaru Sadowego w dniu 9 września 39 r. wzniesionego najprawdopodobniej za namową kolonistów przez wkraczające wojska hitlerowskie Wehrmachtu, usunięto z domów wszystkich mieszkańców, kładąc im precz i przy pomocy wielu kolonistów z Płatkownicy, Sójkówka i Sadolesia domy te najpierw doszczętnie wraz ze sklepami obrabowano, a następnie spalono. Smutny obraz okraszony ruinami i zgliszczami przedstawiało wówczas Sadowne.

Z chętnych wypowiedzi wymienionego wyżej Hejze wynikało, że już na kilka lat przed wybuchem wojny ćwiczyli się oni potajemnie i szkoleni byli w zakresie umiejętności nie tylko wojskowych, lecz także i prywatnych. Stąd wynika, że w dużej mierze przyczynili się oni do spalenia nie tylko Sadowego, ale także wielu polskich domów w innych miejscowościach.

Wynikiem tych ukrytych przed polskim okiem ćwiczeń było istnienie wewnątrz wieży niemieckiej kirchy w Sadolesiu dobrze zamaskowanej i starannie ukrytej tajnej radiostacji, którą podobno obsługiwał nauczyciel niemiecki mniejszościowej szkoły w Sadolesiu Braun Gustaw. Ślady po tej radiostacji widniały długi czas przed rozbiórką tego budynku w postaci izolatorów i resztek instalacji tam zamieszczonych.

Musiał stąd płynąć na falach eteru meldunki nadawane dowództwu wojsk hitlerowskich, skoro w dniu 3 września na wyładowujące na stacji kolejowej Sadowne wileńskie pułki wojska polskiego odbył się nalot samolotów, które zrzuciły wiele bomb średniego kalibru, nie wyrządzających na szczęście, oprócz zniszczenia małego magazynu kolejowego, poważniejszych szkód ani wojsku ani też reszcie obiektów kolejowych. Naloty takie powtarzały się jeszcze później przed wkroczeniem Wehrmachtu, niszcząc tory kolejowe i urządzenia telefoniczne.

Dane o istnieniu tajnych organizacji hitlerowskich i zamaskowanej radiostacji nadawczej pochodzą z wiarygodnego źródła, jednego z kolonistów z Sadolesia Ludwika Zellerta, który będąc konfidentem granatowej policji opowiadał piszącemu te słowa o tych faktach podczas ucieczki mężczyzn z tych terenów na początku września w kierunku ziem wschodnich. Tenże Zellert brał również udział w tej ucieczce w obawie przed zemstą swoich współplemieńców. Po powrocie z tej wędrówki około 25 września cudem tylko uniknął śmierci ocalony przez wyżej opisaną Podszusową i innych swych niemieckich przyjaciół.

Wkrótce opuścił te tereny i udał się podobno do Warszawy, gdzie jakoby miał pracować w służbie Schutzpolizei.

W dniu 15 września 1939 roku niemieccy koloniści wyjechali w okolice Makowa Maz. i innych stron, które Hitler wcielił do Reichu, lecz z niewiadomych przyczyn po tygodniu wrócili tu z powrotem, aby powtórnie wyjechać tym razem już na zawsze w grudniu 1939 roku.

Wyjeżdżając sprzedawali wszystko co się dało, inwentarz żywy i martwy, a nawet lepsze budynki. Słowem dobrze dotychczas zagospodarowane ich gospodarstwa zostały doszczętnie ogołoczone ze wszystkiego, ziemia była pusta, bo sprzedano nawet płody rolne na niej rosnące, a budynki gospodarcze i domostwa świeciły pustkami. Przez wiele miesięcy potem niezamieszkałe przez nikogo budynki były przedmiotem rabunku małowartościowych resztek przez ludzkie hieny, żerujące na nieszczęściach wojny.

Na miejsce wywiezionych przez Hitlera kolonistów już podczas ciężkiej i bardzo mroźnej zimy z 39 na 1940 rok zaczęli tu napływać ogołoceni ze wszystkiego, bez żadnego majątku wysiedleńcy polscy z Pomorza i Poznańskiego, którzy pod presją władzy hitlerowskiej musieli tam opuścić swoje nieraz poważne majątki z drobnymi zaledwie węzełkami w rękach.

Bardzo trudne i nad wyraz ciężkie było życie tych nieszczęśników w pustych, zimnych, najczęściej bez okien i drzwi domostwach poniemieckich. Tylko dzięki braterskiej pomocy miejscowych i poniżającej boleśnie jałmużnie przetrwali te pierwsze, najcięższe chwile i stopniowo, powoli zaczęli organizować smutne i tragiczne życie wygnańców, ofiar wandalizmu hitlerowskiego.

Przeżywszy okres okupacji wysiedleńcy ci powrócili napowrót po wyzwoleniu ich ziem w roku 1945 do owych rodzinnych stron, a opuszczona przez nich ziemia poniemiecka została zgodnie z założeniami Lipcowego Manifestu z 1944 r. rozdana z reformy rolnej inwalidom wojennym, repatriantom, chłopom bezrolnym lub małorolnym i służbie folwarcznej z naszych i innych okolic.

Oprócz polskiego i niemieckiego elementu ludnościowego zamieszkiwali w dużym procencie w Sadownem, a rzadziej we wsiach okolicznych, również i Żydzi. Napłynęli oni w te strony z różnych stron kraju i miast w okresie XVI i XVII wieku, jak również liczniej w pierwszych dziesiątkach lat XIX wieku, zajmując się przeważnie handlem i rzemiosłem.

Nie zdarzyło się słyszeć ani widzieć, aby który z nich zajmował się pracą na roli, natomiast chętnie i ochoczo oddawali się rzemiosłu i w przeważającej części prowadzili detaliczny handel sklepowy i wędrowny.

Element żydowski szybko się rozwijał i jego stan liczebny w samym tylko Sadownem dochodził w ostatnich latach przed tragiczną dla nich wojną do prawie 40% ogółu ludności.

Katakлизmem dla Żydów sadowieńskich stał się rok 1939. Wielu z nich hitlerowcy wymordowali we wrześniu, część rozproszyła się po wschodnich terenach kraju lub przedostała się poza linię demarkacyjną stworzoną w 1939 r. do Związku Radzieckiego, zaś pozostała część tej ludności kryła się przez około półtora roku w własnoręcznie zrobionych bunkrach podziemnych w pobliskim Jeglu, aby w grudniu roku 1942 paść ofiarą pogromu hitlerowskiego, z którego nikt żywy nie uszedł.

Jak więc widzimy, ludność ziemi sadowieńskiej w okresie wcześniejszym i w okresie międzywojennego dwudziestolecia składała się w Iwiej części z Polaków, potem Niemców – kolonistów i Żydów oraz urzędników austriackich i rosyjskich podczas zaboru.

Głównym zajęciem tak ludności polskiej, jak i niemieckiej, było rolnictwo, zaś ludności żydowskiej handel i rzemiosło. Handel do roku 1939 znajdował się w przeważającej części w rękach żydowskich. Wystarczy nadmienić, że na istniejących przed wojną 41 sklepów, łącznie z piekarniami i masarniami, było 12 sklepów polskich, resztę stanowiły sklepy żydowskie.

Posiadaczy większych gospodarstw, powyżej 20 ha, nie było. Sporo było gospodarstw karłowatych od 0,50 do 2 ha, najwięcej zaś średniorolnych od 3 do 7 ha. Były to na ogół gospodarstwa biedniackie, często niesamowystarczalne, w których nierzadkim gościem był niedostatek, a nawet w latach wylewów Bugu, posuchy i nieurodzajów – przykra bieda.

Jako obraz minionej niedoli nadbużańskich chłopów z lat dawnych, około roku 1650 po najeździe szwedzkim, niech posłuży wyjęty z kroniki miejscowego kościoła wiersz pisany przez ówczesnego plebana, malujący biedę swoich parafian, który przytaczam w całości :

„Zimą tęsknisz do lata, latem skwar ci dopieka,
Wiosną woda buźna oknem ci wchodzi,
Zawsze wzdychać do czegoś to doła człowieka,
Nocą z łoża uciekaj, bo cię woda budzi.
Do połowy maja woda z pół nie schodzi,
Rola miasto żyta, grochu – chwasty, trawy rodzi.
Dziesięciny nie wybieram od parafian
Woda ich powtórnie zalała na święty Jan.
Lud sam głodny nie ma krescencji,
Przepadła dla nas nadzieja egzystencji.
Razem biadamy w smutku i niedoli,
Pociechą tylko poddanie się Bożej woli.

Ma Raźniak nadzieję, że rybę w wodzie schwyci
Dalejże na czółno: stawia węciorę i sieci.
Chytra ryba węciorę i sieci mija
Próżno je podnosi wyciągając szyję.
Dla zysku pewniejszego pędzi na topiele
Czółno się przewraca – gotowe ma kapiele.
Ledwie życie ocali, wraca do siedziby
Idzie głodny z torbą na sęgarskie grzyby.
I tu miasto grzyba masz muchary, kanie.
O biedny Raźniaku, próżno twe szukanie!
Wybiera się znowu na szczawik pod lasem
Aż tu wół, owca, zając już je zżął tymczasem,
Oszukany Raźniak wraca do siedziby
Bez szczawiku, grzyba i ryby.
Żona mu zgotowała domowego kwasu
Aby głód zaspokoił do pewnego czasu.
Myśli o jutrze, sen powieki nuży,
Zasypia, wnet się budzi i dąży do Bruzu
Tam nabyć żyta, grochu lub trochę pszenicy
Bo w spichrzu i dla nas mają kanonicy.
Idzie z powrotem, ma wszystkiego potrochu
Cieszy się żona, dzieci wiedząc, że najwięcej grochu.
Woda, wilgoć, zimno – to przysmak nad Bugiem,
Nikt się tu nie chełpi żywotem długim.
Reumatyzmy, artretyzmy – to choroby główne
Wtrącają przed czasem Raźniaków w groby.

A gdy cholery, ospy, odry, tyfusy grasowały

Całe domy nieraz pustką zostawały.”

A oto drugi, tegoż autora rzucający światło na nieświadomość naszych przodków – rolników szukających w biedzie zapomnienia o swej smutnej i ciężkiej nieraz doli w kieliszku okowity:

„Był w Rażnach arendarz na imię miał Całka.

Dowodził, że w chorobie lekarstwo to silna gorzałka

Rażniacy słuchali, pili co niemiara,

Ginęli jak muchy z trucizny muchara.

Lecz i całki nieszczęście dotarło

W jednym dniu żona Ryfka, syn Mojsie – dwóch Żydów zmarło.

Przestał radzić, uciekł z bólem

W Broku się osadził.

Doświadczył on na sobie, jak ludziom źle radził.”

O chwilach i latach nie najlepszego nieraz życia naszych przodków wspomina często kronika parafialna i przedstawia te fakty w sposób realny, prawdziwy, zgodny z autentyzmem smutnej ich doli.

Między innymi znajdujemy tam wspominek o tym, jak to „W Rażnach – Suć mieszkał gospodarz Jan Koroś z małżonką Agnieszką z Krychów, trzeźwy i pracowity, a pomimo tego doznający często rozmaitych niedostatków. W roku 1852, po ścisłym poście, który zachowywał nawet do późnej starości (zmarł 8.XI.1912r., mając lat 92), chciał sobie święta Wielkanocne według zwyczaju przygotować, a tu ani grosza w kieszeni, ani wyruszyć z domu, gdyż woda naokoło siedzibę otoczyła. Przypomniał sobie ojcowską fuzyjkę, którą oczyściwszy wziął z sobą do czółna i na bużne wody wyruszył, by choć rybkę na święta zdobyć. W bliskości spostrzegł stado gęsi – strzela, zabija dwie. Wraca do domu uszczęśliwiony, aż tu widzi płynącą beczułkę, a że ciężka była – sprowadza na mieliznę i wciąga do czółna. Przywiózłszy do domu, wierci w niej dziurkę i przekonuje się, że to świetna wódka. Wyprawia więc nasz Koroś sute święta i sąsiadów swych obdarzył wódką”.

Tak oto klepiący biedę mieszkaniec Rażen okrasił swe smutne życie znalezioną w powodziowych wodach Bugu gorzałką, która jak z tego widać stanowiła w wielu przypadkach atrybut pocieszenia w momentach niedoli i strapienia.

Lubowanie się w nadmiernym nieraz piciu wódki należy do przykrych i niestawnych wspomnień przytaczanych wyżej kroniki kościoła parafialnego w Sadownem.

Istniejące w wielu większych wsiach karczmy będące własnością hrabiego wynajmowane były w arendę Żydom – karczmarzom, którzy zabiegając o jak największe dochody nie dbali zupełnie o zdrowie swych klientów, lecz na odwrót – zachęcali do jej spożywania, aby przez wysokie obroty ciężko zapracowanym chłopskim groszem pomnażać rosące ciągle zyski.

Karczmy wówczas spełniały jak wiadomo rolę jedynych dla chłopstwa miejsc rozrywek. Tam skupiało się z reguły całe życie towarzyskie. W niedziele i święta „karczmy były przepełnione ludem. Żydzi szynkarze dla zwabienia gości najmowali grajków i muzyka grzmiąca do późnej nocy, a lud pił i marniał na ciele i duszy”. Pijaństwo, jak wspomina dalej kronika, „było rozpowszechnione”. Podczas wizytacji kanonicznej 28.X.1810r. biskupa lubelskiego ks. Wojciecha Skarszewskiego „w nauce do parafian zgromił on pijaństwo, bowiem w aktach znalazł, że Rozalia Czarnacka z Rażen i Wawrzyniec Zbrzeźny z Sadownego z pijaństwa pomarli w karczmie”.

Najprawdopodobniej wódka stanowiła wtedy już nie tylko okazję do rozrywek, lecz na pewno była przedmiotem zapomnienia naszych przodków w nie wesolej ich doli i pod wpływem jej zamroczenia szukali w niej pociechy na biedę i niedostatek.

Ówczesne karczmy stanowiły jednocześnie nie tylko miejsca uciech i zabaw dla ludzi. Były to wtedy jedyne miejsca, w których odbywały się wszelkie ważniejsze uroczystości domowe i rodzinne. Tu organizowano wesela, chrzciny, stypy pogrzebowe, a nawet dożynki, zrękowiny i zabawy odzieży okolicznej, która wzorem starszych nie tylko ochoczo tańczyła w takt skrzypiec i basetli, lecz jawnie lub cichaczem poza ścianami karczmy próbowała smaku śmierdzącej i gorzkiej okowitki.

Budynki karczemne były zazwyczaj obszerne, budowane z drewna, kryte gontem. Posiadały wewnątrz oprócz izb mieszkalnych dla karczmarza również pomieszczenia gościnne dla przejezdnych oraz stajnie i szopy na wozy i sprzęt podróży. Głównym ich pomieszczeniem była obszerna, a nawet ogromna izba karczemna, w której pod jedną ze ścian stały półki z butelkami i szynkwas, zza którego Żyd – karczmarz sprzedawał produkty swego zyskowego i nader intratnego interesu. Pod ścianami dokoła tej ogromnej izby stały długie sosnowe stoły z ławami do siedzenia dla konsumentów. Środek izby był wolny, przeznaczony zazwyczaj do tańców. Okna tych budynków były małe, oszklone drobnymi przeważnie sześciu szybkami. Drzwi szerokie, niskie z wysokim progiem.

Do dnia 9 września 1939 r. na niewielkim pagórku, dziś już doszczętnie zniesionym, na zakręcie ulicy Kościuszki w pobliżu kościoła wznosił się olbrzymi, w formie wydłużonego prostokąta, stary, pamiętający dawne czasy budynek karczemny (ostatnia własność Józefy Chełchowskiej). Podczas niszczenia Sadownego przez wkraczające wojska hitlerowskie został

wraz z innymi do niego przyległymi spalony doszczętnie. Szkoda wielka, bo byłby on dzisiaj zabytkiem świadczącym o czasach dawnych, bezpowrotnie minionych.

Do smutnych i tragicznych dziejów przeszłości naszej ziemi i ludu na niej mieszkającego zaliczyć trzeba lata nieszczęśliwe, obfitujące w pożogi, choroby zaraźliwe, mokre lata, nieurodzaje i zniszczenia spowodowane napadami wojennymi złych sąsiadów. Takimi były lata: 1650, 1651, 1652, 1653, 1654, 1655, potem 1704, 1710, 1812 i 13, 1831, 1833, 1847, 1848, 1852, 1855 i 1888.

Były to lata klęsk przeróżnych, z których najgroźniejsze wymienia kronika parafialna: „straszne choroby, epidemie morowego powietrza”, wylewy buźne, które często sprowadzały nieurodzaje, głód tak, że ludzie zielsk różnych używali na pokarm, niekiedy nadużycie alkoholu, brak opieki lekarskiej przy trudnej komunikacji – a okazał się ogrom niedoli ludzkiej”.

Okolo roku 1860 ludność tych terenów zaczyna stopniowo powiększać się i liczebność jej stale wzrasta.

Od tej pory ze względu na coraz bardziej przeludniające się rodziny datuje się wędrówka ludności miejscowej w różne strony kraju i świata. Jest to okres coraz większego przeludnienia i ubożenia wsi, których mieszkańcy w obawie przed nędzą na niewielkich skrawkach ziemi emigrują do miast, a szczególnie Warszawy, by tam zdrowie swoje, siły i pracę sprzedawać bogacącym się ich pracą fabrykantom i przemysłowcom nieprzerwanie rozwijającym swoje intratne majątki. Stanowili ci robotnicy ówczesnie powstającą i tworzącą się w ośrodkach przemysłowych warstwę społeczną zwaną proletariatem.

Wielu takich także rodaków naszej ziemi emigruje w poszukiwaniu chleba do dalekich, zamorskich Stanów Zjednoczonych Ameryki Płn. Potomkowie ich żyją tam do dnia dzisiejszego i nieraz odwiedzają swych krewniaków.

Po roku 1880 wiele rodzin osiedliło się na Wołyniu i tam wśród obcego elementu wiedli twardy żywot osadniczy.

Ci właśnie emigranci otrzymując nieraz spłatę przypadającą im z ojcowizny wędrowali przez nasze tereny, pozostali zaś dziedziczyli liche, kilku lub kilkunastomorgowe gospodarstwa i wzorem swoich ojców pracowali na nich dla utrzymywania skromnego żywota.

Sposób gospodarowania w ogólności był tradycyjny, trzymający się niewolniczo starych form opartych na wzorach swych przodków. Przy tego rodzaju formach trudno było spodziewać się poważniejszych wydajności ziemi, której jakość i struktura z wyjątkiem Kołodziaża i miejscami w Morzyczynie, Rażnach i Płatkownicy, określa się jako gleby liche, często podmokłe lub piaszczyste. Zasilanie gleby dla zwiększenia jej wydajności odbywało się

przeważnie obornikiem – bogaciej jeśli w zagrodzie było więcej inwentarza żywego, a za tym i więcej obornika i skromniej lub zupełnie ubogo jeśli tego obornika nie było pod dostatkiem.

Z biegiem czasu i rozwoju przemysłu zaczęto stosować na naszych terenach dopiero w czwartym dziesiątku obecnego stulecia nawozy sztuczne, które jak każda nowość przyjmowały się ostrożnie z dużą nieufnością do ich faktycznej wartości.

Podstawowymi płodami uprawianymi przez naszych rolników powszechnie były kiedyś i są obecnie ziemniaki i żyto. Siew pszenicy udawał się nieraz tylko na glebach zwięźlejszych.

Maszyn rolniczych nie znano zupełnie. Siew odbywał się ręcznie „z płachty”. Przy uprawie roli posługiwano się pługiem, częściej sochą, radłem, gracą i broną przez wiele dziesiątków lat drewnianą, a dopiero później żelazną.

Maszyny żniwne i łąkarskie nie znane tu były zupełnie. Jeszcze w latach dziesiątych i dwudziestych posługiwano się sierpem, potem sprzęt zbóż i siana odbywał się przy pomocy kos.

Omłoty zbiorów jeszcze w latach dwudziestych i trzydziestych obecnego stulecia odbywały się przy pomocy cepów, które głucho dudniły na klepiskach stodołnych od wczesnej jesieni przez całą zimę, nieraz do wczesnej wiosny. Do wielkiej rzadkości należały młockarnie poruszane końmi za pomocą kieratu. Ilość tych maszyn w latach tuż przedwojennych można było dosłownie policzyć na palcach. Tylko nieliczni, zamożni gospodarze byli posiadaczami takiego sprzętu i również nieliczni mogli sobie pozwolić na omłót taką maszyną, za wynajęcie i użycie której trzeba było drogo płacić.

Sprzęt okopowych wykonywany był całkowicie ręcznie. Kopaczki do ziemniaków nie znane tu były zupełnie.

Mówiąc o czasach międzywojennego dwudziestolecia trzeba obiektywnie stwierdzić, że na skutek tradycyjnych form gospodarowania rolnicy nasi nie potrafili powiększać wydajności z hektara. Wydajność ta była w ogólności niska i nie przekraczała 12 – 14 metrów zboża z ha. Również bardzo słabo była rozwinięta hodowla inwentarza żywego.

Ówczesne państwo nie interesowało się skupem płodów rolnych tak, jak to się dzieje obecnie. Zbyt wyprodukowanych zbóż i zwierząt gospodarskich odbywał się na jarmarkach.

W Sadownem w każdy wtorek tygodnia ciągnęły zewsząd wozy od wczesnych godzin rannych. Prowadzono bydło, konie, wieziono, świnie, owce, drób i na specjalnie na ten cel przeznaczonych placach odbywały się do późnych godzin popołudniowych targi i handel wiejskimi towarami. Wzdłuż ulicy wędrowni handlarze, najczęściej Żydzi, rozkładali swe kramy, sprzedając w nich przeróżne artykuły dla potrzeb ludności wiejskiej. Ożywiały się wtedy handel w sklepach, przepiętne były karczmy, a rzeźnicy i piekarze upłyniali zręcznie i szybko wyprodukowane przez siebie pieczywo i wędliny.

Ceny na tych jarmarkach nie były stałe. Huśtawka ich dyktowana była spekulatywnym interesem prywatnych nabywców, którzy ustalali ceny jarmarczne sami według własnych korzyści bez jakiegokolwiek oparcia o ceny ustalone przez państwo. Istniała w tym zakresie całkowita swoboda i dowolność oczywiście zawsze z krzywdą dla chłopa.

Jarmarki były okazją i terenem bezgranicznego wyzysku chłopa, który z konieczności musiał ulegać elementom spekulatywnym, ponieważ innego wyjścia nie było. Kupujący nawet poza jarmarkiem, w domu, handlarze bydła, koni i trzody chlewnej dyktowali ceny, które były z góry ustalone i uzgodnione z bezwzględną stanowczością z innymi handlarzami. W takiej sytuacji rolnik, czy chciał czy nie chciał, sprzedawać musiał swój towar po cenach przeważnie dla siebie niekorzystnych. Róż z tego niedostatek i bieda stawała się częstym gościem w chatach chłopskich.

W szczególności niedostatek wsi wzrósł w okresie lat trzydziestych, kiedy to nastąpił okres stale pogłębiającego się kryzysu gospodarczego.

Stosunek cen za artykuły przemysłowe, które chłop musiał kupić, był niewspółmiernie wysoki do spadających ciągle cen za płody rolne i zwierzęta wyhodowane przez rolnika. Obniżało to w sposób zastraszający stan zamożności naszych rolników.

Aby nie być gołosłownym przytoczmy za „Gazetę Świąteczną” ceny za produkty rolne i mięso z ostatnich dwóch lat przed wybuchem wojny: żyto płacono od 12 – 13 zł, pszenicę 20 zł za kwintal, owies 15 – 16, jęczmień 16 – 17, ziemniaki w kwietniu 1939 r. 4 – 4 ½ zł, w sierpniu ziemniaki młode 7 – 8 ½ zł za 100 kg, mięso wołowe od 66 do 80 gr, cielęcina 75 gr, baranina 65 do 80 gr za kg, świnie słoninowe 1 zł 24 gr, świnie mięsne 1 zł 10 gr, świnie chudsze 1 zł 02 gr za kg, litr mleka od 20 do 25 gr, masło wyborowe śmietankowe 3 zł 40 gr, wiejskie osetkowe 2 zł 50 gr za kg. Jaja w zależności od pory roku – wiosną 5 gr, zimą 8 – 10 gr za sztukę.

Tymczasem tona węgla, którym w naszej okolicy nikt nie palił, kosztowała 40 zł, kg cukru 1 zł, litr nafty 0,40 zł, zapałki 8 gr za pudełeczko, materiał ubraniowy z wełny 60% od 12 do 15 zł, z wełny 100% od 20 do 50 zł za 1 metr. Radioodbiornik głośnikowy najtańszy 3-lampowy m-ki „Echo” wytwórni państwowej – 130 zł, 4-lampowy baterijny m-ki „Telefunken” 240 zł, co się równało cenie wysokomlecznej, rasowej, hodowlanej krowy.

Rower i lampowy radioodbiornik były wówczas na wsi unikatami. Motocykle i samochody nie brano w ogóle w rachubę.

Dziś te sprawy przybrały całkowicie inny obrót. Rower nie stanowi obecnie żadnej atrakcji w tym zakresie, wieś jest nimi nasycona pod dostatkiem i nie ma chyba wsi, w której ten popularny dziś środek lokomocji nie liczyłby się na dziesiątki.

Miejsce roweru wypiera coraz bardziej motocykl i samochód, których coraz więcej widać na naszych ulepszonych drogach.

I przed dawnymi laty, jak również i obecnie, podstawowym środkiem gospodarskiego transportu jest wóz konny, z tą tylko różnicą, że popularnie kiedyś stosowanym wozem był tzw. żelaźniak, a obecnie wozy tego rodzaju w naszej okolicy należą już do wielkiej rzadkości i pojawienie się na drodze takiego pojazdu budzi szczerze politowanie i współczucie tak dla konia, jak i jego właściciela. Nieomylnie należy stwierdzić, że tego rodzaju pojazdy przejdą wkrótce do historii, a unikalne ich egzemplarze znajdują się z pewnością w ośrodkach muzealnych. Wóz żelaźniak wyrugowany został dziś całkowicie i zastąpiony przez wygodne, trwałe i lekkie w użyciu wozy ogumione. Stanowią one i dla konia i dla gospodarza niezaprzeczalną wygodę pod każdym względem.

Maszyną pociągową do uruchomienia młockarni i nieraz siewkarni był sprzężony siłą nieraz aż 4-ech koni kierat zwany w innych stronach kraju maneżem. Na posiadanie takowego z uwagi na bardzo wysoką jego cenę nie każdy mógł sobie pozwolić. Była to jedyna wówczas maszyna w gospodarstwach wiejskich mogąca zastąpić siłę mięśni ludzkich, wprawiająca w ruch inne maszyny.

Dziś po zelektryfikowaniu naszego terenu (rok 1958) kierat stał się już przeżytkiem i zastąpiony został silnikiem elektrycznym lub spalinowym.

Powiedzenie: „niech się maszyna poci a nie człowiek” nabiera w dobie dzisiejszej szczególnego znaczenia i wyrazu.

Rolnicy z coraz większym zrozumieniem i przekonaniem podchodzą do tych spraw, uświadamiając sobie, że zastosowanie maszyn wyręczających pracę mięśni ludzkich oszczędza siły człowieka, jego cenne zdrowie i przedłuża życie.

Zmienił się również i sposób życia mieszkańców naszego terenu.

Znikają powoli stare, kryte słomą, niskie chaty. Wygodnie i estetycznie urządzone są wnętrza domów nowych, budowanych z cegły lub pustaków i daleko odbiegają od stanu jaki tu istniał dawniej i w okresie przedwojennym.

Wystarczy tylko przejrzeć faktury zaopatrzeniowe miejscowej Spółdzielni aby się przekonać jak wielkie zapotrzebowanie istnieje na nowoczesne, wygodne i estetyczne meble, które wędrują z magazynów spółdzielczych do mieszkań wiejskich, aby w nich spełniać rolę wygodniejszego niż kiedyś życia.

Mieszkańcy naszych wsi, przyznać trzeba, lepiej się ubierają, rozsądniej odżywiają, dbają bardziej o zdrowie, stąd też rokrocznie spada śmiertelność szczególnie wśród dzieci i niemowląt. Podnosi się stan zdrowotny, wzrasta kultura osobista dnia codziennego, podnosi się stan zamożności.

Już dziś nie spotkamy zgrzebnych koszul, a do rzadkości należą krosna, przy których tylko gdzieś tam kobiety starej daty próbują tkąć już nie materiały użytku osobistego, lecz

z resztek szmat ciętych na wąskie paseczki – pasiaste chodniki do pokrywania podłóg w domach.

Len wyhodowany na zagonie nie obrabiany już jest przez kobiety, lecz jako produkt wytwórczy kontraktowany i przekazywany jest do punktów skupu w Gminnej Spółdzielni.

W sklepach tekstylnych jest dziś pod dostatkiem materiałów lnianych, bawełnianych, jak również z wełny czy też elany.

Przeróbka lnu i wełny nie opłaca się dziś gospodyniom wiejskim. Gotowe wytwory z tych surowców w pełni zadowolają konsumentów, a ich bogaty wybór zaspokaja najwybredniejsze gusty. Podobnie wygląda sprawa z obuwaniem i wszelkimi towarami i materiałami codziennego użytku.

Znikomy procent ludności naszego terenu stanowią rzemieślnicy i pracownicy umysłowi. Tak było dawniej i tak jest w czasach dzisiejszych.

W czasach dawniejszych należeli do nich rządcy lub dzierżawcy folwarków, z których wymienia się rodziny: Paradowskich, Drozdowskich, Glinieckich, Grążewskich, Lipskich i Warszawskich.

„Wójtów początkowo zarząd kapitulnych dóbr raźnieńskich posiadał dwóch: w Rażnach i Kołodziązu zaś sołtysa posiadała każda wieś. Wszyscy za swe urzędowanie wynagradzani byli ziemią dodatkową. W Rażnach przez długi czas wójtowski urząd pozostawał w rodzinie Jesurów. Jeden z nich Wojciech Jesura w 1644 r. wydawał córkę za mąż za Mikołaja Chomętowskiego i sprawił jej sute wesele, trwające kilka dni, na którym podejmowany był cały zarząd dóbr kapituły.”

Rzuca to pewne światło na stosunki panujące wówczas i dowodzi o wysokiej zamożności urzędników kapitulnych, których dostatnie życie odbiegało daleko od życia prostaczków spełniających w tych folwarkach rolę chłopów pańszczyźnianych.

Po utworzeniu gminy w Sadownem jako trzeciej na naszym terenie i tu byli wójtowie, z których bardzo niechlubnie zapisał się Szczurowski, wierny sługa w wykonywaniu poleceń Zamojskiego i zaborczych władz rosyjskich. Był to podobno człowiek porywczy, gwałtowny, nie przebierający w środkach i wyrażający szczególną niechęć w stosunku do chłopów. Znany był ze swej do nich surowości i jako przedstawiciel władzy terenowej stosujący za łada przewinienie chłopskie, najczęściej niesłuszne, karę chłosty, w czasie której delikwent musiał każde razy sam odmierzać, jeśli się pomylił na polecenie Szczurowskiego porcję przez niego wyznaczoną zaczynano od początku, lub wielogodzinne stanie w „gąsiorze” albo dybach, które to w dawnym budynku gminnym (rozebrany w roku 1966) wynalazł w zakamarkach na strychu nauczyciel miejscowej szkoły Edward Sówka.

Według relacji i opowiadań zmarłego jeszcze przed wojną Jana Marcjanika z Sadownego, człowieka starego, pamiętającego tamte czasy – Szczurowski miał być jako wójt

człowiekiem okrutnym, przed którym wszyscy jego podwładni drżeli i „unikali go jak ognia”. Tenże Marcjanik właśnie wspominał o częstym stosowaniu powyższych kar, a w szczególności kar chłosty, trzymania w dybach lub przetrzymywania w areszcie o chlebie i wodzie, którego za niespełnienie narzuconego mu ponad miarę szarwarku sam doświadczył.

Z innych urzędników zapisy kronikalne wymieniają pełnomocnika do spraw kolonizacji tych ziem Sójkę, który łącznie ze Szczurowskim wymierzali kolonie i zachęcali mieszkańców do ich obejmowania. Były to lata wspomnianej wyżej kolonizacji tych ziem przez Zamojskiego. Oczywiście spośród miejscowej ludności nie było chętnych i wymierzone kolonie nie miały nabywców, Zamojski sprowadził Niemców. „Sójka za pamiątkę swego w tej udziału nazwał jeden oddział kolonii Sójkówkiem i tak się odtąd nazywa.

Byli tu również na naszym terenie urzędnicy pochodzenia obcego: Austriacy, Prusacy i Rosjanie.

Jak wspomina w innym miejscu kronika kościelna: „Po rozbiore ostatnim kraju Sadowne w 1795 roku dostało się pod zarząd austriacki. Cała część kraju między Bugiem i Wisłą nazwane Galicją Zachodnią, otrzymała nowy rząd i prawa.

Straż graniczna licznie rozmieszczona nad Bugiem w Broku, Morzyczynie, Kołodziążu, Wilczogębach i Rażnach silnie strzegła i nikogo bez pozwolenia nie puszcząca.

Dobrze wyposażony Rząd Austriacki zajął i swoimi urzędnikami obsadził: Niemcami, Czechami i Polakami. Pobudował domki z kamieni i cegły na glinę. W nich mieszkali znaczniejsi urzędnicy i pomieścił Komorę Celną.

Kilku oficjalistów luteranów przyjęła wiarę katolicką Zimmermann, Piwor, Kreczmer i Fuchs, których potomkowie dotąd żyją.

Jak Austriacy tak i Prusacy zza Bugu silnie strzegli granicy, nikogo nie przepuszczali, a w razie sporu używali broni, zabijali śmiałków nieposłusznych. W tych warunkach i okolicznościach wsie Morzyczyn i Płatkownica oderwane zostały na zawsze od parafii Brokowskiej i weszły w skład parafii Sadowne.

Austriacy w dobrach raźnieńskich powinności gruntowe wszystkim gospodarzom zamienili na opłatę czyli „czynsz”. Od tej pory w aktach kościelnych zapisywani są koloniści lub czynszownicy.

Żołnierze i urzędnicy nowego rządu lubili się wesoło bawić, ludność prędko się do nich przyzwyczaiła. Przyznać należy, że złego obchodzenia, ani krzywdy nie wyrządzali mieszkańcom. Podatki wybierali z całą ścisłością. Wyższymi urzędnikami administracyjnymi byli: Standrynger, Pittmann i Fuchs. Główny strażnik graniczny mieszkał w Rażnach, a w Morzyczynie i Wilczogębach przebywał Józef Galewicz.

Idąc za śladami zapisów tejże kroniki dowiadujemy się, że „w roku 1802 i następnym latach wynikły w całej okolicy groźne choroby: tyfus i krwawa biegunka, na którą pomarło wielu Austriaków, nie tylko urzędników, lecz i żołnierzy, nie mówiąc o miejscowych. Dziś znajdują na pagórkach przy kopaniu dołów wiele kości ludzkich w tych wsiach, gdzie stało wojsko austriackie. Gdzie umierali, tam ich grzebano. Przeważnie ogólnie wszystkich ogarnęło. Rząd przysłał doktora medycyny Tomasza Sykozę, kilku cyrulików i doktora dentystę Ferdynanda Waltsteina na ratunek chorym. Skutek był mały. Choroby nie ustawały, ale ciągnęły się lat kilka.”

Oprócz tych urzędników, oficjalistów, wójtów i sołtysów „W aktach kościelnych chlubnie zapisane są nazwiska nauczycieli szkoły miejscowej, którą Kapituła pobudowała przy kościele dla nauki dzieci włościańskich ze swoich dóbr i opłacała nauczyciela.

Wspomina się, jak wielkim szacunkiem i poważaniem za swą pracę uczciwą byli otaczani przez ogół Adam Płoński, Tomasz Brokowski i Tomasz Obrycki.”

Byli to najprawdopodobniej pierwsi na naszym terenie siewcy oświaty, którzy, choć zależni od swoich chlebobawców i skrupowani ograniczonymi przepisami, poświęcali swe zdrowie i siły dla oświecania dzieci chłopskich i likwidowania w stopniu znikomym ciemnoty wśród ludu wtedy panującej.

Oprócz wyżej wymienionych trudniących się pracą na roli, urzędników i nauczycieli przebywali na naszym terenie handlarze i rzemieślnicy przeważnie pochodzenia żydowskiego, jak również młynarze i hutnicy.

Młynów w owych czasach w Sadownem było dwa: wodny i wiatrak. Wodny skasowano w roku 1812, a wiatrak, stojący na obecnej posesji Janiny Swieżyńskiej i Haliny Sówkowej, sprzedany został na rozbiórkę przez jego właściciela Szafrankowskiego i wywieziony w niewiadomym kierunku.

Młyn wodny położony był obok dawnego, już nieistniejącego budynku gminnego, gdzie dziś Ośrodek Zdrowia. Ślady po nim istniały jeszcze w postaci pali wbitych głęboko w dno rzeczki Bojewka i skasowane pozostały podczas regulacji tej arterii wodnej w roku 1963. Podczas niwelacji gruntów przy wznoszeniu nowego budynku dla Ośrodka Zdrowa jeden z robotników przy tym pracujący opowiedział piszącemu te słowa, że na głębokości około ½ metra natrafiono na drewniane, bardzo smole bale i deski, które bezspornie należały do pozostałości po owym młynie.

Wokół tego młyna rozciągał się staw olbrzymi, po którym widnieją ślady w postaci wyraźnego zagłębienia i dość wysokich burt znajdujących się dziś na gruncie rolnika Zygmunta Sędka.

Trzecim młynarzem w Sadownem był niejaki Lewandowski, przybysz z niewiadomych stron, który pobudował na placu, gdzie dziś internat Liceum Ogólnokształcącego, młyn z

napędem silnika spalinowego w roku 1923 i po wysokim podobno jego ubezpieczeniu w jednym z towarzystw ubezpieczeniowych zagranicznych, sam go, według potem długo krążących wersji, podpalił i otrzymał bardzo wysokie za niego odszkodowanie. Stało się to dnia 1 kwietnia 1925 roku. Z młyna tego mieszkańcy Sadownego mieli otrzymać światło elektryczne, co wówczas stanowiło ogromną osobliwość i atrakcję. Założona już była w wielu domach instalacja przewodowa, zaś na piaszczystej jeszcze wtedy ulicy Kościuszki stały słupy oświetleniowe, które przez pewien okres czasu rozjaśniały mroki Sadownego.

Czwartym z kolei młynarzem był Leon Czarkowski, którego młyn z napędem silnika spalinowego przetrwał do czasów obecnych. Dziś stoi on, jakby w zapomnieniu, niszcząc w nim maszyny i budynek, a szkoda, bo mógłby on po niewielkim remoncie służyć miejscowym rolnikom, jak czynił to przedtem przez długie lata.

W gruntach ziemi Sadownego, a szczególnie w południowej jego części, w okolicach Jegła, występuje ruda darniowa. Obecność tego surowca na naszym terenie skłoniła właściciela tych ziem Zamojskiego do likwidacji młyna wodnego i pobudowania obok niego hutniczych pieców do wytapiania tej rudy. Zatrudniono przy tym odpowiednich fachowców i od roku 1811 rozpoczęto wytopy.

Piec te nie trwały długo i ze względu na niską procentowość żelaza w tej rudzie, z braku opłacalności zlikwidowano je w roku 1817, a miejsce, w którym stały, do dziś nazwane jest Kuźnicą.

Dzisiejsza ludność terenów sadowieńskich to tak, jak i dawniej w przeważającym procencie ludność rolnicza, uszczuplająca się obecnie z względu na gwałtowny rozwój przemysłu i w związku z tym odpływ pokaźnego procentu ludności do miasta. Nieliczni tylko pozostają na ojcowskim zagonie, duża natomiast ilość młodych, kształcąc się w szkołach różnego typu, po ich ukończeniu opuszcza wieś i znajduje zatrudnienie w ośrodkach przemysłowych, urzędach, szkołach i innych instytucjach na terenie niemal całego kraju.

Ten wielki pęd do emigracji ze wsi skłania chwilami do poważnych rozmyśleń i obaw o brak w niedługim już czasie rak do pracy na roli.

Bujny rozkwit życia społecznego, kulturalno – oświatowego, handlowego i gospodarczego w ostatnich latach władzenie Polski Ludowej według nowego, socjalistycznego modelu polityczno – gospodarczego rozszerzył i rozbudował możliwości zatrudnienia ludzi na naszym, zacofanym dotąd pod wieloma względami terenie.

Tylko Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska” w Sadownem zatrudnia łącznie ponad 50 osób, które wykonują czynności jako pracownicy umysłowi jej biura, magazynierzy, zaopatrzeniowcy, sklepowi, masarze i wielu innych.

Ośrodek Zdrowia, Kasa Spółdzielcza, posterunek MO, Leśnictwo, Przedszkole, prywatne sklepy i piekarnie to również ośrodki zatrudniające kilkadziesiąt osób w różnych dziedzinach pracy.

Obie szkoły: Szkoła Podstawowa i Liceum Ogólnokształcące łącznie z internatem zatrudniają 29 nauczycieli i około 20 osób personelu administracyjno – gospodarczego. Wzrasta stopień organizacyjny tych czołowych w naszym terenie placówek oświatowych i pozwala przypuszczać o jeszcze większym w nich osób zatrudnieniu.

W rejonie szkolnym szkół naszego terenu poza Sadownem zatrudnionych jest łącznie z personelem administracyjnym około 60 osób.

Pokaźne to wszystko cyfry dające obraz zatrudnienia ludności regionu sadowieńskiego w ostatnich, rozwijających się coraz bardziej, z rokiem każdym, terenów nam bliskich i serdecznie miłowanych.

Od najdawniejszych czasów ludność tu zamieszkująca posiadała swoje zwyczaje i obyczaje. Dziś niestety są one rugowane przez napływ nowego, współczesnego życia, dyktującego nowe prawa i zwyczaje, które daleko odbiegają od form życia dawnego, jego zwyczajów, obrzędów i obyczajów.

Inny całkowicie charakter mają dzisiejsze wesela urządzone nieraz suto i dostatnie, lecz ubogie zupełnie w pieśni i obrzędy stosowane kiedyś powszechnie.

Nie odbyło się dawniej weselisko trwające nieraz po kilka dni bez oczepin czy „małego tańca”. Rozliczne okolicznościowe pieśni i przyśpiewki urozmaicały swym bogactwem treści i melodii atmosferę tych wesel. W Sadownem znaną była i ciągle chętnie na każde wesele i inne uroczystości zapraszaną niejaką Kamińska, żona powstańca 1863 roku, która swym przebogatym repertuarem na każdą okoliczność i dla każdego potrafiła rozweselać uczestników nieraz po kilkanaście godzin z małymi przerwami. Była ona jednocześnie organizatorką wszelkich obrzędów i zwyczajów w tych okazjach, jak również spełniała przez wiele długich lat funkcję tzw. „babki” odbierającej porody, przez co wśród miejscowych kobiet darzona była dużym szacunkiem i zaufaniem.

To właśnie Kamińska była również organizatorką smutnych obrzędów pogrzebowych w każdym niemal domu. Pod jej kierunkiem zbierało się szerokie grono starszych kobiet, które dla podniesienia i dodania chyba tylko żałości rodzinie zmarłego w wieczór poprzedzający wyprowadzenie zwłok z domu żałoby, śpiewały głosem żałosnym i przenikającym przeróżne pieśni żałobne nieraz do późnej nocy.

Tego rodzaju kobiety, rzadziej mężczyźni, stanowili nieodzowny czynnik w organizowaniu przyjętych tu powszechnie, prawdopodobnie przeniesionych z ziemi kurpiowskiej ze względu na swój autentyzm, pieśni, przyśpiewek, zwyczajów i obyczajów, które jak wyżej powiedziano zanikły prawie zupełnie.

Nie ma ich już dziś, a przyznać trzeba, stanowiły wspaniałą okrasę zabaw, wesel, chrzcin, dożynek i innych uroczystości wiejskich.

Dziś ich miejsce zajęła płynąca strugami wódka, która często staje się przyczyną i powodem wielu smutnych w swych skutkach awantur, burd i bijatyk kończących się niejednokrotnie żalosnym finałem na ławie sądowej.

Do nierzadkich wypadków należą dziś wybryki szczególnie młodzieży, która z przykrością stwierdzić trzeba coraz częściej, a chwilami nagminnie zagląda do kieliszka dającego chwilową podniecie i zapomnienie, podczas którego popełnia niewybaczalne często wybryki, tragiczne nieraz w skutkach.

Mimo ciągłego w zakresie wychowywania i uświadamiania młodzieży w szkołach o szkodliwości nie tylko społecznej, lecz i zdrowotnej alkoholu, pijaństwo panoszy się coraz bardziej i przybiera zastraszające skutki. Poważną w tym winę ponoszą chyba starsi, którzy młodych niedorostków częstują nieraz wódką.

ROZDZIAŁ IV

ZWYCZAJE I OBYCZAJE.

Tak, jak w innych stronach kraju, tak samo i w regionie ziemi sadowieńskiej lud tu mieszkający miał swoje zwyczaje i obyczaje. Jedne z nich zachowały się jeszcze do dziś, inne bezpowrotnie przeminęły i tylko gdzieś wśród starszych ozywają one już tylko we wspomnieniach i opowiadaniach na tematy o życiu przeszłym naszych przodków – „jak to kiedyś bywało”.

Sprawą nakazu jest nam o nich przypomnieć, wygrzebać z lamusa zapomnienia, pokazać współczesnym jako relikty obyczajowe naszej ziemi, na której ongiś wszechwładnie panowały i były składową, nieodłączną częścią życia dawnego.

W czasach obecnych stały się one już tylko niejednokrotnie regionalnym widowiskiem interesującym ze względu na zwykłą ciekawość, często swoiście oryginalną dekoracją i oprawą programów okolicznościowych uroczystości lub urozmaicającą szarość i monotonię powszedniego życia naszej wsi.

Jest rzeczą zrozumiałą, że tamte wszystkie zwyczaje rozrywki muszą ustępować miejsca innemu gatunkowi zabawiania człowieka i są dziś wypierane dzięki postępowi czasu niosącego z sobą inne formy w postaci teatru, radia, telewizji, klubów rozrywkowych, gier i zabaw, które coraz powszechniej, a nawet wszechwładnie, opanowują wieś współczesną.

Przypomnienie o zwyczajach i obyczajach ludu naszej ziemi nie przeszkodzi w niczym rozwijającej się dziś na wsi współczesności, lecz tym, którzy je jeszcze pamiętają odświeży w pamięci i wydobywszy z zapomnienia przywróci i ożywi wspomnienie dawnych lat i przeżyć.

Młodzieży naszej, której te rzeczy są już dziś zupełnie prawie obce, niech staną się szacunku pełnym oznajmieniem o życiu ich ojców, dziadów i pradziadów, których są dzisiaj spadkobiercami ziemi, na której się urodzili i wyrosli.

Młode pokolenie, które wzrasta obecnie i sposobi się do włodarzenia naszym krajem w przyszłości, nie zna zupełnie ciekawej nieraz przeszłości i to często bliskiej, niedalekiej, nie może być w jej umysłach pominięta i któremu my starsi z obowiązku społeczno – wychowawczego przekazywać winniśmy.

Zapomnienie o nich i zupełne ich wykreślenie z naszego obecnego życia byłoby błędem niewybaczalnym, godzącym świadomie w rodzimą naszą kulturę stanowiącą fundament naszej historii.

Wspomnieliśmy pobieżnie w pracy niniejszej o kilku zaledwie zwyczajach dotyczących naszego regionu, lecz nie są one wszystkie – jest ich niezliczona ilość i o nich właśnie, ku przypomnieniu starszym, poinformowaniu młodych i wiadomości przyszłym pokoleniom, chcemy słów kilka nadmienić.

Odwieczny, niepamiętny zwyczaj chodzenia wieczorami zapustnych „przebierańców” nie należy na szczęście do zapomnianych.

Zwyczaj ten przetrwał jeszcze do dziś i jest chętnie uprawiany przez dzieci i młodzież wsi naszego regionu.

Odbywa się to zazwyczaj w tzw. „Ostatki”, tj. poniedziałek lub wtorek, jako ostatnie dni karnawału, tuż przed Popielcem rozpoczynającym okres Wielkiego Postu.

Młodzi przebierają się wówczas w różnorakie stroje, zmieniające ich do niepoznania na ludzi starszych, nieraz śmiesznych fircyków, zwierzaki lub inne „stwory”. Dla większego zamaskowania malują sobie twarze sadzą lub farbami, które istotnie przemieniają ich oblicza zupełnie, przyprawiające odwiedzanych do szczerego śmiechu i radości. Zmiana przy tym głosu utrudnia całkowicie rozpoznanie ucieszonych zapustników. Kłaniając się nisko w pas, otrzymują z reguły datki pieniężne lub poczęstunek z suto nieraz zastawionych biesiadnych stołów zapustnych.

Zwyczaj odbywania tych biesiad zachował się do dziś. Ma on charakter uczt połączonych często z tańcami, do których jest dużo chęci i zapału. Wspólne sąsiedzkie biesiady zapustne mają najczęściej duże wzięcie i organizowane są w sposób składkowy. Po uprzednim omówieniu i wspólnym przygotowaniu jadła rozlicznego i napojów, zmówione grono biesiadników, wieczorem o wyznaczonej godzinie schodzi się do jednego, ustalonego domu i tam odbywa się uczta, podczas której spożywane są różne potrawy, w większości mięsne, zakrapiane napojami alkoholowymi.

Potrawy mięsne spożywać wolno tylko do północy, tj. do godziny 12-tej, po której ze względu na stosowany powszechnie ścisły post rozpoczyna się druga część uczty podlewanej obficie alkoholem, lecz wtedy już tylko pod śledzia lub rybę, względnie potrawy bezmięsne. Picie alkoholu w Popielec ma zapewnić zdaniem zwyczaju miejscowego urodzaj roślin włóknistych – pije się „na konopie”.

Ciekawym i coraz rzadziej już spotykanym zwyczajem jest w naszym regionie stosowanie bicia tzw. „Półpościa”.

Należy to do starodawnych miejscowych obyczajów połączonych z pewną złośliwością stosowaną do domów, w których mieszkały stare panny albo inne powszechnie lub indywidualnie nielubiane, względnie odmawiające ręki starającemu się o nią kawalerowi. Bywało również, że zwyczaj ten przykry w swych skutkach stanowił nierzadko pewnego rodzaju zemstę osobistą wynikłą w różnych sporach sąsiedzkich lub wreszcie jest to zwyczaj

czynienia radości i uciechy to robiącym i przypomnienia o przeminięciu połowy czasu postu przestrzeganego kiedyś z okrutną ścisłością, wstrzymywania się od jadła mięs, tłuszczu pochodzenia zwierzęcego, a nawet mleka. Jadano potrawy chude, ubogie, pozbawione wszelkiej „tłustości”, najczęściej ziemniaki kraszone olejem z tzw. „pieprzówką”.

Zwyczaj wybijania półpościa polegał na podkradaniu się zmówionych ze sobą dwóch, najwyżej trzech spiskowców, którzy cichaczem, przeważnie usmoleni sadzami dla niepoznaki, otwierali drzwi słabo oświetlonej naftową lampą izby i z rozmachem wrzucali do nie stary gliniany garnek wypełniony po brzegi popiołem.

Skutki takiego „żartu” łatwo było przewidzieć! Ciśnięty z rozmachem i siłą garnek pękał, a zawarty w nim popiół wzbijał się tumanem w całej izbie, zalegając przy opadaniu wszystko co się w niej znajdowało. Złośliwi, dosypywali często do popiołu sadzy, o których działaniu nie trzeba wspominać.

Pierwsza niedziela Wielkiego Postu była kiedyś okazją, dziś zaginioną zupełnie, do przypinania szczególnie panienkom, a także i kawalerom tzw. „Kloców”.

Po wyjściu z kościoła, po nabożeństwie zwanym sumą, było zwyczajem młodzieży spacerowanie po ulicy głównej Sadownego, podczas którego spotykano się po tygodniowym często niewidzeniu, rozmawiano, śmiano się, zawierano znajomości, które niejednokrotnie kończyły się po zakończeniu postu w drugi dzień Wielkanocy złączeniem na ślubnym kobiercu.

Otóż wtedy młodzi chłopcy ustroiwszy przedtem przygotowane pod różnymi postaciami „Kloce”, przypinali je cichaczem sprytnie i zręcznie przechodzącym pannom i kawalerom, którzy nic o tym nie wiedząc paradowali po Sadownem z takimi „ozdobami” ku uciechu ich autorów, jak i też innych. „Kloce” były zazwyczaj bardzo pomysłowo robione i przedstawiały postaci ludzi – pajaców lub zwierzątek – małą, a nierzadko śledzi z papieru albo naturalnej postaci, przypominających okres postu.

Okres kościelny Wielkiego Postu jest bowiem jeszcze dziś czasem wstrzemięźliwości naszego ludu, zwłaszcza starszych, od potraw mięsnych w dni na to wyznaczone. Nie jest już okresem przestrzeganym jak kiedyś z całą surowością przez wyżej wspomniane wszystkie dni prawie siedmiotygodniowego czasu aż do Świąt Wielkanocnych.

Podobnym okresem wstrzemięźliwości był dawniej i rzadziej dziś przestrzegany okres Adwentu, rozpoczynającego się w pierwszą niedzielą po św. Katarzynie. „Święta Katarzyna Adwent rozpoczyna” pozostało jeszcze do dziś dawne porzekadło.

W okresie tak Wielkiego Postu jak i Adwentu nie wolno było zawierać małżeństw kościelnych, a nawet, jak mówią o tym opowieści starszych, zabroniony był zwyczaj „chodzenia” kawalera do panny. Z tamtych to właśnie czasów pozostał u nas piękny obyczaj wygrywania w okresie Adwentu na długiej, drewnianej trąbie zwanej u nas „ligawką”.

Granie na ligawce miało być bowiem wyrazem pamięci i tęsknoty młodego chłopca za ukochaną, który żałościwym i przeciągłym głosem smutnie zawodzącej ligawki, powiadamiał swą wybrankę, że o niej pamięta, myśli i tęskni.

Zwyczaj ten dziś już prawie zanika. Do wielkiej rzadkości należy już teraz w Sadownem i dla pielęgnowania tradycji jest uprawiany i podtrzymywany przez jego mieszkańca Stefana Skarpetowskiego.

Ligawka jest długą, około 2 metrów trąbą wykonaną własnoręcznie przez grającego z drzewa olszowego, odpowiednio obrobionego, wydlubanego i złożonego na smołę celem jej uszczelnienia i obłożona dla wzmocnienia konstrukcji drewnianymi lub metalowymi obręczkami. Całość stanowi przypominający lekko wygięty róg wielkiego zwierza.

Podczas gry w Adwencie, ligawka, aby była szczelniejsza i wydawała donośniejszy i czyściej brzmiący głos, polewana jest wodą, która zamarzając okrywa ją szklistym lodem.

Zwyczaj ten zaliczyć już można do całkowicie zanikających i sądzić należy, że w najbliższym czasie zniknie całkowicie z naszego terenu, ponieważ młodzież obecna nie wykazuje tym zwyczajem zupełnego zainteresowania, a przeciwnie wyraża niejednokrotnie z tego drwiny i całkowite zubożenie.

Trwający w dawnych czasach na naszej ziemi zwyczaj „Andrzejek” obecnie również nie jest już prawie kultywowany przez naszą młodzież. Dla podtrzymania jedynie tradycji ludowych i pielęgnowania ich swoistego folkloru, a może nawet i ciekawości, młodzież sadowieńskiego Liceum Ogólnokształcącego pod kierunkiem niektórych wychowawców organizuje niekiedy wieczory andrzejkowe.

Przybierają one wtedy charakter nastroju uroczystego pełnego tajemniczości o gusłach i przesądach wróżb oraz niezachwianej wiary w obrzęd lania wosku na wodę i wielu innych zwyczajów.

Przeważnie w wigilię do dnia św. Andrzeja, przy przytłumionym świetle, zebrane wokół miednicy z wodą dziewczęta, lejąc na wodę roztopiony uprzednio wosk, wpatrują się w różnorakie twory rozlicznie uformowanych kształtnych i bezkształtnych postaci wróżących według życzeń uczestniczek o losach przyszłych, przepojonych naiwną nadzieją sprawdzania się tych przepowiedni. Często dla wydobycia większych efektów kształtowania się wymarzonych postaci, odlane z wosku figurki ustawia się naprzeciw lampy i powstające w ten sposób na ścianie cienie układają się w najprzeróżniejsze formy wymaginowanych nieraz baśniowych postaci. Działa tu jednocześnie podniecona mocno wyobraźnia dziewcząt, potęgująca domysły i kształty formujących się na ścianie cieni.

Innym andrzejkowym zwyczajem było puszczenie na powierzchnię wody w misce lub talerzu dwóch wytartych do suchości igieł, które krążąc wokół naczynia rozchodzą się od siebie lub stykają ze sobą. Myśląca uporczywie wtedy dziewczyna o swym wybranym, pilnie

wpatruje się w pływające igły i po upływie określonego czasu – jeśli igły zetkną się ze sobą ma to być nieomylnym omenem zamążpójścia, jeśli zaś się rozejdą rozejdzie się według pisanych losów również i para młodych.

W ten sam wieczór oprócz powyższych zwyczajów istnieją jeszcze inne, które z reguły w ogólności mają być wróżbami o losach życiowych dziewcząt wiejskich. Przy obrzędach tych nieraz asystują chłopcy, z których niejedni również próbują zaspokojenia swej wrażliwej ciekawości o przyszłych losach erotycznych.

Oto następny z nich każe ustawić w szeregu na wyznaczonej na podłodze kredą linii wszystkie znajdujące się na wieczernicy dziewczęta i w jednakowym momencie, każda z nich przykładając szybko stopę do stopy stara się jak najszybciej dotrzeć do wyznaczonej kredą na podłodze drugiej linii. Oczywiście, która z nich pierwsza przekroczy stopą linię szczęścia ta według „wszelkich znaków na ziemi i na niebie” wyjdzie pierwsza za mąż. Kolejność zamężcia dla innych wynika naturalnie z kolejności przybycia na wyznaczoną kredą metę.

Ciekawym także był zwyczaj wróżby przyszłości losów przeznaczenia dziewczyny za pomocą następujących rekwizytów: trzech spodeczków lub talerzyków, różańca, czepek i obrączki ślubnej pożyczonej zazwyczaj od szczęśliwie żyjącej w małżeństwie starszej wiekiem mężatki.

I ten zwyczaj jak poprzednio ciekawy i pełen tajemniczości wprowadza żądne poznania swoich losów życiowych dziewczęta w atmosferę czasów i wierzeń graniczących z zapomnieniem świata zewnętrznego i realnie istniejącego.

Delikwentka, która na podstawie tej wróżby ma się dowiedzieć o losach swego przeznaczenia wychodzi z izby, a w tym czasie pozostałe kładą pod trzy spodeczki wspomniane wyżej przedmioty. Z obawą godną podziwu, a nawet szczerym przestraczem i niekłamany przeżyciem, dziewczyna podnosi jeden z nich, aby dowiedzieć się co się pod nim kryje. Jeśli znalazła różaniec zostanie zakonnica, jeśli czepek – starą panną, jeśli natomiast obrączkę, o której każda skrycie marzy – uśmiech radości okrasza jej oblicze, bo właśnie ona wróży niezachwianie szczęśliwe zamężcie.

Następnym także andrzejkowym zwyczajem był stosowany sposób na określenie imienia przyszłego męża.

Z uwitych kilku lekkich pakułowych gałeczek, każda z nich otrzymywała imię znanego dziewczynie chłopca. Następnie własnoręcznie podpałała je zapałką, dmuchając na każdą z nich tak, by wzniosły się one do góry. Która z nich uniosła się najwyżej, ta wróżyła o imieniu przyszłego męża.

Innym, znanym, stosowanym często w naszym regionie zwyczajem obchodzonym w noc św. Andrzeja była wróżba o mężu jakim on miał być.

Po wyjściu z chaty dziewczęta po kolei chwytały za pierwszą lepszą sztachetę w płocie. Pomyślawszy naprędce jakąkolwiek cyfrę, liczyły od wybranej sztachety następne aż do kolejności pomyślanej cyfry. Następowołało teraz baczne jej obejrzenie, ponieważ wyliczona sztacheta miała stanowić obraz przyszłego męża. Jeśli była ładna, prosta – takim miał być jej mąż, jeśli była krzywa, powyginana – obrazowała kształty wyznaczonego losem wybrańca, jeśli zaś była stara, kiepska, spróchniała lub zmurszała, wskazywała nieomylnie o mężu starym, niedołęznym, najczęściej zramolałym starcu.

Także zwyczajem powiązany z tą samą tematyką było układanie w noc andrzejkową pod poduszkę kartek z imionami znanych i lubianych przez dziewczęta chłopców. Którą z nich nazajutrz po przebudzeniu wyciągnęła ten miał być mężem dziewczyny.

I wreszcie jeszcze jednym ze zwyczajów andrzejkowych rzadziej kiedyś, dziś już zanikłym zupełnie była wróżba na podstawie kuleczek robionych z chleba omaszczonego zapachem słoniny lub smakowitego zwanych „Bałabuszkami”.

Przy ceremonii tego zwyczaju wszystkie znajdujące się na wieczernicy dziewczęta stawały w izbie kołem i każda naprzeciw siebie kładła na podłodze bałabuszkę. W pewnym momencie do koła wpuszczano przegłodzonego przez cały dzień psa, który po kolei chwytał łapczywie leżące na podłodze kulki.

I tu następowała zdaniem dziewcząt nieomylna wróżba o kolejnym zamążpójściu poszczególnych dziewcząt. Jeśli którejś z bałabuszek pies nie tknął, miało to być nieomylnym znakiem, że jej właścicielka pozostanie starą panną. W identycznym przypadku dla chłopca – starokawalerstwo.

Uciechy, radości i wzajemnych przy tym przekipiwań było co niemiara. Stanowiły one rzecz oczywistą niecodzienną okazją do mile spędzonego czasu, bawiły zebranych i pozwalały zapominać o szarzyźnie życia dnia codziennego.

Koniec Adwentu następował w wieczór wigilijny, podczas którego odbywa się wieczerza wigilijna, zwyczaj panujący do dziś i trwający w całym kraju od niepamiętnych czasów. Wieczór ten stanowi jeden z najbardziej uroczystych w ciągu całego roku.

Przy rozświetlonej i bogato w przeróżne zabaweczki i świecidełka przybranej choince zasiadają, najczęściej z pojawieniem się na niebie pierwszej i największej gwiazdy, wszyscy domownicy przy stole nakrytym białym obrusem, pod którym według odwiecznego zwyczaju znajduje się garstka drobnutkiego siana przypominająca narodzenie Chrystusa w żłobie na sianie.

Gospodyni domu, pomna panujących obyczajów wigilijnych, przygotowuje z reguły 9 potraw bezmięsnych, zaś osób przy stole winno być zawsze do pary. Istnieje przy tym przesąd, że jeśli jest osób przy stole nie do pary, to kogoś zabraknie do przyszłej wigilii.

Jedno miejsce przy stole według od dawna panującego zwyczaju pozostawia się wolne, kładąc przy tym nakrycie stołowe. Ma ono być symbolicznym miejscem dla osoby bliskiej, która z rodziny odeszła tzn. umarła. Wytwarza się przy tym poważny nastrój skupienia i myślenia o tych, którzy z żywymi nie zasiądą nigdy przy stole wigilijnym i spożywać nie będą przygotowanej wieczerzy.

W atmosferze wielkiego skupienia i powagi głowa domu – ojciec, a jeśli takiego zabrakło, to matka – podnoszą biały talerzyk z opłatkiem, którym łamią się wszyscy życząc sobie jednocześnie spełnienia marzeń i zamiarów, dobrego, trwałego zdrowia, wszelakiej pomyślności i doczekania do przyszłej wigilii.

Podczas wieczerzy śpiewane są kolędy, których ogromna różnorodność znana jest w naszym terenie od dawna i rozbrzmiewa do późna w nocy.

Po wigilijnej wieczerzy odbywa się w miejscowym kościele uroczyste nabożeństwo zwane pasterką, pełnie przeróżnych ceremonii kościelnych z pietyzmem pielęgnowanych do dziś.

Okres obu dni świątecznych jest okazją do wspólnych odwiedzin sąsiedzkich i rodzinnych, podczas których zebrani uczują przy suto zastawionych stołach, kraszonych niejednokrotnie obficie lejącymi się napojami alkoholowymi.

Drugi dzień Bożego Narodzenia, jak również i Wielkanocy, jest okresem wielu odbywających się wesel, do których sposobiono się cały Adwent lub okres Wielkiego Postu.

Po Bożym Narodzeniu rozpoczyna się, licząc od jego pierwszego dnia aż do Trzech Króli, rzadko już dziś uprawiany sposób przepowiadania pogody na cały następny rok. Pogoda obserwowanych kolejno dni poświęconych ma zdaniem wróżbitów odpowiadać pogodzie kolejno liczonych miesięcy od Nowego Roku i tak: pierwszy dzień świąt przepowiada pogodę dla stycznia, drugi tj. 26 grudnia dla lutego, 27 grudnia dla marca, 28 dla kwietnia itd. Ludzie starszej daty jeszcze dziś wierzą w nieomyślność tych przewidywań i przywiązują do nich dużą wagę.

Dzień 31 grudnia, jako ostatni w roku, poświęcony jest na urządzenie największych zabaw zwanych sylwestrowymi i rozpoczyna okres Karnawału, trwający do Środy Popielcowej tj. do rozpoczęcia Wielkiego Postu.

W noc sylwestrową stosowany jest jeszcze do dziś dość przykry w skutkach zwyczaj mazania smołą klamek zamków drzwiowych i szyb w oknach. Zwyczaj ten jest pozostałością z dawnych czasów znamionujący powitanie nowego i pożegnanie starego odchodzącego w przeszłość roku. Są to równocześnie uciechne dla ich autorów okazje do radości z umazanych smołą rąk i trudnością w zmywaniu na drugi dzień zmazanych smołą szyb okiennych, które podobno przy tym jest „trudne ogryźć smołą nawet i zębami”.

Okres poświęcony aż do Trzech Króli był dawniej w naszej okolicy zwyczajem w urządzaniu wędrujących od chaty do chaty przedstawień pod nazwą „Herodów”.

Zwyczaj ten zaliczyć już dziś należy do przeszłości, ale jeszcze przed drugą wojną światową uprawiany był powszechnie.

„Herody” to zorganizowana i przygotowana w ciągu Adwentu grupa chłopców, którzy ucząc się specjalnego do tego przedstawienia tekstu i przygotowując odpowiednie rekwizyty, wędrowała ku uciechu licznie towarzyszącej grupie dzieci od domu do domu, pokazując widowisko herodowe trwające około 15 minut.

W skład tej obyczajowej trupy teatralnej wchodziły następujące osoby: król Herod z kilkoma dworzanami, anioł, śmierć i diabeł. Treścią tej uciechy, lecz w treści tragicznej sztuki jednoaktowej, było oparte na przesłankach biblijnych okrucieństwo króla Heroda, który w obawie o swą koronę kazał wymordować wszystkie niemowlęta, między rzekomo którymi miał się znajdować nowonarodzony król żydowski.

Treść zasadnicza widowiska sprowadzała się do kary straszliwej jaka go za to okrucieństwo spotkała w postaci ścięcia głowy nieszczęsnego władcy przez nieubłaganą śmierć i wzięcie potem przez diabła do piekieł na zasłużone za taką zbrodnię męki i cierpienia okrutne w piekielnych otchłaniach.

Uczestnicy „Herodów” obdarowywani w każdym domu datkami pieniężnymi lub smakołykami przeróżnymi, jeśli trafiali na domową ucztę, a najczęściej dni Bożego Narodzenia, Nowego Roku i Trzech Króli.

Zwyczajem bożonarodzeniowym istniejącym jeszcze do dziś jest „chodzenie z gwiazdą” przez tzw. kolędników.

Są to zazwyczaj młodzi chłopcy w wieku lat 10 – 14, pochodzący przeważnie i najczęściej z Bugu, w szczególności z Broku, którzy rok rocznie w tym okresie odwiedzają nasze strony, a najwięcej Sadowne i śpiewając przeróżne kolędy oczekują zapłaty za swe wniebogłosy wyśpiewane melodie kolęd i pastorałek. Jeden z nich, trzymając oprawioną na dość wysokim drążku wielobarwną gwiazdę, wewnątrz której płonie świeczka, obraca nią monotonnym ruchem dookoła, co na ogół czyni dość przyjemne wrażenie i należy do starych, dawno uprawianych w naszym regionie zwyczajów.

Obrzędy weselne.

Rozpoczynający się od Nowego Roku okres Karnawału jest okazją do urządzania wielu zabaw tanecznych i zawierania małżeństw z wyprawianiem weselisk, które stosownie do zamożności młodych są bardzo bogate, biedniejsze lub całkowicie ubogie, skromne.

Okres wesel poprzedzony jest ciekawymi zwyczajami, które zachowały się jeszcze do dziś.

Jeśli chłopiec z dziewczyną poznają się przygodnie, np. na odpuście, w niedzielę lub na jakiejś zabawie tanecznej, wesele odbywa się z reguły bez specjalnie na to przeznaczonych swatów. Do czasu wesela kawaler „chodzi” często do przyszłej żony, jeśli nie codziennie, to w zależności od posiadanego czasu dwa, trzy razy w tygodniu lub tylko w niedzielę.

Rodzice młodych bardzo często mają niestety, mimo wzajemnego ich podobania się sobie, decydujący wpływ na realizację zapowiadanego małżeństwa. Decydują o tym przeważnie warunki materialne obu stron, które najczęściej stanowią warunek zasadniczy do związania młodych węzłem małżeńskim.

Jeśli natomiast młodzi nie znają się bliżej, a kawaler upatry sobie panienkę w swoim guście w odległej nieraz, innej zupełnie wsi, a którą to bogdanek zna najczęściej z opowiadań i zasłyszenia, odbywają się wtedy tzw. „Swaty”, które albo wiążą młodą parę, albo po prostu planowane małżeństwo z przeróżnych względów nie dochodzi do skutku.

Zwyczaj ten odbywa się w następujący sposób: Kandydat na małżonka umawiając przedtem tzw. „Rajka”, najczęściej człowieka wymownego i obrotnego w języku, udając się z nim w odpowiednio przygotowanym i zapowiedzianym rodzicom panny czasie, biorąc ze sobą, jak to się dziś powszechnie określa „litra w kieszeń”.

Po przybyciu na miejsce rodzice młodej przygotowują przyjęcie składające się z jadła, zaś kandydat na męża ustawia na stole przywiezioną wódkę.

Podczas takiej uczyt następuje rozmowa na temat proponowanego zameżcia, podczas którego „Rajek” opowiada o zaletach kawalera, jego majątności i przydatności na męża, sprowadzając jednocześnie rozmowę na drogę wycucia o posagu czekającego młodą. Zadaniem „Rajka” jest umiejętność takiego poprowadzenia obrotu sprawy, aby doszła ona do właściwie zaplanowanego skutku.

Bywa, że obie strony nie dochodzą z różnych względów do porozumienia i wtedy wszystko kończy się fiaskiem.

Jeśli natomiast obustronnie wyrażona zgoda osiąga pełne powodzenie – wyznacza się w najbliższą niedzielę zrzękowiny, które oczywiście są ukoronowaniem przyszłego małżeństwa i wesela, którego obustronnie ustala się jego termin i przewiduje ilość osób na niego zaproszonych.

Odbywa się ono zazwyczaj w zwykłą niedzielę, drugi dzień świąt Bożego Narodzenia i Wielkanocy, a także w ciągu całego roku, z wyjątkiem okresu Postu i Adwentu.

Wesele w zależności od zasobów materialnych obu stron urządzone bywa bogaciej lub skromniej.

Wyprawiane ono bywa u młodej, zaś w domu weselnym młodego odbywa się tylko tzw. „Wyjazd”.

Obie strony jak powiedzieliśmy wyżej spraszają po wzajemnym przed tym uzgodnieniu odpowiednią ilość osób spośród najbliższej i dalszej rodziny oraz znajomych, sąsiadów, a nawet gości okolicznościowych, a także z innych zupełnie wsi i miejscowości.

Na kilka lub kilkanaście dni przed weselem, młodzi udają się do miasta, najczęściej do Warszawy, gdzie kawaler kupuje obrączki ślubne oraz strój dla młodej. Poza tym następują inne, potrzebne, związane z weselem zakupy.

Podczas wyznaczonego na wesele dnia do młodego zjeżdżają się zaproszeni przez niego goście już od wczesnych godzin przedpołudniowych. Każdego przybywającego wita marszem kapela, której przybywający wsuwają w kieszeń datki pieniężne. Odbywa się potem uczta biesiadna, po której następuje wyjazd do młodej.

Przed wyjazdem młody jest żegnany przez rodziców, którzy życzą mu jednocześnie szczęścia w pożyciu małżeńskim.

Wszyscy biesiadnicy zabierają się również do wyjazdu, który odbywa się na furmankach, Młody zaś w towarzystwie drużbów jedzie okazałą bryczką, zwaną u nas „wolantem”, zaprzęzoną w parę okazałych, dobrze utrzymanych, przeważnie dobieranych, ścigłych koni. Orszak ten jadąc pokrzykuje, wyśpiewuje różne piosenki i po pewnym czasie przybywa do domu weselnego Młodej. Tu przed wyjazdem do ślubu odbywają się różne obrzędy przeplatane piosenkami.

Z pieśni weselnych udało się dziś jeszcze wyłowić niektóre, ponieważ w ogólności nie są już one we wsiach znane, zaś ludzi starszych, pamiętających te przyśpiewki, jest niestety coraz mniej.

Oto niektóre z nich odtworzone przez 76-letnią żyjącą jeszcze Filomenę Żebrowską, mieszkankę Sadownego, 72-letnią Rozalię Koroś oraz 71-letnią Annę Koroś, obie mieszkanki Suci koło Rażen.

Pieśni te śpiewane były stosownie do okoliczności weselnych lub nadarżających się okazji różnego rodzaju.

W oczekiwaniu na przyszłego małżonka podczas wesela w swoim domu Młoda, niecierpliwąc się, żałośnie jakby z obawą o rychły jego przyjazd rzewliwie śpiewała:

„Oj wyrzycie moje druhny za ten nowy dwór,

Oj czy jedzie, czy nie jedzie ukochany mój”.

Po pewnym czasie, gdy wypatrujący specjalnie na to przeznaczeni chłopcy donieśli o zbliżaniu się oczekiwanego, Młoda radośniej i weselej wtedy nuciła:

„Jedzie, jedzie niedaleko, już mija ten dwór.

Wyliguje, występuje pod nim wrony koń”.

Potem już z radością popłynęły słowa pieśni, która wprowadzała Młodego w obejście domu weselnego:

„Oj otwórzcie moje druhny te szerokie wrota,

żeby mój ten ukochany nie tykał boka”.

Następował potem moment zatrzymania się całej kawalkady weselnej u wrót, podczas którego nie zsiadając z bryczek i wozów Młody oczekiwał na wyjście starszej druhny z tak zwanym „wykupnym”, stanowiącym butelkę wódki opasanej wianuszkami mirtowym z białą kokardką. Jeśli zdaniem przybyłych butelka okazała się zbyt małą, w odpowiedzi na to druźbowie wraz z Młodym śpiewali:

„Starsza druhna, Bóg ci zapłać,

Tylko tobą komin zapchać.

Komin zapchać, zetrzeć ławę

nie dla ludzi na zabawę”.

Po otrzymaniu wkupnego „Młody” w towarzystwie druźbów zsiadał z bryczki, a reszta z nim przybyłych czyniła to samo. Bywało, że starsza druhna zapomniawszy o „wkupnem” nie wychodziła do przybyłych, wtedy cały orszak potrafił zawrócić z kopyta i odjechać w pobliże, by na powrót stanąć u wrót domu weselnego, oczekując uparcie na powitanie i „wkupne”.

Stojący w pobliżu domu weselnego witani byli piosenką śpiewaną przez druhny:

„Pocóżeście przyjechali nase miłe goście,

Jeśli wom się podobało ojca, matki proście”.

Na co druźbowie odśpiewują:

„A przed wroty kamień złoty, zielona murawa,

wyjdź z ty nasa młoda, jeżeliś nam rada”.

Młody z nutką obawy w głosie dodawał:

„Wstępuje na wase progi,

Oddaje ukłon pod nogi.

Niechaj bandzie Jezus Chrystus pochwalony

cy ja nie bandę dziś od was oddalony?”

Na to druhny z humorem i drwinkami odpowiadały:

„Ej fora ze dwora nasego,
spodziewalim się tu kogoś lepszego,
ale nie ciebie starego,
jesce do tego tysego”.

Wśród ogólnej radości i śmiechu Młody wraz ze wszystkimi wstępuje na teren obejścia domu weselnego i wchodzi zadowolony do niego.

Następuje z kolei przygotowanie się do wyjazdu do kościoła, w którym odbędzie się obrzęd zaślubin młodych dozgonnym węzłem nie uznającym prawa rozwodu.

W czasie oczekiwania na wyjazd do ślubu, druhny i starsze kobiety zamknąwszy się z Młodą w komorze lub pierwszej lepszej izbie, z dala od reszty weselników sposobią Młodą w strój weselny tj. suknię ślubną, białe pantofelki, welon i wianek przetykany mirtą.

Przed wyjazdem do kościoła Młody wraz z pozostałą resztą gości weselnych racząc się otrzymaną z „wykupu” wódką zachęcająco przyśpiewuje pod adresem Młodej:

„Oj siadaj, siadaj moje kochanie,
nic to nie nada twoje płkanie.
Już płac twój nic nie pomoze,
bo stoją konie siwe we wozie,
są zaprzężone i założone”.

Młoda po założeniu stroju weselnego, sposobiąc się na wezwanie Młodego śpiewa rzewnie, żegnając rodziców:

„A jak zes ja bandę siadała,
kiedym ojcoju nie dziękowała?
Dziękuję ci droga matko,
chowaaś me zawse gładko,
tera nie bandzies”.

Druhny, obstępując wokół Młodej, śpiewały zawodząc rzewnie:

„Panie Jezusie dajże jej szczęście,
bo ona jadzie pod jego pięście!
Panie Jezusie dajże jej dole,
bo ona idzie w jego niewole”.

Wtedy druźbowie zabierając ją pod ręce wiedli do przygotowanej specjalnie bryczki, a Młoda przeważnie popłakując żegnała dom rodzinny i w towarzystwie druźbów siadała na bryczkę. Konie podcięte biczami przez furmanów ruszały z kopyta i cały orszak wozów i bryczek z wesołym pokrzykiwaniem i krzykliwym śpiewaniem pędził w stronę Sadownego, aby tam w kościele dokonać obrzędu oczekiwanych zaślubin.

W drodze do ślubu Młodzi nie jadą razem i są rozdzieleni. Młoda w gronie druźbów jedzie oddzielnym wolantem, zaś Młody w towarzystwie druhen, oddzielnym, siedząc pośrodku między nimi.

Dla zapewnienia Młodym w przyszłym ich życiu bogactwa i dostatku matka Młodego, zwana u nas popularnie „świekrą”, wsuwała przed wyjazdem w pantofelek Młodej złoty pieniążek. Wszystkim natomiast weselnikom druheny przypinały ozdobione mirtem kokardki z białej, wąskiej wstążeczki, co miało być oznaką proszonego uczestnictwa w weselu, dla odróżnienia od tzw. u nas powszechnie „Pasierbów”, którzy jako nieproszeni zjawiali się w porze wieczorowej i nocnej na tańce weselne, nierzadko na wychylenie ukradkiem nieraz podanej przez znajomków weselnej gorzałki.

W kościele ustawia się przy głównych drzwiach wejściowych zwanych „wielgimi” orszak ślubny złożony z druhen, druźbów i młodzieży, na czele którego kroczy wolnym, uroczystym krokiem młoda para, idąc środkiem kościoła ku głównemu ołtarzowi.

Tam uklękawszy na najwyższym stopniu powtarzają za księdzem ślubną formułkę, którą wypowiadają młodzi na przemian – najpierw Młody, po nim Ona.

Podczas aktu zaprzysiężenia starsza druhen, co jest zwyczajem jeszcze dotychczas u nas ściśle przestrzegany, zarzuca Młodemu na nogi koniec, tren welonu Młodej. Ma to być według miejscowych przesądów powodem do całkowitej uległości i poddania się młodego męża swej żonie na całe życie.

Po obrzędzie zaślubin, podczas którego młodzi otrzymują uprzednio kapłanowi złożone złote obrączki oraz rozgłosu potężnie grzmiących organów, następuje obejście młodych wokół ołtarza i wrzucenie do znajdującej się obok niego puszek ofiary pieniężnej złożonej przez Młodego. Istnieje również zwyczaj darowania za ołtarzem przez Młodego dowolnej sumy pieniężnej, co ma być oznaką, że będzie on oddawał jej pieniądze przez całe życie.

Po opuszczeniu stopni ołtarza, przy którym młode małżeństwo pobyło jeszcze chwilę, następuje moment składania życzeń i powrót do domu weselnego Młodej.

Tu młodzi, stawiając pierwsze kroki jako małżeństwo, przekraczają próg domu, w którym rodzice witają młodą parę chlebem i solą, błogosławiąc ich i życząc szczęścia i powodzenia.

Oczekująca przed drzwiami kapela wita młodych marszem weselnym, a Młody na równi z innymi obdarowuje muzykantów grosiwem, za co z większą ochotą w ogólnym podnieceniu i nastroju weselnym grzmią ochoczo na cześć młodej pary i biesiadników weselnych.

Rodzice Młodej zapraszają teraz wszystkich gości weselnych do zastawionych jadłem i napojami stołów i rozpoczyna się najpierw obrzęd tzw. „Rozplecin”, polegający na zdjęciu Młodej welonu z wianuszką, co ma być oznaką utraty panieństwa i wejścia Młodej w grono kobiet zamężnych.

Po „rozplecinach” następuje z kolei dla podkreślenia wyżej podanych powodów, obrzęd „Oczepin”, będący głównym i ważnym kiedyś zwyczajem wesela, podczas którego, po zdjęciu welonu i założeniu go na głowę starszej drużyny, zakładano Młodej czepek, stąd nazwa tego obrzędu.

Czepek wykonany z koronek i białego materiału, zawiązywany pod szyją dwiema wstążeczkami, miał już nieodwołalnie wprowadzać Młodą w grono mężatek. Podczas „Oczepin” młoda małżonka śpiewała:

„Już za stołem zasiadają
o mym wianku radę mają.
Radzą, radzą co z nim zrobić,
wianek zdyjąć, cepek włożyć.
O ja nieszczęsna!”

Podczas „Oczepin” starsze kobiety zgodnym głosem, krzykliwie śpiewały piosenkę, która stanowiła nieodłączną część tego obrzędu i śpiewana była na każdym weselu:

„Zakukała kukawecka za borem,
zapłakała pani młoda za stołem.
Zapomnis ty pani młoda tańczyka,
tyle weźnie na cię mąż twój bacika!

Oj zapomnis pani młoda urody,

tylo pódzies z pieluchamy do wody.

Oj zabacys ty pani młoda długo spać,

tylo jak ci przydzie rano do dzieciątka wstać!

Nie chciałaś chodzić z pannamy,

pochodzis se tera z babamy.

Nie chciałaś wianuska nosieć,

kazałaś cepecek założyć.

Nie chciałaś boś go niegodna,

siedziłaś z chłopcamy do dnia”.

Młoda na to replikowała:

„A cóż wam kobiety do tego,

nie ucyniłam nic złego”.

Następnie podawane młodej parze, siedzącej już teraz koło siebie za stołem pośrodku, piwo i placek śpiewając:

„Na to korowaj upiecono

zeby Marysię z Jankiem złącono”.

Gdy przeminął czas „Oczepin”, podczas którego odbywał się obrzęd pozbawienia Młodej welonu z wiankiem i założenia czepca, Młody z nutką ironii w głosie, pod adresem Młodej śpiewał:

„Moja zonka cepka ni ma tra la la, tra la la,

W grochowiny łeb owija tra la la, tra la la!

Złózcie panny po złotówce tra la la, tra la la,

Kupcie cepek mojej zonce tra la la, tra la la.”

Panna młoda nie chcąc być dłużna odśpiewywała pospiesznie:

„Złózta chłopcy po złotemu

Kupta buty Konstantemu” (tzn. Mężowi)

Rozpocząła się potem uczta weselna zwana powszechnie „Obiadem”, przerywana często tańcami, które trwały do późnej nocy, a nawet do rana lub na drugi dzień nierzadko

do samego wieczora. Pozostają już wtedy nieliczni, wytrzymalsi i dokonują dnia drugiego tzw. „Poprawin”. Ubawieni, podpici i zmęczeni powracają napowrót do swych domów, syci na czas dłuższy, do nowej okazji, aby po wypoczynku jąć się codziennej, żmudnej pracy w gospodarstwie.

Podczas uczyty weselnej w dawnych czasach istniał na naszej ziemi obrzęd zwany „Małym tańcem”, podczas którego starsza drużna ustrojona w zdjęty podczas „Oczeplin” welon Młodej tańczyła z chętnymi do tego mężczyznami młodymi i starymi uczestnikami wesela.

Taniec ten wykonywany skocznie według melodii „małego tańca”, wirujący wokół obstawionej dookoła, pustej po środku izby, wziął się u nas zza Bugu i przeniesiony został prawdopodobnie podczas osiedlania się na naszych ziemiach przodków przybyłych tu, jak już wspomnieliśmy, z ziemi kurpiowskiej. Tuż za Bugiem w Bojanach, Udrzynie i innych jest jeszcze dziś nagminnie stosowany i uprawiany na tamtejszych weselach.

Każdy mężczyzna po wykonaniu kilku lub kilkunastu obrotów tego tańca, obowiązany był rzucić na postawiony na stole biesiadnym, naprzeciw Młodej, talerz – dobrowolną kwotę pieniężną, która miała stanowić według zwyczaju zaczątek przyszłego gospodarstwa młodego małżeństwa.

Dziś ten zwyczaj zanika, a nawet jest z pewnych honorowych względów rugowany, a jego miejsce zajmuje wprowadzany coraz bardziej i powszechniej zwyczaj obdarowywania Młodej praktycznymi prezentami, przeważnie o przydatności użytkowej dla przyszłego urządzenia domu młodego małżeństwa.

Podczas "Małego tańca", w którym, jak powiedzieliśmy, tańcząc ze starszą drużną trzeba było rzucić do talerza pieniądze, śpiewano:

„Nie idzie to drużba, tylko anioł boży

wykręci się raz, dwa, rubelka położy.”

Do miłych i ciekawych obyczajów weselnych dziś coraz bardziej zanikających było jak najbardziej sprytnie i umiejętnie przejście starszego drużby pod stołem biesiadnym i skradzenie Młodej ślubnego pantofelka. Jeśli zabieg ten wykonawcy udawał, się, wyskakiwał on wtedy triumfalnie spod stołu i okazywał wszystkim swą zdobycz, popartą przez biesiadników ogólnym aplauzem. Oczywiście teraz obowiązkiem Młodego było wykupić porwany pantofelek, płacąc sprawcy incydentu haracz w postaci nie małej butelki wódki. Podobnie rzecz się miała z pantoflem starszej drużny.

Ukoronowaniem obrzędów i zwyczajów weselnych były ongiś dziś już coraz rzadziej lub zanikłe zupełnie śpiewane przez specjalnie do tego przygotowane, jak wspomniana wyżej w Sadownem Kamińska, okolicznościowe pieśni weselne przeznaczone każdemu z osobna, z

umiejętnym ich dostosowaniem do danej osoby np. kobiecie lubiącej zaglądać często do kieliszka, wstawiając właściwe nazwisko, śpiewano ku uciechu pozostałych:

„Naszej Koroście na zdrowie bandzie,
i piła i jadła i jesce bandzie.
Wypije, wypije, nic nie ostawi,
niech ze ją, niech ze ją Bóg błogosławi”.

albo inna śpiewana zgryźliwie pod adresem ojca młodej, którego mieszkanie było zbyt ciasne:

„Tańcowali byśwa ale mała izba.
Trzeba było wynosić
bandzie izby dosieć”.

Oprócz pieśni radosnych, przepojonych nutą swobody i wesela, bywały również i takie, w których przebijała żal i smutek mimo atmosfery uweselenia i ogólnej uciechy, gdy panna młoda, zdając sobie sprawę z naprawdę ostatnich chwil pobytu w domu rodzinnym, żalostliwie zawodząc i prawie biadoląc, śpiewała:

„Umyślnie mnie mama daleko wydała,
żeby u swej mamy często nie bywała!

Na co matka Młodej łamanym zwykle od łkania głosem odpowiadała:

„Bywaj córo, bywaj za mego żywota
bo po mojej śmierci to się zamkną wrota!”

Na „Psich babach” w tydzień po weselu, w domu Młodego, do którego już się od rodziców wyprowadziła, pamiętając dostatek i czułość matczynej opieki, żalostliwie nuciła:

„Oj dali mi chleba, jak klonowy listek!
Jeszcze się pytali czym go zjadła wszystek?
Oj, zjadłam go, zjadłam w sieni za drzwiami,
co spojrzę na niego, zaleję się łzami!”

i wiele, wiele najprzeróżniejszych, obok których królowały chętnie wywijane tańce jak: oberki, polki, mazurki, mazury i kujawiaki tańczone z hukiem, pokrzykiwaniem i werwą ogromną nieraz do upadłego i potwornego zmęczenia. Dziś wypierane przez coraz bardziej

wkraczające na wieś nowoczesne tańce pochodzenia miejskiego zanikają powoli i tańczone są tylko przeważnie przez osoby starsze.

Wprowadzane z ochotą przez współczesną młodzież tańce nowoczesne jak: tanga, fokstroty, samby, twisty i inne szybko przemijające ze względu na swą wątpliwą wartość, nie mają nic wspólnego ludowością i folklorem wsi polskiej.

Kapele.

Tańczono kiedyś w rytm ochoczo grzmiącej kapeli ludowej, składającej się z dwojga lub trojga skrzypiec grających melodię i wtór, basetli dodającej rytmu niewielkiego, jednostronnego bębna opatrzonego cieniutkimi, dźwięcznymi blaszkami, tłumiącego swym pobrękiwaniem fałszywe nieraz tony skrzypiec, wydobywane przez zmęczonych całodobowym graniem, często podchmielonych wiejskich muzykantów – skrzypaków.

Ten rodzaj kapeli przetrwał na naszej ziemi jeszcze do czasów przed II wojną światową, a najśłynniejszą w tej dziedzinie była bardzo popularna i znana na całą okolicę, świetnie przyznać trzeba grająca, żydowska kapela z Broku zwana „Berkami”.

W skład tej kapeli wchodziły: troje skrzypiec prowadzących melodię i wtór z rytmem i basetla. Później w ostatnich latach uzupełniona została, a raczej unowocześniona trąbką, na której razem z „Berkami” grywał mieszkaniec Broku Szydło.

W ostatnich latach, tuż przed wybuchem wojny, dołączył do nich późniejszy kompozytor ludowych melodii, grywanych przez Wesołowskiego, Kozłowskiego i Dzierżanowskiego w radu i telewizji, znakomity odtwórca gry na akordeonie Antoni ROWIŃSKI, sadowieński rodak, wychowany w Broku, obecnie mieszkający na Przewozie w Małkini.

Ciekawostką i nie małą osobliwością tej kapeli „Berków” był młody jej członek, Żyd imieniem Moniek, który, dysponując nieprzeciętnym talentem muzycznym i doskonałością w grze na skrzypkach, biegle, a nawet zadziwiająco pięknie, grał na nich smyczkując na odwrót niż wszyscy skrzypkowie, ręką lewą, a palcząc ręką prawą. Nie były to wówczas czasy łatwego zdobycia wykształcenia, które było bardzo kosztowne i niejednemu nie pozwalało na realizację swych zamierzeń i niezwykłych nieraz zdolności. Niezaprzeczalnie stwierdzić należy, że wymieniony wyżej Moniek, kształcony w odpowiedniej szkole muzycznej, stać by się mógł nie tylko biegłym i doskonałym w tej grze, lecz z pewnością osiągnąć mógł szczyt wirtuozerstwa.

Odpusty.

Do pozostałości obyczajowych z dawnych czasów pielęgnowanych jeszcze do dziś powszechnie nie tylko u nas, lecz chyba na obszarze całego niemal kraju należą „Odpusty”.

Są to wyznaczone przez Kościół dni w roku, w każdej parafii, związane obrzędowo z imieniem patrona danej świątyni, podczas których płyną zewsząd nieprzebrane tłumy ludzkie, nawet z odległych nieraz okolic, wiedzione nie zawsze pobudkami religijnymi, lecz często dla zaspokojenia różnych uciech i zabaw zakrapianych obficie lejącą się najczęściej wódką.

Młodzi awanturnicy, lubujący się w sianiu zamętu i niepokoju, podchmieleni alkoholem wszczynają często krwawe niekiedy bójkę, stanowiące przedmiot osobistych, tajonych w głębi duszy rozrachunków lub tak sobie dla bezdennej głupiej fantazji – których najczęściej finał trafia na salę sądową.

Z przykrością godną żalu i politowania znane są takie wysoki niedojrzałych najczęściej niedorostków, którym często za kratkami więzienia przychodzi dopiero, lecz za późno, rozum do pustej głowy. Miejscami tych smutnych nader i przykrych niezmiernie ekscesów bywają odpusty w Prostyni, a także już rzadziej teraz na Sadownem i okolicznych miejscach parafialnych.

W Sadownem jest w ciągu roku trzy takie odpusty, a których największym i najważniejszym jest w dzień św. Jana Chrzyciela, wypadający zawsze w niedzielę około 24 czerwca.

Dzień ten staje się wówczas okazją do wspólnych, rodzinnych i nie rodzinnych odwiedzin, udziału w nabożeństwie odpustowym, libacji domowych i tzw. bufetowych oraz prawie całodziennego, jeśli dopisze pogoda, chodzenia wokół tasów (kramów) sprzedających dewocjalia i inne przedmioty kultu religijnego. Można tu wtedy kupić także przedmioty do różnych rozrywek, szczególnie dziecięcych i gier rozmaitych. Spotykało się również kiedyś, dzisiaj już rzadko, katarynki z papugami ciągnącymi losy szczęścia, zagrać można było w loterii fantowej, potaćzyć w strażackiej remizie lub pokręcić się na karuzeli będącej zawsze przedmiotem największego chyba zainteresowania zarówno dzieci i młodzieży, jak i też podchmielonych odpustową gorzałką starszych.

Przyznać trzeba, że dla ludzi wsi odpusty jeszcze do dziś, jako pozostałość z dawnych czasów, stanowią dużą atrakcję rozrywkową, na którą, jak się raz zwierzył chłopiec z okolicznej wsi, „ciąła się nieraz przez długi czas, a nawet przez rok cały”.

Jarmarki.

Jarmarki huczne kiedyś w Sadownem, jeszcze nawet przed samą wojną, zanikły dziś prawie zupełnie. Zachowała się tylko tradycja wtorków targowych, w czasie których odbywa się detaliczny handel nabiałem, drobiem, warzywami, owocami, mniej zaś zbożem, trochę ziemniakami i mięsem z uboju gospodarskiego. Są to z reguły targi krótkotrwałe, drobne, w niczym nie przypominające dużych, prawie na wielką skalę jarmarków przedwojennych.

Ludność naszego terenu korzysta przeważnie z jarmarków większych, bogatszych w asortyment produktów i towarów w pobliskiej Ostrowi Mazowieckiej i Stoczku Węgrowskim.

Poważniejsze zakupy dokonywane są przeważnie w Warszawie, dokąd jest tani i dogodny dojazd. Z usług wielkich magazynów handlowych Warszawy licznie i często korzysta ludność naszego terenu, w którym nie zawsze zaopatrzenie stoi na wysokości miejscowych potrzeb i zadania.

Zbyt na produkty rolne i tucz rzeźny odbywa się przez Gminną Spółdzielnię, która jednocześnie zaopatruje hodowców w wysokowartościowe pasze, stanowiące podstawę do hodowli, a w szczególności świń opasowych, bydła i drobiu.

Gusła, czary i przesady.

Tak, jak w wielu wsiach naszego kraju, tak i w regionie wsi sadowieńskich utrzymywana była przez długie wieki, a nawet jeszcze i dziś niejednokrotnie podtrzymywana i kultywowana uporczywa wiara w gusła, czary i różne przesady.

Oczywiście są to pozostałości z dawnych zamierzchłych czasów pogańskich, w których życie ludzi ówczesnych było nierozzerwalnie związane z prawami natury ich otaczającej, stanowiło prymityw rozumowania o tych prawach i zjawiskach jako ważnych nieuchronnie i wpływowych zależności na losy człowieka.

Zjawiska atmosferyczne jak błyskawice, pioruny, wschody i zachody słońca, wiatr, klęski żywiołowe i wiele innych stanowiły dla ówczesnego człowieka zasadnicze elementy wpływu na jego codzienne wydarzenia życiowe negatywnie lub pozytywnie.

Po wprowadzeniu na naszych ziemiach chrześcijaństwa, które poczęło w związku z wprowadzeniem swoich, odmiennych całkowicie wierzeń ścinać święte dęby i niszczyć pogańskie kontyny pełne przeróżnych bożyszcz, świętych ogni i najprzeróżniejszych reliktyw pogańskich wierzeń, starano się odwozić ludzi od tych wszystkich guślarskich i zabobonnych wierzeń, pozostawiając niektóre obrzędy w zmienionych mocno formach.

Lud pomny pogańskich kultów z uporem i niechęcią nagiął się do nowych, często nieznanym form kultu religijnego i najczęściej w cichości pielęgnował dawne pogańskie wierzenia w działanie niewidzialnych i widzialnych sił nadprzyrodzonych.

Z tamtych to właśnie czasów tkwią wśród ludu jeszcze do dziś wierzenia w czary i magię złych tworów nieziemskich oddziałujących bez jego woli na wyniki powodzeń i niepowodzeń życiowych, klęsk, nieszczęść, złych przypadków, tak w stosunku do niego, jak i jego najbliższych, a nawet dobytku i inwentarza żywego i martwego.

W momentach sprzyjających życiu ludzkiemu wierzone w pomoc istot niewidzialnych czyli duchów dobrych, od których doznawano łask i powodzeń, co jeszcze bardziej

utwierdzało ich w przemożnym wpływie tych niewidzialnych nigdy istot na jego życie związane zazwyczaj z wiarą w fatalizm i przeznaczenie.

Do nierzadkich wypadków należały jeszcze do niedawna, dziś zwalczane z całą słusznością i bezwzględnością przez rozumne i racjonalne wychowanie w szkołach, praktyki różnego rodzaju oparte o niezachwianą wiarę w gusła, przesady i zabobony. Właśnie dzisiejsza szkoła ma stanowić miejsce rozumnego uświadamiania młodzieży na lekcjach biologii, fizyki, chemii i innych przedmiotów na zasadzie sprawdzonych, nieomylnych praw naukowych o niesłuszności i bezpodstawności absurdalnych nieraz i pozbawionych logiki i sensu zjawiskach opartych na przesądnych i zabobonnych praktykach i wierzeniach.

Wierząc w nie, miały one niejednokrotnie odwracać grożące człowiekowi nieszczęścia, choroby, głód, kalectwo, jak również miały skutecznie przeciwdziałać skutkom klęsk atmosferycznych w postaci przewlekłych susz, długotrwałych deszczów, gradobicia lub nawet, co do dziś jeszcze tkwi w pojęciach wielu naszych ludzi, powstawanie i istnienie silnych wiatrów, wiejących często według naturalnych przyczyn atmosferycznych, a przypisywanych wisielcom – samobójczym, za których przyczyną one powstają. Mówi się wtedy, że „zły” tj. diabeł dmucha potwornie z uciechy, że zdołał namówić duszę nieszczęśnika do zaprzędania się w jego niewolę.

Szczególnie z dużym nieraz pietyzmem pielęgnowane były do niedawna gusła, z którymi wiązano działanie sił nadprzyrodzonych,, mających decydujący wpływ na zażegnanie wielu nieszczęść trapiących człowieka.

W każdej prawie wsi znajdowały się starsze doświadczeńsze w tym względzie kobiety, trudniące się wykonywaniem tych tajemnych obrzędów, którym jednocześnie, jako wybranym spośród innych, przypisywano nadprzyrodzoną siłę działania i łatwości kontaktów z „siłami nieczystymi”.

Ze względu na uzasadnione przed nimi obawy, reszta mieszkańców wsi żyła zazwyczaj z takimi w idealnej zgodzie, obawiając się im narazić, a nawet otaczano je troskliwą opieką. Cieszyły się one w każdej wsi wysokim autorytetem nierozumiejących, najczęściej nieświadomych ofiar wierzących z głęboko pojętym przekonaniem w nadprzyrodzoną siłę ich działania, połączoną niejednokrotnie z aktami osobistych lub zbiorowych zemst.

Kobiety te, tkwiące same w szerokim kręgu ciemnoty i krańcowego zacofania, spełniały nierzadko role lekarek potrafiących „zamawiać” choroby i „babeł” wykonujących czynności położnych przy odbieraniu porodów. Dysponując przy tym ogromnym prymitywizmem i brakiem podstawowych zasad higieny, tak ważnej dla zdrowia i życia człowieka, wyprawiały wiele położnic na tamten świat, tłumacząc swe w tym względzie niepowodzenia fatalizmem przeznaczenia, że „tak się stać musiało”.

Wykonywanie potajemnych praktyk w przedwczesnym, szczególnie ze względu na wstyd młodym dziewczynom, spędzaniem płodu, z powodu nieopatrzego zajścia w ciążę, było na porządku dziennym i najczęściej kończyło się śmiercią nieświadomej delikwentki.

Typowy dla dawnych czasów przykład „uzdawiania” chorej Rozalki – przytoczony przez znakomitego znawcę życia ówczesnej wsi – Bolesława Prusa w świetnie napisanej noweli pt. „Antek”., w której to, jak wiadomo, wiejska znachorka, stosując zaklęcia i czary, kazała nieprzytomną, w gorączce, ciężko chorą dziewczynkę, wsunąć do nagrzanego po upieczeniu chleba piekarnika – jest najlepszym dowodem haniebnych praktyk wiejskich znachorek, którym ślepo wierzono i polecano, tkwiąc w bezwiedzy i okrutnej ciemności, życie swoich najbliższych, najczęściej narażone na ciężkie kalectwo lub nieuchronną śmierć.

Nie można się więc dziwić, że na skutek jeszcze słabo rozwiniętej w dawnych czasach medycyny, znachorki takie cieszyły się dużym wzięciem i przyczyniały się do ogromnej w skutkach śmiertelności niemowląt, jak też i dorosłych.

Wystarczy nadmienić, że śmiertelność niemowląt w czasach niezbyt od nas odległych, bo sięgających lat zaledwie kilkudziesięciu, wynosiła w ciągu roku ponad 60 jednostek w granicach parafii Sadowne, a dziś spadła ona do zaledwie tylko kilku osób w skali rocznej. Są to z reguły przypadki śmierci naturalnej spowodowanej przyczynami obiektywnymi, wynikającymi z powodów od człowieka niezależnych. Rzecz w tym wszystkim najważniejsza, że wszelkiego gatunku znachorki i „babki” zniknęły z życia bezpowrotnie, a ich miejsce zajmują lekarze, pielęgniarki i w ogóle personel służby zdrowia z prawdziwego zdarzenia.

Spętana słowami wiary w gusła i zabobony ludność dawnej wsi, a nawet, w nielicznych już na szczęście przypadkach, wsi współczesnej – niezachwianie wierzyła w ich moc, siłę i fatalizm, które były z nimi przez długie wieki związane.

Jeszcze dziś istnieje w naszym regionie wiara w „odbieranie krowom mleka”, uprawiane rzekomo przez złe kobiety działające wg nieświadomości naiwnych, na zasadzie współpracy z siłami „nieczystymi”.

Ze wspomnianym guślarskim wierzeniem w „Zabieranie krowom mleka” przez złe kobiety zwane czarownicami, wiara w to gusło była tak głęboko zakorzeniona wśród miejscowego ludu, że próby wszelkiej perswazji o bezpodstawności tego absurdu nie osiągały nigdy pożądanych wyników.

Jedynym lekarstwem stosowanym kiedyś powszechnie było w wigilię do św. Jana Chrzciciela, tj. 23 czerwca, kiedy bydło powróciło z „paśnika”, oplatanie rogów każdej mlecznej krowie na całą noc świętojańską pasemką łyka z kory lipowej. Rzekomo cudowna moc tych praktyk miała „odczynić” złe zamiary paskudnych czarownic. Można by tu zastosować stare porzekadło „co ma piernik do wiatraka”, a w tym przypadku lipowe łyko do zahamowania niecznych zamiarów czarownic, lecz nie dziwiąc się temu zupełnie należy załączyć ten zapobiegawczy zwyczaj do dawnych obrzędów wywodzących swój rodowód z

czasów pogańskich, które, jak powiedzieliśmy, obfitowały w najprzeróżniejsze wierzenia oparte na niewidzialnej mocy guseł, czarów, przesądów i zabobonów.

Podciągnijmy jeszcze pod ten sam mianownik bezpodstawny całkowicie i pozbawiony logicznego sensu do dzisiaj niestety jeszcze tkwiący głęboko wśród ludzi naszej ziemi, a także na pewno i innych części kraju, przesąd wiary w przebiegającego przez drogę czarnego kota. Kot, w ogóle obojętnie na jego „maść”, jest od dawien dawna złym omenem dla ludzi znajdujących się w podróży.

Szczególne znaczenie ma tu kot koloru czarnego, przypominający zdaniem wielu, ucieleśnionego w kocią skórę diabła.

Otóż, gdy podczas podróży dokądś w jakimkolwiek celu pieszo, furmanką lub innym pojazdem, przez drogę przebiegnie czarny kot – w zależności na którą stronę, jeśli na prawą, to można podróż kontynuować bezpiecznie bez jakichkolwiek złych następstw, jeśli zaś na stronę lewą, zabobonni z przestachem i głęboką wiarą w te bezsensowne mamidło przeważnie powracają na powrót do domu, zdecydowanie wierząc w moc i prawdziwość opisanego gusa.

Oczywiście kotów w każdej wsi jest przeważnie bardzo dużo i wolno im, jak każdemu innemu stworzeniu, przechodzić lub przelatywać z przestachem przez drogę, a czyniąc to pozbawione są z całą stanowczością czarownej, złej siły oddziaływania na losy przejeżdżających drogami ludzi!

Podobnie ma się rzecz z wybieraniem się w podróż, kiedy przekroczysz próg domu nie wolno pod żadnym względem, mimo zapomnienia czegoś, zawrócić do domu, bo – zdaniem wierzących w ten bezpodstawny zabobon – podróż nie osiągnie zamierzonego celu, a nawet spotkać może człowieka jakieś nieszczęście.

Dla pozbawienia bezsensu tego głupiego gusa, piszący te słowa, wielokrotnie w swym życiu wybierając się w podróż, musiał się wracać do domu zapomniawszy w pośpiechu czegoś i nic dotychczas złego mu się nie stało, ani też nie natknął się na niepowodzenie wynikłe z tego przesądu.

Wytworzenie się na głowie dziecka „kołtuna” spowodowanego oczywiście brudem, nie używaniem grzebienia i nadmiernego wydzielania produktów łojotokowych, powstających z wydzielin skóry, nie może być według istniejącego jeszcze dotychczas przesądu, obcinane i oczyszczone ze względu na fatalne po tym następstwa graniczące z tzw. „połamaniem lub pokręceniem” dziewczyny, której może to pozostać w postaci kalectwa do końca życia. Rzecz oczywista, że współczesna medycyna nie toleruje tych błędnych i popartych ciemnotą praktyk, lecz zgodnie z zasadami higieny stosuje metodę prostą i skuteczną przez naturalne oczyszczenie i obcięcie „niebezpiecznego” kołtuna z głowy, najczęściej zawszonej i lepiącej się od brudu i łojotoku.

Sposób okadzania krowich wymion z tzw. bolączką po wycieleniu lub nawet w odniesieniu do chorych ludzi, należy do dawnej przeszłości, lecz był w niezbyt odległych czasach, a nawet w nielicznych przypadkach i dziś jeszcze stosowany przez zanikające coraz bardziej znachorki w naszych wsiach.

Mocno jeszcze dotychczas tkwiący jest wśród naszego ludu nie tylko wiekiem starszego, lecz także wśród młodszych, przesąd oparty na głębokim podłożu guślarskim o tzw. „Zmorze” męczącej nocą konie.

Zdaniem wielu, mimo całkowitej absurdalności tego wierzenia i rozsądnemu, logicznemu wyjaśnianiu i tłumaczeniu pełnego bezpodstawności guśta, sprawa jest wysoce prawdziwą i żadna siła przekonywania i perswazji nie zdoła odwieść od fałszywego przekonania w nim tkwiącego.

Znani są jeszcze nie starzy wiekiem gospodarze w naszym regionie, którzy przejąwszy te wierzenia od swych ojców lub dawnych poprzedników, nie dadzą się w żaden sposób przekonać o niesłuszności tego pojęcia i ślepo w niego wierzą. Smutne to, ale jeszcze w drugiej połowie XX stulecia, wieku radia, telewizji i atomu, niestety prawdziwe.

Oto pokrótce relacja z powyższego, pozbawionego wszelkiej logiki i słuszności przebiegu rzekomego, zdaniem w to wierzących, guśta o zaciekłym i uporczywym ujeżdżaniu konia w stajni tylko niestety pośród nocy. Wykonywanie tych niecnych praktyk podczas dnia nie miało oczywiście nigdy miejsca.

Na wybranym do tego celu koniu, obojętnej płci, kiedy domownicy pogrążeni są, po znojnym i pracowitym dniu, w głębokim śnie, przychodzi domniemana „zmora”, która, bez żadnych z niczyjej strony przeszkód, rozpoczyna diabelskie harce z zamkniętym na „cztery spusty” koniem. Ciekawość przy tym trapi człowieka zdrowo myślącego, którędy się ona tam dostaje?...

Ma to być, zdaniem w to guśta wierzących, jakaś dziewczyna ze wsi posiadająca wszystkie cechy diabelskiego sprytu i czarownicy dysponującej szerokim wachlarzem sztuczek i czarów nieziemskiego pochodzenia.

O autentyczności istnienia takiej czarownicy we wsi krążą tylko domysły nie poparte żadnym dowodem, a w czasach dawnych wręcz otwarcie je wskazywano i według istniejących wówczas praw pisanych palone one były, oczywiście bezpodstawnie, w miejscach publicznych, przy ucieście ciemnej gawiedzi, na płonących stosach.

Prawo takie przetrwało w Europie do XVIII wieku, zaś w Polsce zniesione zostało całkowicie uchwałą sejmową w 1776 r.

Otóż po takich harcach uprawianych przez „zmore” w ciągu wielu godzin nocnych, koń po otwarciu rankiem stajni ma być rzekomo ogromnie zmęczony, posiada zmierzwioną sierść, robi podobno wrażenie wystraszonego, a co w tym wszystkim najciekawsze, ma mieć

w okrutny sposób splątana grzywę. Istnieją przy tym w wielu przypadkach twierdzenia o splątanych przez „zmore” w grzywie końskiej warkoczach, których w żaden sposób nie da się rozpleść, ani też nawet rozczesać czy rozplątać.

Według przekonania w to wierzących, potrafi ona często odwiedzać stajnię i zamęczać konia do tego stopnia, że nie będzie on przedstawiał wartości poprzedniej. Niestety w ciągu przeżytych wśród naszego ludu kilkudziesięciu lat o zmęczeniu konia przez uporczywą „zmore” nie dało się nigdy słyszeć.

Porada dana nieświadomym tego absurdalnego gustu na przypilnowanie z ukrycia praktyk tej czarownicy i ewentualnego wyłożenia jej kijem za jej niecne harce, spotkała się z ostrym sprzeciwem z ich strony i twierdzeniem, że właśnie podczas pilnowania „zmora” wtedy nie przyjdzie, wiedząc o obecności człowieka – zresztą byli i tacy, którzy przejawiali przed takim zabiegiem strach paniczny, graniczący z obawą utraty życia.

Jedynym podobno na to lekarstwem stosowanym w tych wypadkach jest wycięcie ze zmierzwionej grzywy końskiej kosmyka splątanych niemiłosiernie włosów, położenie na pieńku od rąbania drzewa i tłukąc w nie obuchem siekiery, kłąć potwornie pod adresem domniemanej „zmory”, życząc jej wszystkiego co najgorsze i zapowiadając, że przy następnych odwiedzinach może mieć łeb rozłupany siekierą.

Dla wyjaśnienia nieświadomym tego nie mającego żadnych logicznych podstaw gustu, dodać tylko należy o całkowitym absurdzie istnienia podobnych praktyk czarodziejskich, których symptomy rzekomego zmęczenia konia i zmierzwienia jego grzywy i sierści należy przypinać obfitemu wydzielaniu przez skórę łojotoku, który leżącemu często podczas nocnego wypoczynku lub tarzającemu się ze względu na świąd zwierzęciu, powoduje skręcanie się splotów długiej przeważnie, natłuszczonej, lepiałej się od tłuszczu i brudu grzywie i sierści na całym jego ciele.

Najwyższy na to czas i okres, aby zerwać z podobnymi wierzeniami i praktykami, świadczącymi, przynajmniej ze wstydem, o dowodach istnienia w naszych już dość wysoko uświadomionych wsiach naszego regionu, średniowiecznych przekonaniach, opartych na głęboko tkwiącym obskurantyzmie, ciemnocie i zacofaniu!

Obrzędy okolicznościowe.

Spośród wielu istniejących jeszcze we wsiach wierzeń, opartych na cudownej mocy działania sił niewidzialnych, jest nieszkodliwy zresztą nikomu i pozbawiony cech omówionego wyżej gustu, zwyczaj obmywania rąk i twarzy w wodzie jeziora, stawu czy rzeki, a nie studni, przed udaniem się na bożonarodzeniową Pasterkę lub wielkanocną Rezurekcję.

Zwyczaj ten nie pozbawiony jest również cech działalności sił związanych z tym obrzędem, nie mniej, nie jest ani szkodliwy, ani też najprawdopodobniej pomocny.

Do wyciętej, jeśli rzecz ma się w grudniu, przerębli w lodzie podchodzą praktykujący ten zwyczaj osobnicy obojga płci i zanurzając w lodowato zimnej wodzie ręce, wycierają nią dłonie i twarz, myśląc wtedy uporczywie i z głębokim przekonaniem o cudownych właściwościach wody, która rzekomo w ciągu całego roku ma utrzymywać w zdrowiu i czerstwości organizm człowieka.

Zwyczajów i wierzeń związanych z cudownymi właściwościami wody istnieje w naszym regionie dość dużo i są one na pewno pozostałością z dawnych, zamierzchłych czasów pogańskich, omówionych poprzednio.

Nie zawsze przypisywano wodzie tylko jej nadzwyczajne własności, mające wpływ na zdrowie człowieka.

Woda niejednokrotnie stanowiła przedmiot uciech i rozrywek, jak np., w drugi dzień Wielkanocy, zwany u nas „lanym poniedziałkiem”, zaś w innych stronach kraju dyngusem lub śmigusem.

Po dziś dzień zwyczaj ten jest powszechnie w naszym regionie uprawiany i stanowi przyjemny, nie pozbawiony przy tym radości i uciech szczególnie dla młodych.

Mimo, że jest on do czasów obecnych ogólnie kultywowany, zatracił wiele ze swego dawnego, pierwotnego obrzędu.

Zwyczaj to dawny, sięgający czasów po pogańskich, przejęty z pewnością z tamtych lat, mający w treści swej wierzenia związane z moczeniem wodą po pierwszej, wiosennej pełni księżyca, kiedy urządzano biesiady dyngusowe „ażeby obmyci wodą czystą jako ziemia dżdżami niebios byli godni powitać nadchodzącą wiosnę”, okres nowego, budzącego się w naturze życia i lato rodzące plody rolne, podstawę życia i utrzymania człowieka.

Formy tego zwyczaju były i są rozmaite. Polegały one na delikatnym, niewinnym i dyskretnie stosowanym skrapianiem pachnącą wodą, polewania wodą z butelek i małych naczyń, aż do wylewania całych wiader i skopków wody na głowy ofiar, najczęściej dziewcząt. Trafiły się również wypadki wrzucania do jezior, stawów czy rzeki.

Chcąc się często uchronić od przykrych następstw całkowitego nieraz zmoczenia wodą lub zalewania izb jej strugami, ubierano się specjalnie w szaty podlejsze, a izby ogoławano ze znaczniejszych przyborów i sprzętów.

W dawnych czasach zwyczaj ten miał również charakter wykupu gospodyni przed chodzącymi „oblewańcami”, którzy, grożąc zmoczeniem wodą, wywierali nacisk na otrzymywanie datków przeróżnych, aż do pieniędzy włącznie. Nazywano to kiedyś „chodzeniem po dyngusie”. Były to grupy niedorostków, którzy, chodząc od chaty do chaty, nie omylając żadnej, śpiewali pieśni wielkanocne w celu otrzymania upominku, jajek kolorowych zwanych tu pisankami lub „piskami”, daru pieniężnego czy też świątecznego poczęstunku.

Dziś tego rodzaju zwyczaj w naszych stronach nie istnieje, a pozostał tylko jedynie polegający na oblewaniu się wodą. W regionie całego Mazowsza istniał zwyczaj „chodzenia po dyngusie”, podczas którego jego uczestnicy otrzymywali dary zbierane do kobiałki.

Innym zwyczajem związanym z tajemniczymi własnościami wody jest pokrapianie, stosowane do dziś, w niedzielę wielkanocną wnętrza domu, obejścia gospodarskiego, a nawet inwentarza żywego, w szczególności bydła i koni – wodą święconą, którą na cały rok do użytku domowego przynosi się z kościoła w Wielką Sobotę, po obrzędzie poświęcenia wody przez kapłana.

Z czasów pogańskich, uprawiany przez całe wieki, pozostał obyczaj „Sobótek”, tj. puszczania wianków na wodę w noc świętojańską z 23 na 24 czerwca, podczas przesilenia dnia z nocą, w najkrótszą noc w roku. Obyczaj ten zanikł w naszym regionie już w tej chwili zupełnie, uprawiany był jeszcze przed II wojną światową.

Zbierająca się przy wodzie Pierwszego Mostu młodzież, a z ciekawości nawet i starsi, paliła wielkie ogniska z przygotowanych przedtem gałęzi, chrustu i drew, przez które zwyczajem dawnym skakała, śpiewając pieśni przeróżne, a dziewczęta puszczały na wodę wite wcześniej wianki tak urządzone, aby mogła na cienkich listewkach stać świeczka pływająca.

Wianki, płynąc po wodzie, błyskały światłami, czyniąc podczas nocy niesamowite, urzekające pięknem, prawie czarodziejskiego mirażu, miłe dla oka wrażenie.

Z puszcanych na wodę wianków dziewczęta wróżyły swoją przyszłość. Który z nich płynąc gaś wkrótce, ogarniał niepokojem jego właścicielkę. Inne płynąc i oddalając się od brzegu, na którym rozplamienionymi oczyma wpatrywały się w nie podniecone niesamowitością obrzędu dziewczęta, wróżyły losy przyszłe, nieznane jak los oddalających się coraz dalej wianków.

Najczęściej na skutek oddalenia mieszały się one ze sobą i myliły ich właścicielki, zwodząc wróżebne przypuszczenia dotyczące zamążpójścia.

Bywało, że chłopcy, wiosłując za nimi na łódkach, dopędzali je, co miało być nieomylnym omenem wspólnego w najbliższej przyszłości związania się węzłem małżeńskim. Do nierzadkich wypadków należała, że wyłowiony z wody przez chłopca wianek i zatrzymany przez niego na własność, bywał powodem zbliżenia się wzajemnego młodych, bliższego poznania się, a często obudzenia się uczuć wzajemnych, zakończonych małżeństwem.

Świętojańskie wianki należały do jednych z najpiękniejszych i najstarszych, sięgających czasów pogaństwa obyczajów, który ze względu na swą tajemniczość i wspaniałą urok należał przez długie wieki do prapolskiego zwyczaju ludowego.

Ojciec literatury polskiej Jan Kochanowski w czasach sobie współczesnych opisuje językiem poetyckim pięknie ujęty w formę wiersza zwyczaj sobótek świętojańskich, które jak z tego widać kultywowane były wtedy pieczołowicie i otaczane czcią największą.

Podczas puszczenia wianków w naszym regionie dziewczęta siewały pieśni, z których jedną z nich w oryginalnej miejscowej gwarze, śpiewane przed dawnymi laty, podała mi słowa do niej wymieniona wyżej Kamińska, niezrównana obrzędniczka i pieśniarka prześcigająca wszystkie inne kobiety tego rodzaju:

W polu lipecka, w polu zielona
Listecki opuściła,
Pod nią dziewczyna, pod nią jedyna
Parę wianuszków uwiła.

Oj cegóz płaces moja dziewczyno
Cóż takaś obolała?
Nie płac ze Kasiu, smutnaś po Jasiu
Ach będziesz ci go mniała.

O mój Jasieńku, o mój jedyny,
Dotknena ci me škoda,
Uwiłam ci ja parę wianuszków
Zabrała mi je woda.

Moja dziewczyno, moja jedyna
Nie frasuj ty sie o nie,
Mam ci ja pare białych łabędzi
Popłyną one po nie.

Juz jeden płynie po rokicinie
Goni za wiankiem strzałą.
Drugi tez płynie, az sie odwinie
Dla cię z pociechą małą.

Moje wianecki z drobnej rutecki

Mam ja was stracić marnie
Łabędzie płyną, wianecki giną,
Bystra je woda zgarnie.

Nie mas juz wianka smutna dziewecko
Juz zara bandzie ranek
Łabędzie wróćcie, serca nie smućcie
Przywieźcie Kasieńce wianek.

Ostał się tylo ino rąbeczek
Na twoje złote włosy.
Nie płac dziewcyno, nie płac jedyno
Może się zmienią twe losy.

Ludowy zwyczaj, związany także z wiankami, pochodzący z dawnych czasów, przetrwał u nas do dziś i jest kultywowany w oktawę Bożego Ciała, podczas ostatniego nieszporu odprawianego w kościele. Wianki te wite przez starsze kobiety z żółtego rozchodnika, ozdabiane są kwieciami i zielenią wielkości kótek o średnicy mniej więcej 10 do 15 cm.

Wianuszki te, są święcone podczas obrzędu kościelnego i przyniesione napowrót do domu, zawieszane są na obrazach kultu religijnego, ścianach lub na drzwiach i przechowywane przez cały rok, stanowią relikwiarz posiadający niezwykle własności. Kładzione one są pod podwalinę nowobudowanego domu lub budynku gospodarskiego, mające zabezpieczać od pożaru i uderzenia pioruna. Spalane w dawnych czasach miały swym wonnym dymem okadzać obejście gospodarskie, a woń tego dymu miała być symbolem cnót wszelakich, nawiedzających członków rodziny, a także chronić od piorunów.

Również okadzanie dymem spalanych wianuszków z rozchodnika domu mieszkalnego zewnątrz i wewnątrz miało go chronić od wszelkich klęsk pochodzących od natury, chorób i nieszczęść. Okadzanie łąnów zbóż na polach miało je chronić od gradobicia i dodatnio wpływać na zwiększenie plonu i urodzaju.

Pozostał jeszcze dotąd, lecz już prawie zanikający obyczaj wicia aż dziewięciu takich wianuszków o mniejszym rozmiarze, a każdy z innego ziółka: macierzanki, mięty, ruty, rozchodnika, barwinku, rosziczy i innych. Każdy z nich miał posiadać różne przypisane im wiarą ludzką własności.

Podobnym wiankowym obyczajem, stosowanym do dziś powszechnie we wszystkich wsiach naszego regionu, jest układanie na dzień Matki Boskiej Zielnej – 15 sierpnia – wiązanek składającej się z dorodnych, dobranych kłosów żytnich, pszenicznych, jęczmiennych i owoców innych roślin uprawnych, przybrany zieleniną, który równie jak poprzednie, niesione są w tym dniu do kościoła, tam poświęcone jako dowód dziękczynienia za urodzaj i zadowolenia z niego, dającego podstawę bytu i życia. Przyniesiony do domu, zatykany jest za obrazy kultu religijnego z wiarą w dobry urodzaj roku następnego, pozbawiony klęsk żywiołowych i pełen obfitości.

Po zakończeniu żęcia ostatnich skrawków zbóż zachował się u nas po dziś dzień zwyczaj robienia tzw. „Przepiórki”, po której następowało „Okrężne”, będące symboliczną uczcą sprawianą przez gospodarza dla osób biorących udział w zakończeniu prac żniwnych.

„Przepiórka” była kiedyś i jest dzisiaj resztką pozostawionej na „rżysku” niezżętej kępki zboża, najczęściej żyta, która odpowiednio, przez kobiety, podwiązana i przybrana zieleniną i kwieciami, wsparta dla usztywnienia patykiem, ma stanowić symbol przyszłorocznego urodzaju, czystość zboża i być resztką dla ptaka, od którego wzięła się prawdopodobnie swoją nazwę – przepiórki, która po zżęciu zboża pozbawiona została jądła wszelkiego i zakrycia go przed okiem ludzkim i drapieżnych jego skrzydlatych nieprzyjaciół.

Uciesznym przy tym i nie pozbawionym humoru i wesołości obyczajem jest chwycenie niespodziewane gospodarza za nogi i, wlekąc nim po ściernisku, objechanie wokół tej symbolicznej „przepiórki”, aby, jak głosi zachowane od dawna twierdzenie, szczęściło mu się i wiodło jak najbardziej w przyszłych zbiorach i urodzaju wszelakim.

Strojenie tzw. palm na Niedzielę Palmową to również relikw pozostający z dawnych czasów, stosowany obecnie we wszystkich wsiach ku kościelnemu obrzędowi wiążącemu się w jego tradycji zachowanej od wieków z wjazdem Chrystusa do Jerozolimy.

Palmy są to przeważnie różgi pewnego gatunku wierzby, porośnięte wczesną wiosną gdy nie ma jeszcze liści – baziami, zwane u nas także „kotkami”, które odpowiednio przybrane, poświęcone są w tę niedzielę, podczas specjalnego obrzędu kościelnego i również jak wianuszki przynoszone do domu i mające posiadać moc ochronną przed różnymi nieszczęściami.

Istnieje przy tym silnie zakorzeniona wiara i przekonanie, że połykanie tych „kotków” palmowych ma chronić zdrowie człowieka, a także i zwierząt gospodarskich od chorób rozmaitych i nieszczęśliwych wypadków.

Dziś zapomnianym i nieznanym już zupełnie, nie spotykanym na naszej ziemi zwyczajem związanym z palmą strojoną w Kwietną Niedzielę, bo tak kiedyś nazywano Palmową Niedzielę, był obyczaj polegający na tym, że kto wcześniej w tę niedzielę wstawał ze snu, ten budził innych i, uderzając palmą leżących w łóżku, wypowiadał zwyczajową formułkę:

„Wierzba bije, nie ja biję!
Za tydzień – Wielki Dzień,
za sześć noc – Wielka Noc,
wstawaj leniu, dźwigaj moc!”

Okres świąt wielkanocnych był w naszych okolicach okazją szczególną dla młodych lubujących w uprawianiu dawnego, obecnie coraz rzadziej stosowanego, zwyczaju strzelania przeważnie z tzw. kalichlorku, podczas rezurekcyjnej procesji, obchodzonej -zgodnie z rytuałem - trzykrotnie kościoł, przy licznych udziale wiernych.

Zwyczaj ten, choć w wielu przypadkach stanowiący niebezpieczeństwo narażenia się na kalectwo, miał być i jest jeszcze teraz wyrazem radości z racji Zmartwychwstania Pańskiego, jako święta będącego jednocześnie zapowiedzią budzenia się natury ze snu zimowego i rozpoczęcia okresu kalendarzowej wiosny.

Wspominając wyżej o trzykrotnym obchodzeniu procesją wokół kościoła w czasie rezurekcyjnego nabożeństwa, dodać należy o istniejącym wśród naszego ludu wierzeniu o obowiązku trzykrotnego obejścia kościoła w tej procesji i - zdaniem ludzi - omylenie każdego razu, ma być kontynuowane po śmierci.

W Wielką Sobotę dokonuje się pradawny obyczaj święcenia jadła, a w szczególności jaj, którymi dzieląc się podczas pierwszego posiłku świątecznego, następuje składanie sobie życzeń wzajemnych dobrego zdrowia i długiego życia, bo według pradawnych wierzeń jajko miało być symbolem życia w nim ukrytego i zgody między ludźmi. Mówi się przy tym o darowaniu sobie i zapomnieniu, nawet między najzaciętszymi wrogami, wzajemnych krzywd, zadrażeń, niechęci i win obopólnie lub jednostronnie popełnionych.

W dawnych czasach pańszczyźnianych obrzęd święcenia jadła i jaj odbywał się gromadnie przy dworze, w którym pracowali chłopci. Znoszono wtedy jadło w kobiałkach i koszach w jedno miejsce w pobliżu dworu i kapłan poświęcał wyczekiwaną po długim i bardzo surowym poście obfitość jadła mięsnego i jaj białych, przeznaczonych na tzw. „święconkę” oraz kolorowych, zwanych jak wspomniano wyżej „piskami”.

Zwyczaj zbiorowego święcenia pokarmów odbywał się zazwyczaj w miejscu obok dworu na to przeznaczonym, dokąd cała wieś zносиła jadło w koszach lub kobiałkach ustawionych na zastanej białymi ręcznikami ziemi, zaś pośrodku półkola, powstałego z ustawionych kobiałek, stał ceber lub beczułka z wodą. Po odmówieniu przepisanych rytuałem modlitw, kapłan dokonywał poświęcenia wody i jadła, które od tej chwili otrzymywało nazwę „święconego”.

Po przybyciu do domu wodę nalewano w specjalnie na to przeznaczone, zazwyczaj kupowane na odpustach, szklane, pękate jednostronnie naczynia koloru ciemnoniebieskiego,

w którym przetrzymywano ją przez cały rok i służyła ona do rozmaitych obrzędów, część zaś wlewano do tzw. „chrzcielniczek”, tj. metalowych, wypukłych jednostronnie, oznaczonych symbolem krzyża naczyń, do zawieszania na futrynie drzwi wejściowych do izby, również kupowanych na odpuście, w którym maczano palce prawej ręki i czyniono znak krzyża przed wchodzeniem do domu lub opuszczaniem go na okres kilku lub kilkunastu godzin lub dłużej.

Święcone jadło stanowiło pierwszy posiłek po powrocie z rezurekcji, a jajko, jak wspomnieliśmy wyżej, jest symbolicznym reliktem dzielenia się nim.

Święcone dziedzica lub jego plenipotentą, zarządcy czy administratora, odbywało się oddzielnie w jego domu, do którego zapraszał kaptana, poza pospólstwem.

Zwyczaj dzielenia się jajkiem przetrwał w Polsce od wczesnych czasów po wprowadzeniu chrześcijaństwa i był kultywowany wraz ze święceniem wodą obojczy gospodarskiego i osób w nim mieszkających, a także inwentarza żywego.

Jednocześnie w tym samym dniu, po zakropieniu wodą, następowało wkładanie w szczelinę „węgła” lub pod strzechę opalonej gałązki święconego również w Wielką Sobotę ognia. Także kawałkiem takiej gałązki rozpala się pierwszy tego dnia ogień w kominie. Istnieje z tym zwyczajem związana wiara w ochronę domu przed uderzeniem pioruna lub pożaru niespodzianie wynikłego.

Każde większe i mniejsze święta kościelne pełne są przeróżnych obyczajów obfitujących w wielką ilość obrzędów z nimi związanych, które w wielu wsiach i domach pieczołowicie są pielęgnowane, w innych zaś powoli przechodzą w zapomnienie.

Także okres Zielonych Świątek jest okazją do uprawiania wielu ciekawych obrzędów, z którymi lud naszego regionu związany jest od dawna.

Jednym z nich, stosowanym dotąd powszechnie, jest ozdabianie wnętrza izb, sieni, przedsionków i domu na zewnątrz łądogami tataraku, który zazwyczaj już w tym okresie bujnie nad brzegami stawów, jezior i rzek wyrasta. Ma to symbolizować radość ludzi z okazji wiosny w pełni już rozwiniętej i rozkwitania pełni życia, obudzonej z zimowego snu natury.

Zielone Świątki są okazją do organizowania spotkań towarzyskich, urządzania weseli i zabaw tanecznych dla młodzieży.

Ostatnio, od szeregu lat, w Polsce Ludowej pierwszy ich dzień wyznaczony jest na obchody Święta Ludowego chłopstwa zrzeszonego w Zjednoczonym Stronnictwie Ludowym. Odbywa się wtedy uroczysta akademii poświęcona temu świętu i zabawa ludowa.

Okres rozbudzonej z zimowego snu wiosny jest także czasem budzenia się natury, powrotu ptaków przelotnych z dalekich, zamorskich, ciepłych krajów, jak bociany, jaskółki, do których lud naszej ziemi ma szczególne przywiązanie i ochrania je przed zabijaniem. W okolicach nadbużańskich, gdzie znajduje się wiele łąk i wód obfitujących w bocianie jadło, nie

ma prawie stodoły lub domu, a niekiedy drzew, na których poczciwe bocianiska, związane z naszym krajem dozgonnym węzłem bytowania i wydawania potomstwa, budują bardzo liczne, ogromne gniazda z gałęzi i chrustu.

Jest to także okres pierwszych odezwań się kukułki, ptaka zwanego obecnie w naszym regionie „Kukawką”, dawniej „Zuzulą”.

Do pierwszego usłyszenia głosu tego ptaka mieszkańcy naszej ziemi przywiązują wiarę w tzw. przez nią „okukanie” i wróżby dla dziewcząt, przepowiadające ich ożenek.

Gdy usłyszysz się wiosną, obojętnie w jakim miejscu, głos „kukawki”, winno się mieć przy sobie choć kilka groszy. Zalicza się to wtedy do szczęśliwego okukania i jest zapowiedzią o ich mnogości w ciągu całego roku, aż do jej ponownego usłyszenia. Jeśli natomiast kieszeń jest pusta, a co nie daj Boże kukanie zastanie delikwenta bez ubrania w łóżku, „grosz się nie będzie trzymał człeka przez rok okrągły”.

Kukułka, jak wspomniano wyżej, stanowi również wróżbitkę dla dziewcząt o czasie ich zamężcia. Polega ona na wyliczaniu kukań przy wypowiedzeniu jednoczesnym następujących słów: „Kukułka, zuzula, powiedz ile lat do mego wesela”. Ilość usłyszanych głosów, wydawanych przez ptaka, ma nieomylnie wskazywać okres czasu, który jest wyznaczony losem na czekanie weseliska.

Do zwyczajów związanych z obrzędami kościelnymi zaliczyć również należy powszechnie kiedyś, dziś zanikły zupełnie, zwyczaj okładania na krzyż dwiema gromnicami, tj. grubymi świecami woskowymi, poświęcanymi w kościele w dniu święta Matki Boskiej Gromnicznej – 2 lutego, szyi ludzi cierpiących na schorzenia gardła, podczas nabożeństwa porannego w dniu świętego Błażeja – 3 lutego. Miało to rzekomo radykalnie pomagać w tego rodzaju chorobach lub nawet je całkowicie uzdrawiać. Niedawne te czasy, gdy obrzęd ten był stosowany rokrocznie na terenie naszego regionu.

ROZDZIAŁ V

NAZEWNICTWO GWAROWE REGIONU SADOWIEŃSKIEGO.

Ziemia nasza, podobnie jak inne regiony kraju, obfituje w swoiste nazwy gwarowe, których geneza wywodzi się z mazowieckiego języka gwarowego ludu wiejskiego, jak również wiele cech podobieństwa znajdują one w wyrażeniach wziętych z kurpiowszczyzny, ponieważ region nasz położony jest jakby na pograniczu jednego z drugim. Dzisiejszy język ludu wsi położonych w okolicach Sadownego ulega stopniowemu przeobrażeniu z uwagi na ogromny wpływ oświaty i kultury poprzez szkołę, książkę, prasę, radio, telewizję i inne środki masowego przekazu.

Coraz bardziej, szerzej i głębiej przenika czyste słowo języka literackiego do chat wiejskich i niedługo chyba już czas, gdy język ten wyruguje całkowicie gwarę ludową i wszechwładnie opanuje narastające w coraz to nowe zdobycze kulturalne, żądne nowego, młode pokolenia. Do rzadkości już teraz należą wplatane w rozmowy między ludźmi naszych wsi wyrażenia gwarowe, używane jeszcze tylko przez starsze ich pokolenie, które wzrósłszy w atmosferze samoistnie pielęgnowanej ludowości, posługują się tym nazewnictwem w sposób naturalny wynikający po prostu z ich normalnej życiowej potrzeby.

Za lat kilkadziesiąt gwara ludowa naszej ziemi zniknie bezpowrotnie i spotykana być może będzie już tylko w utworach literackich, czy też dokumentach regionalnych stanowiących świadectwo tego, co kiedyś istniało i było integralną częścią składową życia codziennego ludu wsi.

Ze śmiercią starszego pokolenia wiejskiego, zejdzie również z powierzchni życia dawny i niezwykle barwny folklor gwarowy obfitujący w niezwykle bogactwo językowe, rodowodu którego należałoby szukać w historiografii minionych pokoleń i zmieniających się ciągle warunków życia i bytowania.

Dlatego też obowiązkiem naszym, jako pokolenia schodzącego powoli według normalnych prawideł ludzkiego życia spośród żywych i ciągle następujących po sobie ludzi, jest wygrzebać z pyłu zapomnienia nazewnictwo gwarowe naszego regionu, zanotować je aby nie uległo zagładzie i nie poszło w niepamięć, jak niestety wiele innych doznało takiego losu. Budując oświatę i kulturę nowoczesną, musimy jednocześnie pamiętać o szacunku dla przeszłości. Nakazem dla nas wszystkich jest ratować przed zaturacją wszystko co istniało dawniej i było świadectwem pracy i działania pokoleń, które codziennym swym znojem życiowym tworzyły podstawy dni dzisiejszych, a które z biegiem czasu znów chwalebnie

przejdą do przeszłości, aby świadczyć następnym pokoleniom o tym co kiedyś istniało i tworzyło mrówczym systemem fundamenty następujących wiecznie po sobie dni i czasów.

W szczególności młodzież dzisiejsza i ta jutrzejsza, która kiedyś następować będzie i wzorem swych poprzedników budować dalej zręby kultury narodowej, niech pielęgnuje i ceni to wszystko co było kiedyś, nie zapominając również o języku swych przodków, jako jednym z podstawowych środków wyrazu kultury swego regionu.

Zebrane tu nazewnictwo naszego regionu, nie będzie na pewno kompletnym. Wiele z nich uszło z pewnością uwadze i niestety zatarło się już w zapomnieniu, ale chociaż ta garść rzuconych tu, będzie konkretnym potwierdzeniem ludowej kwiecistości językowej nie tylko naszych przodków, lecz także ludzi jeszcze dziś żyjących. Wiele z tych wyrażen wyda się niejednemu dziwolągami, a może nawet cudactwem językowym! Nie są one na pewno zmyślone, lecz zawierają w sobie wszystkie cechy prawdziwości istnienia i użytku codziennego w języku potocznym niedawnego jeszcze ludu sadowieńskich wsi i osiedli.

Niejedno z tych wyrażen krąży uparcie po dziś dzień i w wielu wypadkach stanowi integralną część języka wiejskiego, stosowanego nawet jeszcze dziś wśród swoich przez młodych, zarażonych już bakcylem nowoczesności, bo takie jest prawo nieustępliwości we wszystkich dziedzinach życia ludzkiego.

Dziwnie one będą brzmieć w niejednych uszach, ale niestety takimi one były i błędem byłoby je przekreślać czy fałszować.

Pokażmy je zatem i z uwagą czytając wsłuchajmy się w ich treść niezwykłą i ciekawe brzmienie. Oto one (przykłady – pełna treść w maszynopisie – przyp. red.).

Nazewnictwo różne.

Ajwo, ajwu – tutaj, tu, w tym miejscu.

Cerznieć – czarnieć, czernić.

Chto – kto.

Cudak – człowiek dziwny, inny niż normalni ludzie.

Niesczęsny – nieszczęśliwy.

Wielgi – wielki, ogromny, duży.

Wyterty – wytarty.

Zaperte – zamknięte.

Nazwy rzeczy.

Bijak – część cepów, która uderza w rozłożone na klepisku zboże.

Działy – części pól.

Nianso – mięso.

Gamuła – osełka masła.

Janteres – interes.

Drapac – zdarta miotła.

Kośćtur – krzywy zazwyczaj kij do podpierania.

Kajet – zeszyt.

Stryjo – brat ojca.

Flaska – butelka.

Rośliny, sad, ogród, pole.

Chojak – sosna.

Suska – uschłe drzewo.

Mlec – mniszek lekarski.

Ulęgałka – owoc dzikiej gruszy.

Rombarbar – rabarbar.

Śwerek – świerk.

Choina – mały lasek sosnowy.

Odziemek – dolna część pnia drzewnego.

Zwierzęta.

Plugastwo – obrzydłe, wstrętne robactwa.

Kukawka – kukułka.

Ziaba – żaba.

Ślępak – końska mucha, giez.

Sialanizna – wścieklizna.

Nazwy czynności.

Daligo – prędziej, nuże, dalej.

Doraić – doradzić, poradzić, wybrać.

Fajtnon – przewrócił się.

Zabacył – zapomniał.

Wzion – wziął, zabrał.

Zerty – lubiący jeść.

Buł – był.

Robiuł – robił.

Górzno my – przykro mi.

Obłóczyć – wkładać ubranie, ubierać się.

Części ciała.

Kudły – włosy zmierzwione.

Kulfon – nos dużych rozmiarów.

Gamba – twarz.

Scoki – szczęki.

Bełk – brzuch.

Cerep – czaszka.

Ułomności ludzkie.

Charakterny – porządny, dobry człowiek.

Mizerak – człowiek chudy, mizerny.

Gleńda – plotkarz, niepotrzebnie wiele mówiący.

Latawica – dziewczyna o złej opinii.

Ochlaj – pijak.

Łachudra – czł. nic nie wart, byle co.

Psubrat – łajdak, gałgan, człowiek nie wiele wart.

Odzież.

Siał – długa chusta, wąska narzucana na plecy.

Rydelek – daszek u czapki.

Zezuwać – zdejmować buty, ściągać buty.

Na przybość – chodzenie w butach, bez skarpet – na goło.

Lecznictwo.

Kąklus – koklusz.

Frebra – malaria, dreszcze.

Zajady – ranki w kątach ust.

Rolnictwo.

Grądział – część pługa zakończona hakiem.

Poprzecniak – kawałek pola zorany w poprzek.

Znacznik – przyrząd do znaczenia rowków przy sadz. kartofli.

Kośnik – koszący łąkę lub zboże kosą.

Zgoniny – odpadki zboża z plewami po młóceniu.

Budownictwo.

Drewniak – dom z drzewa.

Alkierz – izba z małym okienkiem, w której spano.

Tebel – gruby gwóźdź drewniany służący do łączenia ze sobą bali jako części składowych ścian drewnianego domu.

Śprosy – ramki okienne, w których tkwią szyby.

Gumno – miejsce przy budynkach gospodarskich.

Obróbka drewna.

Tret – trociny.

Traczka – rżnięcie drzewa, kłoców na deski, belki itp.

Opoły – półokrągłe, boczne obrzyny kłoca drzewa.

Ośnik – narzędzie ciesielskie z dwoma uchwytami do odzierania pnia z kory.

Śkublica – narzędzie spełniające tę samą rolę co ośnik, tylko nieco krótsze.

Komunikacja, transport.

Drabie – drabiny na wozie do przewozu siana lub zboża.

Podwoda – wóz gospodarski wyznaczony do przewozu osób urzędowych z nakazu władzy np.: gminnej.

Siosa – droga utwardzona, bita.

Gościaniec – droga wiejska.

Steczka – ścieżka.

Narzędzia.

Śpadel – szpadel, łopata.

Rydel – szpadel.

Góźdz – gwóźdź.

Raśpel – pilnik, tarnik do drzewa lub opitowania kopyt.

Ośla, osełka – kamień piaskowiec do ostrzenia noży lub ostrych narzędzi.

Rybołówstwo.

Przerambel – otwór wycięty w lodzie na rzece lub stawie.

Oka – otwory w sieci.

Iglica – przyrząd do robienia sieci.

Drygawica – rodzaj sieci składająca się z coraz drobniejszych oczek.

Kłoń – siatka na trójkątnym ozebrowaniu.

Zajęcia ludzi.

Komornik – mieszkający w cudzym domu na tzw. pokomornym.

Wyrobnik – robotnik sezonowy.

Stelmach – robiący wozy.

Smaciarz – zbierający szmaty.

Listowy – listonosz.

Wierzenia, obrzędy.

Kazalnica – ambona w kościele.

Zaduski – święto zmarłych.

Wróż – mężczyzna wróżący.

Coś przeszkadza – straszny.

Rajki – swaty.

Tkactwo.

Balia – bednarskie z klepek lub blaszane płaskie duże naczynie do prania bielizny.

Śmaty – bielizna.

Magłownica – przyrząd zębaty do maglowania bielizny.

Kółko – kołowrotek do przędzenia włókna lnianego lub wełnianego.

Śpula – szpula, szpulka.

Spośród bogactwa językowego ludu naszej ziemi wybraliśmy powyżej tylko znikomą jego część mogącą świadczyć o dużej różnorodności ujęć językowych.

Zebranie całości wymagałoby na pewno zamknięcia w postaci oddzielnej pracy o dość dużej objętości.

Niechże zatem chociaż niektóre tylko wybrane wyrażenia naszego ludu wiejskiego będą jakim takim świadectwem o jego kiedyś istnieniu i swoistości językowej jakże nieraz odrębnej od gwary i wyrażeń ludu polskiego z innych części kraju.

Dodajmy jeszcze, że jedną z najbardziej charakterystycznych cech gwary naszego regionu jest mazurzenie, co w poważnym stopniu uzasadnia i tłumaczy przynależność naszą do Mazowsza. Takie odcienie gwary spotyka się również w innych częściach ziemi mazowieckiej. Nic natomiast nie znajdziemy z charakteru cech podlaskich, choć nieraz mylnie kwalifikuje się nasz region do tej części Polski.

W mazurzeniu występującym jaskrawie w mowie naszego ludu nader wyraziście wymawia się spółgłoski s, c, z, dz w miejscu literackich sz, cz, ż, dż. Kiedyś wpływ szkoły i innych czynników kulturalnych nie miały zasadniczego znaczenia na kształtowanie się cech językowych, mazurzenie wśród naszego ludu było chlebem codziennym tego języka i w sposób charakterystyczny dominowało w jego wymowie, brzmieniu i kwiecistości gwarowej. Przykłady zniekształceń powyższych spółgłosek odbiegają w sposób bardzo zasadniczy od prawidłowych wyrażeń literackich i mają brzmienie następujące: zyto /żyto/, syba /szyba/, sacunek /szacunek/, jezdze /jeżdżę/, scapa /szczapa/, scebel /szczebel/, sceniak /szczeniak/, syja /szyja/, capka /czapka/, carny /czarny/, celadnik /czeladnik/, cerwony lub cerzwony

/czerwony/, zagiew /żagiew/, załoba /żałoba/, zebro /żebro/, zerdź /żerdź/, zołandek /żołądek/, żołnierz /żołnierz/, Żyd /Żyd/, zona /żona/.

Oprócz tej cechy, w której występuje wyraźna zamiana dwuznaków i spółgłoski ż na spółgłoski pojedyncze i z istnieje jeszcze zmiękczenie spółgłoski sz i ż co wygląda następująco: siabla /szabla/, szkoła /szkoła/, siaflik /szaflik/, sialwark /szarwark/, sielma /szelma/, siewc /szewc/, szkielec /szkielec/, słabon /szlaban/, ślachta /szlachta/, siosa /szosa/, śpilka /szpilka/, śpital /szpital/, zielazo /żelazo/, ziaba /żaba/, żnija /żmija/ itp.

Oryginalnym i nie mniej charakterystycznym ujęciem gwarowym należącym także do mazurzenia jest okładanie spółgłoską ł każdego niemal wyrazu rozpoczynającego się samogłoską O lub U. Brzmienie takiego wyrazu staje się wtedy bardziej wyraziste i dobitniej wymówione. Należy się domyślać, że znajduje to swoje uzasadnienie w charakterystycznej dla mazurzenia twardości językowej zabarwionej swą oryginalną szorstkością. Nie ujmuje to w niczym swoistości jego piękna a odwrotnie, dodaje tej gwarze większej kwiecistości i barwnych cech mazowieckiej ludowości. W brzmieniu potocznym przedstawia się to tak: zdanie – Oleś odejdz od okna bo mozesz oberwać po uszach, w ujęciu gwarowym przedstawiałoby się następująco: Łoleś łodejdz łod łokna bo mozes łoberwać po łusach.

Poszczególne i niektóre tylko wyrazy przy tym zniekształceniu wyglądają następująco: łobarzanek /obarzanek/, łokno /okno/, łobiad /obiad/, łocet /ocet/, łoko /oko/, łokulary /okulary/, łostrów /ostrów/, łospa /ospa/, łolkiestra /orkiestra/, łolsyna /olszyna/, łogórek /ogórek/, łobcas /obcas/, łucho /ucho/, łuciecha /uciecha/, łucynek /uczynek/, łulica /ulica/, łupał /upał/, łurząd /urząd/, łusta /usta/ itp.

To tylko niektóre przykłady zniekształcenia głosowego w wielu wyrazach zabarwionych mazurzeniem. Występują tu również zniekształcenia natury gramatycznej jak na przykład w wymowie końcówki rzeczowników w celowniku l.p. – w tym wypadku zamiast literackiej końcówki –owi słyszymy –oju. I tak w rzeczownikach rodzaju męskiego słyszymy: konioju, chłopakoju, Andrzejoju, wiatroju, jedynakoju, domoju, tatusioju, krzakoju itp.

Oryginalność gramatyczną stanowi również przekręcanie niektórych rzeczowników zakończonych na a w dopełniaczu l.m. np.: zamiast gazet mówiono gazetów, łez – łzów, mężczyzn – mężczyznów, pcheł – pchłów, ryb – rybów, trąb – trąbów, wdów – wdowów itp.

Innym znowu, ciekawym i nie spotykanym w innych regionach kraju zniekształceniem polskiego języka literackiego jest wymowa spółgłoskowych grup posiadających zespoły literowe: -świ, -ćwi i -dźwi. Według zniekształceń gwarowych naszego regionu brzmi to następująco: śfat /świat/, śfęto /święto/, śfyder /świder/, śfynia /świnia/, śfezy /świeży/, śfetlica /świetlica/, śferk /świerk/, śfeca /świeca/, ćfek /ćwiek/, ćferć /ćwierć/, ćfartka /ćwiartka/, ćferka /ćwierka/, miedźweć /niedźwiedź/.

Dla dokładniejszego zobrazowania mowy gwarowej naszego regionu przytoczmy urywek fragmentu literackiego w oryginalnym i ciekawym brzmieniu z podstawieniem tekstu prawidłowego.

-„Pamrok sie juz robiuł kiedy wyjeźdzalim z lasa. Na niebie czerwienioło sie jescce słonko, ale dokoła mrocniło i noc zimowa wielgachnemy krokami sła na śfat i otulała go płachtą cigędzi. Nade wsią tłuły się dymy z kominów a w zamglonem powietrzu kołowały wrony kracząc przeraźliwie. Ośroniałe olsaki, jabłonki w sadach i smukłe topole stercały ponad chałupamy, między któryamy łazili ludzie sprawujący wieczorny obrządek. Żurawie studzianne skrzypiały przeciągle, psy nascekiwały w różnych stronach wsi, śmieć trzescał i skrzypiał pod nogamy. Nade wsią zapadła stycniowa, mroźna noc.

I teraz prawidłowo:

„Zmrok się już robił kiedy wyjeżdżaliśmy z lasu. Na niebie czerwienioło się jeszcze słonko, ale dokoła mroczyło się i noc zimowa wielkimi krokami szła na świat i otulała go płachtą cienia. Nade wsią tłuły się dymy z kominów a w zamglonym powietrzu kołowały wrony kracząc przeraźliwie. Oszroniałe olchy, jabłonie w sadach i smukłe topole stercały ponad chałupami, między którymi łazili ludzie sprawujący wieczorny obrządek. Żurawie studzienne skrzypiały przeciągle, psy naszczekiwały pod nogami. Nade wsią zapadła styczniowa, mroźna noc.”

Nie sposób w ramach krótkiego opracowania ująć zagadnienie języka ludowego naszego regionu obszerniej lub całkowicie. Wymagałoby to na pewno oddzielnego, szerokiego potraktowania. Niechże chociaż to wrywkowe i bardzo powierzchowne podanie tylko garstki z tego ogromnego zagadnienia zorientuje nas o ciekawej oryginalności tego języka i pokaże jego barwny folklor mogący śmiało konkurować o swą odrębność z innymi regionami naszego, bogatego w ludowość kraju polskiego.

ROZDZIAŁ VI

RELIKTY DAWNEJ PRZESZŁOŚCI.

Powiat węgrowski, obok wielu innych regionów kraju, obfituje także w wiele różnych i ciekawych pamiątek i zabytków z dawnej przeszłości. Relikty te stanowią niezaprzeczalne dokumenty historyczne, są widowym dowodem dawnej kultury naszego narodu w poszczególnych epokach jego istnienia.

Z otchłani wieków ponad tysiącletniego bytowania naszego państwa wyłaniają się spisane pracowitymi rękami dowody dawnej przeszłości, będące dokumentami życia naszych przodków.

Troskliwe skatalogowanie istniejących zabytków to znamieny i doniosły moment dla kultury naszego narodu. Dzięki temu wydobyto z zapomnienia tysiące pomijanych dotychczas bezcennych dokumentów, w które oprócz znanych powszechnie narodowych pamiątek obfitują nieznane nieraz miejscowości, miasteczka i osiedla.

Dzięki głębokiej trosce Instytutu Sztuki przy Polskiej Akademii Nauk podjęto w Polsce od szeregu lat wielki i bezcenny trud wynalezienia, czy też po prostu wygrzebania, nieznanych częstokroć dotychczas reliktyw i przyznać trzeba, uratowano je od ludzkiego zapomnienia, a może nawet zagłady. Co w tym najważniejsze, że zwrócono w ten sposób uwagę powszechną na ich muzealną i narodową wartość jako dowodów odległej nieraz przeszłości. W wielu przypadkach nikt i nigdzie dotychczas nie zwrócił uwagi na zapadłe nieraz miejscowości, w których kryły się zapomniane, bezcenne niejednokrotnie, o muzealnej wartości eksponaty jako dowody dawnej kultury.

Należy z największym dla tej akcji uznaniem stwierdzić, że tylko w warunkach głębokiej troski władzy ludowej w naszym kraju o kulturę narodową – dokumenty te zostały pokazane na światło dzienne, a w wielu wypadkach udostępnione szerokiemu ogółowi i pracownikom kultury do ich badania dla celów naukowych i historycznych.

Doczekał się takiej monografii w postaci Katalogu zabytków zinwentaryzowanych w tomie X województwa warszawskiego, przez przedstawicieli Instytutu PAN, Izabellę Galicką i Dariusza Kaczmarzyka w zeszycie 26 również i nasz powiat węgrowski (Katalog Zabytków Sztuki w Polsce, Tom X, Województwo warszawskie, Wyd. Instytut Sztuki Polskiej Akademii Nauk, Warszawa 1964, Zeszyt 26, Powiat Węgrowski). Po raz pierwszy troskliwe ręce ludzi sztuki, znawców i koneserów muzealnictwa, dokonały takiego zbiorowego podsumowania wszystkich zabytków i dzieł sztuki znajdujących się na terenie naszego powiatu.

Nikt przedtem w sposób całościowy i powszechny nie zadał sobie trudu na cierpliwe, monograficzne ujęcie wszystkich reliktyw powiatu węgrowskiego we wszystkich jego miejscowościach w sposób tak dokładny i docieklivy, jak dokonano tego przez dwoje wyżej wymienionych ludzi. Dzięki im za ogromny wkład pracy włożonej w wielki i docieklivy trud badania na pewno cierpliwego i niezwykle cennego docierania do zapomnianych i na pozór mało interesujących świadków minionych czasów. Należy tylko żałować, że nakład tego wydawnictwa był zbyt niski, że nie mógł zaspokoić szerokich potrzeb zwolenników czci i ochrony dawnych pamiątek.

Opracowanie powyższe powinno znaleźć się w każdej bibliotece na terenie całego powiatu, w każdej szkole, a nawet w wielu domach. Dla szkół w powiecie węgrowskim, a także i w powiatach sąsiednich, jest to niezrównany przewodnik w organizowaniu krajoznawczych wycieczek szkolnych dla poznawania przede wszystkim własnego regionu. Podczas młodzieżowych wódczeg i wędrowek regionoznawczych katalog ten będzie z pewnością doskonałym nie tylko przewodnikiem, lecz także informatorem, w którym z niezwykłą znajomością spraw i rzeczy podane jak najbardziej dokładnie dane o wszystkich skatalogowanych reliktywach w 35 miejscowościach naszego powiatu. Najbogaciej, bo obfitującymi w najliczniejsze dokumenty i zabytki z dawnej przeszłości, potraktowano stolicę powiatu – Węgrów, potem wielowieczny, stary Liw, Starąwieś, Miedznę i Wyszków.

Na stronicach 16 i 17 tego cennego wydawnictwa poświęcono 28 wierszy również i naszemu Sadownemu, zaś na stronie 3 Grabinom z naszej GRN i w części ilustracyjnej zamieszczono 7 fotografii ważniejszych zabytkowych reliktywów przeszłości ziemi sadowieńskiej. Zdjęcia te wykonane z najwyższą starannością przedstawiają: Fig. 82 rzeźbę Matki Boskiej Bolesnej pochodzącą z około poł. w. XVI, Fig. 84 rzeźbę w drzewie św. Jana Ewangelisty z około poł. w. XVI, Fig. 89 Krucyfiks z wieku XVIII, Fig. 92 Grabiny kapliczkę przydrożną. Rzeźba św. Jana Nepomucena z 2 połowy w. XVIII, Fig. 134 Ornat z w. XV/XVI, Fig. 135 Ornat z w. XV/XVI i Fig. 136 również Ornat z w. XV/XVI.

W ogólnym tekstowym ujęciu dotyczącym naszego regionu mówiąc o Grabinach wspomniano, że znajduje się tam: /cytat dosłowny/ „KAPLICZKA PRZYDROŻNA. Przy drodze z Sadownego do Brzuzy. Wzniesiona w. XVIII. Drewniana, konstrukcji zrębowej, oszalowana. Na planie kwadratu. Wejście zamknięte łukiem odcinkowym, po bokach okienka. Daszek namiotowy, gontowy, pobity blachą. Wewnątrz rzeźba św. Jana Nepomucena, późnobarokowa 2. poł. w. XVIII.”

Z uwagi na większą ilość reliktywów zabytkowych znajdujących się w Sadownym poświęcono im więcej miejsca na str. 16 i 17 tego cennego katalogu.

Znajdujemy tam w dosłownym brzmieniu „SADOWNE. KOŚCIÓŁ PAR. p. w. św. Jana Chrzyciciela. Pierwotny drewniany wzniesiony 1524., parafia erygowana przez kapitułę kolegiaty warszawskiej. Obecny wzniesiony 1906-9, wg projektu Z. Zdańskiego, po rozebraniu drewnianego zbudowanego 1748. Neogotycki. Murowany.- Tabernakulum pocz.

w. XIX. Chrzcielnica pocz. w. XIX. W nowych ołtarzach bocznych obrazy: 1. Matki Boskiej z Dzieciątkiem 2 poł. w. XVII lub pocz. w. XVIII w sukience nowszej; 2-3 śś. Kazimierza i Jana Chrzciela sygn. J/ózeł/ Buchbinder 1886. Obrazy: 1. św. Jana Nepomucena w. XVIII; 2. św. Kazimierza w. XVIII o charakterze ludowym, znacznie przemalowany; 3. św. Antoniego Padewskiego w. XVIII/XIX; 4. Chrztu w Jordanie 1 poł. w. XIX; 5-6. św. Piotra i Pawła w tondach, 1 poł. w. XIX. Krucyfiks późnobarokowy po poł. w. XVIII. Krzyż procesyjny rokokowy 2. poł. w. XVIII. Monstrancja rokokowa ok. poł. w. XVIII z nieczytelną puncą na nodusie. Kielich gładki w. XVIII. Puszka gładka w. XVIII. Bęben w. XVIII. Trzy ornaty z bokami późnogotyckimi z brokatu aksamitnego w duże owoce ananasa w. XV/XVI. PLEBANIA. Zbudowana 1828, nieznacznie przerobiona. Drewniana, konstrukcji zrębowej, tynkowana, parterowa. Na planie prostokąta, siedmioosiowa, z nowszym gankiem na osi. Układ wnętrza dwutraktowy z sienią na osi, w której komin arkadowy. Kryta dachem dwuspadowym, z naczółkami, gontowym. Na plebanii dwie rzeźby: Matka Boska i św. Jan Ewangelista z grupy Ukrzyżowania, zapewne z belki tęczowej, późnogotyckie ok. poł. w. XVI, odnowione ok. 1960.”

Oczywiście w Katalogu tym jest mowa o istniejących aktualnie zabytkach. Obowiązkiem zaś naszym jest nie tylko omówienie na tym miejscu wzmiankowanych w powyższym opracowaniu, lecz także wspomnienie o tych, które były, a z różnych powodów znikły, lub zostały brutalną ręką starte z powierzchni naszej ziemi. Spora ich ilość nie odżyje na nowo już nigdy by świadczyć o minionych dawno czasach. Przestały istnieć bezpowrotnie i tylko wspomnienia o nich krążyć będą wśród mieszkańców naszego regionu, a z biegiem czasu słuch o nich może zaginie zupełnie.

Zatem chyba jakąś koniecznością historyczną wynikającą z nakazu naszego regionu będzie przypomnieć je potomnym, że kiedyś były, istniały i spełniały sobie powierzoną rolę.

Ponadto także nie wolno pominąć omówienia bliższego żywych świadków kilkusetletniej przeszłości naszej ziemi, którymi są tkwiące głęboko swymi potężnymi korzeniami, odwieczne pomniki przyrody, w postaci wiekowych dębów czy wiązów rosnących jeszcze pod dziś dzień w wielu miejscach.

Gdyby szum ich konarów dał się zamienić na mowę ludzką, byłoby z pewnością wiele do usłyszenia o przeróżnych wydarzeniach, jakie miały miejsce w naszej okolicy, a których na pewno były one świadkami. Niestety tylko prastary wygląd może nam snuć domysły o ich wiekowych przeżyciach, choć także i spośród nich wiele legło już dawno pod ciosami toporów i siekier zadających śmierć zachłanną ludzką ręką.

Takich wiekowych pomników przyrody pozostało na naszym terenie już niestety niewiele. Można je dosłownie zliczyć na palcach obu rąk i jeśli nie zostaną otoczone należytą opieką, mściwy i okrutny los chciwych rąk ludzkich może je bezpowrotnie zgładzić na zawsze. Zróbmy wszystko, aby rosły one nadal spokojnie i szumiały swe pieśni o mijających nieustannie czasach.

Są to w tej chwili na pewno już tylko unikaty po dawnej, jak podaje historyk tym ziem (Tomasz Szczechura) puszczy kamienieckiej, wśród której szumiały niegdyś swym listowiem i konarami, opierając się przez wiele lat burzom i piorunom nie tylko tym z natury, lecz także i dziejowym.

Dostojni świadkowie minionych czasów przeżywały drzewa nasze chwile wzniośle, jak również i tragiczne dla narodu. Pamiętają niejedno i oczyma swych drewnianych dusz widziały życie szczęśliwe i tragiczne naszych przodków.

Metrykami ich sędziwego wieku są opasłe, porośnięte spękaną, grubą korą pnie liczące po kilka metrów w obwodzie i tęgie konary okrywające się przez kilkaset już na pewno wiosen listowiem zielonym jako płaszczem smaganym wichrami i deszczem podczas burz i nawałnic przeciągających wśród lata i dżdżystej jesieni.

Najgrubszy z nich, wielowiekowy dąb, obok kilku innych mający 5 m 60 cm w obwodzie pnia, tkwi głęboko swymi korzeniami w ziemi pagórka cmentarnego w Sadownem i na równi ze swymi braćmi stróżuje wiernie od lat wśród krzyży i mogił, stojąc jakby na straży niezmaconego niczym spokoju cmentarnego i ciszy ponad stuletniego, kilkutysięcznego sadowieńskiego miasta umarłych.

Wyznaczonym losem naszych dębów cmentarnych, tych prastarych pomników przyrody był, jest i długo jeszcze będzie smutek jako nieodstępny towarzysz ich życia wpleciony prawem natury w przymusowe, codzienne niemal świadectwo ludzkich łez, żalu i szlochów rozpaczonych wynikłych ze straty osób sobie bliskich.

Już od 150 prawie lat są one niemymi świadkami smutnego grzebania zmarłych, którzy śpiąc snem wiecznym nie powstaną więcej aby wrócić pośród żywych. Troskliwa opiekunka ziemia kryje ich szczątki i z biegiem czasu zamienia je na proch i nicość.

Cmentarne staruszki – dęby widziały tu nie jedno. Oprócz zwykłych obrzędów pogrzebowych oglądały pogrzeby masowe wynikię z grasujących na ziemi naszej epidemii, były także świadkami tragicznego obrzędu zbiorowego grzebania Bohaterów wojny wrześniowej 1939 roku. Szumem swoich konarów i liści koity wieczny sen pomordowanych w tej wojnie partyzantów i zakatowanych na śmierć za nic, niewinnych ofiar hitlerowskiego bestialstwa z różnych wsi naszego sadowieńskiego regionu.

Podczas święta zmarłych, długo w noc rozświetlają się ich smętne konary bełkającymi płomykami świec i lampek nagrobnych. Zadumane w swych wiekowych wspomnieniach, tkwią niezmiennie na tym samym miejscu – świadkowie dawnych czasów – najstarsze pomniki naszego terenu. Niewielu ich braci pozostało do dzisiaj. Zachłanność ludzka, szczególnie podczas ostatniej wojny zmiotła je z ziemi Płatkownicy, Sójkówka i Sadolesia.

Również do starych pomników przyrody należy zaliczyć wiązy rosnące obok kościoła i plebanii, a także okazały swą wielkością i ogromem konarów wiąz rosnący obok Ośrodka

Zdrowia patronujący przez wiele, wiele długich lat nie istniejącemu już dziś budynkowi tzw. starej gminy.

Ponad sto lat liczą sobie rosnące przy szosie za Zieleńcem topole wyniosłe i pękate w obwodzie swych pni, sadzone w drugim ćwierćwieczu ubiegłego stulecia przez dawnego wójta gminy sadowieńskiej – Szczurowskiego.

Aktualnie do najstarszych budynków Sadownego należy zaliczyć omówiony w katalogu zabytków sztuki budynek plebanii zbudowany w roku 1828. Sędziwy staruszek budownictwa naszego regionu liczący dziś sobie równe 140 lat przetrwał dwa narodowe powstania i był na pewno świadkiem niejednego zdarzenia jakie miały miejsce na przestrzeni tych lat w Sadownem i okolicy.

Z istniejących jeszcze w tej chwili (1970 r. – przyp. red.) przykładów dawnego budownictwa w Sadownem należy zaliczyć stary, ponad wiekowy dom rodziny Wójcików, stojący przy drodze do Rażen, dom rodziny Mućków, obecnie zamieszkiwany przez Falkowskich oraz chatę Jana Sówki przy ulicy Kościuszki nr... . Są to charakterystyczne i typowe przykłady dawnego budownictwa wiejskiego o niskich ścianach, niewielkich oknach z maleńkimi szybkami i ogromnie małych drzwiach, przez które wchodzące osoby wyższe wzrostem muszą nisko pochyłać głowy. Ich wnętrza przenika półmrok panujący tu zawsze ze względu na niewielkie okna z sufitami bitymi, szerniałymi od starości deskami z zewnątrz belek, a nie od strony wewnętrznej. Są to budynki drewniane, pobudowane z bali grubych dartych toporem i klinami, kryte we wszystkich przypadkach strzechą słomianą.

Budynki te, ze względu na swój wiek, zapadły się już nieco w ziemię i z uwagi na rdzenne, smolne, przepojone żywicą drzewo, trwają uparcie wysoko ponad sto lat, wróżąc sobie jeszcze długie bytowanie. Nikt z najstarszych żyjących do niedawna w Sadownem ludzi, ani ich obecni mieszkańcy, nawet ci bardzo starzy, nie umieją określić wieku swych chat. W ścianach tych domów wychowało się bowiem już po kilka pokoleń, co również świadczy o ich starości.

W roku 1965 rozebrany został w Sadownem również jeden z najdawniejszych obiektów dawnego budownictwa w naszym regionie, wiekiem swoim prawdopodobnie przerastający wszystkie inne, nawet plebanię. Był to budynek starej gminy, w dziejach swoich podobno trzykrotnie zmieniał miejsce swego zamieszkania. Na początku XIX stulecia pobudowany był dla celów gminnych w Kołodziążu, potem przeniesiony do Sójkówka, gdzie był siedzibą gminy Płatkownica i wreszcie stamtąd przeniesiony do Sadownego, w którym, według bliżej nieokreślonych danych, był od lat czterdziestych ubiegłego stulecia siedzibą władzy gminnej, począwszy od urzędowania wójta Szczurowskiego. Był on także przedtem wójtem gminy Kołodziąż.

Jeden z najstarszych dokumentów dawnej architektury żyje już tylko dzisiaj we wspomnieniach ludzkich i ku pamięci naszej utrwalony z pełnym jego podobieństwem przez

Edwarda Sówkę w postaci obrazu olejnego. Będzie to w tej chwili jedyna po nim pamiątka, obrazująca jego wygląd i ciekawą architekturę.

Był to budynek parterowy, postawiony na planie prostokąta z dwoma kominami i dachem dwuspadowym z naczółkami, przedtem kryty gontem, w ostatnich latach eternitem płytkowym. Zbudowany był na konstrukcji zrębowej i posiadał wewnątrz 8 pomieszczeń na parterze i jedną izbę dla tzw. kiedyś stójkowego na strychu, z oknem wychodzącym na wschód. Przez wiele lat mieścił się w tym budynku areszt z okratowanym oknem i drewnianymi wewnątrz pryzkami dla potrzeb jego pensjonariuszy. Ponadto dwie sale tego budynku przeznaczone były dla potrzeb Urzędu Gminnego, reszta zaś służyła jako mieszkanie dawniej dla pisarza gminnego, w czasach późniejszych zwanego sekretarzem gminnym. Na strychu, od strony zachodniej, było jeszcze jedno pomieszczenie przeznaczone na archiwum akt gminnych, w którym, pokryte kurzem, tkwiły przez wiele dziesiątków lat grube foliały dokumentów z działalności dawnej gminy. Część z nich została nieopatrnie zniszczona przez spalenie przez grupę żołnierzy podziemnej armii podczas dywersyjnego niszczenia akt okupanta podczas ostatniej wojny, część zaś przy rozbiórce w roku 1965 przez ludzi nieświadomych, nie rozumiejących wartości tych dokumentów dla historii naszej ziemi. Znikoma zaledwie ich ilość, dotycząca tzw. paletów podwodowych z I poł. XIX stulecia, została w roku 1967 wygrzebana i uratowana od zagłady i znajduje się, aż do ostatecznego ich przeznaczenia, w kancelarii szkoły podstawowej.

Z zewnątrz budynku, od jego strony północnej, przybudowane były dwa ganki, jeden z wejściem do biur gminnych, drugi od strony zachodniej z wejściem do mieszkania sekretarza i aresztu.

Po przeniesieniu się stamtąd Gromadzkiej Rady Narodowej w roku 1960 do nowego, murowanego budynku w centrum naszej osady – stary budynek gminny, aż do chwili jego zniesienia, służył potrzebom Wiejskiego Ośrodka Zdrowia, który dziś mieści się w budynku nowym, wzniesionym na miejscu tamtego dawnego w roku 1966.

Żałować tylko należy, że jeden z najstarszych przykładów dawnego budownictwa na naszym terenie został zniszczony i nie ma chyba już żadnej siły, która by zdołała odtworzyć go na powrót. Byłby to z pewnością obiekt zabytkowy naszego terenu, stanowiący ze względu na swą dużą jeszcze wartość drewna, z którego był pobudowany, długoletnie świadectwo dawnej przeszłości.

Gdyby miłość ludzka dla relikwów dawnej przeszłości była u nas większa i gdyby troska o te rzeczy nacechowana była obywatelskim przywiązaniem i kultem dla ich wartości zabytkowej, mielibyśmy dziś w Sadownem i okolicy wiele ciekawych i cennych obiektów o skansenowskiej wartości, które mogłyby świadczyć o życiu minionym naszej ziemi i jej przodków.

W podobny sposób zgładzono inne ważne przykłady z dawnych czasów, jak na przykład w roku 1906 zabytkowy, drewniany kościółek, pobudowany w roku 1748. Byłby to

niewątpliwie jeden z najstarszych zabytków budownictwa drewnianego z poł. XVIII w. Żaden z budynków w naszym regionie nie dorównałby wiekiem temu sędziwemu obiektowi. Dziś pozostał po nim tylko wizerunek odtworzony w obrazie olejnym na podstawie oryginalnego rysunku z natury wyk. przez art. rysownika Olszewskiego. Rysunek ten zaginął po śmierci proboszcza J. Makarewicza i na szczęście pozostający w zbiorach kościoła obraz jest jedynym dowodem jego podobizny. Cytując dane o tym obiekcie z pracy Tomasza Szczehury pt. „Nad Bugiem, Ugoszczą, Wilączą” – dowiadujemy się, że: - „Ściany drugiego kościoła spoczywały na podmurowaniu, dach kryty był gontami. Kościół miał dwie wieżyczki, na dachu dwa krzyże metalowe – nad wejściem i nad wielkim ołtarzem. Podłoga miała być z desek, prawdopodobnie były to dranice. Okien z drobnymi szybkami było 7. W nawie były dwa chóry zabezpieczone balustradami: nad wejściem i przy jednej ze ścian bocznych. Zakrystia miała wymiary około 2X4 m, zaopatrzona była w 2 okienka. Cały budynek kościelny miał szerokość ok. 9,5 m i długość ok. 26, 5 m, powierzchnia jego więc wynosiła ok. 250 m kw. Jak z tego wynika, poprzedni kościół sadoweński był budynkiem niewielkim, a jeszcze mniejszy był najpierwszy kościółek. Kościół otoczony był cmentarzem grzebalnym, mającym w obwodzie ok. 300 m, czyli blisko 1 morgę powierzchni. Ogrodzony był dylami drewnianymi. Wejście główne, zarówno na cmentarz, jak i do kościoła, było od strony zachodniej, dodatkowe od strony plebanii. Na cmentarzu stała dzwonnica z dranic, w niej były zawieszane dwa dzwony. Drzew na cmentarzu nie było wiele. Było to miejsce wiecznego spoczynku dla parafian”.

Jak z tego wynika, najbliższe otoczenie kościoła przeznaczone było na cmentarz grzebalny dla zmarłych parafian. Tak było istotnie o czym świadczy fakt zanotowany w zapisach kronikalnych księdza S. Obłozy, omawiających kolejność pasterzowania poszczególnych proboszczów sadoweńskich parafii, pod poz. 23o ks. Andrzeju Grabowskim, plebanie od 1752 – 1766 r., który zmarłszy w wieku 63 lat został pochowany obok innych na tym właśnie cmentarzu. Przy zakładaniu fundamentów pod nowy kościół dnia 20 IX 1909 r. natrafiono na jego zwłoki. Cytując za ks. Obłozą dowiadujemy się, że: „Trumna i ciało zachowane zupełnie w całości. Oglądali wszyscy pracujący i podziwiali. Trumna skromna, drewniana. Napis i rok na trumnie objaśniał kto tu złożony. Pogrzebano powtórnie pod kościołem blisko ambony”. Ze względu na brak miejsca na tym cmentarzu w roku 1835 przestano na nim grzebać zmarłych i założono nowy cmentarz w miejscu dzisiejszym.

Gdy w początkach obecnego stulecia środowisko nasze zaczęło się coraz bardziej zaludniać, przybyły do Sadowego z Prostyni nowy pleban ks. S. Obłozą podjął rozpoczęte przez swego poprzednika ks. Adama Sadowskiego starania o budowę nowego, murowanego i większego obiektu sakralnego i po nieopatrzonym rozebraniu (1906) wyżej wspomnianego kościółka drewnianego, wznosił przy pomocy dużej ofiarności parafian i hr. Zamoyskiego w latach 1906-1909, kosztem ponad 70 tys. rubli, obecną murowaną świątynię. Wielkością swą i imponującym rozmachem architektonicznym dorównuje ona niejednej potężnej budowli tego rodzaju, godnej nie zapadłej wsi, ale wielkiego miasta.

Drzewo ze starego kościoła, będące mimo starego wieku w stanie doskonałym, składowane było przez wiele lat obok placu kościelnego, a z jego części pobudowano w końcu lat 20-tych obecnego stulecia dom kościelny, zwany nowym wikariatem, a przeznaczonym dla potrzeb mieszkalnych wikariuszy i organisty. Dom ten utrzymany w stylu zakopiańskim przetrwał do roku 1939 i we wrześniu podczas pożaru Sadownego spłonął wraz z dobytkiem jego mieszkańców. Reszta drzewa z drewnianego kościoła przeznaczona została dla potrzeb parafii i dziś już żaden ślad po tym zabytkowym obiekcie nie istnieje.

Drugim, znacznie młodszym od poprzedniego, zbudowanym dla potrzeb parafii około roku 1800, był drewniany budynek, który uchwałą Rady Kościelnej rozebrano w roku 1938. Oryginalny w swej architekturze, zwany przez długie lata „starym wikariatem” dom ten zbudowany na planie kwadratu stał naprzeciw frontonu obecnego kościoła i usytuowany był równolegle do stron świata. Posiadał cztery wejścia po jednym z każdej strony oraz 16 małych, sześciokątowych okien. Był to budynek drewniany, szalowany pionowymi deskami i bardzo wysokim i nie spotykanym w naszej okolicy dachem czterospadowym, krytym w sposób archaiczny grubą warstwą słomy. Na szczycie tego dachu dominował nad całością potężny, bielony wapnem komin spełniający wszechstronną rolę zbiornika dymu ze wszystkich znajdujących się w nim urządzeń ogrzewczych. Dom ten ze względu na swą dość okazałą objętość, mógł służyć na mieszkania dla kilku jednocześnie rodzin. Jego architektura, a szczególnie wysokostropowy dach, w niczym nie przypominały cech budownictwa lokalnego. Ponieważ był on budowany w okresie zaboru austriackiego, krążyło wśród miejscowej ludności przez długie lata mniemanie, że mieli go budować Austriacy, co rzeczywiście wyżytkowało z cech architektonicznych przywiezionych przez zaborcę z jego dalekiego kraju. Budynek ten przez cały okres swego istnienia spełniał najprzeróżniejsze powinności. Na podstawie zapisów kronikalnych kościoła należy sądzić, że był to obiekt stanowiący własność administracji kościelnej i w której części służący jej potrzebom. W wieku XIX znajdował się w nim przytułek dla starców bezdomnych zwany „szpitalem” a utrzymywany przez plebana – stanowił także w różnych okresach czasu pomieszczenie dla stróża kościelnego i zakrystiana, a w czasie międzywojennego 20-lecia służył za mieszkanie dla wikariuszy i organisty. W latach od 1925 – 1933 w jednej z jego części od strony zachodniej znajdowały pomieszczenie dwa oddziały ówczesnej sadowieńskiej szkoły powszechnej. W służbie swej przetrwał on około 140 lat i ze względu na swój wiek i coraz gorszą przydatność rozebrany został i dziś oprócz zdjęcia fotograficznego innego śladu po nim nie ma.

Do dnia dzisiejszego pozostał z tego samego mniej więcej okresu, zachowany w dość dobrym jeszcze stanie stary dom w Morzyczynie, będący od szeregu dziesiątków lat własnością rodziny Kowalskich nabytą w drodze odkupu od dawnego właściciela tych ziem hr. Zamoyskiego, który przejął go z rąk Austriaków. Trudno w tej chwili określić dokładnie wiek tego obiektu, ponieważ żadnych bliższych dowodów na rok jego budowy nie znamy. Można tylko w przybliżeniu, idąc za wskazówką historyka tych ziem Tomasza Szczehury, określić jego istnienie sprzed roku 1809, tj. na około 160 lat. Historia tego domu wiąże się z

pobytem na ziemi sadowieńskiej zaborcy austriackiego, który po ostatnim rozbiore kraju w roku 1795, po ostatecznej utracie niepodległości przez nasz naród, zagarnął cały region wraz z innymi połaciami kraju pod swoje panowanie. Rzeka Bug stanowiła wtedy linię graniczną między Austrią i Prusami, a leżące na przeciwnym brzegu tej rzeki Małkinia, Brok, Bojany i Udrzyn znajdowały się pod zaborem pruskim. Bug był wówczas granicą, która została obsadzona przez austriacką straż graniczną. Dla tej to straży zaborca budował domy z kamienia, cegły i gliny w pasie przygranicznym, z których dwa zachowały się po dziś dzień w Morzyczynie i Kołodziążu. Budynek ten ze względu na swą przeszłość winny być otoczony troskliwą opieką i znajdować się jako dokument dawnych czasów pod ochroną.

Równą ich wiekowi, a może jeszcze starszą, była do września 1939 r. stara karczma sadowieńska, spalona podczas pożogi wojennej. Stary ten budynek, tkwiący już tylko w wyobraźni i pamięci ludzi starszych, stał w pobliżu kościoła, równolegle do drogi, w pobliżu zakrętu, naprzeciw domostwa Edwarda Chełchowskiego. Położony na niewielkim wzniesieniu, dziś już rozkopanym całkowicie, budynek ten zbudowany na planie wydłużonego prostokąta, spełniał w dawnych czasach rolę karczmy – zajazdu i stanowił obok innych tego rodzaju obiektów w Rażnach, Kołodziążu, Morzyczynie, Płatkownicy, Mrozowej Woli, Zieleńcu, Sokółce i Orzełku, intratne źródło dochodu ich posiadaczy. Jeszcze przy końcu ubiegłego stulecia niektóre z nich były czynne i stanowiły jedyne wówczas ośrodki rozrywkowe dla ludności wiejskiej. W ostatnich latach przed swą zagładą sadowieńska karczma spełniała już tylko rolę domu mieszkalnego, a jego ostatnia właścicielka Józefa Chełchowska, oprócz wynajmu dla lokatorów, część tego olbrzymiego domu dzierżawiła dla potrzeb szkoły.

Jednym z ciekawszych i cenniejszych zabytków dawnej sztuki polskiej w naszym regionie jest przydrożna kapliczka z figurą drzewną św. Jana Nepomucena z drugiej połowy XVIII wieku, znajdująca się przy drodze z Sadownego do Rażen, Zarzetki, Zalesia. Jeśli wierzyć legendzie dziś już prawie zanikłej, a jeszcze w latach przedwojennych krążącej i powtarzanej często wśród miejscowego ludu – pochodzenie owej kapliczki jest dwójakie. Jedna z wersji głosiła, że w czasach niepamiętnych podczas ogromnego wylewu Bugu kapliczka ta łącznie z figurą świętego miała przypląć tu i osadziwszy się rzekomo na miejscu obecnym, tkwi w nim po dziś dzień. Druga głosi, że kapliczka miała znajdować się u podnóża pagórka, na którym wznosi się kościół i podobnie jak w poprzedniej opowieści, rwący nurt wody powodziowej miał przenieść kapliczkę z Sadownego aż pod Grabiny. W związku z tym zrodziło się krążące nagminnie dawniej wśród miejscowych ludzi znane powszechnie w regionie sadowieńskim porzekadło, że „-odsunął się jak święty Jan od Sadownego” lub nieco inaczej – „odsunął się jak święty Jan od kościoła”. Ta ostatnia wersja wydaje się być bliższa prawdy ze względu na zakorzenione wśród ludu zacytowane wyżej porzekadło powtarzane od niepamiętnych czasów w przypadkach życia codziennego, gdy dany osobnik odsuwał się od czegoś lub kogoś. Żadne ze źródeł dawnych nie stwarza innej wersji i tę legendarną, choć z dużą ostrożnością, należy przyjąć jako najbliższą stanu faktycznego. Pomijając wszystkie temu podobne względy, wątpliwości, czy też prawdy, z jednym trzeba się zgodzić pewnością,

że jest to unikalny zabytek osiemnastowiecznej sztuki rzeźbiarskiej, nie należący do rzędu świątków przydrożnych rzezanych ręką wiejskiego samouka, lecz wg orzeczenia koneserów sztuki, stanowiący nieprzeciętne dzieło nieznanego artysty z tamtych czasów. Doskonała forma ujęcia postaci świętego, realizm detali poszczególnych części jego kapłańskiego ubioru, gesty uduchowienia całej sylwetki, a w szczególności rąk i głowy, mówią dobitnie o nieprzeciętnym talencie snycerskim jej autora.

Obiekt ów troskliwie zdawałoby się objęty opieką Ministerstwa Kultury i Sztuki, oznaczony nawet tablicą informacyjną – ochronną, nie skorzystał niestety dotychczas z dobrodziejstw tej opieki ani razu. Zamieszczenie tam wspomnianej wyżej tablicy było dotychczas jedynym, oby nie ostatnim, aktem troski czynników do tego powołanych. Jego wartość zabytkowa, niemal muzealna, wymaga większej troskliwości, a już na pewno okresowych konserwacji wykonywanych przez znawców konserwatorskich. Bezpośredni wpływ szkodliwych warunków atmosferycznych może poczynić straty niepowetowane, których być może nie da się nigdy odrobić. Nie mamy w naszym regionie zbyt wielu reliktyw z dawnej przeszłości, niechże więc te nielicznie istniejące znajdą naprawdę troskliwą ochronę i dbałość czulszą o nie, aby przetrwały jak najdłużej.

Ciekawymi również o wielkiej wartości muzealnej są relikty sakralne znajdujące się w zbiorach kościoła parafialnego w Sadownem. Spośród wielu tam istniejących należy wymienić z nich najważniejsze, a między innymi rzeźby w drzewie: Matki Boskiej Bolesnej i św. Jana Ewangelisty, obie około połowy XVI w. utrzymane w stylu późnogotyckim, a pochodzące prawdopodobnie z grupy Ukrzyżowania, która zdobiła wnętrze poprzedniego kościoła sadowieńskiego, a po jego rozbiórce zdemontowana i pozostająca przez długie lata w nieludzkiej poniewierce.

Odkrycia tych bezcennych zabytków sztuki sakralnej dokonał około roku 1960 wzorowy gospodarz parafii, czuły na wartość nie tylko historyczną, ale i zabytkową podległego sobie obiektu kościelny mgr kanonik Piotr Aleksandrowicz. Wielka troska i pieczołowitość tego człowieka o skarby dawnej kultury ocaliły niejedną cenny eksponat znajdujący się oprócz wyżej wymienionych w stałym, troskliwym depozycie sadowieńskiego kościoła. Dodać jeszcze należy, że pod troskliwą opieką kanonika Aleksandrowicza znajdują się unikalne na skalę nie tylko narodową, lecz chyba europejską, trzy ornaty wywodzące swój rodowód z w. XV/XVI. Są to bezsprzecznie rzadkie dziś w kraju wytwory średniowiecznego rękodziela sakralnego. Mimo swej starości zachowały do dziś swoistą piękność i świeżość artystycznego haftu z bokami późnogotyckimi z brokatu aksamitnego w duże owoce ananasa i są doskonałym dowodem ludzkiej cierpliwości, uporu pracy żmudnej w niepowtarzalnej formie i układzie artystycznym wzorów. Bezcenne te skarby godne są lokalizacji najprzedniejszych muzeów świata i dlatego region nasz winien być dumny z tak cennego i rzadkiego posiadania.

Z dawnego malarstwa artystycznego sadowieński kościół jest w posiadaniu licznych przykładów sakralnego malarstwa olejnego, z których do najcenniejszych należy zaliczyć

obrazy: Matki Boskiej z Dzieciątkiem z II poł. XVII wieku, św. Jana Nepomucena z w. XVIII, św. Kazimierza o charakterze ludowym z w. XVIII, św. Antoniego Padewskiego z w. XVIII i inne. Na szczególne wyróżnienie zasługuje znajdujący się w lewym bocznym ołtarzu obraz królewicza św. Kazimierza (sygn. 1886) pędzla doskonałego malarza religijnego, neofity Józefa Buchbindera, Podlasiaka, urodz. 17 XII 1839 w Mordach koło Siedlec, zm. 14 V 1909 w Warszawie. Artysta ten zaliczany do rzędu nieprzeciętnych mistrzów olejnego malarstwa portretowego i sakralnego uczył się swej sztuki w Szkole Sztuk Pięknych w Warszawie (1856-62), następnie dla pogłębienia swego kunsztu malarskiego wyjeżdża do Drezna, Monachium, Dusseldorfu i Paryża i przez okres 6-letni studiuje w Akademii św. Łukasza w Rzymie. Staranne wykształcenie, nieprzeciętny talent i ogromna znajomość warsztatu malarskiego poparte cierpliwą, żmudną pracą, uczyniły zeń wirtuoza malarstwa religijnego, który w licznych kościołach Podlasia (Czerwonka Liwska, Węgrów, Sadowne) i w innych regionach kraju pozostawił po sobie wspaniałe dzieła.

Dużą wartość artystyczną przedstawia również potężne płótno zamieszczone w głównym ołtarzu a przedstawiające „Chrzest w Jordanie” (mal. ok. r. 1930) pędzla warszawskiego artysty malarza Antoniego Gawińskiego. Nieznany szerszemu ogółowi ten artysta działał na równi z innymi malarzami w kręgu środowiska warszawskiego w II poł. ubiegłego i na początku obecnego stulecia, jako znany akwarelista, malarz historyczny i ilustrator licznych książek i czasopism. Charakterystyczną cechą jego obrazów jest ciekawy w ujęciu i bogactwie barw koloryt, chwilami surowy, bazujący na dominacji barw niebieskich i fioleto. Styl jego prac odbiega daleko od realizmu płócien wielu jemu współczesnych, dysponując śmiałymi plamami płaszczyzn o niepokojącym nieraz ujęciu i wielobarwnej fakturze bogatej gamy kolorystycznej. Scena chrztu Chrystusa w Jordanie przedstawiona została przez artystę w sposób surowy, realistycznie prosty pod nadbrzeżnym drzewem, sponad którego spływa niebiański blask niedostrzegalnej prawie gołębiczy Ducha św. W sposób niezwykle prosty przedstawił tu artysta ubóstwo obu postaci biblijnych, a w szczególności św. Jana Chrzciela na poły nagiego, odzianego w sposób niemal żebraczy w liche skóry. Ta niezwykła prostota kompozycji i formy, ujęta bez bogatej scenerii, wśród ubożego krajobrazu, stwarza niepospolity klimat tego dzieła malarskiego, jakże ściśle związany z momentem tego wydarzenia biblijnego. Za pomocą znanych tylko sobie środków wyrazu umiał artysta stworzyć ten charakterystyczny klimat obrazu i wydobyć wszystkie potrzebne mu cechy i walory, czyniąc zeń dzieło o niepospolitym pięknie malarskim i nieprzeciętnej wartości.

Z dawnego budownictwa, obok poprzednio wymienionych, należy również zwrócić uwagę na istniejące jeszcze do tej pory budynki wystawione w ubiegłym stuleciu przez hr. Zamoyskiego dla potrzeb swojej administracji. Jednym z nich będzie ogromny, tynkowany wapnem, dziś już coraz bardziej zapadający się w ziemię, dom położony przy drodze naprzeciw Kuźnicy, obok dzisiejszego Ośrodka Zdrowia, pozostałość po administratorze Zamoyskiego – Władysławie Maciaszku. Trudno jest ustalić jego wiek, ponieważ nikt w Sadownem z najstarszych ludzi nie pamięta kiedy go pobudowano. Z całą pewnością rzec

można, że liczy on sobie grubo ponad 100 lat, sądząc z jego wyglądu, sposobu budowy, materiału i nie małej ilości lokatorów jacy się przez szereg dziesiątków lat przez niego przewinęli.

Niewiele młodszyymi są istniejące jeszcze dziś dwa domy położone obok domostwa dra Mazurka, zwane od niepamiętnych czasów „kantorem”. Tę powszechnie narzuconą im nazwę wywodzą one od rzeczywiście istniejących w nich biur administracji Zamoyskiego, które tu przez długie lata się mieściły.

Kończąc ten rozdział traktujący w sposób nader skromny o reliktach z dawnej przeszłości, koniecznością nakazu i potrzeby będzie wspomnienie o kilku jeszcze osobliwych i nadzwyczaj wartościowych przykładach sztuki, które pojawiły się w Sadownem niedawno, a które obok innych cennych eksponatów stanowią wartość niepospolitą i już winny być zaliczone do arcydzieł wyjątkowych w swoim artystycznym rodzaju.

Mimo swej niedawnej, bo liczącej w chwili obecnej zaledwie kilkunastoletnią przeszłość, warto bliżej zająć się także kilkoma obiektami, które już obecnie, a w najbliższej przyszłości na pewno stanowić będą ceną i osobliwą wartość, jako wytwory ludzkiego, artystycznego rękodzieła. Nie można przejść obojętnie bez zwrócenia krytycznej uwagi, na niepospolitą wartość czterech obiektów sakralnych znajdujących się od roku 1956 w miejscowym kościele parafialnym. Łatwo w nim jest dostrzec, ponieważ swą wyjątkową okazałością, dostosowaniem do stylu świątyni i kunsztownością wykonania rzucają się od razu w oczy. Są to: strzelista i smukła ambona, spowity koronkami gotyckimi ołtarz św. Kazimierza w lewej nawie bocznej oraz dwa konfesjonały w obu nawach bocznych.

Osobliwością i niezwykłością tych obiektów jest niepospolitość artystyczna dorównująca formą i subtelnością wykonania dziełom tworzonym rękoma wielkich artystów, bo rzeźbił w drzewie te imponujące arcydzieła nie artysta szkolony, kształcony i kierowany przez znamienitych profesorów, lecz wiejski samouk w tej dziedzinie Franciszek MAKSYMIOUK z Komarówki Podlaskiej.

Nie trzeba znawców i koneserów wybitnych aby snycerstwo Maksymiuka w sposób zawiły czy naukowy dociekać lub rozpatrywać. Wielkość jego samorodnej sztuki jest jednocześnie ogromna i niezwykle prosta, dostępna w swej formie i treści artystycznej zwykłemu, przeciętnemu śmiertelnikowi, prostemu odbiorcy właśnie ze wsi.

Nie miał możliwości poznania tajników rzeźbiarstwa Maksymiuk w swej niezwykle prostej, jak i on sam, karierze. Zdumiewający i nieprzeciętny, a nawet wybitny talent tego skromnego człowieka, przemawia sam z jego arcydzieł, wytworzonych pracowitą i subtelną ręką, przypominającą ręce wybitnych rzeźaczy drewna, kamienia czy marmuru. W kunszcie sztuki tego wybitnego samouka uwydatnia się osobliwa i niezwykła znajomość swego artystycznego rzemiosła połączona w jedno z nadzwyczajną umiejętnością dowolnego kierowania materiałem przekształconym w niezwykłą formę gotyckich, misternie rzeźbionych

koronek, ostrołuków i wieżyczek zmierzających do wysmuklenia charakterystycznych cech stylu gotyckiego, bo w nim właśnie są one utrzymane z dużą znajomością tego kierunku.

Posłuszne mistrzowskim dłoniom tego samouka drzewo przybrało w znakomitych, sadowieńskich przykładach form, niepospolitą, ujętą pod kierunkiem myśli twórczej, wyobraźni i talentu Maksymiuka w niezwykle kształt zamykający w sobie wszystko, co nazwać można pięknem gotyku.

Dotychczasowe ubóstwo wnętrza świątyni sadowieńskiej zostało niepomiernie wzbogacone tymi czterema przykładami sztuki rzeźbiarskiej. Kto pamięta dawnych poprzedników tych cennych eksponatów, ten bez wahania przyzna, że były one w porównaniu z tymi nie tylko ubożuchne, krańcowo skromne, ale nawet w tysiącnej części nie dorównujące obecnym dziełom stworzonym przez Maksymiuka. Wystarczy dziś zestawić te dzieła z nieudolnie wykonanym, a istniejącym jeszcze obecnie ołtarzem M. Boskiej w prawej nawie bocznej kościoła, aby bez najmniejszego trudu odkryć misterność i bogactwo sztuki tego znakomitego samouka.

Pomijając kunsztowność rzemiosła stolarskiego w tych dziełach, trzeba widzieć jeszcze coś więcej, coś, co napawa każdego: i tego co się wyznaje na sztuce i najwykolejszego w tej dziedzinie laika, aby zauważyć bez najmniejszego trudu pomysłowość układu poszczególnych elementów i doskonałej formy graniczącej z wirtuozerią snycerstwa, a tkwiącej na pograniczu niewiedzy i nieznanomości historii sztuki, bo tej nigdy w swym życiu znakomity samouk nawet nie liznął. Jest to bezsprzecznie niecodzienne wydarzenie bez precedensu.

Dzięki dbałości gospodarnej gospodarza tej świątyni i pracowitym dłoniom artysty – samouka, duma arcyzmu snycerskiego utkwiała na zawsze w sadowieńskim kościele. Po wielu setkach lat my dziś żyjący podziwiamy dzieła sztuki znajdujące się w wielu muzeach narodowych, punktach kultu sakralnego i miejscach pamiątek. Za wiele, wiele lat, gdy przeminie niejedno pokolenie, a jakowyś kataklizm nie zniweczy pracy ludzkich rąk – podziwiać będą nasi następcy w Sadownem dzieła samouka – rzeźbiarza Franciszka Maksymiuka wykonane dla sadowieńskiej świątyni. Będą one, obok innych cennych dzieł sztuki, znakomitym dokumentem ogromnego talentu, niepospolitego arcyzmu i cierpliwości ludzkiej, jaką bezsprzecznie w nie włożył ten wyjątkowy dla sztuki samorodny artysta.

ROZDZIAŁ VII

OŚWIATA I KULTURA.

Obok wielu istotnych i ważnych dziedzin życia regionu sadowieńskiego na szczególne omówienie zasługuje historia oświaty i kultury od lat najdawniejszych do czasów nam współczesnych.

Nie sposób pominąć tej dziedziny, która na poszczególnych etapach swego rozwoju kształtowała się jako zrazu nieśmiała, zależna i skrępowana, potem w okresie budzenia się świadomości szerokich mas dopominająca się słusznego dla siebie prawa obywatelstwa, aby dojść do pełnego swego rozkwitu w Polsce Ludowej, jakiego nie notowały całe nasze 1000-letnie dzieje. Wyróżniając cztery zasadnicze etapy historii szkolnictwa naszego regionu, wyodrębnić należy: okres najdawniejszy od wieku XVI do r. 1918, międzywojenne dwudziestolecie, czasy niewoli hitlerowskiej i najznakomitszy dla rozwoju oświaty i kultury okres najnowszy w Polsce Ludowej.

Szukając źródłowych danych o początkach szkolnictwa w naszym regionie należy oprzeć się na zapisach dokumentalnych kroniki kościoła w Sadownem i wzmiankach historycznych T. Szczechury w jego opracowaniu „Nad Bugiem, Ugoszczą, Wilączę”.

Według dokumentów parafialnych, wiadomości o pierwszej szkole w Sadownem sięgają II połowy w. XVI. Oto jak wzmiankuje o tym zapis w kronice kościelnej: „W roku 1580 Kapituła Warszawska wydzieliła włókę ziemi pszennej w Kołodziążu dla kościoła, postawiła tam budynki, przeznaczyła 3 włóki ziemi dla trzech gospodarzy, których opatrzywszy we wszystek inwentarz, dała ich do pomocy w uprawie ziemi plebańskiej. Ponadto zapisała 1000 złotych na fundusz dla księdza wikarego, od tego funduszu wypłacano mu procenty na jego utrzymanie. Pobudowała też szkołę przy kościele dla nauki dzieci włościańskich ze swoich dóbr i opłacała nauczyciela.” – Stało się to w okresie czulszej niż zawsze opieki Zarządu Kapituły nad sadowieńską parafią i było dowodem nowych dla niej uposażeń ze strony jej opiekunów.

Była to szkółka parafialna, utworzona przez władzę kościelną i tak, jak wszystkie wtedy szkoły tego typu, całkowicie zależna od plebana. Jako jedyny wówczas administrator parafii, proboszcz opiekował się taką szkółką, ponieważ łącznie z jej „rektorem” czyli nauczycielem służyła ona potrzebom kościoła.

Uczęszczający do niej tylko chłopcy, których wtedy w Sadownem było prawdopodobnie niewielu, uczyli się w tej pierwszej szkole zasad wiary, pomocy w obrzędach kościelnych, służenia do mszy, początków języka łacińskiego, w tym także czytania

i pisanie oraz śpiewu kościelnego, który stanowił nieodłączny czynnik w ceremoniale całorocznym obrzędów kościelnych.

Nauczyciel ówczesny chodził ubrany w szaty duchowne, utrzymywany był z dochodów parafii i uważany za sługę kościelnego, wykonywał codziennie wiele posług w czasie obrzędów związanych z życiem kościoła.

Z ksiąg metrykalnych sadowieńskiej parafii dowiadujemy się o pierwszych nauczycielach tej szkoły, aż do końca wieku XVII. Byli to, jak wspomina kronika, „wielce szanowani i przez ogół poważani Adam Płoński, Tomasz Brokowski (Brokoniusz), Bieleński, Biniewski i Ostrowski. Nazwiska ich figurują w księgach metrykalnych dlatego, że byli oni bardzo często zapraszani przez miejscowy lud na ojców chrzestnych swych dzieci, co wynika z treści aktów urodzeń z tamtych czasów.

Jak długo trwała ta szkoła parafialna trudno jest definitywnie ustalić. Nie wiadomo również kiedy ona upadła, ponieważ brak jest dalszych śladów o jej istnieniu na długo przed ostatnim rozbiorem kraju. Mówi o tym zdawkowo wspomniana wyżej kronika parafialna „że szkoły od początku wieku XIX nie było”. Już wizytacja biskupa Skarszewskiego z roku 1810 mówi, że nie ma żadnej fundacji dla szkoły parafialnej. Wizytacje dziekańskie również stwierdzają brak szkoły. W 1832 r. dziekan węgrowski w raporcie pisze: „dla braku funduszu szkoła nie egzystuje”. W raportach z innych lat to samo stwierdza się z dodaniem: „szkoła parafialna nie egzystuje, ale koniecznie jest potrzebna”. Wizytacja kanoniczna z roku 1835 pisze: „Szkoły żadnej nie ma organista tylko uczy dzieci, których wieśniacy w małej liczbie pragną kształcić w zasadach wiary i sztuce czytania”. „W 1839 r. jeszcze szkoły nie ma, ale dziedzic wyznaczył 3 morgi gruntu dla nauczyciela i ten, który uczy dzieci w parafii użytkuje grunt wspomniany”. Inna notatka mówi, że dopiero w roku 1859 nauczycielem szkoły przykościelnej był Jan Olton.

Takie same działki gruntu zostały przydzielone przez administrację hrabiego Zamoyskiego na mocy ukazów uwłaszczeniowych, a więc po roku 1864 – innym szkółkom, między innymi w Wilczogębach, Rażnach i Morzyczynie. Były to grunty, które zgodnie z ukazem carskim miały stanowić własność ogółu chłopskiego danej wsi, lecz użytkowane były zawsze przez nauczyciela uczącego w tej szkole.

Po ukazie carskim o uwłaszczeniu chłopów rozpoczyna się dla szkolnictwa polskiego na wsi nowy okres, w którym administracja zaborcza stara się wszelkimi drogami i środkami pozbawić władzę kościelną opieki i wpływu na szkoły wiejskie. Dla pozyskania sobie chłopstwa władze carskie tworzyły szkoły początkowe, jednak utrzymane w duchu polityki zaborczej z obowiązującym rosyjskim językiem nauczania.

Polityka zaborcza caratu dążyła w ten sposób do usunięcia wpływu kleru katolickiego, a także osób uświadomionych pod względem narodowym, na szkolnictwo początkowe, aby powierzyć je osobom lojalnym wobec władzy rosyjskiej.

Stanowiło to jeden z zaborczych chwytów w niszczeniu świadomości narodowej chłopstwa polskiego, a jednocześnie zmierzało do coraz to szerzej prowadzonej akcji rusyfikatorskiej „kraju nadprywislińskiego”.

Nic dziwnego, że na terenie całego zaboru rosyjskiego pojawiają się chętnie przez władze carskie zatrudnieni nauczyciele pochodzenia rosyjskiego lub niepolskich narodowości. Ze względu jednak na brak nauczycieli Rosjan, rząd Królestwa Polskiego organizuje seminaria nauczycielskie, do których przyjmowane były wyłącznie dzieci chłopskie.

Uczniów tych seminariów starano się wychowywać w duchu rosyjskim, izolować od wpływu kultury polskiej, aby w ten sposób przygotować bierne i posłuszne sobie kadry do realizacji poprzez szkołę swoich zaborczych zamierzeń rusyfikacyjnych. Przyjmowano do nich również chętnie Litwinów, których potem zatrudniano w szkołach polskich.

Mimo to władza zaborcza odnosiła się do tych szkół i nauczycieli bardzo podejrzliwie i nie darzyła ich pełnym zaufaniem. Ta nieufność i podejrzliwość hamowały w poważnym stopniu rozwój polskiego szkolnictwa i ograniczały zezwolenia na otwieranie nowych szkół, a w szczególności wiejskich szkół początkowych. W dodatku wśród nieświadomionego dotychczas chłopstwa brak było zrozumienia potrzeby oświaty i szkoły. Podejrzliwy i nieufny w stosunku do każdej władzy chłop polski obawiał się i w tym względzie większych podatków, obciążeń gospodarczych i ciężaru utrzymywania szkół, które poprzez gminy mogły ewentualnie spaść na chłopstwo.

Nie dziwny się zatem, że ówczesna sieć szkolna w okupowanym kraju była rzadka i nie posiadająca należytych ogniw organizacyjnych. Były gminy, w których szkół wcale nie było. Pod tym względem ówczesna gmina Sadowne należała do wyjątkowych. Dodajmy, że w roku 1883 na 15 szkół w całym powiecie węgrowskim aż 6 znajdowało się w gminie sadowieńskiej, z tego trzy polskie: w Sadownem, Grabinach i Morzyczynie, i trzy mniejszościowe szkoły niemieckie: w Płatkownicy, Sadolesiu i Ociętem.

W ten sposób szkoła parafialna w Sadownem została przejęta przez gminę i oderwana zupełnie od wpływów kościoła. Szkoły otwarte później automatycznie znalazły się także pod tym samym zarządem. Na polecenie administracji Zamoyskiego do przydzielonych każdej szkole 3-ech morgów gruntu pobudowano około roku 1874 budynki szkolne w Sadownem, Grabinach i Morzyczynie. Nieco później, bo w roku 1884, dzięki usilnemu staraniu wójta Józefa Wycecha i mieszkańców, powstała szkoła początkowa w Wilczogębach. Było to, jak na owe czasy, duże i zrozumiałe osiągnięcie.

We wsiach takich, jak Kołodziej, Sokółka i Szykarzyzna, pozostających pod szerokim wpływem dworu i jego oficjalistów, nie było szkół. Wydaje się to być całkowicie zrozumiałe ze względu na politykę dworu zmierzającą, jak wiadomo, do utrzymania chłopów w dużej od siebie zależności i ciemnocie sprzyjającej jej podtrzymaniu – by chłop, jak zawsze, był posłuszny i uległy dworowi i jego samolubnej polityce.

W roku 1902 ówczesny wójt gminy Adam Zyśk, w wyniku uchwały zebrania gminnego, wystąpił do władz zaborczych z prośbą o założenie szkoły w Sokółce. Starania te nie przyniosły jednak oczekiwanych rezultatów i szkoły nie otwarto.

Niezaprzeczalnie stwierdzić należy, że istnienie szkół w Sadownem, Grabinach, Morzyczynie i Wilczogębach wywarło ogromny wpływ na świadomość narodową ich mieszkańców i przyczyniło się w dużym stopniu do podniesienia kultury duchowej, rozwoju czytelnictwa i uświadomienia społeczno – politycznego.

Wsie pozbawione szkół, przez długie potem lata różniły się od tamtych swą niższą świadomością i w życiu społeczno – politycznym naszego regionu nie odegrały w wielu przypadkach oczekiwanej i pożądanej roli.

Obok szkół polskich powstały na początku wieku XIX mniejszościowe szkoły niemieckie w naszym regionie podczas osiedlania się tu kolonistów przybyłych na propozycję Zamojskiego z Zachodu. A zatem wcześniej niż szkoły polskie.

Lojalni wobec caratu i jego polityki zaborczej Niemcy z Ociętego, Płatkownicy i Sadolesia budowali swe domy modlitwy i z łatwością otrzymywali także zezwolenia na otwieranie swych szkół, w których obowiązki nauczyciela spełniał tzw. kantor wykonujący jednocześnie posługi kościelne, jak odprawianie nabożeństw, głoszenie kazań i grzebanie zmarłych (o kolonistach niemieckich pisaliśmy w artykule pt. „Trochę o kolonistach niemieckich” – przyp. red.).

Po ukazie carskim uwłaszczeniowym szkoły te na równi z polskimi przeszły pod opiekę gminy. Skupiały one w większości dzieci niemieckie, a do rzadkości należało aby uczęszczały do nich nieliczne w danej wsi dzieci polskie. Nie było tylko szkół mniejszościowej w Sojkówku, skąd dzieci niemieckie chodziły do szkoły w Sadolesiu i Płatkownicy. Przez długie lata, bo aż do roku 1921 w szkołach tych nauka odbywała się w języku niemieckim, dopiero potem władze polskie ustaliły dla nich programy nauczania z włączeniem języka polskiego.

Jedynie w Sadolesiu, dzięki zabiegom miejscowych gospodarzy, istniała od roku 1919 do 1928 odrębna szkoła dla dzieci polskich z Sadolesia i Kocielnika. Z uwagi jednak na małą ilość dzieci w tych wsiach, zlikwidowano ją, a dzieci przydzielono do szkół w Sadownem i Morzyczynie. W tej polskiej szkole nauczycielami kolejno byli: Kondracki, który powołany do wojska zginął w wojnie w 1920 roku, Sapielakowa Klara i

Mniejszościowe szkoły niemieckie były, zgodnie z intencją osadników niemieckich, placówkami utrzymywanymi w duchu pielęgnacji niemczyzny i ideałom swoim służyły aż do końca swego istnienia tj. do września 1939 roku, kiedy ostatecznie zostały wskutek wyjazdu kolonistów do Rzeszy zlikwidowane.

Przez cały okres swego istnienia, podczas zaboru i w niepodległej już Polsce, szkoły te i ci nauczyciele-kantorzy Niemcy: Waade w Sadolesiu, Gustaw Tonn w Płatkownicy, Krystian

Liedke w Ociętym i Gustaw Braunn w Sadolesiu, starali się zachować swą narodową odrębność w odróżnieniu od elementu polskiego. Wielu Niemców, a szczególnie Niemek, żyjąc przez całe życie w Polsce nie znali języka polskiego, co bez wahania należy przypisać daleko rozwiniętemu i starannie przez te szkoły pielęgnowanemu szowinizmowi. Tylko nieliczni wychowankowie tych szkół byli lojalnymi obywatelami Państwa Polskiego. Większość z nich tendencyjnie, w sposób otwarty podkreślała swą przynależność narodową, co najbardziej ujawniło się podczas napastniczej wojny hitlerowskiej w 1939 roku. Ukryte i starannie pielęgnowane przez wiele lat na polskim chlebie nacjonalistyczne dążenia niemieckich przybyszów, doczekały się odpowiedniej chwili i wybuchły przeciw elementowi polskiemu w sposób okrutny i krwiożerczy. Wiele ofiar i nieszczęść okraszonych gorzkimi łzami i zgłiszczami pożogi wojennej sprowadzili w tym czasie koloniści niemieccy na naszą ziemię, która przez ponad sto lat żywiła ich i odziewała.

Szkoły polskie działające w Sadownem, Morzyczynie, Grabinach, potem w Wilczogębach, wywierały, mimo panującego tu zaborczego ucisku rusyfikacyjnego, swój korzystny wpływ na środowisko i ludzi i budziły chęci do szerszych aspiracji w zdobywaniu nauki w języku ojczystym.

Były to szkółki małe, czterooddziałowe. Nauczyciele Polacy i Litwini uczący w ich musieli sami władać językiem rosyjskim doskonale i uczyć go uczniów swoich jako języka „urzędowego”. Język polski traktowany był jako przedmiot podrzędny, stanowiący zbyteczny balast, a o nauce historii kraju ojczystego nie było nawet mowy.

Praca w tych szkołach nie była ustabilizowana i regularna. Największe jej nasilenie przypadało na okres miesięcy zimowych. Okres robót rolnych w jesieni i wiosną obniżał w sposób zastraszający frekwencję, o którą przecież nie było się komu troszczyć. Duży procent dzieci był nie objęty obowiązkiem nauki, bo taki nie istniał zupełnie. Nie było przymusu nauczania, a zatem szkoły te nie spełniały roli szkół powszechnych.

Jak podaje T. Szczechura – w roku 1888 uczyło się w Sadownem 19 chłopców i 3 dziewczynki, w grabinach – 25 chłopców i 6 dziewcząt, a w Morzyczynie – 31 chłopców i 19 dziewcząt. Oczywiście mimo rzadszego wówczas zaludnienia, cyfry te ilustrują niepełne objęcie nauczaniem wszystkich dzieci mieszkających w tych wsiach. Wśród miejscowego chłopstwa istniała niechęć do tych szkół z braku rzetelnej nauki języka ojczystego. Znane są liczne przypadki pokątnego, tajnego uczenia się sztuki czytania i pisania w domach światlejszych gospodarzy, którzy z wielką ostrożnością, aby nie narazić się myszkującemu po wsi strażnikowi, uczyli języka polskiego dzieci zdolniejsze i chętne do nauki z książek do nabożeństwa lub przemycanego cichaczem „Pierwszego elementarza” – Promyka. Późniejszą, znaną powszechnie książką do nauki czytania był „Snopek”, a potem „A B C” – podręczniki spełniające wówczas rolę olbrzymiego czynnika w niełatwej jeszcze wtedy nauce opartej na metodzie surowego prymitywu.

Powszechnie stosowaną i w ogóle istniejącą w ówczesnych szkołach początkowych w nauczaniu była metoda oparta nie na dźwiękowym opanowywaniu sztuki czytania, lecz na sylabizowaniu fonetycznym poszczególnych dźwięków, co w ogromny sposób utrudniało dziecku opanowanie tej bardzo zagmatwanej plątaniny głosów złożonych na jeden dźwięk literowy. Nic dziwnego, że stanowiło to dla niejednego dziecka poważną zaporę w przyswajaniu sobie liter i wyrazów, i pokonywaniu tych ogromnych trudności. Tylko nieliczni, zdolniejsi uczniowie, uporawszy się z tym przeszkodami, radzili sobie jako tako i przechodzili z klasy do klasy. Inni, mniej zdolni lub opuszczający wiele dni szkolnych, powtarzali jedną klasę po kilka razy. Czas uczęszczania do takiej szkoły mierzony był „zimami”. Jeśli dziecko, bez względu na osiągnięte wyniki, uczęszczało do szkoły kilka zim, wystarczało by edukacja stała się wystarczająca.

Wszystkie szkoły wyżej wymienione mieściły się w drewnianych budynkach, wystawionych przez administrację Zamojskiego i składały się z jednej ogromnej izby szkolnej i dwuizbowego mieszkania dla nauczyciela. W Sadownem budynek taki pobudowany około roku 1874 przetrwał do roku 1934, w którym to został wraz z placem przez Zarząd Gminny sprzedany w ręce prywatne i rozebrany dla celów własnych. Również po budynkach szkolnych w Grabinach i Morzyczynie nie ma dziś żadnego śladu.

Nauczycielami w tych szkołach przez wiele lat byli: w Sadownem Marianna Sobczyńska, Maciej Anuszewski, Stanisława Sulikowska i Ambroży Janinas, w Grabinach Paweł Gałła i Jan Oziębło, w Wilczogębach Franciszek Szczygielski i Maciej Anuszewski, w Morzyczynie Lubow Falkowska, Karolina Fiszer, Franciszka Aleksandra Niemyska, Ambroży Janinas i Stefania Szutkowska. Janinas i Anuszewski byli z pochodzenia Litwinami.

Największe zasługi dla pielęgnowania polskości położyli Paweł Gałła i Franciszek Szczygielski, którzy pracowali w swych szkołach po 24 lata bez przerwy. Ci dwaj nauczyciele, mimo urzędowej presji zaborczej, poświęcali wiele czasu i zdrowia na dodatkową naukę języka ojczystego i w ogromnym stopniu przyczyniali się do budzenia ducha narodowego swych wychowanków, przeciwstawiając się polityce rusyfikacyjnej władzy zaborczej. Nic więc dziwnego, że świadomość narodowa wsi, w których pracowali ci dwaj pionierzy, była wyższa od pozostałych, a szczególnie różniła się od tych, w których szkół nie było zupełnie.

W dziele budzenia oświaty i podtrzymywania ducha narodowego znamienne było utrzymywanie się żywych kontaktów naszego regionu z terenem położonym na przeciwległym brzegu Bugu.

Przez długie lata Józef Wycech, długoletni wójt gminy Sadowne, utrzymywał aktywny kontakt z mieszkańcem Udrzyna Wincentym Góreckim, najświatlejszym chłopem tej wsi, który pozostawał w bliskiej łączności z Konradem Prószyńskim (Kazimierzem Promykiem), postępowym działaczem oświatowym, pedagogiem, redaktorem tygodnika dla ludu „Gazeta Świąteczna”, autorem elementarzy i czytanek dla szkół wiejskich. Górecki prowadził w Udrzynie tajną szkółkę wiejską, do której dzięki tym kontaktom uczęszczali również w

największej tajemnicy młodzi mieszkańcy Zalesia, Rażen, Zarzetki i Wilczogąb. Był on także kolporterem tajnej prasy PPS i przez wiele lat spełniał rolę łącznika postępu i aktywnego działacza w uświadamianiu wsi z budzącym się wówczas ruchem socjalistycznym. Jeśli dodam, że chłop ten był prenumeratorem „Wędrowca”, „Tygodnika Ilustrowanego” i „Biesiady Literackiej”, to wystarczy wyrobić sobie o nim dostateczne mniemanie.

Wspólna działalność obu tych świątłych chłopów z jednej i drugiej strony Bugu w ogromnym stopniu przyczyniła się do podnoszenia oświaty naszego regionu, pielęgnowania uczuć patriotycznych, budzenia świadomości narodowej i kształtowania zdrowego oblicza wielu chłopów nadbużańskich. Miało to duże znaczenie dla przyszłego rozwoju oświaty sadowieńskich wsi i umacniało ich pozycję w spętanych kajdanami niewoli kraju ojczystym.

Oprócz szkół początkowych i tajnych szkółek wiejskich istniała przez długie lata na terenie Sadownego Ochronka, spełniająca wówczas rolę dzisiejszego przedszkola. Oto jak pisze o niej na podstawie dokumentów parafialnych ks. mgr P. Aleksandrowicz: „W 1859 roku Zarząd dóbr Jadowa, Kołodziaża i Ręczej wystosował pismo do księdza Surowieckiego, kanonika i proboszcza parafii Sadowne, z którego widać, że ks. proboszcz założył „szkółkę ochronną” we wsi Sadowne, dziękując za troskliwe zajmowanie się urzędzeniem tak powyższej, jako też i innych szkółek oraz ochron dla dzieci w swojej parafii. Zawiadamia, że ogród dla Jana Oltona nauczyciela w Sadownem, temuż do użytku zostanie o czym proboszcz proszony jest zawiadomić wójta gminy, a na ogrodzenie tego ogrodu dołącza asygnatę do nadleśnictwa. A co do drzewa na opalanie ochron wyznacza się piątek, w którym będzie można z lasów wywozić.”

Istotnie Ochronka taka istniała w Sadownem do września 1918 roku i mieściła się w tzw. Kantorze tj. w jednym z kompleksu budynków wystawionych w II połowie XIX wieku przez Zamojskiego dla swych oficjalistów, z których dwa istnieją na tym samym miejscu dotychczas. Brak jest natomiast jakichkolwiek danych o nauczycielach tej Ochronki. Wiadomo tylko, że ostatnią z nich była ofiarna i oddana swej pracy z ogromnym poświęceniem, daleka krewna znanej poetki, nauczyciela Zofia KONOPNICKA, pracująca tu w latach 1915 – 1918.

Ochronka ta skupiała dzieci wszystkich warstw ówczesnego Sadownego. Położona w pięknym miejscu, otoczona zielenią i kwiatami, była doskonałym miejscem uciech, zabaw i początkowej nauki wielu dzieci znajdujących tu warunki do zaspokojenia wielu swoich pragnień.

Wśród gwaru rozbawionej zawsze dzieciarni, snuła się codziennie jak duch opiekuńczy dobrotliwa, niezmordowana i cierpliwa pani Zofia. Dla każdego dziecka znalazł się u niej uśmiech serdeczny lub pieśczoła, a niejednokrotnie z głębokiej kieszeni plisowanej sukni pojawiał się słodki karmelek – pożądanie wielu młodych ochroniarzy.

Dzieci starsze tj. 6-cio i 7-mio letnie poznawały tu także trudną sztukę czytania i pisania. „A B C” i „Snopek” z poplamionymi i zawiniętymi kartkami wędrowały z rąk do rąk i stanowiły wtedy dla tych dzieci podstawowe podręczniki w nauce.

Nie łatwa była praca pani Zofii Konopnickiej. Pracując z poświęceniem na powierzonych sobie placówce w wielkim i cierpliwym trudzie przygotowywała sporą gromadkę przyszłych uczniów szkoły powszechnej, poświęcając im bez ograniczenia wiele długich godzin i dni swego pracowitego życia. Rodzice chętnie korzystali z jej wartościowych usług, opłacali nauczycielkę widząc w tej pracy dużą korzyść wychowawczą i naukową dla swych pociech.

Zasadniczym przełomem w dziejach szkolnictwa naszego regionu były lata 1917 i 1918. Okres tych lat to znamieny dla historii czas kiedy I wojna światowa chyliła się ku końcowi. Ponoszone przez Niemców klęski wróżyły rychły kres potęgi militarnej cesarza Wilhelma.

Już w roku 1917 widać było, że Niemcy zajmowali się bardziej chwiejącą się sytuacją swoich wojsk na frontach, zaś mniej sprawami krajów okupowanych, co w sposób szczególny zaczęli odczuwać Polacy.

Większe swobody obywatelskie, mniej skrępowane życie osobiste i narodowe pozwoliły i Sadowianom pomyśleć o sprawach pozornie zapomnianych.

Staraniem ludzi dobrej woli, patriotów wychowanych podczas niewoli w duchu polskości i umiłowania nękaną Ojczyznę zrodziła się piękna myśl, podniecenia jeszcze większego nabrzmiewających w społeczeństwie uczuć.

W roku 1917 mijała właśnie setna rocznica śmierci wielkiego Polaka – patrioty Tadeusza Kościuszki. Serdeczna, głęboka miłość dla tego wielkiego bohatera narodowego tkwiła w sercach jego współrodaków. Gorące umiłowanie wszystkiego co polskie pielęgnowane było od dawna w każdym niemal świątelnym domu Sadowego i okolic. Obok innych akcentów dekoracyjnych wewnątrz polskich domów widziało się Białe Orły, portrety wielkich Polaków, królów polskich, ozdobne teksty „Roty” M. Konopnickiej – Mazurka Dąbrowskiego i inne. Wezbrane i starannie przez długie lata pielęgnowane uczucia miały się w setną rocznicę śmierci Naczelnika spod Racławic przerodzić w skromny, lecz jakże wymowny i wdzięczny czyn.

Tuż obok sadowieńskiego kościoła, na piaszczystym pagórku wznosi się mały pomnik, w ścianie którego widnieje tablica, która przetrwawszy w nim od roku 1864 słaawi napisem cara Aleksandra II za wydanie ukazu o uwłaszczeniu chłopów. Były na terenie naszego regionu dwie takie tablice. Jedna wystawiona przez Niemców – kolonistów z Płatkownicy w Sójkówku, bo tam była kiedyś siedziba gminy Płatkownica, a druga właśnie w Sadownem.

W umysłach mieszkańców – patriotów Sadowego i okolic kielkują myśli o wyrzuceniu zniechęconej pozostałości po nieistniejącym już zaborcy carskim. Powstaje

decyzja: usunąć tablicę sławiącą cara, a na jej miejsce wstawić znak ku chwale tego, który walczył z caratem.

Widomy symbol uległości i poddaństwa rosyjskiemu satrapie, wyrwany jest teraz ze ściany pomnika, a jego miejsce zajmie ku pamięci potomnym marmurowa tablica z napisem: „Tadeuszowi Kościuszce w setną rocznicę śmierci – Rodacy – 1817-1917”.

Dokonano tego czynu w dniu 3 maja 1917 roku, pod kierunkiem wielu dobrych Polaków naszego regionu z Antonim Wycechem – sędzią pokoju i Antonim Brudko – ówczesnym wójtem gminy na czele.

Uroczystość odsłonięcia tablicy zgromadziła niezliczoną rzeszę ludzi z Sadownego i okolicy. Wygłoszono podniosłe, okolicznościowe przemówienia, których zgromadzony lud wysłuchał z uwagą i skupieniem. Śpiewano patriotyczne pieśni i zorganizowano demonstracyjny pochód, który przemaszerował spod pomnika ulicą główną Sadownego, otrzymującą od tego momentu imię Tadeusza Kościuszki.

Sadowne w tym dniu przybrało odświętny wygląd. Domy udekorowano biało-czerwonymi sztandarami, a na ich ścianach lub w oknach widniały Białe Orły i portrety racławickiego bohatera.

Pomnik Tadeusza Kościuszki był odtąd widowym i niezaprzeczalnym znakiem patriotycznych uczuć polskich, choć nie było jeszcze pełnej wolności, choć na ziemi naszej panował się jeszcze okupant niemiecki.

Miejsce uświęcone tym pomnikiem stało się w latach późniejszych punktem wszystkich patriotycznych zgromadzeń i obchodów. Tu święcono wszystkie rocznice narodowe i inne podniosłe uroczystości. Dziś tylko gorycz i przykrość wzbiera patrząc na zapomniany, prawie w ruinie dawny symbol sadowieńskiego patriotyzmu.

Przyszedł rok 1918, a z nim coraz bardziej rosnące nadzieje na wyzwolenie Narodu Polskiego z długotrwałej niewoli zaborczej. Jeszcze bardziej niż w roku poprzednim obchodzono w Sadownem narodową rocznicę konstytucji 3 – Maja. I znów, jak rok temu, tłum ludzi zebrał się pod pomnikiem Kościuszki, aby w uroczystym pochodzie przemaszerować przez Sadowne ulicą Naczelnika w sukmanie, dając tym wyraz swych uczuć, których mimo długoletniej przemocy nie zdołał zaborca zabić w narodzie.

Nowoprzybyły w tym roku do Sadownego pierwszy kierownik szkoły Stanisław RYTEL, płomienny Polak, gorący patriota prowadzi w tym pochodzie, wraz ze swą żoną Stanisławą Rytel, dzieci ówczesnej szkoły sadowieńskiej, w rękach których łopocą biało-czerwone chorągiewki. Widok tych małych proporczyków, pokazanych w Sadownem masowo po raz pierwszy, wyciskał z rozpłomienionych oczu łzy radości i szczęścia rosnących narodowych nadziei.

W dziejach kultury, oświaty i szkolnictwa naszego regionu dokonują się od tej chwili zasadnicze przemiany. Przemiany te nastąpią po przybyciu do Sadownego kierownika Rytla, który, jak nikt dotąd, przejmie się losami szkoły i poprowadzi ją ku wspaniałemu rozwojowi nie notowanemu w dotychczasowych dziejach szkolnictwa naszego regionu.

Umiłowanie Ojczyzny, gorący patriotyzm i całkowite oddanie się tego człowieka, nauczyciela z prawdziwego zdarzenia sprawom szkolnictwa, życiu związkowemu i rozwojowi środowiska, będą mu towarzyszyć aż do września 1939 roku, w którym to musiał uchodzić przed zemstą niemieckich kolonistów.

To on najbardziej spośród wszystkich zasłużony działacz społeczno – oświatowy podniesie rangę szkoły w Sadownem na najwyższy jej poziom, przyczyni się w latach trzydziestych razem z Janem Kiciem do wybudowania dla niej pięknego budynku.

Za jego przyczyną rozwinie się bujnie życie społeczno – organizacyjne Sadownego lat dwudziestych i trzydziestych. Będzie on przez 22 lata niezachwianym pionierem rozwoju wszystkich niemal dziedzin życia sadowieńskiego regionu.

Wiele poświęcenia, energii i pracy włożyli w początkach małżonkowie Rytel w organizację i pomyślny rozkwit sadowieńskiej szkoły powszechnej.

Najpierw pracowali oni w starym budynku szkolnym wystawionym kiedyś przez Zamojskiego, ponieważ był to wówczas w Sadownem jedyny budynek przeznaczony dla celów szkolnych. Przez długie lata budynek ten służył sadowieńskim dzieciom w zdobywaniu wiedzy. Po sprzedaniu go w roku 1934 w ręce prywatne – najstarszy, widomy znak szkolnictwa sadowieńskiego zniknął bezpowrotnie. Dziś w tym miejscu pozostał pusty plac, położony między domostwami Tadeusza Sobotki i Jerzego Sówki, wyglądem swoim przypominający martwe pustkowie, porośnięte trawą i chwastami.

Przed rokiem 1918 szkoła w Sadownem była przez wszystkie lata swego istnienia szkołą o jednym nauczycielu. Od tej daty pracuje tu już dwóch nauczycieli. Naturalny przyrost ludności i coraz żywsze zasiedlanie się oraz stopniowe wprowadzanie powszechności nauczania – pomnaża z roku na rok liczbę dzieci, wzrasta stopień organizacyjny szkoły, a z nim zwiększa się ilość nauczycieli. W latach następnych pracuje tu już czterech, potem pięciu, aż w latach trzydziestych dochodzi do liczby 9 nauczycieli, z pełnymi kwalifikacjami zawodowymi. Byli to wspomniani wyżej: Stanisław i Stanisława Rytlowie, Klara i Wincenty Sapielakowie, Maria i Antoni Miszczukowie, Aleksander Lenkiewicz, Anna i Stanisław Iwaniukowie i Stefan Kolator.

Do roku 1934 szkoła sadowieńska oprócz wyżej wymienionego nie posiadała jednolitego, wspólnego budynku dla wszystkich klas. W starej szkole po wewnętrznej przeróbce uczyły się dwie klasy, w budynku po starym sądzie także dwie, reszta zaś w starym wikariacie koło kościoła i odwiecznym budynku karczemnym, spalonym podczas działań wojennych we wrześniu 39 roku.

Jak widzimy wszystkie klasy tej szkoły rozrzucone były po całym prawie Sadownem, zaś nauczyciele musieli podczas pauz wędrować od klasy do klasy. Utrudniało to bardzo pracę organizacyjną – wychowawczą szkoły i hamowało realizację jej zadań.

Stan taki trwał aż do roku 1934, w którym to szkoła przeżyła swój wielki dzień, otrzymując nowy, nie wykończony zrazu całkowicie dwupiętrowy budynek szkolny z prawdziwego zdarzenia. Problem ciasnych, wynajmowanych izb szkolnych został od tej chwili radykalnie rozwiązany. Budowa trwała prawie 4 lata napotykając na ogromne przeszkody i trudności. Tylko parter i część pierwszego piętra został we wstępnym rzucie oddany do użytku. Reszta pomieszczeń urządzana była stopniowo, a pełnego wykończenia doczekał się ten budynek dopiero po zakończeniu wojny.

Do realizacji tego wspaniałego jak na owe czasy zadania przyczynili się: ówczesny wójt gminy Sadowne Jan Kić - człowiek światły, postępowy o lewicowych przekonaniach kierownik Ryteł i nauczycielstwo tej szkoły. Wiele wyjazdów, starań, wysiłków niezwykłych i ofiarnych zabiegów ponieśli ci ludzie aby doprowadzić do końca rozpoczęte dzieło.

Trudności finansowe stanowiły w tym przedsięwzięciu najpoważniejszą przeszkodę. Tylko dzięki niezłomowanej cierpliwości Kicia i Ryteła oraz uporczywej ich perswazji w przekonywaniu środowiska o słuszności i konieczności wznoszonego obiektu, udało się w dobie coraz bardziej rosnącego kryzysu gospodarczego, a z nim rosnącej na wsi biedy i krytycznej sytuacji materialnej chłopa, doprowadzić choć w części rozpoczętą budowę do jakiegoś takiego końca. Dużemu poparciu finansowemu ówczesnego Towarzystwa Popierania Budowy Szkół Powszechnych, społeczno – obywatelskiej organizacji istniejącej wówczas w Polsce, zawdzięczać między innymi należy, że budynek ten został oddany do użytku. Był on wtedy jeszcze nie otynkowany i doczekał się tego dopiero w końcu lat czterdziestych.

Z chwilą przekazania budynku szkole zmieniły się od tej pory warunki pracy i dzieci i nauczycielstwa. Przestronne i widne sale szkolne, szerokie i długie korytarze oraz zlokalizowanie wszystkich klas w jednym budynku, dawały w pełni zadowolenie z pracy szkolnej i wytwarzały warunki o jakich się nigdy nikomu nie śniło. Dodać przy tym należy, że główni inicjatorzy tego przedsięwzięcia zakroili sobie przerastające możliwości tej inwestycji. Z późniejszych wynurzeń ludzi obcujących często z Janem Kiciem wynikało, że człowiek ten, któremu nie pozwolono doprowadzić swego dzieła do końca, myślał i planował o umieszczeniu w nim obok szkoły powszechnej również jakiejś szkoły średniej dla chłopskich dzieci. Szlachetne myśli tego człowieka doczekały się istotnie ich realizacji, lecz dopiero w 12 lat później w Polsce Ludowej. Jako niewygodny za swe lewicowe i radykalne przekonania został posądzony przez władze sanacyjne o przywłaszczenie pieniędzy gminnych i usunięty ze stanowiska wójta, na które już potem, mimo zrehabilitowania go za fałszywe posądzenie, nigdy nie wrócił.

Wielu wartościowych i dobrych obywateli wydała szkoła sadowieńska na przestrzeni lat międzywojennego dwudziestolecia. Przez długie lata była ona szkołą zbiorczą, do której

dla ukończenia pełnej szkoły 7-klasowej uczęszczali zdolniejsi uczniowie z dalekiego Kołodziaża, Sokółki, Grabin, Zieleńca, Rażen, Wilczogąb, Morzyczyna i innych wiosek. Była to wówczas jedyna w naszym terenie szkoła dająca pełne wykształcenie podstawowe. Wysoki jej poziom naukowy i wychowawczy emanował swą dobrą opinią nie tylko w miejscowym środowisku, lecz również daleko poza obrębem dawnej gminy Sadowne.

Stwierdzić należy, że wszystkie wartości i walory jakie osiągała ta szkoła zawdzięczać należy wysokiej dbałości o nią jej kierownika Rytła, jak również zdyscyplinowanemu i szczerze oddanemu szkole i sprawom oświatowo – społecznym, zespołowi pedagogicznemu nauczycieli. Ich wysoka świadomość obywatelska, nieugięta postawa w realizowaniu potrzeby i powszechności oświaty, jak również właściwe rozumienie swej roli zawodowej, wyrobiły szkole sadowieńskiej wysoki autorytet i podniosły jej wartość w oczach środowiska i władz oświatowych.

Z żalem tylko przypomnieć należy, że była to niestety jedyna w dawnej gminie liczącej 18 wsi zbiorcza szkoła 7-klasowa.

Mówiło się wprawdzie o tym, że szkoły jednoklasowe, dwu, trzy i czteroklasowe tzn. o jednym, dwóch, trzech lub czterech nauczycielach, dają przez pomnożenie lat uczęszczania do klas III i IV również świadectwo z ukończenia szkoły podstawowej, jednak w praktyce i życiu było inaczej. Honorowane były tylko świadectwa z pełnych szkół 7-klasowych takich, jaka istniała wówczas w Sadownem, określanych mianem szkoły III stopnia. Szkoły takie były tylko przeważnie w miejscach siedzib gmin np. w Stoczku, Broku, Prostyni czy Łochowie. To też światlejsi rodzice, rozumiejący potrzebę podstawowego wykształcenia, posyłali swe zdolniejsze dzieci do szkoły w Sadownem mimo, że kosztowało to wiele trudu w pokonywaniu dalekich nieraz odległości od domu rodzinnego.

Oprócz swej dużej wartości pedagogicznej przedwojenna szkoła sadowieńska i jej grono nauczycielskie aktywnie oddziaływały na ówczesne środowisko Sadownego i okolic. Duchowymi i czynnymi działaczami tego środowiska byli właśnie nauczyciele tej szkoły. Żadna praca społeczna nie odbywała się bez udziału nauczycieli. Oni właśnie nadawali ton i kierunek tej pracy na wszystkich jej społecznych odcinkach.

Dużym osiągnięciem kierownika Rytła było, że umiał on reprezentatywnie utrzymywać autorytet nauczyciela w środowisku, co jeszcze w większym stopniu wpływało dodatnio na opinię szkoły promieniującej i świecącej dobrym przykładem.

Bezinteresowna praca społeczna tych nauczycieli w Kole Młodzieży Wiejskiej „Wici”, Ochotniczej Straży Pożarnej, Kasie Stefczyka, przyszkolnych drużynach harcerskich żeńskiej i męskiej i wielu innych, kształtowały dzięki nim zdrowe oblicze moralne ludzi w nich pracujących dla dobra własnego i środowiska.

Ileż wzruszeń i nietajonej radości dawały ówczesnej młodzieży Sadownego i okolic starannie i pieczołowicie przygotowane amatorskie przedstawienia Koła Młodzieży lub

Ochotniczej Straży Pożarnej. Uporczywa i aktywna praca reżyserska Stanisława Rytła, Stanisława Iwaniuka, Wincentego Sapielaka i Stefana Kolatora wydawała aż nadto widoczne owoce.

Na scenie strażackiej remizy próbowali swych sił aktorskich członkowie korpusu OSP i Koła Młodzieży Wiejskiej. Niezapomniane kreacje aktorskie na wysokim poziomie tworzyli: Józef Jakubowski, Jadwiga Dębowska, Janina Kotlińska, Edward i Jan Parysowie, Antoni Niegowski, Helena Krupa, Czesław Kotliński, Edward Sówka i wielu, wielu innych, dziś już nieżyjących albo mieszkających gdzie indziej.

Amatorskie spektakle teatralne kierowane przez tych nauczycieli, dawane na deskach remizy strażackiej, cieszyły się dużą frekwencją mieszkańców nie tylko Sadownego, ale i okolic.

„Karpackich górali” – Korzeniowskiego, „Zagłobę swatem” – Sienkiewicza, „Opętanego Błazka” i wiele innych utworów scenicznych, odgrywanych przez chętną do tej pracy młodzież, oglądali również mieszkańcy Węgrowa, Stoczka i Broku, bo również i tam dawano cieszące się niesłabnącym powodzeniem amatorskie przedstawienia.

Ówczesna młodzież Sadownego, kierowana dobrymi rękoma nauczycieli, znajdowała w tej pracy właściwe zadowolenie, wyżywała się w pożytecznym kierunku, nie trwoniąc cennego nieraz czasu w długie wieczory jesienno – zimowe. Daleka od uciech wynikających z kieliszka młodzież ta stanowiła wzór godny naśladowania o wysokich walorach etycznie – moralnych.

Wartości wychowawcze tej pracy kulturalnej udzielały się środowisku i stawały wysoko autorytet nauczycieli dużego dla nich szacunku i poważania.

Nie mniejsze zasługi dla spraw społeczno – oświatowych w regionie sadowieńskim tego okresu oddali ofiarni i pracujący z poświęceniem nauczyciele innych szkół w rejonie: Łabno Kinga w Zieleńcu, Roman Gołaszewski w Kołodziążu, Maria Nowicka w Wilczogębach, Helena Jarosch w Krupińskim, Kazimiera Malinowska w Sokółce, Stanisław Boleń w Morzyczynie i Bronisława Rymsza w Bojewie. Mimo, że pracowali oni w szkołach niżej zorganizowanych, ich pionierska praca społeczno – oświatowa w tych wsiach przyniosła wiele pożytku tak szkołom, jak i środowisku.

Duże zaangażowanie tych ludzi w społecznych pracach Kół Młodzieży Wiejskiej, Kół Gospodyń Wiejskich, Ochotniczych Strażach Pożarnych i innych organizacjach działających wówczas na wsi, dawało duże korzyści ich członkom i satysfakcję społecznikom z dobrze spełnionego obowiązku obywatelskiego.

Pięć razy w ciągu roku szkolnego, zawsze w soboty zjeżdżało się nauczycielstwo sadowieńskiego rejonu szkolnego na nauczycielskie konferencje rejonowe z udziałem inspektora szkolnego do coraz to innej szkoły.

Konferencje te stawały się okazją do oglądania wzorowych lekcji, zapalonych nad nimi dyskusji, wymiany poglądów i zdań oraz towarzyskich spotkań pozostawiających po sobie wiele wzruszeń i okazji do przyjemnie spędzonego wśród nauczycielskiej braci czasu.

Duże trudności w realizacji swych celów zawodowych miało nauczycielstwo z powodu braku odpowiednich budynków szkolnych. Z wyjątkiem Sadownego wszystkie szkoły w rejonie mieściły się w drewnianych, wynajętych domach wiejskich...

Odrębnego omówienia i wysokiej oceny za swą pionierską pracę społeczno – polityczno – oświatową wymaga postać nauczyciela szkoły wilczogębskiej w latach 1917 – 1922, ówczesnego prezesa naszego związkowego Ogniska, dzisiejszego marszałka Sejmu PRL Czesława WYCECHA.

1 września 1939 roku uczniowie wszystkich szkół naszego regionu tak, jak i całej Polski, nie poszli do szkoły.

Był to dla dziejów polskiego szkolnictwa smutny dzień, w którym nie rozbrzmiały gwarem dziecięcym sale szkolne. W oczekiwaniu na okrutne czasy, stały wymarłe, milczące i głuche. Najsmutniejszy w historii szkoły polskiej wrzesień, nie otworzył jak zawsze bram szkolnych dla roześmianej i radosnej polskiej dzieciarni, oczekującej wraz ze swymi rodzicami idących dni straszliwej w skutkach okupacji.

Mściwy i okrutny okupant bez pardonu rozprawił się zaraz po wkroczeniu z dwudziestoletnim dorobkiem wielu szkół, niszcząc sprzęt, pomoce naukowe i akta. W licznych przypadkach, jak np.: w Sadownem w dziele wojennego zniszczenia dopomagały również miejscowe hieny ludzkie, żerujące na okazji, łupiąc ze szkoły wiele sprzętu i jej majątku stanowiącego jakąkolwiek przydatność dla osobistych celów prywatnych. Wiele sprzętu szkolnego wywiózł okupant z tej szkoły samochodami do swych kwater rozrzuconych w różnych miejscach. Oprócz ławek szkolnych jako sprzętu typowego nie zostało prawie nic. Podobnie działo się w innych szkołach naszego rejonu.

W październiku tegoż roku z nakazu niemieckiego komendanta polecono wszystkim kierownikom szkół ich otwarcie i rozpoczęcie nauki. W Sadownem funkcję tę polecono wykonywać miejscowemu nauczycielowi Stanisławowi Iwaniukowi. Dotychczasowy jej kierownik Stanisław Rytel, posłuszny nakazowi chwili, opuścił na zawsze swoją ukochaną szkołę, aby nigdy do niej nie powrócić. Tropiony potem długo przez mściwych kolonistów niemieckich z Sadolesia i Płatkownicy musiał w obawie o swe życie kryć się, a potem opuścić nie tylko szkołę, ale i Sadowne.

Tak jak całe życie naszego środowiska, tak i szkoły zostały podporządkowane okupacyjnej władzy hitlerowskiej. Rzekoma troska okupanta o szkolnictwo, o czym głośno trąbiono, była tylko blichтром, pod którym kryły się: fałsz i zakłamanie dyktowane nienawiścią do kultury polskiej, jakże wymownie potem okazywanej przez straszliwego okupanta.

Dla pokazania światu swej rzekomej tolerancji w okupowanej Polsce, organizowano administrację i otwierano szkoły, w których wprowadzono naukę języka niemieckiego. Podręczników do nauki nie było. Nie wolno było również korzystać z podręczników dotychczasowych, w których przecież mówiło się o Polsce, jej historii i kulturze. Zezwolono na nauczanie języka polskiego, ale wyeliminowano historię i geografię. Nauka tych dwóch przedmiotów była niedozwolona, a za ich nauczanie groziły represje graniczące z utratą życia. Zdaniem okupanta – wystarczyło by Polacy umieli coś niecoś czytać, podpisać się i trochę rachować.

Obowiązku szkolnego władze okupacyjne nie potraktowały jako przymusu. To też wiele dzieci znajdowało się poza szkołą – rósł powrotny analfabetyzm, oświata traktowana była jako coś daleko rzędnego, wręcz niepotrzebnego i przeszkadzającego zaborczym celom okupacyjnym.

W wielu budynkach szkolnych stacjonowały wojska niemieckie, których dowódcy nie przejmowali się zbyt regularnością nauki w szkołach. Frekwencja spadła do stanu prawie krytycznego. Wszelkie perswazje nauczycieli nie odnosiły w tym przedmiocie żadnego skutku. Istniało wiele przypadków samowolnego przerywania nauki, brak było poczucia odpowiedzialności uczniów za swe obowiązki. Rodzice, nie widząc systematyczności w realizacji obowiązku szkolnego, przerywali sami uczęszczanie swych dzieci, organizując nauczanie prywatne i nieoficjalne, które z czasem przerodziło się w nauczanie tajne.

Regularność nauki szkolnej bywała często zakłócana na skutek zajmowania pomieszczeń przez wojska niemieckie. Wzięto to swój początek już od września 1939 roku i trwało np.: w Sadownem z ciągłymi przerwami przez całą okupację. Napastnik nie liczył się z niczym. Potrzeby wojskowe były ważniejsze i pilniejsze niż sprawa nauki dzieci polskich. Jeśli dodamy, że pomieszczenia szkolne zajmowane były nawet na stajnie dla koni niemieckich (Sadowne: wrzesień, październik 1939), to będzie to wystarczający dowód na brutalizm hitlerowski w stosunku do podbitego narodu.

Szkoła w Sadownem narażona była na ciągłe wędrowki, jeśli podczas eksmisji można było znaleźć dla niej pomieszczenie i przerywała zajęcia jeśli pomieszczenia tego, biorąc pod uwagę spalenie Sadownego, zupełnie najczęściej brakło. W budynku tej szkoły w większości przebywali Niemcy. Praca szkoły odbywała się tu raczej przypadkowo. Po chwilowym zlokalizowaniu się w niej w każdej chwili trzeba było być przygotowanym do opuszczenia budynku, szukania nowych pomieszczeń lub całkowitego przerwania nauki. Oprócz służenia celom wojskowym, budynek ten ze względu na swą objętość dwukrotnie spełniał rolę szpitala. Pierwszy raz w czerwcu 1941 roku podczas napaści Hitlera na Związek Radziecki, kiedy urządzili w nim Niemcy „Feldlazarett” i zwozili do niego rannych z frontu żołnierzy swoich i radzieckich, i drugi raz na okres ponad 6-ciu miesięcy w roku 1942, w tragicznych dla naszego regionu dniach epidemii tyfusu plamistego, podczas której szkołę zamieniono na szpital zakaźny. W tym również czasie, w celu zapobieżenia rozprzestrzeniania się epidemii, nauka została przerwana we wszystkich szkołach rejonu. Wznowiono ją dopiero jesienią

tegoż roku po zupełnym wygaśnięciu zarazy i przeprowadzeniu specjalnej dezynfekcji pomieszczeń szkolnych.

Styczeń i luty 1943 roku to jedne z najbardziej przykrych miesięcy okupacyjnych, w których mury sadowieńskiej szkoły mieściły hitlerowską karną ekspedycję sprowadzoną na nasz teren dla wytępienia kryjącej się w lasach ludności żydowskiej i „polnische banditen”, jak mawiał ówczesny kreishauptmann Gramms.

Szkoła ta stała się wtedy świadkiem krwawych mordów wykonywanych tu na wyłapywanych w okolicy Żydów i Polaków. Dniem i nocą, przez okres prawie ośmiu tygodni, rozlegały się wystrzały hitlerowskich egzekucji. Tragizmem nieszczęsnych losów ludzkich i straszną grozą sytuacji wypełniały się wówczas mury tej szkoły, w której zamiast gwaru dziecięcego na pauzach i lekcyjnej ciszy wypełnionej pracą uczniowskich mrówek – szalał terror i otwarty, zalegalizowany przez Hitlera bandytyzm chełpiący się teutońską przewagą nad bezbronnymi ludźmi. Wielu z tych nieszczęśników zostało w murach tej szkoły podczas okrutnych badań zakatowanych na śmierć bez jakiegokolwiek winy, bez powodu, za nic.

W tym okrutnym czasie sadowieńska szkoła stała się dla naszego regionu symbolem i gehenną cierpienia i katuszy, jakich nie notowały dotychczasowe dzieje. Jest to miejsce obficie uświęcone niewinnie przelaną krwią polską, które ze względu na cześć i chwałę dla tych ofiar należałoby naznaczyć wiecznotrwałym pomnikiem lub tablicą, świadczącą o ofierze ludzkiego nieszczęścia i bestialstwie ludzi wobec ludzi.

Mimo terroru i przemocy zadawanej bez przerwy przez zachodnich „kulturtregerów” nauczycielstwo naszego regionu nie upadało na duchu i nie poddawało się biernie przemocy i terrorowi zaborcy. Oprócz wyznaczonych przez okupanta przedmiotów do nauczania, uczono w największej tajemnicy również przedmiotów zakazanych. W pierwszym rzędzie historia, potem geografia, literatura polska i nauka o wybitnych przedstawicielach kultury i przeszłości polskiej, stanowiły przedmioty nieoficjalne prowadzone, bądź ukradkiem w postaci wstawek lekcyjnych, bądź też z dużą ostrożnością na zajęciach pozaszkolnych w domach nauczycieli.

Taką patriotyczną robotę, bez nakazu organizacyjnego, w poczuciu polskiego obowiązku obywatelskiego prowadzili: w Sadownem – Stanisław Iwaniuk, Wincenty Sapielak i Stefan Kolator, w Kołodziążu – Roman Gołaszewski, w Wilczogębach – Maria Nowicka, w Morzyczynie – Stanisław Boleń, w Zieleńcu – Kinga Łubno i w Sadolesiu – Edward Sówka.

Wiele pożytku w dziele utrzymywania patriotyzmu i wychowywania w nim młodych, dorastających w atmosferze okupacyjnej Polaków dała ta praca, prowadzona za wiedzą zaufanych i prawych rodziców, przy udziale należycie rozumiejącej te sprawy młodzieży.

Obowiązującym podręcznikiem do nauki języka polskiego była wydawana w dalekim Krakowie, stolicy tzw. Generalnej Guberni, czasopismo pn. „STER”. Pisemko to, wydawane i redagowane przez bardzo kiepskich znawców języka polskiego, miało służyć do nauki wszystkim klasom ówczesnej szkoły. Dla zachowania pozorów dzieci prenumerowały tę

gadzinówkę, milczącą grobowo w sprawach polskich i Polsce w ogóle, a prawdziwą wiedzę, potrzebną dziecku polskiemu, czerpały z przemyconych ukradkiem podręczników przedwojennych, zdobywanych własnym przemysłem. Tajne lekcje historii, geografii i prawdziwie polskiego języka, budziły wśród uczniów tajemne uczucia i pogłębiały rzetelną wiedzę o kraju rodzinnym, o pogwałconej i umęczonej przez najeźdźcę Ojczyźnie.

Młodzież kończąca klasę siódmą nie pozostawiona była w naszym rejonie bez opieki i kierunku. Chętni do dalszej nauki trafiali w ręce powołanych do tego opiekunów – nauczycieli, którzy poprzez kontakt z ówczesnymi tajnymi władzami oświatowymi, za pośrednictwem kierownika szkoły sadowieńskiej Stanisława Iwaniuka, prowadzili w Sadownem nielegalne gimnazjum, zwane przez jego uczestników „tajnymi kompletami”.

Na wykłady przyjeżdżali dwaj studenci Uniwersytetu Warszawskiego Wróblewski i Will, również oprócz nich uczyli: Stanisław Iwaniuk, Wincenty Sapielak, Stefan Kolator i Stanisław Boleń. Z uwagi na bezpieczeństwo nauka odbywała się w coraz to innym miejscu – należało zachować jak największą ostrożność, ponieważ tego rodzaju robota narażała zarówno nauczycieli, jak i uczniów na przykre konsekwencje ze strony okupanta. Za tego rodzaju działalność groziło więzienie, obóz koncentracyjny, a nawet śmierć.

Najczęściej do tych celów wykorzystywano domy nauczycieli: W. Sapielaka, St. Iwaniuka w Sadownem i St. Bolenia w Morzyczynie, leśniczego Kazimierza Zabokrzyckiego i rolnika Antoniego Krysiaka w Sadownem. W okresie sprzyjającej pogody wiele lekcji dobywało się na łonie natury – w pobliskim lesie lub w Morzyczynie nad jeziorami. W wypadku przebywania w Sadownem Niemców, kryto się w stodołach lub kontynuowano wykłady podczas wycieczek w pole lub do lasu, najczęściej w Jeglu.

Była to bardzo trudna praca i wymagała od obu stron nadzwyczajnej ostrożności, doskonałego zakonspirowania, jak również wielkiego poświęcenia i poważnego traktowania sprawy. Materiał naukowy realizowany był według przedwojennych programów nauczania z zastosowaniem poważnych skrótów dla gruntowniejszego i szybszego jego opanowania.

Młodzież uczęszczająca na te komplety traktowała sprawę poważnie i dokładała wszelkich starań aby wyniki jej pracy były jak największe. Była to dla tej młodzieży jedyna okazja do zdobycia wiedzy, ponieważ szkoły średnie podczas okupacji nie istniały. Okupant ograniczył zakres wiedzy dla Polaków tylko w oparciu o szkołę podstawową, która jego zdaniem była całkowicie wystarczająca dla podbitego narodu.

Ekspansyjne zamierzenie Niemiec hitlerowskich w stosunku do narodu polskiego już od pierwszych dni zaboru ziem polskich były wiadome i nie budziły wątpliwości. Wiadomym było, że ukartowanym z góry planem jest wyniszczenie biologiczne narodu polskiego dla stworzenia narodowi niemieckiemu „Lebensraum” tj. szerokiej przestrzeni życiowej. Podbity naród polski miał stanowić tylko fizyczną siłę roboczą, potrzebną do realizacji tych planów. Według tych zamierzeń miał ulec całkowitemu wyniszczeniu polski element

najbardziej uświadomiony politycznie i społecznie o najbardziej wyrobionej świadomości narodowej.

Podstawowym założeniem biologicznego wyniszczenia elementu polskiego było wyniszczenie inteligencji polskiej oraz uniemożliwienie jej odradzania się. Temu właśnie celowi miała służyć okupacyjna polityka w dziedzinie oświaty i kultury.

Organizacja szkolnictwa, jego programy nauczania sprowadzały się tylko do przygotowania Polaków do wykonywania najcięższej pracy fizycznej, a założenia wychowawcze tego szkolnictwa - do wychowania bezwolnych, potulnych i posusznych robotów w spełnianiu woli „narodu panów”.

Zdecydowanym oporem Polaków na te haniebne zamierzenia była potajemnie organizowana akcja tajnego nauczania, która ze wszystkich akcji prowadzonych w czasie okupacji była najbardziej samorzutnym przejawem solidarności i poczucia odrębności narodowej wykazującym przywiązanie do kultury rodzimej i jej wielkich tradycji historycznych i narodowych.

Tymczasem hitleryzm bity bez litości na wszystkich frontach świata konał w agonii strachu i zbliżającego się szybko widma choć powolnej, ale całkowitej zagłady. Po 5-letniej niewoli okupacyjnej 22 sierpnia 1944 roku przyszła do Sadownego upragniona wolność!

Szkolnictwo sadoweńskie w Polsce Ludowej.

W sierpniu 1944 r. przetoczył się przez Sadowne i jego okolice front wojenny, który zostawił wiele ofiar w ludziach, strat w inwentarzu żywym i martwym oraz spalonych budynkach. Budynek szkolny w Sadownem został przez ustępującego wroga zaminowany, lecz na szczęście, prawdopodobnie wskutek pospiesznego wycofywania się, nie wysadzony w powietrze. Został on potem przez wojska radzieckie rozminowany i niezwłocznie przekazany do użytku. Radość powszechna panowała w środowisku sadowieńskim. Nareszcie po koszmarze nocy okupacyjnej w huk i grzmocie dział, w łunach i dymach pożarów narodziła się oczekiwana wolność. Sadowne i jego okolice wracały powoli do życia. W wielu przypadkach życie to należało budować od nowa.

Całkowity zastój i zahamowanie szkolnictwa polskiego podczas okupacji oraz ogromne zniszczenia, jakich dokonał zaborca w kadrach pedagogicznych, budynkach szkolnych i ich wyposażeniu, odbiły się niekorzystnie na stanie szkolnictwa w pierwszym okresie po wyzwoleniu. Nie było szkoły w naszym rejonie, któraby mogła rozpocząć swą pracę nie napotkawszy na trudności w jakich znalazło się szkolnictwo w pierwszych miesiącach i latach swego pionierskiego niemal bytowania. Ogromny prymityw, w jakim musiały pracować wszystkie szkoły, pogarszał jeszcze bardziej katastrofalny stan spowodowany wojną, który dzięki nadludzkiemu w tej mierze wysiłkowi i poświęceniu

naszych nauczycieli powoli i z niezwykłym uporem przeradzał się ku poprawie, zmieniając oblicze wszystkich placówek oświatowych. Po trudnym starcie szkolnictwo naszego rejonu rozwijało się coraz bardziej i wносиło konsekwentnie ciągłe zmiany na lepsze. Wzrastał stopień organizacyjny szkół, przybywało pomocy naukowych, powstawały biblioteki szkolne, zaopatrzenie w konieczny sprzęt powiększało się z każdym rokiem, rósł zasób materialny istniejących wówczas szkół w Sadownem, Sadolesiu, Morzyczynie, Płatkownicy, Wilczogębach, Rażnach, Grabinach, Szynkarzyźnie, Zieleńcu, Sokółce, Kołodziązu i Bojewie.

Trzeba było nie lada wysiłku ze strony nauczycielstwa przez wiele kolejnych lat, aby w zniszczonym wojną kraju odbudowywać polskie szkolnictwo równoległe z odbudową innych dziedzin życia narodowego. Dużą pomoc okazało tu społeczeństwo, które - widząc w oświacie rzecznika postępu i nadzieję na radykalne przemiany społeczno – gospodarcze – pomagało swoim szkołom w ich rozwoju, świadcząc poprzez Komitety Rodzicielskie pomoc finansową i rzeczową w rozlicznych postaciach.

W początkach października 1944 r. nauczycielstwo wielu szkół naszego rejonu bez wezwania, samorzutnie przystąpiło do wznowienia nauki w opustoszałych i doszczętnie ograbionych budynkach szkolnych, które na szczęście uniknęły zagłady w pożodze wojennej. Oprócz ław szkolnych nie było w nich zupełnie nic, ani sprzętu, ani najkonieczniejszych pomocy naukowych. Ocalałe dzięki ukryciu w przeróżnych zakamarkach, niektóre tylko bardzo nieliczne były teraz pielęgnowane i ze starannością niezwykłą wykorzystywane. Lecz braki wszelkie wyrównywała radość ogromna z istniejącej wolności i niezwykła chęć zdobywania wiedzy w atmosferze spokoju i perspektywie odbudowy zniszczeń wojennych. Wyciągano ukryte przed okupantem dawne podręczniki szkolne i choć mocno zniszczone stanowiły teraz prawdziwe skarby potrzebne w zdobywaniu wiedzy. Brak było zeszytów i licznych przyborów szkolnych, ale nic to nie znaczyło wobec świadomości o wyzwoleniu i pracy prawdziwie wolnej dla dobra własnego uczniów i społeczeństwa. Powoli wzrastała poprawa warunków i stabilizacja życia na wszystkich jego odcinkach. Początki były bardzo trudne i trzeba było je cierpliwie znosić i stopniowo pokonywać. Pionierską pracę pedagogiczną w sadowieńskiej szkole po odrodzeniu rozpoczęli następujący nauczyciele: kierownik szkoły Stanisław Iwaniuk, Wincenty Sapielak, Klara Sapielakowa, Irena Cieślińska, Maria Mischukowa i Felicja Kolatorowa. Wiosną 1945 r. nastąpiły tu zmiany personalne – odeszła Ir. Cieślińska a przybyła na jej miejsce od dn. 1.V.1945 r. Halina Sówkowa. W połowie maja tegoż roku powrócił do pracy Stefan Kolator, który zabrany przez ustępujących Niemców w dn. 9.VIII.1944 r. do robót przyfrontowych przebywał z nimi aż na Węgrzech, skąd, straciwszy zdrowie, powrócił po 9-miesięcznym pobycie. Potem przybyła Jadwiga Borkowska i Anna Iwaniukowa. Kadra pedagogiczna największej w rejonie szkoły wzrastała, a dzięki niej normowała się praca i stabilizowało życie szkolne.

Koniec sierpnia 1945 roku stanowi przełomowy i znamieny moment dla życia i rozwoju szkoły sadowieńskiej. Oto w tym czasie delegacja środowiskowa w składzie: Franciszek Dębowski z Płatkownicy, Stefan Wycech z Wilczogęb, Ludwik Karczmarczyk z

Zarzetki oraz z Sadownego Stefan Pawłowski, Stanisław Iwaniuk, Jan Olton – ówczesny sekretarz gminny, Stanisław Sówka i Edward Sówka – udała się do Warszawy do Ministra Oświaty, rodaka ziemi sadowieńskiej Czesława Wycecha z prośbą o otwarcie w Sadownem gimnazjum dla wiejskiej młodzieży. Cenna inicjatywa tej grupy ludzi, którym leżała na sercu sprawa oświaty w naszym środowisku została bardzo przychylnie przez ministra Wycecha poparta i życzliwie z całą serdecznością przyjęta. Obecny w delegacji kierownik szkoły Stanisław Iwaniuk otrzymał od ministra Wycecha polecenie ogłoszenia w ciągu miesiąca września zapisów i rozpoczęcia zajęć z dniem 1.X.1945 r. Formalny dekret o zatwierdzeniu z dniem 1.V.1946 r. sadowieńskiego gimnazjum zamieszczony został w Dzienniku Urzędowym Min. Oświaty Nr 3/46 z dnia 16.IV.1946 r.

Wielkie zasługi w organizowaniu gimnazjum oddali: pierwszy jego dyrektor Stanisław Iwaniuk oraz nauczyciele: Wincenty Sapielak, Stefan Kolator i Jadwiga Borkowska, którzy jednocześnie pełnili role wykładowców. St. Iwaniuk pełnił obowiązki dyrektora przez m-ce październik, listopad i grudzień 1945 r. Od dnia 1.I.1946 r. dyrektorem zostaje zasłużony jego dalszy organizator Stanisław Ciąćka.

Pierwsze trudności w pracy nowego gimnazjum były bardzo duże – brak sprzętu, pomieszczeń, kwalifikowanych nauczycieli, biblioteki i pomocy naukowych, nie studziły zapału pionierskich organizatorów. Z konieczności nauka musiała odbywać się po zajęciach szkoły podstawowej. Usilnym staraniem miejscowego społeczeństwa, Komitetu Rodzicielskiego i Zarządu Gminnego wykończono 4 sale na II piętrze budynku szkolnego, gdzie nauka już wtedy mogła odbywać się od rana. Dzięki dyrektorowi Stanisławowi Ciąćce gimnazjum otrzymuje w r. 1946 kwalifikowane siły profesorskie: Helena Jakimiak wykłada język polski, Zofia Haberko – biologię i geografę, Maria Kasperlik – łacinę i nieco później Stefania Otorowska – matematykę. Z braku innych nauczycieli czasowo wykładali: Stanisław Iwaniuk – historię, Stefan Kolator – matematykę, Edward Sówka – rysunek, lekarz szk. Rajmund Hrynkiewicz – Moczulski – śpiew i Jadwiga Borkowska – wych. fizyczne.

W taki oto niezwykły, a jednocześnie prosty sposób niewielka, zapadła wieś Sadowne stała się posiadaczem średniej szkoły, wiejskiego gimnazjum dla chłopskich dzieci. Wydarzenie w karierze Sadownego bez precedensu! Był to widomy znak wcielania w czyn demokratycznych haseł Manifestu Lipcowego PKWN. Stanowiło to jednocześnie dowód zapowiadających się wielkich przemian i reform społeczno – kulturalnych w dalszym, postępującym rozwoju nowego modelu Państwa Polskiego. Sadowieńskie gimnazjum otwarło nową kartę w dziejach naszej miejscowości i stało się kontynuacją tajnego nauczania na stopniu szkoły średniej, które jak wyżej wspomniano działało aktywnie podczas okupacji. Marzenie budowniczego szkoły sadowieńskiej Jana Kicia oblekło się w realne formy, stało się rzeczywistością.

Tak więc w budynku sadowieńskiej szkoły pracują od tej chwili dwie jednostki oświatowe. Warunki ich pracy są początkowo bardzo ciężkie i trzeba będzie potem długich kilkunastu lat aby wyposażenie obu szkół mogło zaspokoić najpilniejsze życiowe potrzeby. Duże zasługi w

rozwoju tych placówek przypisać należy pracowitej i ofiarnej kadrze nauczycielskiej, Komitetowi Rodzicielskiemu, władzy gminnej i miejscowemu społeczeństwu. Złączeni we wspólnym dążeniu i wysiłku dla swego wiejskiego gimnazjum wykażą w latach późniejszych jeszcze niejedną ofiarność i zapewnią jej doskonałą bazę materialną, wspartą o trwałe i dobrze moralnie ugruntowany autorytet emanujący daleko poza granice Sadownego i jego okolic.

Od roku 1948 losy obu szkół sadowieńskich zwiążą się ze sobą na wiele lat aż do połowy roku 1966. Zgodnie z zarządzeniem Ministra Oświaty wszystkie na terenie kraju szkoły podstawowe i gimnazja pracujące razem w jednym budynku połączą się ze sobą i utworzą tzw. 11-letnie szkoły ogólnokształcące stopnia podstawowego i licealnego pod jednym zarządem. Na stopniu podstawowym będzie jak dotychczas siedem lat nauki w siedmiu klasach, zaś na stopniu licealnym nauka trwać będzie 4 lata w klasach: VIII, IX, X i XI. Odtąd także przez lat 18 pracować będzie taka szkoła pod wspólnym kierownictwem dyrektora i jego zastępcy. W tym czasie ustąpi z Sadownego trzeci z kolei dyrektor gimnazjum Władysław Rojkowski (zmarł w r. 1968), a kierownictwo obu połączonych szkół obejmie dotychczasowy nauczyciel śpiewu i muzyki Dionizy Szabelski. Będzie on kierował szkołą przez ponad półtora roku, tj. od dnia 1.I.1949 do 31.VIII.1950 r. i zwolni się z pełnienia tych obowiązków na własną prośbę.

Od dnia 1.IX.1950 r. obejmie dyrekturę tej szkoły Henryk Nawrocki z następującym składem nauczycieli i pracowników administracyjnych:

1. Nawrocka Barbara – język polski w kl. lic.,
2. Leśniak Adam – język łaćski w kl. lic.,
3. Góral Franciszek – matematyka w kl. lic.,
4. Ciechanowski Antoni – język rosyjski na obu stopniach,
5. Iwanowska Ludwika – biologia i chemia,
6. Sapielak Wincenty – geografia i geologia,
7. Szabelski Dionizy – śpiew i chór szkolny,
8. Sówkowa Halina – klasy podstawowe,
9. Sówka Edward – zastępca dyrektora i naucz. rysunku,
10. Sapielakowa Klara – klasy podstawowe,
11. Boleniowa Maria – klasy podstawowe,
12. Kolatorowa Felicja – klasy podstawowe,
13. Baranowska Helena – klasy podstawowe,
14. Ks. Frelek Władysław – religia,
15. Dr Hryniewicz – Moczulski Rajmund – lekarz szkolny,
16. Kolator Stefan – sekretarz szkoły,
17. Chmielewska Halina – wych. fiz. dziewcząt,
18. Chmielewski Mieczysław – wych. fiz. chłopców,
19. Chojnacka Maria – historia,

20. Górecka Ewa – przewodnik ZHP,
21. Książopolska Kazimiera – klasy podstawowe,
22. Książopolski Michał – fizyka,
23. Burda Michał – księgowy internatu.

W rok później ustępują: Leśniak Adam i Góral Franciszek, a na ich miejsce przybywają: Witkowski Leon – wykładowca języka łańskieckiego i Tchórzewski Zygmunt – nauczyciel matematyki. Funkcje woźnych tej szkoły pełnią nieprzerwanie do dziś od roku 1947 Józef i Maria Wrzoskowie. Podczas 2-letniej kadencji dyrektora Nawrockiego został wybudowany sposobem gospodarczym murowany budynek dla potrzeb młodzieży szkolnej, rozebrano go po rozbudowie i skanalizowaniu budynku szkolnego w roku 1959 oraz ogrodzono siatką drucianą na żelaznych słupkach cały teren szkolny wraz z internatem. Dużo trudu osobistego i poświęcenia w tej pracy wykazał ówczesny księgowy szkoły i internatu Michał Burda. Człowiekowi temu należy również przypisać duży wkład pracy przy budowie baraków na internat w roku 1946/47 oraz przy urządzeniu i budowie elektrowni szkolnej w roku 1953/54.

Następnym dyrektorem sadowieńskiej 11-latkii od dnia 1 września 1952 r. zostaje przybyła w nasze strony z Sopotu, a pracująca w Szykarzyźnie podczas okupacji w szkolnictwie jawnym i tajnym, Helena PUŚCIONOWA. Będzie ona wraz z zastępcą dyrektora Edwardem SÓWKA piastować tę funkcję do 4 września 1958 r. W tym czasie stan kadrowy tej szkoły rozbudował się poważnie i przedstawiał się następująco:

1. Helena Puścionowa – dyrektor szkoły,
2. Edward Sówka – wicedyrektor i nauczyciel rysunku,
3. Leon Witkowski – II wicedyrektor do spr. adm. i naucz. łac.,
4. Sapielak Wincenty – geografia i astronomia,
5. Ciechanowski Antoni – język rosyjski,
6. Guzikowa Krystyna – język polski,
7. Koral Marian – historia,
8. Facon Tadeusz – matematyka,
9. Piliszek Teresa – matematyka,
10. Kubiela Zygmunt – fizyka,
11. Oksytowicz Edmund – chemia,
12. Pleniewicz Marian – biologia, później jęz. niemiecki,
13. Chmielewska Halina – wych. fiz. dziewcząt,
14. Chmielewski Mieczysław – wych. fiz. chłopców,
15. Łuckiewicz Aleksander – wychowanie fiz.,
16. Ks. mgr Piotr Aleksandrowicz – religia w kl. lic.,
17. Ks. Zbigniew Sarnowski – religia klas podst.,
18. Sapielakowa Klara – nauczycielka klas podst.,
19. Sówkowa Halina – nauczycielka klas podst.,
20. Ciechanowska Ewa – naucz. klas podst.,

21. Baranowska Helena – naucz. klas podst.,
22. Kić Bogusław – naucz. kl. podst. i kierownik internatu,
23. Giers Henryk – naucz. kl. podst.,
24. Szabelski Dionizy – naucz. śpiewu,
25. Kolator Felicja – naucz. klas podst.,
26. Boleń Maria – naucz. klas podstawowych,
27. Pelc Zofia – sekretarka szkoły,
28. Kolator Stefan – księgowy szkoły,
29. Wojtyra Tadeusz – księgowy internatu,
30. Mrozowska Romana – intendent internatu,
31. Wrzosek Józef – starszy woźny szkoły,
32. Wrzosek Maria – sprzątaczką szkoły,
33. Szczerzyńska Jadwiga – sprzątaczką szkoły,
34. Kosson Helena – sprzątaczką szkoły,
35. Puchalski Władysław – konserwator CO i WODKAN,
36. Marczyk Eugeniusz – kierowca,
37. Dębowska Stanisława – kucharka internatu,
38. Wódka Teresa – pomoc kuchenna w internacie,
39. Borowa Julia – pomoc kuchenna w internacie,
40. Witkowska Zofia – pomoc kuchenna w internacie,
41. Sito Marianna – pomoc kuchenna w internacie,
42. Czajka Józef – pomoc kuchenna w internacie,
43. Danielewicz Jan – dozorca internatu,
44. Grotkowski Czesław – mechanik elektrowni szkolnej.

Stopień organizacyjny szkoły w Sadownem wzrasta z każdym rokiem. Zwiększa się liczba uczniów tak na stopniu podstawowym, jak i licealnym, przybywa nauczycieli oraz rośnie liczba oddziałów. Szkoła w tym czasie jest jednostką rozwojową i pod tym względem należy do największych tego typu szkół w województwie warszawskim. A oto na potwierdzenie powyższego trochę liczb:

W roku szk. 1951/52 jest:

oddziałów na stopniu podstawowym – 9

oddziałów na stopniu licealnym – 6

uczniów na stopniu podstawowym – 253

uczniów na stopniu licealnym – 231

natomiast w roku szkolnym 1957/58 jest:

oddziałów stopnia podstawowego – 9

oddziałów stopnia licealnego – 7

uczniów na stopniu podstawowym – 293

uczniów na stopniu licealnym – 234.

W następnych latach liczby wzrastają i w roku szkolnym 1964/65 przedstawiają się następująco:

oddziałów na stopniu podstawowym – 9

oddziałów na stopniu licealnym – 11

uczniów na stopniu podstawowym – 318

uczniów na stopniu licealnym – 367.

Po rozdzieleniu szkoły 11-letniej w roku szk. 1966/67 na dwie odrębne jednostki administracyjne stan liczbowy szkoły podstawowej wyraża się cyframi:

nauczycieli na etacie szkoły podstawowej – 10

nauczycieli z lic. uzupełn. etat w szk. podst. – 10

oddziałów w szkole podst. – 13

uczniów w szkole podst. – 390.

W rok później w szkole podstawowej będzie oddziałów 15 z klasami: I, IIa, IIb, IIIa, IIIb, IVa, IVb, Va, Vb, VIa, VIb, VIIa, VIIb, VIIIa i VIIIb, z ogólną liczbą uczniów 397. Rok szkolny 1967/68 będzie pod tym względem rokiem szczytowym, po którym nastąpi cyfrowy spadek organizacyjny jako wynik obniżania się wyżu demograficznego w statystyce urodzeń.

Od czasu założenia przy szkole w Sadowym internatu tj. od roku 1946 przez szereg późniejszych lat najpoważniejszym kłopotem, utrudniającym bardzo realizację popołudniowych zajęć młodzieży, był brak odpowiedniego oświetlenia. Młodzież zamieszkała w internacie musiała z trudem ogromnym przygotowywać swe prace domowe przy słabym, niszczącym wzrok świetle lamp naftowych. Światła elektrycznego wówczas, aż do roku 1958, nie było. Codziennie przed zapadnięciem zmroku ustawiano na korytarzu I piętra stoły, ławy i krzesła, i przy smrodliwie tłących się kilkudziesięciu lampach naftowych w porze wieczorowej, pod nadzorem nauczyciela dyżurnego, pracowano nad zadanymi do domu lekcjami. Podobne również oświetlenie było i w internacie, do którego, po odrobieniu przygotowania naukowego i kolacji, młodzież udawała się na spoczynek nocny do sal sypialnych mieszczących się w barakach.

Wiosną 1953 roku powstała myśl zmiany tej sytuacji na lepsze. Dyrekcja szkoły i kierownictwo internatu postanowiły założyć własną szkolną elektrownię, która by mogła

oświetlić budynek szkolny, internat i najbliższe domy nauczycielskie. Dużym nakładem ofiarnych sił ludzkich, przy ogromnej trosce wielu pracowników szkoły, a między innymi Bogusława Kicia, Michała Burdy i Edwarda Sówki oraz wydatnej pomocy materialnej Komitetu Rodzicielskiego, sprowadzono ze Śląska agregat oświetleniowy, wybudowano sposobem gospodarczym w południowo – wschodniej części szkolnej posesji budynek murowany na elektrownię i założono potrzebną instalację we wszystkich pomieszczeniach szkoły i internatu.

Po wielu trudnościach, przeszkodach i kłopotach, dnia 4 grudnia 1954 roku przy udziale Kuratora Okręgu Szkolnego Warszawskiego Fr. Szponara, Władz Powiatowych, szerokiego ogółu rodziców, społeczeństwa, nauczycieli i młodzieży szkolnej dokonano otwarcia i uruchomienia własnej elektrowni szkolnej. Dnia tego po raz ostatni w szkole sadowieńskiej zapalono lampy naftowe. Wśród ich zemdlnych świateł, punktualnie o wyznaczonej godzinie 17 zabłyśło światło elektryczne. Radość z tego powodu była niezmierna. Odtąd skończyły się troski i kłopoty oświetleniowe. Młodzież nie psuła już młodych oczu, swąd nafty i blade niezdrowe światło archaicznych lamp naftowych znikły bezpowrotnie z pomieszczeń szkoły i internatu. Własna elektrownia służyła aż do 20 sierpnia 1958 r., kiedy to Sadowne w ramach powszechnej elektryfikacji kraju zostało podłączone do ogólnej sieci elektrycznej.

Rozwijająca się coraz bardziej z każdym rokiem sadowieńska szkoła, nie mogła w pełni pracować normalnie ze względu na ciągle wzrastającą ciasnotę lokalową.

Stan liczebny młodzieży wzrastał, przybywało oddziałów, nauczycieli i pomnażał się stale majątek szkoły i jej zasoby materialne. Wszystko to razem wzięte nie mieściło się swobodnie w dotychczasowych pomieszczeniach dawnego budynku szkolnego. Należy tu przypomnieć, że poprzedni budynek pobudowany przed wojną miał służyć tylko szkole podstawowej. Pracujące naraz dwie placówki oświatowe napotykały na coraz to większe trudności organizacyjne i z trudem mieszczą się w budynku nie mającym przy tym pracowni naukowych. Z każdym rokiem narastają w pracy uczniów i nauczycieli trudności spowodowane brakiem pomieszczeń i urządzeń higieniczno – sanitarnych. Dużo kłopotu nastrocza także w okresie zimowym palenie ogrzewcze w kilkudziesięciu piecach kaflowych. Toteż po wybudowaniu elektrowni i założeniu własnego oświetlenia elektrycznego, naczelną troską Dyrekcji szkoły w tym czasie stała się sprawa rozbudowy istniejącego budynku szkolnego. Powołano społeczny komitet do realizacji tego zamierzenia, który od razu przystąpił do gromadzenia części funduszków i materiałów budowlanych. Dzięki wydatnej i troskliwej pomocy władz oświatowych, administracji powiatowej, Gromadzkiej Rady Narodowej, miejscowego społeczeństwa oraz rodaka ziemi sadowieńskiej ówczesnego Wiceprzewodniczącego Rady Państwa Czesława Wycecha, włączono rozbudowę szkoły w Sadownem do Państwowego Planu Inwestycyjnego.

Kosztorys rozbudowy zamykał się w sumie czterech i pół miliona złotych. Po wykonaniu założeń wstępnych, pełnej dokumentacji i zabezpieczeniu finansowym, wiosną

1955 roku Powiatowe Przedsiębiorstwo Budowlane w Sokołowie Podlaskim, otrzymawszy zlecenie jako wykonawca, przystąpiło do zagospodarowania placu budowy, zwózki materiałów, robienia wykopów i zakładania fundamentów.

Dnia 16 września 1955 r. z udziałem miejscowych władz partyjnych i terenowych oraz społeczeństwa i młodzieży szkolnej, dyrektor szkoły Helena Puścionowa dokonała założenia kamienia węgielnego w narożnym fundamencie nowego budynku od strony północno – wschodniej.

Wśród wielu trudności, kłopotów i przeszkód organizacyjnych, nie przerywając ani na chwilę zajęć szkolnych, trwały prace budowlane przez ponad 2 i pół roku aż do 7.XI.1957 r., w którym to dniu rozbudowany budynek przekazano oficjalnie do użytku młodzieży i środowiska. Kubaturę budynku zwiększono o drugie tyle tj. o ponad 6000 m³. W nowej części znalazły pomieszczenie pracownie naukowe, sala gimnastyczna, sale lekcyjne, pomieszczenia higieniczno – sanitarne i gospodarcze. Zmieniono sieć oświetleniową, skasowano piece kaflowe zastępując je centralnym ogrzewaniem, założono instalację wodno – kanalizacyjną, na korytarzach I i II piętra oraz w licznych salach i pracowniach położono parkiet z klepki dębowej i jesionowej, zaś cały dach budynku pokryto eternitem falistym. Zmieniło się wiele na lepsze. Od tej pory budynek stał się wygodnym i nowoczesnym pomieszczeniem do kontynuowania pracy szkolnej zarówno dla uczniów, jak i nauczycielstwa. Było to duże i poważne osiągnięcie dla dalszego rozwoju sadowieńskiej szkoły i jej zmieniającego szybko swe oblicze wiejskiego, zacofanego niegdyś środowiska.

W ten sposób Sadowne zyskało pełne możliwości stałego, na zawsze istnienia średniego zakładu naukowego w warunkach odpowiadających wszelkim wymogom przepisów szkolnych.

Dnia 4.IX.1958 r. po 6-letnim owocnym kierownictwie ustąpiła ze stanowiska dyrektora szkoły Helena Puścionowa, jednocześnie z funkcji wicedyrektora zwolnił się również Edward Sówka. Tymczasowe pełnienie obowiązków dyrektora władze oświatowe powierzyły nauczycielowi chemii Edmundowi Oksytowiczowi. Funkcję tę pełnił on do czasu przybycia mianowanego przez Kuratorium Okręgu Szkolnego Warszawskiego nowego dyrektora tej placówki przybyłego z Liceum w Ostrowi Maz. Stanisława Dragana, który do współpracy powołał na stanowisko swego zastępcy Edmunda Oksytowicza. Obaj oni objęli swe funkcje od dnia 28.X.1958 r. Od tej chwili rozpocznie się nowy, obfitujący w wiele ważnych momentów i wydarzeń etap pracy szkoły sadowieńskiej, zmierzający ku dalszemu jej rozkwitowi.

Dalszy pomyślny rozwój szkoły stwarzał coraz to nowe potrzeby, które mogły być realizowane tylko w oparciu o nowe inwestycje. Rodzą się myśli o budowie odpowiedniego obiektu do wyczynów sportowych i ćwiczeń w zakresie podnoszenia i doskonalenia kultury fizycznej. Koniec roku 1958 będzie jednym z pierwszych owocnych kroków administracji sadowieńskiej szkoły i jej nauczycieli, a szczególnie Mieczysława Chmielewskiego w kierunku

pobudowania tak bardzo potrzebnego szkole i środowisku stadionu sportowego. Utworzony w tym celu Społeczny Komitet przy wydatnej pomocy Redakcji Sportowej Polskiego Radia, inspirowanej przez redaktor Irenę Kiepuszewską i pod ogólnym kierunkiem dyrektora Dragana, doprowadzi bardzo szybko podjęte dzieło do pomyślnego końca i w dniu 19.IX.1959 r., z udziałem Marszałka Sejmu Cz. Wycecha, Ministra Oświaty Wł. Bieńkowskiego oraz Przewodniczącego GKKP Włodzimierza Reczka, piękny stadion sportowy zostaje oddany do użytku. Od tej chwili znajdzie tu młodzież miejsce do rozgrywek i wyczucia sportowego, a poza tym obiekt ten, jako nieliczny tego rodzaju przy szkołach w ogóle, stanie się miejscem częstych spotkań sportowych ściągającej tu licznie młodzieży szkół województwa warszawskiego.

Trudna sytuacja na odcinku mieszkaniowym w Sadownem, była przez długi okres czasu poważną przeszkodą w ustabilizowaniu życia kadry nauczycielskiej, która, z braku odpowiednich mieszkań, często nie zagrzawszy długo miejsca porzucała pracę w szkole, szukając lepszych, dogodniejszych warunków gdzie indziej. Nie sprzyjało to rzecz jasna pracy dla dobra szkoły i wobec ciągłej płynności kadry nauczycielskiej trzeba było znaleźć korzystne dla obu stron rozwiązanie. Powstawała konieczność budowy obiektu, który mógłby zapewnić nauczycielstwu stałe i wygodne mieszkanie. I znowu pod kierownictwem dyrektora Dragana powstaje z jego inicjatywy w roku 1962 Społeczny Komitet Budowy Domu Nauczyciela. Uchwałą miejscowej Gromadzkiej Rady Narodowej zostaje przekazana na własność szkole część parceli budowlanej położonej przy ulicy Grunwaldzkiej, z przeznaczeniem na budowę wspomnianego wyżej obiektu. Przez trudne 2 lata będzie się teraz borykał powołany do tego Komitet i po wielu ogromnych przeszkodach i trudach oraz dzięki niezmiernemu uporowi dyrektora Dragana rozpoczęte z niemałym nakładem wysiłku i starań dzieło zostanie doprowadzone do końca i w grudniu 1964 r. zostanie przekazane 5-ciu rodzinom nauczycielskim do użytku. Obecnie dzięki poparciu finansowemu SPBSi Int. dobudowuje się jeszcze do tego budynku cztery mieszkania co znacznie poprawi wygody użytkowe jego mieszkańców.

Podobnie coraz dotkliwiej dawała się odczuwać sytuacja na odcinku mieszkaniowym młodzieży, z której znaczna większość rekrutowała się spoza Sadownego. Dotychczasowe baraki internackie, ze względu na ich starość i stałą konserwację, były kosztowne w utrzymaniu, a ponadto zbyt chłodne i ciasne. Służyły już one jako pomieszczenia tymczasowe i nader prymitywne, a przy tym nie dostosowane do potrzeb wychowawczych i organizacyjnych młodzieży, z górą 15 lat i funkcjonalność ich powoli wygasła. Troska o zapewnienie młodzieży pozamiejscowej znośnych warunków życia internackiego stanowiła codzienny niemalże problem, który można było rozwiązać jedynie przez zbudowanie typowego obiektu internackiego dla uczącej się młodzieży. W ten sposób rodzi się projekt budowy nowego internatu, który znowu jak inne zostaje życzliwie poparty przez czułego opiekuna sadowieńskiej szkoły Marszałka Cz. Wycecha, i będzie zrealizowany niespodziewanie szybko, bo w ciągu niespełna dwóch kolejnych lat. Dnia 7 maja 1966 r. nowoczesnie urządzone i wyposażony budynek internatu dla 100 wychowanków zostaje

uroczyście, przy udziale wysokiego protektora Marszałka Cz. Wycecha, Min. Oświaty W. Tułdzieckiego i innych wybitnych osobistości, oddany do użytku. I znów należy stwierdzić, że wybudowanie tego obiektu zwiększyło jeszcze bardziej rangę tej szkoły i bardziej umocniło przekonanie o wytworzeniu się w Sadownem bardzo korzystnych warunków dla istnienia średniego zakładu naukowego.

Dzięki dużemu i szczególnemu poparciu powiatowych władz w Węgrowie zwiększa się stale i wydatnie poprawia wyposażenie Liceum sadowieńskiego. Nowy sprzęt i liczne pomoce naukowe dopełniają stanu zamożności tej placówki, a stała troska dyrekcji szkoły o jej dalszy rozwój zmierza nieprzerwanie do maksymalnego jej wyposażenia we wszystkie niezbędne rekwizyty potrzebne do jej sprawnego i pomyślnego funkcjonowania.

Szkoła tak rok rocznie zasila kadry pracownicze dla potrzeb kraju i ze zdrowo i trzeźwo myślącej młodzieży chłopskiej czyni przydatnych i użytecznych obywateli naszego kraju. Jeśli przy tym dodamy, że od początku swego istnienia Liceum to wypuściło ze swych murów już ponad 800 absolwentów, to będzie to najlepszy dowód jego korzystnej i pożytecznej działalności, która w każdym roku szkolnym rodzi wartościowe zastępy polskiej inteligencji pracującej.

Rok 1966 będzie w życiu obu sadowieńskich szkół, pracujących przez 18 lat zgodnie pod jednym kierownictwem, momentem rozdziału na dwie znowu, jak kiedyś, odrębne jednostki administracyjne. Stanie się to zgodnie z ustawą o reformie szkolnej. W roku uroczystych w kraju ojczystym obchodów 1000-lecia istnienia Państwa Polskiego. Momentem tego przełomu będzie dzień 1.VII.66 r., w którym to Wydział Oświaty w Węgrowie oficjalnie dokonał rozdziału dotychczasowej 11-letniej szkoły ogólnokształcącej na Szkołę Podstawową i Liceum Ogólnokształcące. Pełnienie obowiązków kierownika Szkoły Podstawowej zostało powierzone nauczycielowi Edwardowi Sówce. Od tej chwili rozpocznie się nowy etap pracy obu szkół, które na skutek podziału stworzą odrębne i niezależne od siebie własne systemy administracyjne i wychowawcze. Pozostanie tylko nadal w gestii Liceum administrowanie budynkiem szkolnym.

ROZDZIAŁ VIII

OBRAZY PRZEMOCY, GWAŁTU I OKRUCIEŃSTWA.

Tragiczny wrzesień.

Wybuch II wojny światowej w dniu 1 września 1939 r. poprzedził okres wielomiesięcznych, gorączkowych przygotowań narodu polskiego, który pełen wiary i pewności wpajanej wszystkim przez ówczesny rząd sanacyjny – zrazu nie wierzył w możliwość jej wybuchu, trwając w przekonaniu o fałszywie głoszonych wersjach słabości Niemiec hitlerowskich, niezdolnych rzekomo do naruszenia pokoju europejskiego. Już w miesiącu lipcu tegoż roku, świadome grożące narodowi niebezpieczeństwa, władze polskie rozpoczęły cichą mobilizację wojskową. Większość powoływanych nie zdawała sobie sprawy z grożące Polsce niebezpieczeństwa i zgłaszała się na wezwanie tych kart z przekonaniem, że udaje się na normalne wojskowe ćwiczenia rezerwy lub specjalne przeszkolenie wojskowe.

Ówczesna prasa polska, a z nią i europejska, coraz głośniej pisały i podawały alarmujące wieści o krwawych incydentach na granicy polsko – niemieckiej, prowokowanych przez hitlerowskie straże graniczne. Częste i nacechowane pogroźkami przemówienia radiowe Hitlera, w których stawiał wyraźnie żądania pod adresem tzw. „korytarza”, nie wróżyły nic dobrego i stwarzały coraz bardziej groźbę zbliżającej się awantury wojennej.

Napięcie rośnie, atmosfera przybierała charakter coraz bardziej wzmagającego się podniecenia i nerwowości. Toczące się błyskawicznie wypadki wróżyły zbliżającą się wojnę.

Polskie radio i codzienna prasa donosiły o mnożących się coraz bardziej ekscesach granicznych i zagrzewały jednocześnie do trwania, głosząc o potędze i niezłomności oręża polskiego, jego pełnego i wystarczająco przygotowanego stanu zdolnego do odparcia, a nawet pokonania występującego coraz agresywniej przeciwnika z zachodu.

Już nawet w czerwcu i lipcu, szczególnie nocami, można było na stacji kolejowej w Sadownem widzieć przejeżdżające ze wschodnich ziem pociągi naładowane wojskiem i sprzętem wojennym. Widok tych przegrupowań napawał otuchą i wiarą w siłę i potęgę naszej armii i pozwalał spokojnie myśleć o jej zorganizowanym i doskonałym przygotowaniu do coraz wyraźniej rysującej się groźby nieuchronnej wojny.

W drugiej połowie sierpnia napięcie to wzrosło do ostateczności i spowodowało w Sadownem run miejscowej i okolicznej ludności na sklepy, z których masowo zaczęto wykupywać artykuły pierwszej potrzeby jak: sól, cukier, naftę, papierosy, mydło, kaszę, mąkę, a nawet igły, guziki, nici, materiały tekstylne i inne. Wyciągano ostatni z kąta grosz i

przeznaczano go na zakup produktów mogących stanowić ewentualny ich brak podczas zbliżającej się bardzo szybko wojny.

W Sadownem i okolicy, a także w całym kraju, oliwy do ognia podniecenia dodała ogłoszona w dniu 25 sierpnia powszechna mobilizacja wojskowa, obwieszczona do publicznej wiadomości za pomocą wydrukowanych masowo ogłoszeń wzywających mężczyzn do niezwłocznego stawienia się w wyznaczonych z góry punktach mobilizacyjnych. W dwa dni później specjalna komisja werbunkowa dokonała mobilizacyjnego przeglądu i poboru koni dla potrzeb wojska. Na polanie leśnej, gdzie dziś wznoszą się domostwa Andrzeja Białasa, Edwarda Wyrobka i Mieczysława Chmielewskiego, odbywał się ten pobór, a za pobrane konie wystawiano chłopom kwity, na podstawie których mieli oni później otrzymać zapłatę. Jak wiadomo, tragiczne dla naszego narodu skutki tej wojny nie pozwoliły nigdy na zwrot wystawionych na kwitach wartości pieniężnych za zmobilizowane konie.

W ostatnich dniach sierpnia podniecenie o zbliżającej się już nieuchronnie wojnie wzrosło do najwyższego napięcia i rankiem dnia 1 września w dzienniku radiowym sadowianie usłyszeli mrozący krew w żyłach komunikat o napaści Niemiec hitlerowskich na ziemię polskie. Komunikat zapowiadał jednocześnie, że „odwieczny wróg Narodu Polskiego, bez wypowiedzenia wojny, przekroczył o godzinie 3 nad ranem granicę zachodnią i wtargnął do naszego kraju”. Następne wiadomości radiowe podały treść przemówienia Prezydenta Mościckiego do narodu w formie orędzia i doniosły o niszczycielskich nalotach lotnictwa niemieckiego na otwarte miasta polskie, a między innymi na Warszawę, Kraków, Łódź i Poznań.

Przyznać trzeba, że podobnie jak w wojsku, tak i wśród ludności cywilnej, mimo ogólnego podniecenia, panował nastrój pogody ducha, ufności i wiary w potęgę, bohaterstwo i niezwyciężoność naszej armii. Do podnoszenia takiej atmosfery przyczyniały się coraz częstsze komunikaty radiowe i prasowe głoszące o bombardowaniu Berlina i innych miast niemieckich przez lotnictwo polskie, jak również o wkroczeniu naszych wojsk do Prus Wschodnich. Były to, jak się później okazało, specjalnie, dla podtrzymania ducha odpowiednio preparowane, propagandowe komunikaty, których celem było pokazywanie straconej już z góry wielkości i potęgi nieudolnie przez sanacyjnych władców kierowanego państwa polskiego.

Już w pierwszym i drugim dniu wojny na pogodnym niebie Sadownego pokazywały się często przelatujące na ogromnej wysokości liczne eskadry samolotów niemieckich, idących w różnych kierunkach z potężnym hukiem złowieszczo dudniących silników. Naiwni twierdzili, że to „polskie orły” strzegą naszego nieba i dokonują przelotów na obszary niemieckie, aby tam w odwet za bombardowane miasta polskie zrzucić bomby na miasta i obiekty wroga.

W nocy z 2 na 3 września na stacji kolejowej w Sadownem wyładowały się pułki wileńskie, które, zatrzymawszy się podczas dnia w okolicznym lesie, przemaszerowały nocą w kierunku na Brok i Ostrów Mazowiecką.

Jak wyżej wspomniano, wyładowane na stacji wojska polskie stały się niebawem celem napaści lotnictwa niemieckiego. Dawało to wiele do myślenia i naprowadzało na podejrzenia, że musiało to być wykonane na skutek tajnych, dobrze zakonspirowanych radiowych donosów dywersantów rekrutujących się spośród miejscowych kolonistów niemieckich. Dnia 4 września w godzinach przedpołudniowych niemiecka Luftwaffe dokonała nalotu na stację kolejową w Sadownem, wiedząc zapewne o ruchach wojsk polskich w tym mniej więcej czasie. Jak opowiadali potem naoczni świadkowie, w pobliżu stacjonujących wtedy w lesie żołnierzy kręcili się często dwaj młodzi koloniści pochodzący rzekomo z Sojkówka. Należy sądzić, że byli to łącznicy współdziałający z tajną niemiecką radiostacją nadawczo – odbiorczą, która przekazywała w eter zdradzieckie komunikaty.

W tych pierwszych dniach września zbombardowane zostały jeszcze potem tory kolejowe na odcinku od stacji aż do przejazdu kolejowego w Toporze-Wielgiem. Do dnia dzisiejszego pozostały tam po tych nalotach głębokie leje bombowe wypełnione wodą, stanowiące smutny dokument z tamtych czasów. Tory kolejowe i przewody telegraficzne zostały wówczas zniszczone do tego stopnia, że przestały od razu spełniać swoją rolę i wszelką łączność z resztą kraju.

W dniu 5 września dały się słyszeć w Sadownem pierwsze pomruki kanonad armatnich od strony północno – zachodniej, wzmagające się z każdą godziną coraz bardziej i wyraźniej. Były to odgłosy rozwiniętego już w pełni frontu wojennego na linii Narwi pod Różanem. Tegoż dnia wieczorem pojawili się w Sadownem pierwsi uciekinierzy z tamtych stron, których przerażające opowiadania o okrucieństwie stosowanym przez żołdaków hitlerowskich złamały całkowicie ducha wśród naszych mieszkańców i napełniły ich lękiem przed zbliżającym się coraz bardziej wrogiem.

6 września komunikaty radiowe podały apel pułkownika Umiastowskiego skierowany do wszystkich mężczyzn zdolnych do noszenia broni, aby opuszczali zagrożone frontem wojennym tereny i udawali się w kierunku ziem wschodnich. Zawrzało wówczas wśród mieszkańców Sadownego. Nastąpiła szybka decyzja i z żalem, smutkiem i obawą o losy swych najbliższych opuścili nazajutrz swą rodzinną miejscowość, żegnani z płaczem przez swe rodziny. Rozpoczęła się odtąd bezcelowa, trwająca aż do prawie końca września wędrówka, która zapędziła niejednych na wschodnie tereny ziem polskich obejmowanych już wtedy przez wojska Armii Czerwonej.

Około 25 września uciekinierzy zaczęli powracać do swych rodzinnych stron. Nie zagrzali jednak długo miejsca, bo po 2-dniowym zaledwie pobycie w domu, wszyscy mężczyźni wraz z miejscowymi księżmi: proboszczem Józefem Makarewiczem i wikariuszami: Ludwikiem Sobolewskim i Bolesławem Popowskim, spędzeni zostali na plac, gdzie dziś domostwo Kazimierza Maciocha, przetrzymani tu około 3 godzin i przed samym wieczorem zostali popędzeni jak bydło do koszar 18 PAL w Komorowie koło Ostrowi Maz. W Sadownem roiło się od wojsk hitlerowskich i należy przypuszczać, że wyeliminowanie z życia mężczyzn było jedną z form zastraszenia i terroru stosowanego od początku okupacji na podbitych

ziemiach przez zaborcę. Po kilku dniach, kiedy wojska niemieckie opuściły Sadowne, zwolniono ich i powrócili do domu. W Komorowie tylko wyselekcjonowali Niemcy Polaków spędzonych tam z różnych stron, a szczególnie pochodzących z zachodnich terenów Polski i tych od razu oddzielono od wszystkich. Pozostali oni tam, w tym przejściowym obozie i jaki był ich dalszy los, nie wiadomo.

Około 13 września, po zajęciu Sadownego i okolic przez wojska hitlerowskie, sadowieński kościół stał się miejscem tymczasowego przejściowego obozu jeńców polskich zagarniętych przez wroga w walkach pod Różanem i Andrzejewem. Trzymani tu pod zamknięciem i otoczeni silną strażą przebywali prawie trzy doby nieszczęśni uczestnicy obrony ojczystego kraju w ilości kilku tysięcy. Głodzeni i trzymani pod zamknięciem załatwiali tam swe potrzeby fizjologiczne w warunkach urągających najprostszym choćby sanitarnym i humanitarnym. Z nakazu niemieckiej komendantury wojennej, która stacjonowała w domu Juliana Chełchowskiego, polecono każdej wsi dostarczyć dla tej ogromnej rzeszy jeńców żywności, którą, przyznać trzeba, miejscowa i okoliczna ludność dostarczała samorzutnie, nie czekając na nakaz okupanta. Gotowaną strawę przywożono wozami w beczkach, zaś suchy prowiant w postaci chleba, słoniny, mięsa i jaj w koszach, skrzynkach lub zupełnie luzem, prosto z rąk.

Śmielsi i sprytniejsi spośród jeńców ukryli się przed wymarszem w wieżach kościelnych i po odejściu pozostałych, przebrawszy się w cywilne ubrania dostarczone przez ludność, uszli niebawem w swe rodzinne strony.

Pierwsze oddziały zwiadowcze armii hitlerowskiej pokazały się w wymarłym niemal całkowicie Sadownem już 9 września.

Na terenie Sadownego i w jego okolicznych lasach znajdowała się jeszcze wtedy duża ilość ustępujących spod Różana wojsk polskich, należących do 41 DP grupy operacyjnej WYSZKÓW.

Te pierwsze patrole niemieckie nie zabawiły długo w naszym rodzinnym Sadownem. Przywitani w okolicy domu rodziny Cieślińskich celnym ogniem z karabinów ukrytych żołnierzy polskich, pozostawiwszy dwóch zabitych, umknęli na splotzonych koniach i odstąpili w kierunku Płatkownicy, gdzie, po wcześniejszym przekroczeniu Bugu, przebywali już tam w dość dużej ilości.

Kierując się względami taktycznymi wojska polskie, ustępując spod Różana w kierunku Warszawy, starały się stworzyć niewielki punkt obrony i zamknąć dojście wojsk hitlerowskich do Sadownego przez zorganizowanie na przedpolu Pierwszego Mostu a osadą skutecznych gniazd karabinów maszynowych.

Oddziały tych niewielkich zgrupowań podpuściły na bliską odległość wypełniające całkowicie długimi kolumnami niemieckimi szosę między Płatkownicą a Sadownem. Pozwoliły dotrzeć oddziałom wroga aż do samego Sadownego, przed wejściem do którego

zatrzymały się. I wtedy to, 9 września w godzinach popołudniowych, ukryte i przez Niemców zupełnie nie widoczne, gniazda polskich karabinów maszynowych rozpoczęły niespodziewany, gwałtowny, krzyżowy ogień po widocznych jak na dłoni, gęsto zalegających szosę, wojskach nieprzyjacielskich. Trudno sobie wyobrazić, a jeszcze trudniej opisać, co działo się wówczas wśród nie spodziewających się niczego oddziałów niemieckich. Powstał zamęt nieopisany, tumult i gwałtowny odwrót w kierunku Broku. W tym samym czasie uderzyły od strony lasu, ukryte w nim i okolicznych zaroślach, oddziały zgrupowań polskich. Niemcy, znalazłszy się zewsząd w potrzasku, uciekali we wszystkie niemal strony ginąc masowo i zostawiając tabory, samochody, niezliczoną ilość sprzętu i różnych rzeczy.

Według relacji jednego z uczestników tej walki, nieznanego polskiego żołnierza, na krótkim odcinku naszej szosy od Sadownego do Drugiego Mostu poległo kilkuset Niemców, z których część pochowano potem na cmentarzu poniemieckim w Płatkownicy, ponad 50 na cmentarzu w Sadownem, a resztę wywieźli samochodami do Reichu. Płatkownica i Brok znajdowały się już wtedy w rękach niemieckich. Po tej udanej operacji wojska polskie wycofały się do Sadownego, zapadając w pobliskim, położonym przy szosie, lesie.

To niespodziewane, przykre w skutkach dla Niemców „powitanie” w Sadownem, doprowadziło ich do wściekłości i tego samego dnia w godzinach wieczornych, przy użyciu zdwojonych sił, wyparłszy nielicznych żołnierzy polskich z osady, podpalili ją od strony północnej. Przedtem jednak, przy pomocy kolonistów niemieckich z Płatkownicy, Sadolesia i Sojkówka obrabowali doszczętnie prawie wszystkie domy i sklepy, zwłaszcza żydowskie. Sadowne płonęło całą noc z 9 na 10 września i dogorywało jeszcze przez cały następny dzień, w niedzielę.

Buszujące przed spaleniem Sadownego wojska hitlerowskie, pijane i na pół dzikie, wymordowały znajdujące się w ukryciu resztki pozostałej ludności żydowskiej. Zamroczeni alkoholem żołdacy Hitlera z grup SS pastwili się nad starymi, niedołącznymi Żydówkami i Żydami, i wśród śmiechów i dzikiej radości fotografowali ich, a potem zabijali, znęcając się przedtem dla dodania ofiarom większego przerażenia.

W ten sposób centrum Sadownego prawie do szkoły już w dniach 9 i 10 września zostało opanowane przez napastników.

Tymczasem zalegające w pobliskim lesie niewielkie oddziały wojsk polskich wycofujących się powoli w kierunku Warszawy nie mogły się pogodzić z obecnością nieprzyjaciela w Sadownem, który, wdartszy się tu klinem, rozpoczął manewr oskrzydlający od Ostrowi i Broku, poprzez Udrzyn i dalej Wyszaków, a zbudowawszy most pontonowy na Bugu w okolicy Rażen, przeprowił się na tę stronę i posuwał się w kierunku Sadownego przez Zalesie, Zarzetkę i Grabiny, spodziewając się większych zgrupowań polskich w lasach Sadownego. Mylne to były jednak rachuby. Obrońców Sadownego pozostało wówczas, we wspomnianym wyżej lesie, niewielu, garstka zaledwie, ponieważ duże ich formacje odeszły przedtem w kierunku Zieleńca, Łochowa i dalej do Warszawy. Ich bohaterstwo i opór

względem brutalnego wroga stworzyły poważne przeciw niemu gniazdo oporu, ukrywając część w głębi, a część na skraju lasu obok domostwa rodziny Postków. W tym to właśnie miejscu, na gruncie rolnym Romana Jakubowskiego, uformowane zostało ponownie, jak przedtem, gniazdo ciężkich karabinów maszynowych. Zakryte i zabezpieczone lasem tyły, oraz doskonała stąd widoczność całej prawie osady, jak również poblize szosy, jako głównego na tym terenie traktu komunikacyjnego, stwarzały dla tej bohaterskiej grupy doskonałe pod względem strategicznym stanowisko dla operacji przeciw tkwiącemu w Sadownem wrogowi. Przewidując oskrzydlenia z lewa i prawa, część tych oddziałów obsadziła wylot drogi do Kołodziąza, obok Kuźnicy, a na przedpolu lasu, na szosie został obsadzony przez polską placówkę także mały mostek, spełniający w tym przypadku rolę punktu zaczepno – osłaniającego.

Tymczasem przez prowizoryczny most na Bugu w okolicy Rażen przedostały się grupy operacyjne prawego skrzydła niemieckiego i zbliżyły się pewne siebie do wsi Grabiny, aby prawdopodobnie stamtąd, poprzez Ocięte zaskoczyć zgrupowane w Sadownem oddziały polskie. Znamiennym dla tej chwili wydarzeniem było zabicie przez polskiego żołnierza z ręcznego karabinu oficera niemieckiego, prawdopodobnie w stopniu generała. Strata taka doprowadziła do skrajnej wściekłości wojska niemieckiego, które w odwet za straconego oficera wymordowały znaczną część niewinnych mieszkańców Grabin. Zginęli wówczas zastrzeleni bez pardonu: w dniu 10 września: Filipkowski Stanisław, Filipkowski Bogumił, Kowalczyk Stanisław, Kowalczyk Stanisław syn Kazimierza, Kołek Stanisław, Mazurek Stanisław, Puścion Rozalia, Puścion Czesław, Powierża Aleksander, Powierża Adam, Powierża Henryk, Rowicki Józef, Rowicki Tomasz, Rowicki Stanisław, Rowicki Kazimierz, Wierzbicki Marian, Wierzbicka Rozalia, Wróbel Stanisław, Zawadzki Jan, Pakieła Józef z Zarzetki i wielu nieznanymi uciekinierów z różnych stron Polski. Ogółem w wyniku tej okrutnej i bestialskiej zemsty zginęło wówczas w Grabinach ponad 30 osób. Była to pierwsza na naszych ziemiach masakra bezbronnej ludności cywilnej, która stanowiła krwawe preludium do nadchodzących okrutnych czasów niewoli hitlerowskiej.

Po spaleniu Sadownego, w dniu 10 i 11 września oddziały Wehrmachtu rozpoczęły natarcie w kierunku dróg wyżej wymienionych, podczas którego zostały huraganowym ogniem polskiej broni maszynowej, broni ręcznej i atakiem na bagnety w brawurowym kontrataku wyparte nie tylko z przedpola, lecz również dwukrotnie z Sadownego. W zaciekłym i zażartym boju obu stron przechodziło ono z rąk do rąk. Oddziały polskie, widząc przeważające siły przeciwnika, zmuszone były wycofać się na poprzednio zajmowane stanowiska, tracąc kilku zabitych i rannych. Liczba poległych Niemców nie jest znana, ponieważ zgodnie ze swoim zwyczajem, czy być może poleceniem wojskowym, poległych, jak w poprzednim wypadku, wywieziono do Reichu.

11 września dzielna grupa pozostałych zaledwie 13 żołnierzy – obrońców Sadownego wysieczona została na skraju lasu z broni pokładowej nisko przelatującego nad nimi samolotu hitlerowskiego, ponosząc bohaterską śmierć ofiarnie przelanej krwi na chwałę swojej

brutalnie napadniętej Ojczyzny. Wraz z nimi zginął również ich dowódca w stopniu porucznika rezerwy o nazwisku Pawłowski, który spoczywa ze swymi żołnierzami w zbiorowej mogile sadowieńskiego cmentarza, pod płytą pomnika wystawionego dzięki ofiarności miejscowego społeczeństwa w roku 1963.

Reszta oddziałów, po stracie dowódcy, wycofała się nocą 11 września w kierunku Warszawy.

Sadowne, a wraz z nim cała jego okolica, znalazły się odtąd na długich 5 lat w krwawej niewoli okupacyjnej okrutnego i krwiożerczego zaborcy. Był to jeden z najcięższych i najkrwawszych okresów w dziejach kilkuwiekowych ziemi sadowieńskiej.

Wieczna chwała Bohaterom polskiego września!

II wojna światowa trwała na ziemi naszej ponad 2000 dni. Wiemy, że kampania wrześniowa zakończyła się dla naszego narodu druzgocącą klęską. Była to klęska narodowa, bo całemu narodowi pozostającemu na ziemiach polskich odebrał okupant wolność, a Polaków pozostających poza granicami ojczyzny skazał na przymusową emigrację, bez możliwości chwilowego powrotu do kraju.

Patrząc na te wypadki dziś z perspektywy wielu lat musimy stwierdzić, że kraj nasz nie był do tej wojny przygotowany ani pod względem militarnym, ani też gospodarczym. W podobnej sytuacji znajdowało się wówczas wiele krajów Europy, wmawiających sobie fałszywie o absurdzie niemożliwości wybuchu wojny, o krzykliwej tylko propagandzie hitleryzmu straszącego świat rzekomymi pogroźkami. Naród polski był w europejskiej stawce wojennej napaści pierwszym, który molochowi hitlerowskiemu oparł się i na jego zuchwałe, bezpodstawne żądanie terytorialne odpowiedział zdecydowanym NIE!

Za tragiczną klęskę wrześniową możemy mieć żal i głębokie pretensje do oszukańczej i zakłamanej polityki Becka, ale w żadnym razie nie możemy obwiniać za to narodu, który zdany na łaskę losu, bombardowanie, bity, miażdżony i tępiony przez obłąkany hitleryzm wypełnił swe wrześniowe zadanie i jako największy bohater wśród bohaterów Europy wytrwał do końca, przeciwstawiając się jako pierwszy teutońskiej bucie obleczonej w hitleryzm. Nasz przykład stał się historycznym zaczątkiem dalszego oporu wszystkich napadniętych narodów, które przez ponad 2000 dni zmagaly się z hydrą XX wieku, aż do całkowitego jej dobitcia w gnieździe hitleryzmu – Berlinie.

Polacy pierwsi pokazali dowód głębokiego przywiązania do swojej ojczyzny i posłużyli przykładem jak należy jej bronić. Nie byli jak inni, którzy bez jednego wystrzału, wpuścili na swe ziemie hitlerowców.

Za cenę wolności i obrony Ojczyzny Naród Polski drogo zapłacił obficie przelaną krwią żołnierzy – bohaterów września, którzy dali świadectwo głębokiego poświęcenia i patriotyzmu. Nasz przykład stał się przykładem dla innych podbijanych narodów i świadczył,

że wolności nie można i nie wolno oddawać na kiwnięcie palca, jak zrobili to inni. Przykład naszego pierwszego oporu w obronie ojczyzny napełnił otuchą inne napadnięte narody i stał się dla wielu wzorem bohaterstwa i heroizmu narodu zostawionego na łasce losu. Z prawdą gorzko musimy sobie powiedzieć, że niestety tak było. Prowadzący huśtawkę polityczną rząd Mościckiego i Becka uciekł zaraz w pierwszych dniach wojny za granicę. Nie inaczej, a może nawet jeszcze gorzej postąpił wódz naczelny marszałek Śmigły – Rydz. Naród i żołnierz polski stanął sam w obliczu wyzwoleńczej wojny narodowej i czynem swym wypełnił ekwiwalent honoru za zbiegłych przywódców państwowych i naczelnego dowództwa.

Nie spodziewał się Hitler takiego stanowczego oporu ze strony polskiego żołnierza. Plany 10-dniowego rozbicia Polski całkowicie zawiodły. Zaciekły i bezprzykładny opór osamotnionych Polaków sprawił dowództwo hitlerowskie w zdumienie i zmusił do pomnożenia potencjału zbrojeniowego i poniesienia nieprzewidzianych strat i ofiar w ludziach. Stosunek sił obu stron wówczas w pamiętnym wrześniu był wybitnie na naszą niekorzyść. Lawinie żelaza obleczonego w czołgi i armaty przeciwstawił żołnierz polski bagnetem i szablą, obnażoną pierś oszukanego i zdradzonego narodu. Sojusznicy nasi, deklarujący przedtem swe względem nas zobowiązania, siedzieli teraz cicho i drżeli o własną skórę.

Zbrojny opór polskiego żołnierza przetrwał pod Kockiem do 5 października, gdy tymczasem potężna zdawałoby się wówczas Francja uległa w niespełna 2 tygodnie.

Bohaterskie punkty oporu: Westerplatte, Hel, Kutno, Warszawa i Kock, to wspaniałe dokumenty heroizmu oficerów i żołnierzy polskich. Opór tych żołnierzy udzielił się potem całemu narodowi – armii bez mundurów, armii podziemnej działającej skutecznie na wszystkich sobie wyznaczonych odcinkach.

Dzięki przykładowi żołnierzy września powstała Polska Podziemna, która, mimo przemocy i okrutnego terroru zadawanego potem przez długich 5 lat, działała na szkodę okupanta, potęgując z każdym rokiem przeciw niemu aktywny, żołnierski ruch oporu aż do zwycięstwa.

Nieznani obrońcy sadowieńskiego września znaleźli cichą przystań śmierci w chłodnej, zbiorowej mogile naszego cmentarza. Dziś po upływie wielu lat wspominamy ze czcią pamięć tych bohaterów, którzy na równi z tysiącami innych oddali swej Ojczyźnie największą powinność – ofiarę krwi!

Żołnierze września 1939 roku wypełnili swe zadanie od początku do końca z honorem i całkowitym oddaniem dla bolesnej sprawy. Dramatyczną sytuację, w jakiej się wówczas znalazła Polska, żołnierze ci własnymi pierściami usiłowali osłonić przed najazdem brutalnego sąsiada, oddając swe życie.

Zasłużyli oni na trwałą pamięć i stanowić w niej będą wyraz głębokiego dla nich szacunku i czci najwyższej pokoleń powrześniowych Narodu Polskiego. Czyn orężny Żołnierzy

Września nie może być zapomniany i powinien żyć wiecznie w świadomości naszej, jako wyraz najwyższego uznania za ich bezprzykładowy heroizm i bohaterstwo w obronie Ojczyzny.

Musimy o nich pamiętać i pamięć tę przeszczepiać młodym, narastającym pokoleniom, bo dla ich wolności i przyszłości oddali swe życie. Mimo przegranej Obrońcy Września zrobili wówczas wszystko co do nich należało, a nawet zrobili jeszcze więcej niż żołnierze innych napadniętych narodów, bo bronili swej Ojczyzny najdłużej spośród wszystkich. I dlatego właśnie powinniśmy być dumni z heroizmu i siły polskiego oporu, z męstwa i hartu tych żołnierzy, ich głębokiego patriotyzmu i ofiarności przelanej Ojczyźnie krwi.

Ich bratnia mogiła, w której spoczywają ze swym dowódcą, winna stanowić w naszej pamięci niewygasający wiecznie płomień wdzięczności za obronę Sadownego w tych pamiętnych, smutnych dla nas dniach 1939 roku. Pomnik, tablica pamiątkowa i wojskowe, betonowe krzyże na tej mogile, są tylko skromną, niewspółmiernie niską ceną naszej zapłaty za świętą ofiarę Ich krwi.

Większą za ten czyn zapłatą będzie nasza pamięć o Nich, na którą bez precedensu zasłużyli sobie jak najbardziej.

Wieczna chwała bezimiennym bohaterom, obrońcom naszej ziemi!

Sadowne w niewoli hitlerowskiej.

Smutny i bardzo bolesny widok przedstawiało Sadowne po wkroczeniu okrutnych zwycięzców spod znaku złamanego krzyża. Ruchliwe i dość żywotne dotychczas nasze osiedle zamarło teraz prawie zupełnie po całkowitym niemal spaleniu i wymordowaniu części jego mieszkańców, zwłaszcza Żydów. Swąd spalenizny wplatał się w dymiące przez kilka dni zgłiszcza niedawnego jeszcze życia. Kikuty kominów, resztki tlejących ścian i opalonych drzew sterczały boleśnie wśród złowrogiej, przepojonej grozą śmierci i zniszczenia atmosfery wojennych dni, smutnego w dziejach naszych i na zawsze pamiętnego września.

Ocalałe w tym pogromie resztki mieszkańców Sadownego, wylęknione i drżące przed okrucieństwem pijanych żołdaków hitlerowskich, kryły się w pobliskich lasach, piwnicach, bunkrach ziemnych i zakamarkach pozostałych budynków.

Niepewność nieznanego, nowego życia w zmienionych gwałtownie warunkach dodawała lęku i grozy. Poniewierające się zwłoki zabitych żołnierzy i pomordowanych Żydów, padlina końska oraz wąsające się bezpańskie, wyjące przeciągle psy, dodawały temu widokowi jeszcze większej okropności, spowitej koszmarem okrucieństwa i gwałtu zadanego przemocą przez napastników z Zachodu.

Nigdy na przestrzeni swego 4-wiekowego istnienia nie doznało Sadowne takich okrucieństw, jakie spotkały je wtedy.

Dobrze zrobili mężczyźni, że uszli przedtem w głąb kraju. Bilans ofiar ludzkich byłby na pewno jeszcze większy gdyby pozostali oni w Sadownem. Należy przypuszczać, że buszujący razem z żołďactwem hitlerowskim miejscowi koloniści niemieccy mieliby okazję do krwawych rozliczeń wynikających z tajonych przez wiele lat nienawiści do Polaków.

Świadomość politycznego tragizmu i beznadziejności najbliższego niewolniczego życia malowała się w wylęknionych oczach tych mieszkańców Sadownego i okolic, którzy cudem uniknęli śmierci i cało wyszli z pogromu narzuconej siłą i przemocą wojny.

Krwawy zwycięzca nie od razu zdomowił się w naszej osadzie. Dopiero w dnia dni po spaleniu Sadownego i zniszczeniu resztek oddziałów polskich, lawina żołďactwa, taborów konnych i samochodów zwała się, zajmując kwatery w budynku szkolnym, remizie strażackiej, plebanii, ocalałych domach, a nawet w kościele.

Po kilku dniach duża ich część pomaszerowała w kierunku Warszawy. Opróżnili szereg kwater, a między innymi kościół, do którego następnie spędzili, trzymając pod zamknięciem i strażą, kilka tysięcy pojmanyh w niewolę żołńierzy polskich.

Specjalna kolumna porządkowa wojsk okupacyjnych pod dowództwem oficera pochodzenia austriackiego w stopniu Hauptmanna zajęła się zaraz po wkroczeniu uprzątnięciem poległych zarówno swoich, jak i polskich. Z nakazu dowódcy tej grupy zwieziono z okolicznych wsi i Sadownego zwłoki wszystkich poległych na miejscowy cmentarz parafialny. Żołńierze niemieccy oraz spędzona do tego smutnego obrządku garstka cywilów, zajęli się zbiciem ponad 100 skrzyń – trumien, do których złożono zwłoki poległych. Swoich Niemcy skrzętnie spisywali wg metalowych, osobistych metryk żołńierskich, zaś polskich podobno spisano, lecz dotychczas żadnego śladu w aktach gminnych nie znaleziono. Ktoś z ówczesnej administracji gminnej nie dopatrył tej sprawy naleźycie i dlatego nie znamy nazwisk bohaterskich żołńierzy tam złożonych. Pozostaną oni w naszej pamięci jako bezimienni, nieznani żołńierze.

Uszanował bohaterstwo tych żołńierzy także i okupant. Na zbiorowej, obsadzonej świerkami mogile umieszczono na betonowej głowicy polski hełm żołńierski i drewniany (dziś już nieistniejący) krzyż i tablicę z napisem w języku niemieckim: „Hier ruhen In Gott 50 unbekante, tapfere polnischen soldaten”, z tekstem polskim: „Tu spoczywa w Bogu 50 nieznanym, dzielnych polskich żołńierzy”. Na mogile Niemców widniały gęsto ustawione, drewniane krzyże z nazwiskami poległych. W tej samej mogile, na jej skraju od strony mogiły polskiej, pogrzebano w rok później żołńierza niemieckiego, który, będąc w stanie nietrzeźwym, utonął podczas kąpieli w stawie Pierwszego Mostu.

Omawiając zagadnienie grzebania poległych we wrześniu żołńierzy, należy tu koniecznie wspomnieć o odosobnionym, a bliżej nieznanym szerszemu ogółowi społeczeństwa fakcie obywatelskiego pogrzebu pierwszego poległego w obronie Sadownego żołńierza polskiego. W 31 lat po tragedii wrześniowej narodu polskiego, w roku 1970, dzięki ofiarności i zasługującej na uznanie postawy obywatelskiej mistrza kamieniarskiego Witolda

Nowakowskiego z Zieleńca, a prowadzącego swój zakład w Sadownem, stanął tuż przy zachodniej bramie cmentarza skromny, ale jakże wymownie piękny i trwałe znak w postaci, zaprojektowanego przez Edwarda Sówkę i przy poparciu sprawy przez Franciszka Karczmarczyka, pomnik wykonany jako bezinteresowny dar W. Nowakowskiego dla Nieznanego Żołnierza z roku 1939. Miejsce to uwiecznione pomnikiem jest pierwszą oddzielną mogiłą żołnierską, do której, dzięki ofiarnej postawie trzech sadoweńskich obywateli, złożono bohaterskie szczątki żołnierskie na kilka dni przed zbiorowym pogrzebem 50-ciu wyżej wymienionych poległych żołnierzy polskich i niemieckich.

Według relacji żyjącego jeszcze dziś (1970) Józefa Konika, jedyne w tej chwili świadka smutnego obrzędu pogrzebowego, w którym tenże Konik brał osobiście udział – historia tego pierwszego bohatera przedstawia się następująco: w dniu 10 lub 11 września, kiedy wojska hitlerowskie dokonawszy pożarowego zniszczenia, wkroczyły do Sadownego – mieszkaniec Sadownego Stefan Pawłowski, właściciel zakładu masarskiego, wezwał do siebie Jana Cioka i Józefa Konika, przedstawiając im swój plan dokonania obrzędu pogrzebowego owego, nieznanego nam po dziś dzień żołnierza, którego zwłoki znaleziono w rowie przy szosie, naprzeciw domostwa rodziny Szabelskich, przy tzw. „Rynnie”. Należy przypuszczać, że był to jeden z obrońców Sadownego, biorący udział w walce usytuowanego w pobliskich zaroślach gniazda karabinów maszynowych, będącego jednym z punktów oporu wojsk polskich wycofujących się spod Różana, a omówionego przedtem we fragmencie „Tragiczny wrzesień”.

Nieszczęsnego żołnierza najprawdopodobniej musiała zaskoczyć nieubłagana śmierć w tym właśnie rowie. Jak długo on tam leżał, trudno powiedzieć. Niedługo chyba jednak, ponieważ zwłoki jego, mimo panującego wówczas ciepła, nie znajdowały się w stanie rozkładu. Żołnierz ów, mający lat około 30, miał oberwane obie nogi powyżej kolan, poszarpany straszliwie mundur zbroczony we krwi i rozerwany lewy bok. Należy przypuszczać, że śmierć jego spowodowana była wybuchem granatu lub pociskiem moździerzowym i nastąpiła natychmiast.

Wymienieni wyżej mieszkańcy Sadownego, zabrawszy ze sobą wóz wymoszczony słomą, udali się przez pola do miejsca żołnierskiej śmierci poległego. W tym samym czasie, około południa przeciągały szosą ku Sadownemu kolumny hitlerowskich wojsk, które obojętnie patrzyły na przydrożną scenę zabierania z rowu poległego żołnierza polskiego. Należy tu z uznaniem podkreślić odwagę i poświęcenie tych trzech ludzi, którzy, mimo obecności znanych z okrucieństwa żołdaków hitlerowskich, ofiarnie, prawie z narażeniem życia zajęli się pogrzebaniem żołnierskich zwłok. Zmasakrowane jego szczątki przewieziono natychmiast na pobliski cmentarz i w naprędce wykopanej mogile, bez trumny, złożono go w rzeczonym wyżej miejscu. W smutnej i bezludnej scenerii, z udziałem zaledwie trzech osób cywilnych, bez salwy i honorów wojskowych legły na wieczny spoczynek bohaterskie szczątki obrońcy Sadownego. Nieubłagany los przeznaczenia, kierowany trudnymi warunkami wojennymi, zapędził go aż tu z dalekiego Wilna, aby złożyć swe żołnierskie kości ku chwale

napadniętej zdradziecko Ojczyzny. Ofiara przelanej krwi zamknięta została rachunkiem piaszczystych brył sadowieńskiego cmentarza, które pokryły go na zawsze. Prochy jego, przywalone ciężką płytą grobowca, będą wiecznym dokumentem o jego bohaterstwie w obronie napadniętej brutalnie Ojczyzny. Niech ci Nieznany Żołnierzu sadowieńska ziemia lekka i wdzięczną będzie po wsze czasy!

Stefan Pawłowski, kierując się zdrowym rozsądkiem, wyjął z munduru kieszeni poległego jego dokumenty, z których wynikało, że był to żołnierz w stopniu plutonowego, mieszkaniec Wilna, posiadający również przy sobie legitymację stwierdzającą, że był on w „cywilu” komendantem oddziału „Strzelca” w Wilnie. Dokumenty te S. Pawłowski złożył w depozyt do ówczesnego proboszcza ks. Makarewicza, który niestety nie powiadomił rodziny poległego, zatracił gdzieś te dokumenty i dlatego imię spoczywającego dziś pod płytą wzniesionego pomnika pozostanie na zawsze niewiadome i opatrzone mianem Nieznanego Żołnierza 1939 r.

Od pierwszych dni swego okupacyjnego pobytu na naszej ziemi Niemcy rozpoczęli swą działalność od organizowania administracji i nowego, zmienionego na niemiecką modłę życia Polaków.

Po dwudziestu latach wolnego, w oswobodzonej od rządów zaborczych Ojczyźnie, życia, pojawił się znowu na polskiej ziemi niedawny jej okupant, ale w innej niż wtedy skórze drapieżcy, pomnożonej okrucieństwem, nienawiścią i zwierzęcą podłością w stosunku do elementu polskiego. Swój nikczemny stosunek do Polaków przejawiał od razu okupant w okrucieństwie zastosowanym podczas walk pozycyjnych w stosunku do żołnierzy polskich i ludności cywilnej. Z niesłychanym dotychczas bestialstwem i drapieżnością bombardując otwarte, często bezbronne miasta i mordując masowo niewinną ludność cywilną, obiecując sobie długowieczne tu panowanie, opierając się na postrachu i terrorze, rozpoczął swe krwawe rządy na odwiecznie polskiej ziemi, do której w ostatnich latach przed napaścią na nasz kraj rościł sobie nieuzasadnione pretensje.

Pogrążeni w głębokim smutku mieszkańcy Sadownego i okolic opłakiwali tych, co zamordowano podczas działań frontowych, jak również i tych, którzy znaleźli się w szeregach żołnierskich i wieści żadnych o nich nie było. Jedni podzielili los jeńców wojennych, inni zaginęli bezpowrotnie, oddając życie w obronie Ojczyzny.

Okupacyjna administracja.

Pierwszym organem władzy okupacyjnej w Sadownem była komendantura mieszcząca się w ocalałym z pogromu wojennego domu Juliana Chełchowskiego. Jej komendantem był z pochodzenia obszarnik niemiecki w stopniu kapitana o nieznanym nazwisku, zaś jego zastępcą w stopniu feldfebla, potwór w ludzkiej skórze, wyzuty z wszelkich cech człowieczeństwa, hitlerowska kanalia w najgorszym wydaniu o nazwisku Polster.

Pierwszy z nich, choć nosił mundur wroga, pozostał w pamięci jako człowiek, lecz jego zastępca posiadał wiele cech wspólnych bestialstwu wyspecjalizowanemu wg hitlerowskich metod w dręczeniu i mordowaniu ludzi. Według smutnych wspomnień naocznego świadka, mieszkańca domu, w którym urzędowała komendantura niemiecka – Polster trząsł wszystkim i wszystkimi. Nawet jego przełożony nie miał wiele do powiedzenia, drżąc zapewne przed jego hitlerowską legitymacją.

Ulubionym zajęciem Polstera było dręczenie ludzi i zabijanie bez wyroków. Sam był sędzią i jednocześnie katem, wykonawcą wyroków przez strzelanie w tył głowy. Specjalizował się w wyłapywaniu przechodzących szosą Polaków, a w szczególności Żydów spoza terenu gminy Sadowne. Umyślnie wychodził na szosę, zatrzymywał przechodzących, sprowadzał potem do komendantury, rewidował bardzo skrupulatnie, rabował doszczętnie ze wszystkiego i wtrącał do piwnicy, aby nocą dokonać samosądu przez rozstrzelanie.

Inną wyszukaną metodą tego zbira, mającą na celu wprowadzenie terroru i zastraszenia mieszkańców Sadownego, były nocne wypadki na kontrolę domów i ich mieszkańców. W towarzystwie dwóch żołdatów, których zawsze zostawiał na dworze pod drzwiami, chodził w późnych godzinach nocnych od domu do domu i wzywając wrzaskliwym „aufmachen” kopał nogami w drzwi, klnąc przy tym okrutnie. Zaspani i wystraszeni domownicy siadali z lękiem na łózkach i z bojaźnią o swe życie spoglądali na zimną stal lufy wymierzonego pistoletu, przykładanego często dla spotęgowania strachu do piersi.

Delektował się wtedy Polster przestachem malującym się na twarzach nękanych ludzi, stawiając przy tym wyuczone niezdarnie w języku polskim pytania: „Boisz się śmierci? lub Szukam polskich bandytów – gdzie oni są?...” Szurgając brutalnie buciarami i kopiąc sprzęty domowe rozpoczynał w świetle ręcznej latarki penetrację wszystkiego co w domu było. Następowano wtedy odsuwanie szuflad i grzebanie w nich, zaglądnienie do szaf i kredensów i wywracanie wszystkiego do góry nogami. Najczęściej po takim przeczesaniu wnętrza domu, jego właściciele spostrzegali potem brak wielu cenniejszych przedmiotów, które podczas rewizji trafiały do przepastnych kieszeni polsterowego płaszcza. Przeważnie długo po takiej nocnej „wizycie” wystraszeni domownicy długo nie mogli zasnąć spokojnie, a tymczasem Polster obrabiał inne domy, albo wyłapywał przemykających się nocą Żydów, rewidował ich i ferował wyroki śmierci.

Był to wyrafinowany łotr, który celował w ograbianie domów i rewidowanych w komendanturze Żydów. W ciągu kilkumiesięcznego urzędowania tego rabusia w Sadownem, lokal komendantury zasłynął z wyszukanych metod ograbiania ludzi, w których specjalistą był Polster. Do codziennie stosowanych przez niego sposobów pomnażania swoich łupów wojennych było obdzieranie schwytanych na szosie Żydówek z cenniejszej odzieży, futer, a nawet obuwia. W poszukiwaniu u rewidowanych złota i drogich kamieni, których zagrabił sporo, krzycząc, popychając i kopiąc buciarami wylękłe kobiety, rozkazywał im rozbierać się do naga, rewidował skrupulatnie zdjętą odzież, zaś rewidowanym kobietom zaglądał do jamy ustnej, szukając pod językiem ukrytych brylantów, a nawet kontrolował najbardziej

wstydlive, intymne miejsca wylęknionych Żydówek, szukając w sposób wyrafinowany schowanych tam rzekomo kosztowności. W pomysłach rewidowania, dręczenia i zabijania przeszedł ów rzeźmieszek wszystko, co u tego rodzaju typów jest możliwe. Zrabowane w ten sposób łupy odsyłał do swego domu w dalekim Reichu.

Ludzkim zaprzeczeniem tego potwora był jego przełożony, komendant tej placówki. Na potwierdzenie tego przytoczmy ciekawy szczegół zaczerpnięty z opowiadania człowieka, który się z nim w owych czasach zetknął. W 28 lat później odwiedził Sadowne jeden z delikwentów oprawcy Polstera – Żyd polski, skazany przez niego na śmierć i uratowany prawie cudem przez samego (nie do wiary) Herr komendanta. Oto nocą, podczas chwilowej nieobecności Polstera, komendant ów, w którym najwidoczniej istniała odrobina ludzkiego serca, wyprowadził nieszczęsnego skazańca z piwnicy, pozorując ucieczkę, nakarmił mięsem i chlebem, przeprowadził do sąsiedniego domu, gdzie dziś mieszka Fr. Karczmarczyk i nakazawszy wszelką ostrożność, polecił ten dom opuścić nad ranem i uciekać w kierunku Ostrowi Maz. Z szacunkiem godnym podziwu opowiadał ten człowiek o szlachetnym, co należało w ogóle do wielkiej rzadkości, postępku tego Niemca. Jakże kontrastowo maluje się ta postać w zestawieniu z Polsterem? Dwa przeciwstawne sobie typy. Jeden starszy wiekiem i rangą, posiadający cechy prawdziwie ludzkie, drugi młody, w sile wieku łotr, uosobienie wszystkich najgorszych cech hitlerowskiego przestępcy, wyspecjalizowana według faszystowskich metod drapieżna bestia w ludzkiej skórze.

Celem i zadaniem niemieckiej komendantury było poczynienie wstępnych obserwacji życia ludności cywilnej, rozpoznanie terenu, nastrojów w nim panujących i zorganizowanie życia administracyjnego. Przedstawiciele poszczególnych resortów administracji wyznaczał sam komendant osobiście. Wyznaczał w ten sposób wójta, sołtysów i kierowników szkół. Pierwszym wójtem naszej gminy wyznaczony wbrew jego woli był Jan Widyński. Kadencja jego urzędowania była krótka. Symulując chorobę wycofał się z tej niezbyt zaszczytnej funkcji, a miejsce wójtowskie po nim objął potem dawny, przedwojenny wójt Józef Gajewski, który również nie zagrzebał na tym fotelu miejsca i przekazał go Janowi Wycechowi, dawnemu mieszkańcowi Wilczogąb, a ostatnio przed wojną mieszkańcowi Sadownego.

Jan Wycech, nie bacząc na sytuację polityczną w jakiej znalazł się nasz kraj, dość odważnie i łaćno podjął się tego niełatwego, a nawet rzecz można, bardzo trudnego zadania. Stanowisko wójtowskie w owym czasie wymagało od takiego osobnika nie lada sprytu, taktu i jednocześnie tupetu, a także przebiegłości i zmysłu organizacyjnego. Licząc na swe duże możliwości w tym zakresie, podjął się Wycech zadania przerastającego siły i śmiałość niejednego. Z całą rozważą o niebezpieczeństwie wykonywania na tym stanowisku podwójnej roli, bo tak niestety trzeba było ją traktować, rozpoczął on swe urzędowanie na początku 1940 roku, na krótki niestety okres czasu. Podpatrzony prawdopodobnie przez dobrze zakonspirowanych szpiclów niemieckich, a może nawet fałszywie oskarżony przez czyhającego na to stanowisko volksdeutscha Wildemanna o dublerstwie w wójtowskiej

funkcji, zostaje Wycech przez Niemców aresztowany w kwietniu 1941 r. i osadzony w więzieniu niemieckim, w którym przebywał bez przerwy około 12 miesięcy.

Na opróżnione nieoczekiwanie miejsce po Wycechu został natychmiast wprowadzony, już nie przez komendanturę, bo ta istniała tylko w pierwszych miesiącach okupacji, lecz przez zorganizowane stałe niemieckie władze administracyjne dla powiatów: węgrowskiego i sokołowskiego z siedzibą w Sokołowie Podlaskim, volksdeutsch z Sadolesia, ciemny podły typ Sigismund Wildemann. Łajdak ten był wymarzoną dla okupanta wierną wykonawcą jego poleceń i rozkazów i po dorwaniu się do władzy wójtowskiej pokazał swe prawdziwe oblicze i podłą rogatą duszę w stosunku do ludności naszej gminy.

Nieodstępnym rekwizytem jego władania był rzemienny knut, który w rękach nieobliczalnego satrapy niemieckiego stanowił ważny atrybut do uśmierzenia niezasłużonych najczęściej przewinień ludzkich. Zboczeniec lubujący się w nadmiarze używania alkoholu i nachalstwie względem upatrzonych, dla zaspokojenia swych zwierzęcych chuci, kobiet zasłynął przez krótki wprawdzie, lecz nader obfity w podłą treść, okres swego urzędowania jako łapówkarz, złodziej, łajdak i podlec najgorszego gatunku. Osobiste względy i nadmierne korzyści, jakie zachłannie zgarniał z racji wójtostwa dla szeroko zakrojonych własnych potrzeb, nie zawsze z rozsądkiem i rozmysłem, kierujący sprawami administracyjnymi dla celów okupanta, musiał wkrótce opuścić urząd wójtowski i przekazać go na powrót przybyłemu z niemieckiego więzienia Janowi Wycechowi. Po kilkumiesięcznym odpoczynku w domu Wycech na polecenie władzy okupacyjnej musiał ponownie, chociaż opierał się temu, objąć stanowisko wójta po zdegradowanym i całkowicie wobec swych współplemiennych mocodawców skompromitowanym Zygmuncie Wildemannie.

„Herr Vogt Wildemann” po przymusowej rezygnacji z urzędu wójtowskiego, o wykonywaniu którego nie miał najmniejszego pojęcia, bo ledwie umiał się podpisać, zaszył się na kilka miesięcy w swym rodzinnym Sadolesiu i pędził tam skromniejszy niż dotychczas żywot, w którym podczas dnia krył się ze wstydu przed okiem ludzkim, zaś nocą wychodził na szosę przy Drugim Moście i tam zaopatrzony w konia z wozem rabował mąkę lub zboże rolnikom jadącym albo powracającym z młyna Z. Ufnąła w Płatkownicy. Na potwierdzenie powyższego, piszący te słowa przytacza fakt obudzenia go pewnego dnia o świcie, przez poszkodowanego rolnika ze wsi Wielgie, który, idąc za śladem sypanego z rozdartego worka zboża, dotarł na podwórze szkolne sąsiadujące z sadybą Wildemanna, prosząc o zwrot zabranego mu zboża. Po wyjaśnieniu, dowiedziawszy się kto był autorem grabieży, siadł na ogołocony z worków wóz i nie chcąc mieć nic do czynienia ze znanym w okolicy volksdeutchem, odjechał pospiesznie zmartwiony niepomiernie do domu.

W taki oto sposób, nie mając czasowo żadnych źródeł utrzymania, sadowieński ex wójt „zarabiał” nocami dla pomnożenia swojej lichej już wtedy fortuny. Szybko jednak po takich występkach zaczął mu się palić grunt pod nogami. Znienawidzony przez środowisko, które po zdjęciu go z fotela wójtowskiego odwróciło się całkowicie od niego, jako zdeklarowanego szubrawca, mając jeszcze świeżo w pamięci jego żandarmskie wyczyny –

czmychnął nocą w nieznanym kierunku i przepadł bez wieści, obawiając się najprawdopodobniej sprawiedliwej ręki polskiego podziemia, które, obserwując jego podłe wyczyny, wydało wyrok usunięcia go spośród polskiej społeczności, cierpiącej gehennę życia spowodowaną przez jego współplemieńców.

Mimo wydawałoby się niechęci ze strony poprzedniego wójta Jana Wycecha, powrócił on ponownie na polecenie władzy okupacyjnej na stanowisko gospodarza gminy po skompromitowanym volksdeutschu Wildemannie. Późniejsza działalność okupacyjna łasego na zaszczyty i stanowiska Jana Wycecha nie należała niestety do najlepszych, a przeciwnie, kompromitowała go w oczach trzeźwo na wszystko wówczas patrzących Polaków. Był to przyznać trzeba ze smutkiem i żalem uległy wykonawca poleceń okupanta. Podczas pierwszej swojej kadencji wywiązywał się jako tako ze swoich obowiązków nie krzywdząc swoich współrodaków, utrzymując się na poziomie dobrego Polaka, natomiast po powrocie z niemieckiego więzienia – wyzuł się ze wszystkiego i najprawdopodobniej zaprzedał w służbę zaborcy.

I właśnie wtedy, gdy w dobie spotęgowanej nienawiści elementu polskiego do okrutnego swego prześladowcy i bezprawnego gwałciciela praw wolnego narodu wszyscy prawdziwi Polacy ze zrozumiałym wstrętem odwracali się od znienawidzonego wroga i okupanta, i na ile to było możliwe, aktywnie stawiali mu opór poprzez dywersję, sabotaż i skuteczną walkę żołnierzy polskiego podziemia, wójt ten mimo wielokrotnych ze strony tajnych organizacji ostrzeżeń, nie uznawał zakonspirowanej władzy polskiej, a przeciwnie drwił z niej i wyszydzał publicznie, nazywając pogardliwie jej członków „bandyciakami”.

Miewał on nieraz, lecz zbyt rzadko, przebłyski jakiegoś chyba opamiętania i to niejednemu nasuwało wątpliwości co do wyraźnego oblicza tego maskującego się sprytnie człowieka. Do takich np. należy fakt uwolnienia przez niego osobiście z przygminnego aresztu, schwytej w lesie przez łotra Polaka, Żydówki pochodzącej z Sokółki o nazwisku Biała, która w wiele lat później w wolnej już Polsce potwierdziła ten wypadek, szczęśliwie przeżywszy pogrom żydowski w roku 1943 i resztę lat okupacyjnych.

Zbytnia gorliwość w realizowaniu przymusowo ściąganych z rolników kontyngentów na rzecz okupanta, rzuca również niezbyt pochlebne światło na jego wiernopoddańczą działalność, a z nazbyt sumiennego wyznaczania kontyngentu ludzkiego na przymusowe roboty do Rzeszy znany był w całej okolicy. Szczególną nienawiść w rekrutowaniu do tych robót żywił w stosunku do biedoty, zwłaszcza wyrobników, robotników i bezrolnych. Nazywał ich często pogardliwie „choiniarzami” (pogardliwa nazwa sadowieńskiej biedoty zamieszkującej część Sadownego zw. „Choiną”), a w potocznych rozmowach bardzo często wyrażał się o nich jako nierobach, darmożjadach zjadających za darmo chleb. Niezbiecnie należy stwierdzić, że człowiek ten pałał szczególną nienawiścią do ludzi biednych, natomiast inny całkowicie był jego stosunek do zamożnych i bogaczy.

Jeszcze do dziś słyszy się niesławne wspomnienia o tym wójcie, który często w swych głupawych wynurzeniach, szczególnie pod wpływem alkoholu chełpił się przekąsem, że „w jego żyłach płynie 90% krwi niemieckiej”. Przy takich idiotycznych przechwałkach dodawał często zaszczytne dla siebie podkreślenia o tym, jak to w Sokołowie Podlaskim, siedzibie niemieckiego wówczas starosty „chadzał pod rękę z Kreishauptmannem Grammsem”, wyrafinowanym gestapowcem, polakożercą i kanalią nie z pod ciemnej gwiazdy, lecz spod złamanego hakekrutzu.

Wiele akcji pacyfikacyjnych przeciw ludności polskiej w naszym regionie, a zwłaszcza w roku 1942 i 1943 przeciw Żydom, w czasie których broczyła krwią niewinnie przelaną ziemia sadowieńska, przypisywanych było nastaniu karnych ekspedycji hitlerowskich przez tego właśnie służalczego wójta. Zaślepiona i wiernopoddańcza jego służba dla Niemców, zwróciła niebawem uwagę Polskiego Podziemia, które najpierw ostrzegając kilkakrotnie bez widocznego ze strony Wycecha pohamowania w swych służalczych zapędach, zmuszone było przerwać jego niesławny żywot wyrokiem organizacji podziemnej w dniu 2 II 1944 r.

Opróżnione po zaginionym wójcie miejsce nie od razu zostało obsadzone i przez kilka tygodni świeciło pustką. Nie było na to niechlubne stanowisko łasych kandydatów i dopiero w jakiś czas potem objął je mieszkaniec Sokółki Antoni Cymerman, który nie zagrzawszy zbyt długo tego miejsca przekazał je dawnemu wójtowi przedwojnemu Józefowi Gajewskiemu, który narzucone mu stanowisko traktował raczej przejściowo, prawie przelotnie spełniając narzucone mu obowiązki bez poważnego ich traktowania. Zresztą był to już czas wyraźnie zbliżającej się, nieuchronnej klęski bitego bez litości na wszystkich frontach, coraz słabszego pod każdym względem hitleryzmu. Jeszcze tu i ówdzie krwiożerczy zaborca dawał znać o sobie, jeszcze swymi mocnymi wypadami do poszczególnych wsi naszego regionu znaczył krwawe piętno zbrodni i okrucieństwa, ale chwiać się już zaczynała jego dotychczasowa sprężysta administracja, wkładało się rozprężenie, bezład i dezorganizacja – stanowczo i konsekwentnie konała w bezlitosnych kleszczach Armii Czerwonej na wschodzie i Armii Sprzymierzonych na zachodzie, ubroczone we krwi wszystkich niemal narodów Europy, krwawa bestia hitlerowska, wyspecjalizowany w zbrodni i zwierzęcej przemocy potwór XX wieku. Był to historyczny dla wielu narodów Europy rok 1944, a sierpień tego roku zakończył na ziemi sadowieńskiej niemal 5-cio letni okres brzemiennej w tragiczne wydarzenia administracji okupanta hitlerowskiego.

Achtung Fleckfiber! (niem. „Uwaga tyfus plamisty!”)

5-letni czas okupacji hitlerowskiej był okresem ciężkim i w niektórych jej latach brzemienym w krwawe wydarzenia. Przyzwyczajeni przedtem do swobody Polacy musieli się niespodziewanie pogodzić z narzuconą im przemocą, władzą okupacyjną drapieżnego i nie przebierającego w środkach zaborcy. Do najbardziej ciężkich i obfitujących w groźbę należy zaliczyć pierwszą srogą wojenną zimę z 1939 na 1940 r. oraz lata 1942, 1943 i początek roku 1944.

Wspomniana wyżej bardzo mroźna zima, podczas której wymarzło wiele sadów i zwierzyny leśnej, dokuczyła także szczególnie wysiedleńcom usuniętym brutalnie przez hitlerowców z Pomorza i Poznańskiego. Byli to ci, którzy odmówili podpisania podsuwanej przez okupanta volkslisty, ogołoceni dosłownie ze wszystkiego, musieli pod groźbą kary śmierci opuszczać dotychczasowe własne gospodarstwa rolne, na których natychmiast osiedlano element niemiecki. Ludzie ci osiedlani w ogołoconych i obrabowanych doszczętnie przez wyjeżdżających w końcu 1939 r. kolonistów, a do reszty także przez wojenne hieny ludzkie, gospodarstwach poniemieckich w Sadolesiu, Płatkownicy, Sojkówku i Ociętem wiedli nader ciężki żywot ludzi dotkniętych w sposób okrutny przez niemiecki taran wojny.

Pustka, brak jakiegokolwiek mienia i sprzętu, zimno i głód dokuczały okropnie tym nieszczęśnikom nie tylko w zimie, lecz jeszcze przez wiele miesięcy 1940 roku. Potem dzięki dobrym sercom ludzkim i po jakim takim zagospodarowaniu losy ich poprawiły się i tak przetrwali do czasu wyzwolenia swych stron rodzinnych wiosną 1945 roku, w które skwapliwie powrócili. Byli wśród nich także i ludzie podli, służący okupantowi, lecz na szczęście takich było bardzo niewielu, którzy w porę zorientowawszy się w niebezpiecznej dla siebie sytuacji czmychnęli w nieznanym kierunku, innych natomiast wybitnie szkodliwych naszemu środowisku musiały Władze Podziemne zlikwidować.

Koniec wojennego roku 1941 i pierwsza połowa roku 1942 zapisały się w historii naszej ziemi jako ciężki dla społeczeństwa okres epidemii tyfusu plamistego, zawleczonego prawdopodobnie w nasze strony wraz z odzieżą używaną, zwaną powszechnie „ciuchami”, którą w okresie wojny prowadzono ożywiony handel dający intratne zyski handlarzom różnego autoramentu, zaś wygodę ludziom jej potrzebującym. Istniały również przypuszczenia, że zaraza ta przedostała się do nas na skutek ciągłych wędrówek ludzkich, kontynuowanych najczęściej w pogoni za zarobkiem w rozwijającym się powszechnie, pokątnym handlu wśród mieszkańców naszych i innych wsi i miast.

Ponieważ zarazki tyfusu plamistego, jak wiadomo, roznoszone są przez wesz odzieżową, nie ulega najmniejszej wątpliwości, że one właśnie, przeniesione wraz z odzieżą lub przywiezione z ludzkiej ciżby panującej wtedy w pociągach, stworzyły bardzo poważne ognisko tej zarazy w naszym terenie.

Najostrzej uderzyła ta groźna choroba w wieś Morzyczyn, w której przez długi okres umierało codziennie po kilka osób, a łącznie zmarło tam ponad 50 osób. Zaraza nie oszczędziła również innych wsi i w początkach roku 1942 zaczęła rozprzestrzeniać się w sposób gwałtowny, sięgając w promieniu odległym od naszej ziemi w wielu miejscowościach powiatu węgrowskiego, ostrowskiego i sokołowsko-podlaskiego. Groźna w swych skutkach sytuacja na tym odcinku zmusiła przelętego okupanta do zorganizowania w budynku szkoły w Sadownem zakaźnego szpitala zamkniętego. Przydzielono tu natychmiast opiekę lekarską oraz personel sanitarny, który z ogromnym poświęceniem i narażeniem własnego życia wypełniał swe humanitarne obowiązki aż do całkowitego wygaśnięcia groźnej dla otoczenia epidemii.

Szkoła sadowieńska stała się w tym okresie miejscem śmierci wielu setek zarażonych tą straszną chorobą, których w stanie agonalnym zwożono tu z licznych wiosek celem odizolowania ich od pozostałych mieszkańców wielu okolicznych gmin, a nawet z dalekiej gminy Kosów Lacki.

Warunki bytowania i leczenia w tym prowizorycznym, zakaźnym szpitalu, były mimo ofiarności i poświęcenia personelu w nim pracującego nad wyraz ciężkie i dalekie od potrzeb i warunków leczenia normalnego. Brak odpowiednich leków i szczepień ochronnych, których nie zastosowano nawet personelowi szpitalnemu, nie mogły oczywiście sprzyjać zdecydowanej i szybkiej likwidacji groźnej dla reszty otoczenia groźnej zarazy.

Sadowne i okolice stały się na wiele długich miesięcy, tego tragicznego w skutkach czasu, miejscem odosobnienia w powiecie węgrowskim, do którego w obawie o siebie Niemcy nie zaglądali zupełnie, panicznie bojąc się zetknięcia z chorobą. W objętych epidemią wsiach, u wylotów dróg pojawiły się ostrzegawcze napisy w języku niemieckim: „Achtung Fleckfiber”. Celem opanowania rozrastającej się zarazy zorganizowano specjalną kolumnę dezynfekcyjno – sanitarną, która każdy dom zagrożony chorobą skrupulatnie odkażała za pomocą środków chemicznych.

Na okres istnienia szpitala w budynku szkolnym i przez wiele miesięcy po wygaśnięciu epidemii, dzieci szkolne nie uczyły się zupełnie, a potem dopiero znalazły pomieszczenie w tzw. „Kantorze”, w wynajętych domach prywatnych, a nawet w stodołach. W innych szkołach naszego regionu nauka z powodu epidemii została całkowicie zawieszona na okres wielu miesięcy.

Praca ofiarnie pracującego w tym szpitalu personelu zarówno lekarskiego, sanitarnego, jak i gospodarczego zasługuje na wyrazy szczerego, ludzkiego podziwu i ogromnego uznania. Niemal bezinteresownie trudzili się i narażali własne życie następujący ludzie: lekarz Romuald Hrynkiewicz-Moczulski przesiedlony z Pomorza, późniejszy więzień obozu koncentracyjnego w Stuthofie, dobry Polak, gorący patriota, pełniący przez wiele lat okupacyjnych i powojennych funkcję lekarza w Sadownem, zmarły z wycieńczenia obozowego na gruźlicę w roku 1953. Drugi lekarz nazwiskiem Mielczarek, znajdujący się w Sadownem przypadkowo jako przesiedlony z Poznańskiego lub kryjący się przed okupantem, oraz z personelu sanitarnego, pełniącego swą obywatelską służbę nie dla zysku, lecz z poświęcenia społecznego i humanitarnego: Halina Sówkowa, późniejsza nauczycielka szkoły w Sadownem, Helena Samuel, warszawska nauczycielka przebywająca w tym czasie w Sadownem przy rodzinie męża, Solnicka z Sokołowa Podl., sześć siostr zakonnych, między innymi Teobalda, Akwilina i Kolumba, oraz z obsługi Jan Kądziela z zawodu szewc, późniejszy palacz c.o. w sadowieńskiej szkole, spełniający wtedy funkcję sanitariusza.

Ich ofiarność i poświęcenie, z narażeniem własnego życia dla dobra nieszczęsnych bliźnich, skłania do wyrażenia im pełnego uznania i szacunku za oddanie się takiej sprawie podczas ciężkich dni szalejącej epidemii.

Po wygaśnięciu zarazy w miesiącu lipcu 1942 r. starym zwyczajem mieszkańcy Morzyczyna wystawili na skraju swej wsi drewniany, czteroramienny krzyż, jako znak grasującej tu zarazy.

Smutne to były chwile i napawały mieszkańców naszej ziemi obawą i strachem codziennym przed niespodziewanym atakiem podstępnej choroby. Grozę tego strachu potęgował żałosny głos dzwonu kościelnego, odprowadzający codziennie niemal po kilkanaście nieraz trumien na miejsce wiecznego spoczynku. Potem, w miarę nasilania się epidemii, zwłok jej ofiar nie wnoszono nawet do kościoła, lecz składano je od razu na cmentarzu do mogił, obawiając się dalszego rozprzestrzeniania choroby.

Jednego tylko dnia, w styczniu 1942 r. zanotowano 12 zgonów w tym prowizorycznym szpitalu zakaźnym. Wprawdzie warunki tego szpitala nie odpowiadały zupełnie wymogom lecznictwa zamkniętego, lecz były miejscem izolacji chorych od reszty zdrowych ludzi. Było w nim około 100 łóżek zajmowanych bez przerwy, reszta zaś chorych, mających w wysokiej gorączce, leżała na rozłożonych na podłodze, przywożonych z domu siennikach.

Każdy chory po przybyciu do szpitala poddawany był dezynfekcji i kąpeli. Przy szpitalu istniała specjalna kolumna dezynfekcyjna zajmująca się odkażaniem pomieszczeń i odzieży oraz kąpaniem chorych. Jeden z jej członków, imieniem Wiktor, o nieznanym nazwisku, prawdopodobnie ukrywający się przed Niemcami, zmarł na tyfus i pochowany został na cmentarzu. Według relacji Jana Kądzeli, ówczesnego w tym szpitalu sanitariusza i Jana Tomaszewskiego, byłego grabarza kościelnego, w okresie grasowania tej straszliwej epidemii zmarło w szpitalu i poza nim w domach, wiele ponad 1000 ludzi. Najwięcej ofiar dawały wsie: Morzyczyn, Kiełczew, Lipki, Grądy, Poniatowo, Szykarzyzna, Zarzetka, Zalesie oraz wiele innych wsi z gminy Stoczek i Prostyń.

Niektóre domy były zaatakowane zarazą do tego stopnia, że wymierały niemal całe rodziny. Bywało, że zostawały nieraz tylko dzieci, starsi, mniej odporni, marli masowo.

Wszystkie sale szkolnego szpitala na parterze i część na I piętrze zastawione były bez przerwy łózkami i siennikami chorych. Umarli zwalniali miejsca nowym chorym. Nie było dnia, aby były miejsca wolne, nie zajęte przez chorych.

Największy okres nasilenia epidemii przypadł na miesiące: styczeń, luty i marzec 1942 r. Z braku miejsca w salach lokowano przywożonych tu chorych we wszystkich wolnych zakamarkach niewykończonego jeszcze wtedy całkowicie budynku szkolnego. Korytarze parteru i I piętra wypełnione wtedy były po brzegi. Śmierć zbierała swe obfite żniwo. Jej widmo zatrzymało się wtedy długo nad nieszczęsną naszą ziemią, zgarniając swój bogaty i brzemenny w rozpacz ludzką i tragizm krwawy plon. Trupiarnia szpitala, mieszcząca się w jednej z niewykończonych sal szkolnych na II piętrze, nie była w okresie tych tragicznych miesięcy nigdy pusta. Jej ponura zawartość dostarczała bez przerwy coraz to więcej trumien

nowemu rewirowi cmentarza, który z konieczności został od strony południowej rozszerzony i podczas epidemii zapełnił się gęsto mogiłami jej ofiar.

Atmosfera grozy, żalu, głębokiego smutku i ogólnego przygnębienia panowała wówczas we wszystkich wsiach naszego regionu. Podnieceni obawą o utratę życia, rozumiejący powód zachorowania na tę straszliwą chorobę ludzie, unikali spotkań między sobą. Zmalały do minimum wzajemne sąsiedzkie odwiedziny, unikano podróży do Warszawy, Ostrowi Maz. I innych miast. Tylko pilne lub naglące potrzeby wypędały ludzi z domów. Ograniczano się do najbardziej koniecznych kontaktów, spotkań i podróży. Frekwencja w szkołach spadła do zera, a w wioskach o dużym nasileniu epidemii zajęcia szkolne zostały całkowicie na długi okres zawieszono.

Na szczęście z nastaniem wiosny, a z nią dni i miesiące cieplejszych, fala groźnej, w warunkach wojennego życia choroby, malała coraz bardziej, aż w lipcu 1942 r. wygasła zupełnie.

Ludzie odetchnęli, lecz przez długi jeszcze czas, nie dając wiary całkowitemu jej ustąpieniu, byli ostrożni, słuchając przenikających tu wieści o jej jeszcze trwaniu w Węgrowie i okolicach, skąd podobnie jak i u nas zwożono chorych do identycznego szpitala w szkole na Piaskach.

Wczesną jesienią tegoż roku zaraza opuściła całkowicie powiat węgrowski, a jego ludność wracała powoli do wojennego w dalszym ciągu życia.

Smutny to był rok i wywołał w naszym środowisku głęboki wstrząs do i tak już istniejącego tragizmu warunków wojennych.

Ludzie i szakale!

Na ziemi naszego regionu po wygaśnięciu epidemii tyfusu nie na długo zapanował w tym roku spokój. Taran okrucieństwa wojennego uderzył znów z niesłychaną dotychczas mocą w końcu roku 1942 i na początku 1943 w Sadowne i jego okolice.

Najprawdopodobniej na skutek donosu, niemiecka żandarmeria z Budzisk dokonała przy użyciu dodatkowej pomocy żandarmów z Węgrowa i Sokołowa, a także granatowej policji polskiej, będącej na żołdzie zaborczym – pogromu ukrywających się w pobliskim Jeglu Żydów sadowieńskich, stoczkowskich, Brokowskich i innych. Prześladowani i tępieni nieszczęśni Żydzi wiedli w głębi tego, zdawałoby się zbawczego dla nich lasu, wyniszczający żywot ludzi skazanych na zagładę.

W zboczach Bogackich Gór sadowieńskiego Jegła ukryci, we własnoręcznie wygrzebanych i dobrze zamaskowanych przed okiem ludzkim ziemiankach, żyli oni z nadzieją przetrwania tych okropnych dla ich tragicznego losu czasów.

Rozumiejąc beznadziejność wegetacji w miejscach odosobnienia zwanych „gettami” – wierzyli głęboko w ocalenie. Zamaskowani w dzień, opuszczali nocą swe prawie zwierzęce kryjówki – nory i dla zdobycia koniecznych dla podtrzymania życia produktów żywnościowych przychodzili nocami do wsi, szukając współczucia u znanych z przedwojennego, wspólnego życia Polaków.

Tragizm nieszczęsnej doli i beznadziejność ich fatalnego życia, kruszyły najtwardsze nawet serca, budziły litość i głębokie współczucie dla wynędzniałych, zarośniętych i brudnych zjaw ludzkich, pragnących tak, jak inni, żyć i przetrwać najazd współczesnych Hunów XX wieku z zachodniej Europy.

Przy zetknięciu się ze znajomymi sobie Polakami ubolewali nad swym tragicznym losem, płacząc gorzkimi łzami bolesnego żalu wynikającego z beznadziejności swego położenia. Przedwojenni, ocaleli z wrześniowego pogromu Żydzi, mieszkańcy Sadownego, w tych warunkach nie podobni byli do siebie zupełnie.

Ludność naszego terenu, nie pomna okrutnych represji ze strony okupanta za pomoc udzielaną Żydom – karmiła i odziewała tych nieszczęśników przez długie miesiące, aż do całkowitego ich wyniszczenia.

Świadomość ceny ludzkiego, spalonego życia była większa od strachu, kryjącego w sobie karę śmierci za przetrzymywanie lub zaopatrywanie w żywność kryjących się Żydów. Wysoką cenę zapłaciła za sprzedanie im chleba w styczniu 1943 r. rodzina znanych od dawna i szanowanych w Sadownem piekarzy Lubkiewiczów. Przytępiane przez żandarmów sadowieńskie Żydówki, przenoszące ukryty chleb, nie wytrzymały zadawanych im katuszy i wydały źródło pochodzenia chleba. Natychmiast potem, tego samego wieczora zginęli od kul hitlerowskich: Leon, jego żona Maria i syn Stefan.

Podstawowy produkt podtrzymywania ludzkiego bytu – chleb stanowił wówczas cenę niewspółmiernie wysoką do wartości życia ludzkiego. Bardzo nisko natomiast wycenił okupant wartość tego życia. Kosztowało ono wtedy niewiele – zaledwie kilkadziesiąt groszy i zamykało się w cenie jednej karabinowej lub pistoletowej kuli. Taka właśnie zapłata za ich życie spotkała ukrytych w Jeglu Żydów.

W grudniowe, mroźne popołudnie, niedługo przed zachodem krwawiącego się na niebie słońca, Jegiel zapełnił się terkotem wystrzałów z ręcznych karabinów i broni automatycznej. Poderwało to natychmiast do wyczulonej uwagi mieszkańców Sadownego i wsi sąsiadujących z Jeglem. Zrozumiano od razu co znaczyły te strzały, przerywane często wybuchami rwących się granatów.

Ponad 2 godziny trwała masakra próbujących ucieczki mieszkańców jeglowskich ziemianek. I tu dotarła bestia hitlerowska mordując doszczętnie oszalałych z przerażenia i zaskoczonych zniemacka Szepców, Miarów, Kamionkowskich, Zyska, Karpów, Welmanów,

Oppenheimów, Najmarków i wielu, wielu innych sadowieńskich, stoczkowskich i brokowskich Żydów.

O zmierzchu tego pamiętnego dnia ucichły w Jeglu strzały i wybuchy granatów. Wraz z nimi ucichło i przestało istnieć życie ponad 120 nieszczęsnych ludzi dlatego tylko, że byli Żydami, na których wydał hitlerowski oprawca pierwszy zbiorowy, nienotowany w dziejach ludzkich wyrok śmierci.

Nie ucichła tylko na długi czas wśród mieszkańców naszej ziemi świadomość gwałtu, bezprawia i bezprzykładnego bestialstwa hitlerowskich potworów w ludzkiej skórze. Świadomość ta wyostrzyła teraz jeszcze bardziej czujność elementu polskiego, dla którego, po wyniszczeniu Żydów, był już podpisany w dalekim Krakowie przez gubernatora Franka następnym masowy wyrok na naród polski.

Eksterminacja Żydów polskich wskazywała na okrucieństwo i metody krwawego zaborcy, i ostrzegała przed podobnym losem, jaki miał w kolejności spotkać Polaków. Hitlerowska maszyna śmierci, pracująca złowieszczo, lecz twardo i systematycznie, nabierała stopniowo rozpędu i rozmachu w zaplanowanym według faszystowskich prawideł wyniszczania wszystkiego co nie niemieckie, aby pozostawić w tym zbiorowym pogromie tylko element przeznaczony do pracy fizycznej „dla wielkiej i szczęśliwej przyszłości wybranego narodu panów”, jakim miało stać się, według szaleńczych planów Hitlera, państwo wielkoniemieckie.

Zmasakrowane zwłoki wymordowanych pamiętnego grudnia Żydów leżały długo potem tam, gdzie zastała je śmierć. Zrewidowane i ograbione doszczętnie ze wszystkiego co stanowiło jakąś wartość, a przede wszystkim z pieniędzy, złota i kosztowności trzymany na tzw. „czarną godzinę”, walały się przez wiele miesięcy w zaroślach Jegla i ziemiankach, do wnętrza których podczas mordu hitlerowcy wrzucali granaty. Okrutni sprawcy wydali potem surowy zakaz grzebania pomordowanych, pod karą śmierci.

Mieszkańcy pobliskiego Sadolesia i innych osiedli przemykali się nieraz potem w głąb ostępów leśnych i oglądali je dla potwierdzenia świadectwa prawdy okrutnego pogromu. Koszmaru tej straszliwej gehennie ludzkiej dodawało długo potem wśród nocy naszczekiwanie lisów targających okrutne kęsy nieszczęsnych ofiar hitlerowskiego bestialstwa. Rozniesione przez nie kości i czaszki białeły w słońcu przez długie lata wśród zarośli leśnych, stanowiąc krwawy dowód haniebnych czynów niemieckich bestii w ludzkiej postaci.

Gwałt zadany elementowi żydowskiemu nie dopełnił się tych krwawych, pamiętnych dni grudnia 1942 roku. Wybuchnął on ponownie w styczniu i lutym następnego roku, aby wytepić duże jeszcze ilości Żydów kryjących się w innych miejscach okolicznych lasów.

Był to jednocześnie okres, w którym rozpoczęły się niepowodzenia wojenne Niemców na wszystkich frontach, w którym dogorywała olbrzymia napastnicza armia niemieckiego generała feldmarszałka von Paulusa.

Najgroźniejszy ząb w krwiożerczej szczęce hitlerizmu został wyłamany. Rozpoczęta w drugiej połowie lipca 1942 r. jedna z największych i decydujących bitew świata pod dalekim Stalingradem dogasała i 2 lutego 1943 r. zakończyła się całkowitą klęską wojsk hitlerowskich. Tylko przez prawie ½ roku Niemcy stracili w tej bitwie 1 ½ miliona zabitych, rannych i wziętych do niewoli, ponad 3000 samolotów, około 75 tysięcy samochodów i 3 ½ tysiąca czołgów i dział szturmowych. To był pogrom („Przekrój”, nr 1176 z dn. 22 X 67 r.). Hitlerowska bestia skapana we własnej krwi, rozpoczęła stamtąd swój odwrót aż do Polski, aż do Berlina.

Bitwa bez ustanku i gnieciona teraz ze zdwojoną siłą przez Rosjan armia krwiożerczych, dumnych wczoraj „panów świata”, cofała się teraz w beładzie i strachu ku swojemu gniazdu, lecz jeszcze niepokonana, jeszcze butna, jeszcze obiecująca sobie realizację planów ekspansyjnych.

Niepowodzenia na dalekim wschodnim froncie spotęgowały jeszcze bardziej represje hitlerowców na terenie wszystkich ziem okupowanych. Dało się to wyraźnie odczuć również i na naszej sadowieńskiej ziemi.

Rok 1943, jako czas największych w historii II wojny światowej niepowodzeń hitlerowskich, zaznaczył się, w przystępstwie szału bitego faszyzmu, krwawym piętnem na niewinnej ludności cywilnej. Ze zdwojoną furią przypuścili w tym czasie hitlerowcy swój niesławny w dziejach świata szturm na bezbronną ludność cywilną, maltretowaną i mordowaną na każdym kroku.

W pierwszym rzędzie szaleńcy spod znaku złamanego krzyża postanowili, realizując swe szatańskie plany, zlikwidować ocalałe jeszcze dotychczas resztki Żydów, kryjących się z nadzieją na uratowanie życia w jamach leśnych i dobrze zamaskowanych dołach i kryjówkach.

Piec krematoryjny pobliskiej Treblinki pracował teraz ze zwielokrotnioną siłą, a przykry jego śwąd spalenizny ludzkich ciał, przenoszony z wiatrem na naszą ziemię, drażnił nozdrza i dawał okazję do bardzo smutnych refleksji o losie mordowanych bez powodu i winy ludzi.

Posiadając prawdopodobnie dokładny wywiad o istnieniu w okolicznych lasach jeszcze dużej ilości Żydów ocalałych w poprzednim pogromie, w pierwszej połowie stycznia 1943 roku sprowadzili Niemcy z Latowicza k/Mińska Mazowieckiego gromadę hitlerowskich zbirów dla ostatecznej ich likwidacji.

Była to tzw. „karna ekspedycja” osławiona już z tego rodzaju akcji pacyfikacyjnych na terenie wielu gmin powiatu mińsko mazowieckiego, sokołowskiego, garwolińskiego i innych. W swej krwawej robocie dała się ona poznać jako banda wyrafinowanych zbirów, skąpana już po wielokroć w niewinnie rozlanej krwi okupowanego narodu. Ciemne typy, kanalie i rzezimieszki najpodlejszego autoramentu, dla których życie ludzkie nie stanowiło żadnej wartości.

Komendantem tej krwawej chołoty był wysoki jak tyka, chudy, ryży z obrzydliwie piegowatą gębą Niemiec w stopniu leutenaanta, nie wytykający poza swą kwaterę nosa.

Bazą tej kilkudziesięcioosobowej zgrai stał się budynek dzisiejszego internatu chłopców przy Liceum w Sadownem i szkoła, którą na tydzień przedtem opróżniono z uczniów i obstawiono strzegącą w dzień i zdwojoną w nocy wartą.

Już po nakazie usunięcia dzieci ze szkoły, sadowieńskie środowisko wyczuło podświadomie, że dzieć się tu będzie coś niezwykłego, że szkołę opróżnia się dla niezbyt pożądanym przybyszów. Przeczucia nie zawiodły i w dniu 12 stycznia, transportem kilku ciężarowych samochodów, zwanych wtedy popularnie „budami”, zwała się do Sadownego zgraja okrutnych siepaczy.

Błady strach padł na mieszkańców naszej ziemi po ogłoszeniu godziny policyjnej i zapowiedzi nie opuszczania domów.

Jeszcze świeżo w pamięci tkwił niedawny, krwawy dla Żydów grudzień, jeszcze huczały w uszach detonacje rwących ludzi na strzepy granatów i zgiełkiwie szczekanie broni automatycznej w pobliskim Jeglu, a już znowu zapowiadało się zło, wiszące milczeniem grozy w powietrzu mroźnego stycznia.

Nic się nie działo w pierwszych dniach pobytu okrutnych żandarmów i na ziemi naszego regionu zaległa jakby cisza złowróbnego oczekiwania na to, co miało nieuchronnie, wkrótce nastąpić.

Krwawą swą działalność rozpoczęła ekspedycja niemiecka od wymordowania w dniu 13 stycznia 1943 r. rodziny Lubkiewiczów oraz codziennych wypadów do każdej wioski mających na celu sondowanie sytuacji panujących na ich terenie.

Każdego dnia z rozkazu rudego Her Komendanta zajeżdżały przed „czerwony dom” punktualnie o godzinie 8 rano podwozy zabierające po 6 żandarmów udających się do danej wsi. Po przyjeździe do niej zajeżdżali do sołtysa, u którego z polecenia wójta przygotowany był obficie zastawiony jadłem i wódką stół i rozpoczynała się trwająca dzień cały libacja, podczas której wypytywali o Żydów i „polnische banditen”. Najedzeni i spici do nieprzytomności wracali do swego gniazda, strzelając po drodze, aby w ten sposób dodać strachu i pomnożyć terror wśród ludzi.

Po takiej libacji zapadali na kilka dni w swej kryjówce by powtórzyć „odwiedziny” w innej z kolei wiosce. I tak trwało to dotąd, aż spenetrowali wszystkie kąty i uzyskali orientację o stanie całej gminy, a częściowo i poza nią.

Zadaniem innej grupy były nocne wypadki w teren, z których zwozili przepętnione fury kryjących się jeszcze w lasach Żydów. Schwytych w tych nocnych łapankach rewidowano dokładnie, ogałając ze wszystkiego i rozstrzelano na placu szkolnym gdzie dziś znajduje się stadion sportowy.

Mieszkający w sąsiedztwie szkoły sadowianie nie sypiali z trwogi po nocach, słuchając grzmotu wystrzałów likwidujących nieszczęsnych Żydów, a także schwytych przypadkowo Polaków.

Trudno dziś określić dokładną liczbę zamordowanych, bo na pewno nie byłaby ona ścisła, lecz z opowiadań Antoniego Dębkowskiego, któremu nakazano wywożenie zwłok furmanką do pobliskiego lasu, gdzie dziś wznosi się pamiątkowy głaz z tablicą, z tych codziennych i nocnych egzekucji zakopano we wspólnej, ogromnej mogile ponad 300 ofiar hitlerowskiego bestialstwa. Byli to w większości Żydzi obojga płci, w różnym wieku oraz Polacy schwyty nocą, po godzinie policyjnej, pochodzący z innych stron, a przebywający tu przypadkowo. Wiele tych ofiar, nieznanych do dziś, grzebano ponadto w różnych miejscach na placu szkolnym, czego dowodem jest przypadkowe odkrycie szkieletów ludzkich, znalezionych w wykopie podczas budowania ubikacji szkolnych w 1951 roku – dziś już nieistniejących.

Najkrwawszym katem tej żandarmerskiej bandy Schutzpolizei z Latowicza był kucharz, który najprawdopodobniej był sprawniejszym oprawcą w zabijaniu ludzi, niż specjalistą w przyrządzaniu potraw dla swych okrutnych współplemieńców. O każdej porze dnia i nocy, nawet podczas snu, czy też pilnych robót kuchennych, odrywał się od swych zajęć i z wyrafinowaną lubością mordował niewinne ofiary strzałem z karabinu w tył głowy. Nieczuły i odrętwiały zupełnie na prośby, płacz i błaganie skazańców, wykonywał krwawy swój proceder z obojętnością równą bestialstwu dzikich, drapieżnych zwierząt.

O całkowitym zbydlęczeniu i zwyrodnieniu tego straszliwego upiora niech posłuży fakt znęcania się, połączonego z naigrywaniem, podczas zastrzelenia schwytanego w lasach, młodego Żyda.

Oto pijana zgraja oprawców, ze wspomnianym wyżej kucharzem na czele, pędziła lżąc, kopiąc i szturchając nieszczęsnego delikwenta nad strugą zwaną Bojewką, przy mostku w pobliżu dzisiejszego Ośrodka Zdrowia. Rozkazawszy mu zdjąć buty i wejść na pochyłą, starą wierzbę rosnącą nad rzeczką, urządzili sobie straszliwe widowisko z tracącego zmysły z rozpacz i lęku Żyda. Mierząc pozornie z karabinów do niego strzelali mu tuż nad głowę w powietrze. Błada i oszalała ze strachu twarz ofiary podniecała coraz bardziej rozwydrzonych oprawców, którzy wśród charkotu i nieopisanej wrzawy, przerywanej diabelskim śmiechem, bawili się straszliwym widowiskiem około godziny. Upojeni wreszcie okrucieństwem

zastrelili zmarzniętego na kość nieszczęśliwego, który spadłszy z wierzby do lodowatej wody, przeleżał w niej ponad dobę. Podobnych wypadków znęcania się nad niewinnymi ofiarami było więcej i jakże dobitnie świadczyły one o bestialstwie i upodleniu zdegenerowanych oprawców, wyhodowanych w hitlerowskim systemie zbrodni i nieludzkiego barbarzyństwa.

Ale podła działalność tej rozwydrzonej bandy nie odnosiła w pełni zakrojonych sukcesów. Także i ich szeregi zostały dotknięte niepowodzeniem. Krwiożercze bestialstwo zostało ukarane. Niewinnie rozlewana krew odnalazła swą pomstę w nocy z 19 na 20 marca 1943 roku.

Zima tego roku, jak na złość, nie ustępowała, znacząc resztki swego panowania dość tęgimi mrozami. Tuż u progu kalendarzowej wiosny świat spał jeszcze pod całunem śniegowym, a wody rzek i stawów stały skute twardym i grubym lodem. Piękno ubielone szronem i śniegiem krajobrazu nie godziło się jakoś z podłością niemiecką, która wtedy jeszcze wszechwładnie na ziemi polskiej panowała. Wśród ośnieżonych lasów, pól i dróg przyczała się złowroga cisza śmierci, która poprzez łapy hitlerowskich oprawców wykwiłała często zniecka, czerwieniąc się plamami krwi rozlanej na śniegu. Znaczyła swym okrutnym piętnem ziemię Zarzutki, Sadolesia, Sadownego, Szykarzyny i wkradała się tej nocy do uśpionych Wilczogąb.

Nikt z mieszkańców tej wsi, kładąc się spać, nie przypuszczał, że nocy tej rozegra się w domu Jana Gałązki dramat obfitujący w niezwykle wydarzenia. Nie przypuszczali również domownicy tego gospodarza o mającej się w ich domu rozegrać tragedii życiowej wielu z nich. Miała to być przecież ostatnia noc w ich życiu.

Po wieczornym obrzędzie gospodarskim, zjadłszy wieczerzę i pogwarzywszy w nikłych błyskach naftowej lampki, znużeni trudem roboczego dnia kładli się Wilczogębiacy do snu conocnego.

Żadne przeczucia nie wróżyły nic takiego, co by mogło napawać lękiem lub snuć domysły o mających nastąpić wypadkach.

W księżycowej poświacie, człapiąc powoli, ostrożnie po skrzypiącym pod butami śniegu, posuwała się od strony Bojan przez zamrznięty Bug, w kierunku śpiących już prawie Wilczogąb, niewielka grupa przemarzniętych, skulonych postaci. Zmierzali ku najbliższej położonej od Bugu chacie Jana Gałązki.

Czujne nozdrza psów zwęszyły cudzy zapach i po chwili jęły naszczekiwać, zrazu pojedynczo, przeciągle, potem jazgotliwie i prawie zajadle do zbliżających się powoli ludzi.

Była godzina 20, gdy w zamrznięte kożuchem mrozu okno Gałązkowego domu zastukały zziębnięte ręce radzieckich partyzantów. Niewielki oddział lejtenanta Nieklubowa szukał schronienia i zacisznego, ciepłego kąta wśród ludzi.

Zły i okrutny los sprawił, że nie cieszyli się oni długo życzliwością ludzkich serc i ciepłem zacisza domowego. Wkrótce za ścianami domu, w obejściu gospodarskim pojawili się nowi przybysze, którymi byli żandarmi niemieccy z Sadownego. Położenie partyzantów, jak i domowników, stało się w jednej chwili wręcz tragiczne. Niemcy zażądali poddania się ukrytych wewnątrz domu Rosjan, grożąc spaleniem gospodarstwa, jak również całej wsi. Lecz o poddaniu się uwięzionych wewnątrz domu partyzantów nie było nawet mowy. Rozgorzała wkrótce, trwająca ponad trzy godziny, obustronna, zaciekła walka. Jeden z partyzantów, przedostawszy się z mieszkania do sieni, uchylił drzwi na dwór i poprzez szczelinę półotwartych drzwi wypuścił w kierunku stojących na podwórzu Niemców serię z automatu, kładąc dwóch trupem na miejscu. Reszta, padłszy na ziemię, skierowała momentalnie swą broń w kierunku drzwi, zabijając również i partyzanta. Rozwścieczeni do najwyższego stopnia hitlerowcy, po stracie swych dwóch towarzyszy, przypuścili z kolei gwałtowny szturm na chatę Gałązki, obrzucając ją seriami z broni automatycznej i granatami.

Wtedy reszta, pozostałych wewnątrz partyzantów, przeniosła się, wchodząc po drabinie na strych. Stamtąd, umocniwszy swe pozycje, mieli poprzez otwory zrobione w dachu doskonałą widoczność na zewnątrz całego obejścia. W międzyczasie padł od partyzanckich kuli trzeci z Niemców, a przez zrobioną po przeciwstronie dachu dziurę dwóch Rosjan zdołało uratować się ucieczką i umknąć prawdopodobnie w kierunku Bugu, aby z kolei przejść na jego drugą stronę.

Po długiej i wyczerpującej walce ucichły w oblężonej chacie partyzanckie strzały, a wraz z nimi ucichło również życie dzielnych jej obrońców. Łącznie zginęło ich czterech.

Bezbronni domownicy, ukryci podczas całej walki gdzieś w zakamarkach domu, wywleczeni zostali potem przez hitlerowskich siepaczy na podwórze i tu w bestialski sposób zamordowani. Zginęli wtedy: Jan Gałązka, Maria Kłusek i Jadwiga Bębenek.

Żałosny i godny politowania widok przedstawiało po tym spotkaniu domostwo gospodarza Gałązki. Ściany budynku podziurawione były jak sito i poorane odłamkami granatów. W oknach nie było ani jednej szyby, a ramy okienne wisały żałośnie podarte na strzępy. Drzwi zewnętrzne i wewnętrzne podarte zostały od wybuchu granatów na kawałki. Z komina i pieca pozostały tylko ziejące sadzą gruzy. W podłogach i sufitach widniały powstałe od wybuchów granatów szkaradne dziury. Wiele grozy i nieopisanego lęku przeżyli tej nocy i jeszcze potem mieszkańcy wsi Wilczogęby.

Wypadek ten do głębi na długo wstrząsnął całą okolicą Sadownego. Swoich, poległych w tej walce żołdaków wystawili później Niemcy na widok publiczny w sadowieńskiej szkole. Jednak chętnych do oglądania tych podłych zbirów nie było prawie zupełnie. Z wyjątkiem przymuszonych do tego urzędowo kilku osób, nikt tam nawet nie zajrzał. Dusze i serca strapionych Polaków wypełniała cicha i głęboko ukryta radość z niemieckiej przegranej w tej walce. Było to przecież wydarzenie, w którym po raz pierwszy podczas tej ekspedycji tropieni ciągle ludzie przeciwstawili się zbrojnie hitlerowskiemu okrucieństwu. Wypadek ten otworzył

szeroko żandarmskie ślepia i zmusił ich do smutnych refleksji o swoich stratach spowodowanych w równej z przeciwnikiem walce. To niestety nie było to, co działo się dotychczas, kiedy bez trudu, jakiegokolwiek walki i oporu strzelało się do bezbronnych Żydów i Polaków. Mimo własnych poniesionych strat grupa lejtenanta Nieklubowa oparła się zdecydowanie zbrodniczym żandarmom, kładąc z nich trzech trupem w tej walce.

Świadomość z odniesionej przez Niemców porażki wlewała w strapione i umęczone serca polskie otuchę i nadzieję na opuszczenie naszej, znękaney hitlerowskim bestialstwem ziemi, przez panoszących się tu prawie dziesięć tygodni barbarzyńców niemieckich.

Jeszcze tylko kilka dni krążyli oni potem po drogach, wsiach i lasach w poszukiwaniu partyzantów, radzieckich jeńców i zbiegłych Żydów. Wyłapywano nie meldowanych w Sadownem i okolicy Warszawiaków i mieszkańców innych miast, którzy przypadkowo, najczęściej w poszukiwaniu żywności, znaleźli się w tym czasie na naszym terenie. Często rozstrzeliwano ich na miejscu lub wywożono do więzień albo przymusowe roboty do Rzeszy Niemieckiej.

Krwawe penetracje terenu całej gminy Sadowne wydały po ich długim tu pobycie okrutny plon, po którym w naszym środowisku pozostał wstrząs niesamowity, tkwiący we wspomnieniach ludzkich po dzień dzisiejszy.

Koszmar tamtych mrocznych dni, podczas których zdawało się, że czas stanął w miejscu, że się zatrzymał, aby uparcie i powoli gnębić wszystkich okrucieństwem zbrodni i gwałtu nieludzkiego, zadawanego ludziom przez ludzi potworów obleczonych w mundury feldgrau i napisem na klamrach pasów: „Gott mit uns” - wiele krwi i łez wylały wsie sadowieńskie podczas tego okrutnego najazdu. Ogrom nieludzkiego bestialstwa zwałił się wówczas na naszą ziemię i swoją potwornością znaczył krwawe ślady zbrodni. Nie zaznała nasza ziemia nigdy takich okrucieństw i w takiej ilości, jakie od września 39 roku rozpowszechniły się na niej i trwały uparcie przez prawie 5-letni okres hitlerowskiej okupacji.

„Polnische und russische Banditen”

Gwałt zadawany elementowi polskiemu – musiał być odparty gwałtem. Innego wyjścia nie było! Naród nasz miłujący swe prawa, a przede wszystkim wolność, nie mógł się pogodzić z jawnie stosowaną przemocą, która z każdym dniem stawała się sroższa i okrutniejsza, aż niebawem osiągnęła swe szczytowe bestialstwo stosowane wg faszystowskich recept z niesłychanym barbarzyństwem, opartym na przemysłanych metodach zmierzających do biologicznego wyniszczenia Polaków i wymazania ich odwiecznych praw terytorialnych z mapy wolnych narodów Europy.

Masowe egzekucje, łapanki i obławy, przepętnione więzienia i zsyłka do obozów koncentracyjnych, wypełniały konsekwentnie zbrodniczy plan nowoczesnego, nie stosowanego nigdy przedtem i przez nikogo ludobójstwa narodów ujarzmionych przez obłąkany hitleryzm.

Takie postępowanie znienawidzonego prędko okupanta musiało obudzić i wyzwolić w narodzie ukryte siły wolnościowych pragnień i dążeń, które zawsze w chwilach tragicznych dla Polaków wyrastały ze zdwojoną siłą i niepohamowaną żądzą uwolnienia się spod narzuconego siłą, brutalnego jarzma.

Głęboko tkwiący w duszach polskich narodowy patriotyzm i związane z nim niepodzielnie gorące umiłowanie wolnej Ojczyzny, obudziły się niemal natychmiast po utracie bytu niepodległego i tak, jak przed wieloma dziesiątkami lat w zaborczej niewoli trzech sąsiadów satrapów – pchnęły Polaków do zakonspirowanej walki z przemocą.

Smak świeżo utraconej wolności narodowej, której Polacy zakosztowali przez okres zaledwie 20-tu lat, budził i pogłębiał coraz bardziej nienawiść do brutalnego wroga, wyzwalając jednocześnie myśli i pragnienia odwetu za doznane krzywdy.

Budził się wśród Polaków spontaniczny, pełen ofiarności i bezgranicznego oddania, ruch oporu, który z każdym rokiem pogłębiającego się kryzysu okupacyjnego przybierał na sile, aby w niedługim czasie przerodzić się w podziemną armię aktywnie walczącą na wszystkich niemal odcinkach życia okupowanego narodu.

Nie pozostawał w tyle za innymi również i teren regionu sadowieńskiego. Oczywiście, że tak, jak i w organizowaniu każdej dziedziny pracy, tak i tu nie od razu wszystko powstawało i tworzyło się w sposób całkowicie doskonały i zorganizowany. Obecność czujnego na wszystko okupanta nakazywała ostrożność w działaniu i pełną, bez żadnych zastrzeżeń konspirację opartą na bezwzględnym posłuszeństwie wobec organów organizacyjnych, działających na bazie silnie podbudowanej tajemnicy wojskowej. Czujny na wszystko wróg, pamiętając polski ruch oporu z poprzedniej wojny światowej, a w szczególności przykry dla niego akt rozbrojenia w 1918 r. – od razu, od początku swej zaborczej działalności, zastosował system policyjnych, krwawych rządów, oparty na bezprawiu, okrucieństwie i gwałcie zadawanym rękoma krwawych i wyspecjalizowanych w swym straszliwym procederze zbirów z gestapo, schultzipolizei albo hitlerowskich żandarmów.

Tak, jak każda sprawa organizująca swą pracę od podstaw, od elementów początkowych, tak i organizowanie przyszłego ruchu oporu na ziemi sadowieńskiej rozpoczynało swą działalność od prymitywu stanowiącego fundamentalną część przyszłej tajnej organizacji wojskowej. Nikt wtedy nie zastanawiał się nad polityczną stroną tej organizacji, która nawet w początkowym stadium swego powstawania nie posiadała żadnej nazwy – ważny był tylko jedynie i wyłącznie cel, do którego mieli dążyć zakonspirowani w niej członkowie. Celem wspólnym i jedynym była nieprzejednana walka z wrogiem, który brutalnie odebrał narodowi wolność. Cel ten jednoczył zdrowe i patriotyczne elementy obywatelskie regionu sadowieńskiego, z którego według szacunkowych obliczeń należało później do podziemia około 600 ludzi zakonspirowanych w szeregach wojskowej organizacji, jak również z nią czynnie współdziałających.

Działalność przyszłej organizacji podziemnej rozpoczęła się bez nakazu, samorzutnie od zbierania broni porzuconej przez wojska polskie we wrześniu 1939 roku. Najwięcej było jej w okolicznych lasach, do których przez długi czas okupant w obawie o swą skórę nie zaglądał zupełnie.

W miesiącach października i listopadzie, po całkowitym zakończeniu działań wojennych, zbiórką broni i amunicji zajęli się przyszli żołnierze armii podziemnej: Stanisław Kowalczyk, Michał i Wacław Tomasikowie, Henryk Małkiński, Tadeusz Jankowski i inni. Ten bezcenny sprzęt znoszony był według umowy w głąb Jęgla, gdzie w przygotowanych odpowiednio dołach składano go, przedtem odpowiednio konserwując i zabezpieczając przed okiem ludzkim. Wybrano na to miejsca niedostępne i mało uczęszczane przez ludzi, aby zagwarantować bezpieczeństwo zakonspirowania ukrytej broni i amunicji oraz innego sprzętu wojskowego stanowiącego jakąkolwiek przydatność użytkową.

Do końca roku 1939 nic poza tym nie działo się w tym zakresie, tylko w końcu grudnia sposobem przekazu ustnego i coraz częściej ukazujących się już tajnych gazetek p.n. „Polska Żyje” – dotarła do Sadownego wiadomość o pierwszej krwawej masakrze ponad 100 mieszkańców podwarszawskiego Wawra. Ten hańbiący postępek krwawiącego się już w polskiej krwi okupanta poruszył do głębi strapione serca obywateli Sadownego i okolic. To barbarzyńskie wydarzenie wstrząsnęło wszystkimi, poderwało do wyculonej ostrożności i nakazywało nienawidzić agresora, który rozpoczynał swe panowanie od bestialskich mordów na niewinnej ludności cywilnej miast i wsi polskich.

Wiosną 1940 roku pojawił się na terenie Sadownego nieznan bliżej osobnik z Węgrowska, który w umiejętny i dobrze zorganizowany sposób nawiązał kontakt z ówczesnym kierownikiem szkoły powszechnej Stanisławem Iwaniukiem, nauczycielami: Stefanem Kolatorem i Wincentym Sapielakiem. Zostali oni jako początkowy aktyw konspiracyjny zobowiązani do przygotowania gruntu werbunkowego do przyszłej organizacji podziemnej. W kilka tygodni później przybył ów nieznan organizator do Sadownego aby wspólnie z ww. nauczycielami rozpocząć ochotniczy zaciąg ludzi zaufanych i pewnych w pracy konspiracyjnej. Na pierwszej liście jej członków znaleźli się wówczas: Stanisław Bolchajmer, Stanisław Kowalczyk, Zygmunt Wycech, Czesław Kowalski, Eugeniusz Chełchowski, Henryk Małkiński i Aleksander Gałązka z Zarzetki. Ta pierwsza komórka organizacyjna nosiła nazwę OWW (Organizacja Wojskowa Wilków).

Od tej chwili rozpoczęła się praca organizacyjna placówki Nr 6 w Sadownem, a na razie podlegającej ośrodkowi Nr 7 w Stoczku Węgrowskim. Z chwilą utworzenia się tej placówki rozpoczął się zorganizowany werbunek ludzi, kolportaż podziemnej prasy, organizowanie drużyn i plutonów oraz wciąganie młodych nie będących nigdy w wojsku, a wymagających odpowiedniego przeszkolenia wojskowego. Zasadniczy człon placówki stanowili byli żołnierze Armii Polskiej przeważnie pod odbyciem czynnej służby wojskowej. Dla tych ludzi wyszkolenie bojowe nie stanowiło czegoś nowego, lecz jako dawni żołnierze i

podoficerowie mogli teraz z pożytkiem przyczynić się do wyszkolenia młodych w wieku przedpoborowym.

Stanisław Kowalczyk, jako podoficer plutonowy ze służby czynnej zajął się szkoleniem bojowym młodego narybku partyzanckiego w zakresie szkoły podoficerskiej, bowiem przyszła armia podziemna wymagała posiadania odpowiedniej kadry instruktorskiej, stanowiącej jeden z trzonów organizacyjnych i szkoleniowych podziemnego wojska do walki z okupantem. W tym celu organizowano zbiórki w domu St. Kowalczyka lub w wypadkach niesprzyjających zachowaniu pełnej tajemnicy – w pobliskim Jeglu albo w zaroślach, zawsze z dala od oka ludzkiego.

Z biegiem czasu organizacja zaczyna się coraz bardziej rozbudowywać i wkrótce składa się ona już z 4 plutonów. Każdemu z nich przydzielono odpowiedzialnych dowódców. Plutonem I kierował Henryk Małkiński, plutonem II – Jan Puścion z Kołodziaża (zginął w akcji bojowej pod Latowiczem), Wiktor Wróblewski, podporucznik rezerwy, był dowódcą plutonu III, a plutonu IV, saperów – w stopniu st. sierżanta Wincenty Kawicki z Działek k/Zieleńca.

Pierwszym dowódcą całej placówki był Aleksander Lenkiewicz, nauczyciel w stopniu ppor. rezerwy, po nim dość krótko oficer zawodowy WP Szczechura..., a ostatecznie, przez cały okres okupacji – Henryk Małkiński w stopniu ppor.

Rok 1942 przynosi w pracy sadowieńskiego podziemia poważne zmiany i osiągnięcia. Powstaje tu Tajna Szkoła Podchorążych Rezerwy, której komendantem będzie zasłużony niezwykle dla pracy konspiracyjnej naszego regionu Władysław Raźmowski pseud. „PORAJ”. Wiele osobistego oddania i poświęcenia dla wielkiej sprawy położył ten człowiek w imię miłości Ojczyzny i nienawiści do panoszącego się przez 5 lat agresora – okupanta. Jako dawny wojskowy prowadził on z dużą znajomością rzeczy szkolenie wojskowe przyszłej kadry oficerskiej. Przeprowadzał stosownie do zasług elewów tej szkoły nominacje i przydziały do poszczególnych jednostek. Sadowieńska Tajna Szkoła Podchorążych Rezerwy pod należyłym kierunkiem jej komendanta „Poraja” zasłużyła się chlubnie umęczonej niewolą Ojczyźnie i wydała wartościowych dowódców dobrze przysposobionych do prowadzenia przyszłej walki ze znieprawionym okupantem. A oto tylko niektóre nazwiska członków tej znakomicie zakonspirowanej szkoły wojskowej: Kowalski Czesław pseud. ..., Małkiński Henryk pseud. „Kulesza”, Kowalczyk Stanisław pseud. „Skok”, Ogonowski Czesław z Prostyni. Oprócz komendanta „Poraja” wykładowcami tej szkoły byli także nieznanymi wojskowi, którzy przyjeżdżali z Warszawy. Wykłady, ze względu na bezpieczeństwo, odbywały się w miejscach zakonspirowanych, o których dowiadywano się zawsze w ostatniej chwili. Niezależnie od tego były to miejsca pilnie strzeżone przez rozmyślnie rozstawione czaty składające się z zaufanych i nic pozornie o tym nie wiedzących ludzi.

W międzyczasie nastąpiła na terenie powiatu węgrowskiego akcja scaleniowa wszystkich prowadzonych przez „Poraja” oddziałów o różnych nazwach w jedną zwaną dalej

Polskim Związkiem Powstańczym (PZP), który z kolei potem przerodził się w Armię Krajową (AK).

Oprócz „Poraja” do czołowego aktywu placówki Nr 6, liczącej wtedy około 120 ludzi z Sadownego i okolic, zaliczyć należy Małkińskiego Henryka (Kulesza), Chełchowskiego Eugeniusza (Hucuł), Kowalczyka Stanisława (Skok), Kowalskiego Czesława, Jankowskiego Tadeusza (Zawisza), Wróblewskiego Wiktora (Olszyna), lekarza Rajmunda Hrynkiwicz – Moczulskiego, Bolchajmera Stanisława, Edwarda Krupę, Stanisława Kłuska, Stefana Stryjka i Jana Borkowskiego pseud. „Witka”. Była to grupa odważnych i zdecydowanych na wszystko ludzi, oddanych sprawie bez reszty i poświęcających się niebezpieczeństwu grożącemu na każdym kroku. Ludzie ci zostali potem przez szpiclów zdekonspirowani i zmuszeni przez to do długotrwałego ukrywania się.

Zadaniem tej bohaterskiej grupy działaczy sadowieńskiego podziemia było utrzymywanie wszystkiego w należytym porządku organizacyjnym, kolportaż prasy podziemnej przemykanej z Warszawy, dywersja skierowana przeciw okupantowi, a polegająca na uszkodzaniu linii telefonicznych, niszczeniu akt rejestracyjnych pogłowie bydła, koni i trzody chlewnej oraz znamionowych kolczyków służących do tej rejestracji, niszczenia akt poborowych na wywóz ludzi do robót w Rzeszy Niemieckiej, likwidowanie masła w miejscowej mleczarni przeznaczonego dla Niemców, a z tej likwidacji przekazywanego dla celów RGO (Rady Głównej Opiekuńczej) dla dzieci i ludzi potrzebujących pomocy materialnej. Również jednym z ważnych zadań sadowieńskiego podziemia była akcja sabotażowa, poprzez ludzi do tego wyznaczonych, w fałszowaniu gospodarczych spisów rolnych prowadzonych często przez władzę administracyjną we wszystkich wsiach naszego regionu. Zmniejszało się w ten sposób pogłowie bydła, koni i trzody chlewnej, zaś przez ukrywanie arealów ziemi użytkowej okupant tracił z oczu istotny stan zasiewów i ewentualnych zbiorów okładanych niemiłosiernie przez tzw. kontyngenty płodów rolnych ściąganych w drodze przymusu na potrzeby wyżywieniowe „narodu panów”. Z uznaniem należy podkreślić działalność nauczycielstwa naszego regionu w tej szkodliwej dla zaborcy akcji dywersyjno – sabotażowej. Nad całością sprawnego przebiegu tej działalności wywrotowej czuwał członek podziemia, pracownik Urzędu Gminnego w Sadownem, Szpryngwald.

Oprócz tego rodzaju działalności dywersyjna grupa saperska brała udział w wysadzeniu pociągu niemieckiego zdążającego wiosną 1943 roku na front wschodni, a naładowanego materiałami pędnymi dla potrzeb armii hitlerowskiej, załamującej się coraz bardziej na ziemiach Związku Radzieckiego. Stało się to między Wielgiem a Sadownem w pobliżu rzeki Ugoszczy, na bezludziu, aby Niemcy nie mieli podstaw do prześladowania niewinnej ludności cywilnej.

Ważnym czynnikiem w podtrzymywaniu świadomości narodowej oraz źródłem prawdziwej informacji politycznej i przebiegu działań wojennych była podziemna prasa konspiracyjna. Stanowiła ona w tych ciężkich dla Polaków chwilach rzetelny pokarm informacyjny, dzięki któremu krzepiły się strapione niewolą i uciskiem serca, ożywiając

jednocześnie nadzieje na nieuchronny koniec straszliwego wroga nie tylko Polaków, lecz wielu ludów Europy.

Z ogromnym poświęceniem dla tej sprawy pracowała Bronisława Czajkowa z Sadownego, dzięki której cały nasz region zaopatrywany był regularnie w najświeższe wydania Biuletynów Informacyjnych. Dzielna ta niewiasta, mogąca swą odwagą i bezprzykładnym poświęceniem zaimponować niejednemu mężczyźnie, wykonywała powierzone sobie zadanie z najwyższym spokojem i opanowaniem przewożąc, pobieraną w umówionym punkcie w Warszawie, tajną prasę, przeważnie w worku z obierzynami, na które rzecz jasna nie rzucano nigdy żadnych podejrzeń. Przywieziona przez Czajkową prasa rozprowadzana była przez zaufanych kolporterów do wszystkich wsi naszego regionu.

Jak dalece nienawidziła Bronisława Czajkowa zaborczych Niemców, może posłużyć autentyczny fakt jej oporu przeciw szeroko zakrojonej akcji wywozu siły roboczej na przymusowe prace do Rzeszy Niemieckiej. Zniewolona przez okupanta i wiernych mu sługusów do oddania swych dzieci na roboty do Niemiec – oparła się temu odważna kobieta i nie oddała ich na wywózkę. Za tego rodzaju opór rozebrano jej dom i zmuszono do tułania się po ludzkich kątach. Niczym to było w porównaniu z jej odwagą i stanowczym przeciwstawieniem się zarządzeniom urzędników Arbeitsamtu. Dzieci Czajkowej pozostały, a dom powoli wrócił do pierwotnego stanu. Stanowczy opór tej kobiety przeciw bezprawiu i przemocy był przykładem dla innych i dowodem nieugiętości matek polskich, broniących swe dzieci przed ekspansywną polityką zaborcy, dążącego do uczynienia z naszego narodu bezwolnych robotów wprzęgniętych w kołowrót ciężkich prac dla III Rzeszy.

Podziemna armia czuwających ludzi spełniała w tych ciężkich dla narodu chwilach rolę stabilizatora porządku i ładu wewnętrznego – sprzecznego z hitlerowską administracją i narzuconymi przemocą rządami krwawego zaborcy. Tylko pozornie Polska nie istniała ja ko państwo, ponieważ jej ciało zostało w przygniatającej walce zabite, ale istniał duch buchający zakonspirowanym żarem walki i pałający żądzą odwetu za zbrodnię dokonaną na całym narodzie. Duch ten podsycany energią ludzi podziemia żył i oczekiwał chwili aby jak Feniks z popiołów powstać i przyoblec się w nowe, inne niż przedtem ciało polityczne.

Trzeba było w tych ciężkich dla naszego narodu dniach próby – wielkiego samozaparcia i zbiorowego, nadludzkiego niemal wysiłku wszystkich do pokonywania ogromnych trudności niewolniczych narzuconych brutalną ręką „przedstawicieli rasy panów”. Naród nasz przybrał w owych trudnych dniach jakby dwa oblicza: jawne i tajne, które w umiejętny i niełatwy sposób trzeba było umieć zsynchronizować, aby zręcznie mogły współdziałać przeciw wrogowi. Niewidoczna i dobrze zakonspirowana armia podziemnych żołnierzy spełniała olbrzymią i skutecznie działającą rolę polskiej władzy narodowej, regulującej mimo okrutnego terroru i represji trudne i nad wyraz ciężkie życie zniewolonego narodu. Żelazna wola walki aż do całkowitego zwycięstwa nie poszła na marne i osiągnęła swój cel w postaci całkowitego pogromu znenawidzonego wroga w roku 1945.

Narodowa świadomość o istnieniu podziemnej władzy polskiej dodawała ducha, krzepiła i wlewała otuchę w strapione serca polskie, będąc jednocześnie hamulcem dla, na szczęście niewielkiej ilości, kolaborantów kumających się z Niemcami lub nawet, co gorsze, haniebnie z nimi współpracującymi. Organa sprawiedliwości podziemia polskiego regulowały te sprawy i ostrzegały lekkomyślnych lub podłych przed surowymi konsekwencjami za współdziałanie z wrogiem. Mimo to zdarzały się niestety wypadki odosobnionych zaślepień zdrajców nie godnych miana Polaka, którzy nie pomni odpowiedzialności przed narodem i historią, sprzedali swe usługi wrogowi, hańbiąc się tym na zawsze.

Surową karę za taką współpracę poniósł dyżurny ruchu na stacji kolejowej w Sadownem, przybyły tu z nieznanych stron niejaki Barański. Współdziałając gorliwie z żandarmami niemieckimi z Budzisk, informował ich o przewożeniu przez ludność polską artykułów żywnościowych dla głodującej Warszawy. Intratnym bardzo musiał być dla niego ten haniebnny proceder, bo za każdą nagonkę na zgromadzoną na stacji ludność przed odjazdem pociągu otrzymywał od swych mocodawców sute podarki pochodzące z tych rabunków w postaci wędlin, mięsa, jaj i nabiału. Ostrzegany trzykrotnie przez organa podziemnej sprawiedliwości o zaniechaniu podłej roboty – nie usłuchał i musiał jako wróg narodu ponieść zasłużoną karę. W czerwcu roku 1942 wracając z Sadownego do stacji rowerem około godziny 11 w południe padł od kuli z lasu wymierzonej przez polską władzę podziemną. Skończyły się po tym wypadku donosy do żandarmów, zmałyły ich naloty na stację w Sadownem. Sprawca ludzkiej krzywdy i polskich łez poniósł zasłużoną karę i okrył się wieczną hańbą.

Podobnie, za współpracę przeciw Narodowi Polskiemu, zginęli: z Płatkownicy przybysze Edmund Karnikowski z synem Zbigniewem w dniu/ /19...r. i z Bojan za Bugiem gajowy Czachor. Pierwsi dwaj wysługiwali się Schupo z Ostrowi Maz., a ten ostatni za współdziałanie z niemieckim generałem w stanie spoczynku zamieszkującym w Broku. Według relacji członków sadowieńskiego podziemia Czachor przyłapany został na gorącym uczynku szpiegowania podczas pamiętnego zrzutu broni i amunicji przez lotnika angielskiego w Wilczogębach. Nie umiał on wytłumaczyć się przed żołnierzami konspiracyjnej armii, przejmującej zrzut, ze swojej niespodziewanej tam obecności w zaroślach, na wale przeciwpowodziowym w tej miejscowości. Dziecinnie śmiesznym było jego wyjaśnianie, że znalazł się tu (o godzinie 1 w nocy) dla pożyczenia radełka od Eugeniusza Wycecha. Doprowadzony przez rozstawioną wokół straż partyzancką do dowództwa grupy operacyjnej przy przyjmowaniu zrzutu, na podstawie bezsprzecznych dowodów i braku uzasadnienia z jego strony o obecności akurat w tym czasie przy odbiorze zrzutu oraz innych niezbitych dowodów współpracy z wrogiem – został na podstawie wyroku sądu polowego, po około 2-godzinnej rozprawie, osądzony na karę śmierci. Wyrok został wykonany jeszcze tej samej nocy.

Nie było innej kary dla kolaborantów, zdrajców i sprzedawczyków Narodu Polskiego, którzy nie pomni na względy polityczne i patriotyczne – woleli judaszowe srebrniki niż

interesy jęczącej w niewoli Ojczyzny. Te surowe, a jednocześnie zdecydowane i konsekwentnie działające kroki podziemnej sprawiedliwości wydawane w imieniu majestatu umęczonej Polski, były nie tylko wymiarem zasłużonej kary, lecz także hamulcem dla wielu takich Czachorów i jemu podobnych.

Niektórym jednak, mimo wielokrotnych ostrzeżeń, podobne decyzje nie pomagały. Miłsze widocznie i korzystniejsze wydawały się jednak korzyści wynikające ze współpracy z okupantem skoro wspomniany przedtem okupacyjny wójt Jan Wycech wybrał to gorsze i splamił nie tylko imię Polaka, ale także dobre imię rodziny Wycechów. Mąciło się w nieszczęsnej i głupawej głowie imć pana burgermeistra mniemanie o tym, że hitlerowcy pozostaną w Polsce na zawsze, a sprawa zrzucenia przez naród narzuconego jarzma niewoli, miała być jego zdaniem niemożliwa. W dodatku, wg osobistych przy kieliszku wynurzeń, miał on solenne zapewnienie ze strony swego sokołowskiego mocodawcy Grammsa o całkowitej opiece nad nim w wypadku przegranej Niemców, aż do wywiezienia go pod opiekuńcze skrzydła hitlerowców nawet do vaterlandu. /sic/. Służalczy, niemal lokajski stosunek tego płytko myślącego człowieka, uczynił zeń, mimo wielokrotnych ostrzeżeń, zniewolone głupotą, uległe narzędzie w rękach okupanta.

Jego zbytnia gorliwość w wykonywaniu niemieckich zarządzeń przyprawiła nasz region w wiele tragicznych i kłopotliwych wydarzeń oraz posunięć natury administracyjno – gospodarczej, zawsze z korzyścią dla okupanta. Ze szczególną nienawiścią odnosił się ten człowiek do członków sadowieńskiego podziemia, nazywając ich w sposób jawny „bandyciakami”. Zbyt jaskrawie widać w tym było wierne naśladownictwo Wycecha wzięte z wzorów gestapowsko – żandarmerskich, którzy członków polskich organizacji konspiracyjnych nazywali „polnische banditen” (polscy bandyci). W ciasnej głowie tego krótkowzrocznego człowieka nie mieściły się pojęcia o historycznej potrzebie, a nawet konieczności istnienia ruchu oporu, a przeciwnie – uważał, że we wszystkim zniewolony przemocą naród winien okazywać bezwzględne posłuszeństwo i wypełniać bez szemrania wszystkie zarządzenia okupanta. Był zdecydowanym i nieprzejednanym przeciwnikiem organizacji wolnościowych na co mogą posłużyć konkretne niezbite dowody:

- w roku 1943 przechwycono na poczcie w Sadownem przez zakonspirowanego tam żołnierza AK – list wójta W. adresowany do żandarmerii w Budziskach, a zawierający donos z wykazem imiennym wielu aktywnych członków sadowieńskiej konspiracji,
- znalezienie przy nim osobistego notatnika, w którym były skrętnie zapisane nazwiska członków AK z przybliżonym wykazem posiadanej broni,
- wg relacji naocznego świadka, również wójta, lecz zmobilizowanego w tajnej organizacji, na zebraniu wójtów w Sokołowie zwołanym przez watażkę Grammsa i sutym po nim obiedzie przygotowanym specjalnie dla wójtów – sadowieński wójt po kilku głębszych kieliszkach, w ekstazie służalczego ogłupienia i chyba zupełnego postradania zmysłów, wznosił toasty za zdrowie kąt narodów Europy Hitlera i Kreishauptmanna Grammsa, za co był przez

urzędników niemieckich gorąco oklaskiwany, zaś przez samego starostę serdecznie za ręce ściskany,

- za jego „troskliwym wstawiennictwem” została w początkach roku 1943 sprowadzona na nasze tereny gromada zbirów z Feldgandarmerie z Latowicza k/Mińska Maz. dla całkowitego wyniszczenia resztek ludności żydowskiej kryjących się w okolicznych lasach i wsiach. Po każdej „udanej akcji” niemieckich siepaczy i masowym rozstrzeliwaniu nieszczęśliwych odbywały się w tzw. „Hoteliku” w Sadownem orgie pijackie z żandarmami, podczas których gromowładny wójt chełpił się powiedzonkami w stylu: „może wreszcie nasza gmina zostanie oczyszczona od zarazy żydowskiej” lub „wreszcie uwolnimy się od tych brudnych darmozjadów” itp.

To chyba wystarczy aby, oprócz niezliczonych innych dowodów świadczących o jego podłym obliczu, można było wydać właściwy i jedynie obiektywnie słuszny osąd o szkodliwości tego człowieka. Ponieważ ostrzeżenia nie odnosiły pożądanego skutku, a wręcz przeciwnie – wytwarzały w nim hardość i niczym nie uzasadnioną pewność dalszego niebezpiecznego dla elementu polskiego działania, organa ścigania zbrodni przeciw umęczonej Ojczyźnie wydały znany już nam z poprzednich rozdziałów wyrok w sprawie tego nieobliczalnego człowieka.

Zebrane tu dowody winy nie są wytworem wyobraźni lub osobistych niechęci w stosunku do jego osoby wynikających często z najróżniejszych sytuacji życiowych między ludźmi, lecz oparte są na wiarygodnych oświadczeniach wielu byłych członków sadowieńskiej konspiracji, którzy z tytułu przynależności do niej doznali ze strony Wycecha wielu gorzkich przykrości, aż do niechlebnego wyzywania ich „bandyciakami”. Można by mniemać, że taką nienawiścią pałało kilka osób, ale nie da się pogodzić z tą nienawiścią dziesiątków osób, z którymi przed napisaniem tych słów autor specjalnie rozmawiał. Nie ulega zresztą najmniejszej wątpliwości fakt, że po powrocie z niemieckiego więzienia, które chętnie Wycech nazywał „seminarium”, zmienił się ten człowiek do niepoznania. Dodajmy do tego znamienne pytanie – dlaczego prześladowany niby więzieniem wójt, powrócił łacno na to samo stanowisko?... Wiemy przecież, że z więzień niemieckich wracało się bardzo rzadko, a wręcz przeciwnie – trafiało się do obozów zagłady, w których ginęły setki, tysiące, a nawet miliony ludzi. Okres „urzędowania” wójta po powrocie z niemieckiego więzienia nie przypominał w niczym okresu poprzedzającego uwięzienie. Był to, trzeba powiedzieć z goryczą, nikczemny dla niego jako Polaka proceder służalczości i płaszczenia się wobec wroga.

Istnieje jeszcze do dziś nieuzasadnione niczym mniemanie, że wójt ten był niewinnym i skazany został na śmierć przez jednostki opozycyjne w stosunku do niego. Najwyższy na to czas by wreszcie rozprawić się z tymi błędnymi rachubami, które najczęściej oparte są na nieznanym rzeczy i spraw z tamtych czasów lub na płytkich nieraz i niestety bardzo rzadkich dowodach rzekomej uprzejmości tego człowieka w wyświadczeniu tanich usług pomocniczych dla nielicznych jednostek potrzebujących tej pomocy w dobie ciężkich czasów

wojennych. Jeśli nawet takie były, to nigdy cena zła jakie wyrządził Polsce i jej narodowi jest niewspółmiernie wyższa od drobnych świadczeń, których zazdrośnie skąpił i które z pewnością nie wywodziły się z pobudek ani humanitarnych, ani też patriotycznych. Przede wszystkim należy się tu pozostającym w błędnym mniemaniu o tym kolaborancie wyjaśnienie, że wydawanie wyroków śmierci na podobnych osobnikach oraz ich wykonywanie nie leżało w gestii miejscowych działaczy podziemia, lecz prowadzone było przez jednostki nadrzędne ze szczebla wyższego, dysponujące prawnie zorganizowanym i opartym na udokumentowanych przepisach specjalnie do tego powołanych organów ścigania i sprawiedliwości, zgodnych w swym postępowaniu z kodeksem prawnym, występującym oskarżycielem z urzędu i faktycznymi obrońcami oskarżonego.

Do obowiązków organów podrzędnych należało tylko informowanie i dostarczanie materiałów dowodowych pochodzących z bacznej i obiektywnej obserwacji terenu, a w nim działających na szkodę Narodu Polskiego jednostek.

Znani są do dziś ludzie, którzy działając w organach nadrzędnych organizacji konspiracyjnej celowo ku ewentualnemu opamiętaniu się Wycecha powstrzymywali i opóźniali zasądzenie go na surową karę, lecz niestety dyktowane trzeźwością i obywatelskim rozsądkiem ostrzeżenia nie odnosiły pożądanego skutku. Miara zła nagromadzonego przez tego zaślepionego i zadufanego w sobie człowieka przebrała się i sprawiedliwości musiało się stać zadość. Dla dobra sprawy i środowiska trzeba było niestety jednostki takie usuwać, aby jeszcze bardziej nie pogłębiały i tak już ogromnego tragizmu jakiego doznał nasz region w tych czasach.

Nie ma i nie może być usprawiedliwienia dla człowieka, który ponad miłość własnego narodu, współbraci i losów Ojczyzny, postawił i wybrał uwielbienie jednego z najkrwawszych oprawców naszego narodu jakim był hitleryzm. Próby pojedynczych, nieraz bardzo płytkich usprawiedliwień tego pyszałka, pozostającego w służbie oberkataria narodów Hitlera, nie mogą być żadnymi dowodami, a rozsiewane są najczęściej z nieświadomości i nieznamomości istoty rzeczy. Karząca dłoń sprawiedliwości musiała dosięgnąć haniebnych czynów uprawianych wbrew woli narodu i na jego szkodę, podważając trudne wojenne życie, a przede wszystkim honor jako rzecz najświętszą każdego dobrego Polaka.

Ukoronowaniem działalności sadowieńskiego podziemia stał się rok 1944. Był to czas nieuchronnego i sprawiedliwego wyroku historii na naszej ziemi, w którym zniechęcony ciemnością ludów Europy cofał się gniewiony lawiną zwycięskich wojsk radzieckich i polskich ku swemu legowisku w Berlinie, z którego przed 5-ciu laty rozpoczął barbarzyński swój pochód przeciw wolności ludów. Zbliżający się gwałtownie front wschodni, znaczony łunami pożarów i grzmotem dział zmobilizował członków sadowieńskiego podziemia, którzy zgodnie z tajnym rozkazem dowództwa w tzw. akcji „Burza”. Wydobyte w Jeglu z dobrze zamaskowanych kryjówek ukrytą broń i amunicję i sformowany wg porządku wojskowego oddział w sile około 600 ludzi wymaszerował w m-cu lipcu przeciw wrogowi do lasów międzyńskich. Punktem zbornym dla wszystkich oddziałów były najpierw lasy koło Ugoszczy.

Zgodnie z tajnym rozkazem dowództwa grupy operacyjnej powiatu węgrowskiego dowódcą tej grupy został „Poraj”.

Po wielu latach niecierpliwego oczekiwania przyszedł czas, w którym niejeden wyrwany z domowych pieleszy miał teraz powąchać prochu i zażyć emocji walki ze znieprawionym wrogiem.

Pierwsze dni leśnego, partyzanckiego życia upłynęły pod znakiem czynności organizacyjnych jak: podziału na grupy drużyny, plutony, przygotowania broni, umundurowania, oznakowania itp. Mimo, że istniała tu ogromna różnorodność w ekwipunku poszczególnych partyzantów, to jakby na pokrycie tych niedoborów panował w oddziale optymistyczny i pełen zapału bojowego duch wojskowy, który podkreślał i podnosił wartość bojową uczestników. Umundurowanie oddziału Poraja było różne – wojskowo-cywilne. Wszystkich natomiast obowiązywało noszenie orła na czapce ze znakiem kotwicy i biało-czerwona opaska na lewym rękawie z literami WP (Wojsko Polskie). Życie miało charakter obozowy z kuchnią polową (z r. 1939), której znakomitym i chwalonym przez wszystkich kucharzem był Stanisław Kotowski. Podczas dnia prowadzono ćwiczenia we władaniu bronią i w zakresie taktyki bojowej. Cały obóz ta we dnie, jak i w nocy otoczony był gęsto rozstawionymi strażami, pod opieką których strudzeni partyzanci spali na prymitywnych leżach uczynionych z chrustu i gałęzi pod przykryciem płaszczy, marynarek lub mundurów.

W pierwszej dekadzie sierpnia nastąpiło pierwsze oczekiwane z niecierpliwością starcie z wrogiem. Wynikło ono nie z normalnej operacji frontowej, lecz spowodowane zostało nieprzewidywanym spotkaniem z Wehrmachem niemieckim. Oto rusznikarz oddziału nie mógł się uporać z naprawą kilku sztuk broni, z braku odpowiednich narzędzi zmuszony był wraz z kilku żołnierzami udać się do pobliskiego tartaku, w którym była kuźnia i zaopatrzone narzędzia warsztat. Podczas prac naprawczych niespodziewanie pojawił się przy tartaku niemiecki samochód z żołnierzami i oficerem. W tak krytycznej dla partyzantów chwili wywiązała się niespodziewana obustronna strzelanina, podczas której zabity został major niemiecki. Reszta wylęknionych żołdaków hitlerowskich pierzchła w popłochu zostawiając samochód, czapki i broń. Ta krótka i niespodziewana walka uwieczniona zwycięstwem partyzantów polskich pociągnęła za sobą pierwszą ofiarę. Podczas tej strzelaniny został śmiertelnie ranny plutonowy powstańczego oddziału, który po przewiezieniu do zgrupowania w lesie wkrótce zmarł i został pochowany z należnymi honorami wojskowymi pod dębem leśnym. Zdobyty samochód niemiecki zakonspirowano w zaroślach leśnych.

Nie przewidziana planem operacyjnym walka spowodowała wkrótce najazd samochodami ciężarowymi ponad 120 Niemców, którzy niezwłocznie otworzyli ogień po stanowiskach dobrze zamaskowanych partyzantów polskich. Wywiązała się zażarta i nieubłagana walka, w której zginęło ponad 30 hitlerowców. Reszta widząc beznadziejność swego położenia, ogarnięta strachem pierzchła uprowadzając ze sobą rannych towarzyszy,

pozostawiając wiele sprzętu wojskowego, który stał się łupem partyzantów. Strat w ludziach po stronie polskiej nie było.

Po tej drugiej zwycięskiej walce dowódca Poraj zarządził natychmiastową zmianę miejsca postoju, która w największym porządku i ładzie trwała od zmierzchu do godziny 1 w nocy. W nowym miejscu, zamiast oczekiwanej kolacji, spotkał utrudzonych partyzantów alarm, ponieważ na podstawie komunikatu łączników oddział nasz dostał się w okrążenie niemieckie napierające niemal ze wszech stron uzbrojonym wojskiem wspieranym przez czołgi. Sytuacja niespodziewanie stała się wręcz tragiczna i należało bez zwłoki, zostawiając dobytek, kuchnię, krowy i konie, przebijać się przez zwarty pierścień wojsk hitlerowskich. Przedarcie przez niemiecki kordon powiodło się i grupa polska dotarła w bezpieczne miejsce w okolicy Miedznej. Stamtąd po trudach wędrówki, zgrupowanie, po stracie części dobytku, dotarło do Lipek – Podborza. Dla zmylenia śladów oddział zmuszony był omijać drogi i skupiska ludzkie przedzierając się przez zarośla, lasy i pola. Ze względu na pobliską obecność Niemców trzeba było znów zmienić miejsce postoju i przedrzeć się w inne, bezpieczniejsze miejsce. Na drodze pochodu stanęła rzeczka Ugoszcz, przez którą przebycie ludzi nie stanowiło większej trudności, natomiast do przerzucenia taborów i innego dobytku należało zbudować most. Zadanie to zostało powierzone inż. Poznańskiemu i saperowi Oddziału Wincentemu Kawickiemu. Po kilkugodzinnej pracy zbudowano doskonały most wykonany tak, że nie słychać było na nim dudnienia wozów, ani żadnego hałasu.

Drugiego dnia po południu partyzanckie czujki znów doniosły o pobliskiej obecności Niemców, którzy jak z tego widać bezustannie tropili polski oddział. Trudno im widocznie było pogodzić się z dotychczasowymi stratami tak w ludziach, jak i sprzęcie, dążąc ze wszech miar do likwidacji „polnischen Banditen”.

Nastąpiło ponowne starcie z Niemcami w okolicy Lipek, w którym strat po stronie polskiej nie było żadnych, natomiast dzielni chłopcy polscy pojмали żywcem 2 Niemców, ranili trzech i 2 zabili. Przebieg tej całej operacji, która stała się kolejnym zwycięstwem partyzantki, był wg relacji jej uczestnika następujący. Członek oddziału Eugeniusz Chełchowski (pseud. „Hucuł”) wyznaczony został tego dnia do udziału w patrolu mającego za zadanie rozpoznanie przedpola dzielącego batalion polski od zgrupowań niemieckich. Podczas przeczesywania terenu został on zaskoczony przez konny oddział niemiecki z czego wywiązała się natychmiast obustronna strzelanina. „Hucuł” zmusił Niemców do wycofania się, przy czym korzystając z dezorientacji jednego z nich, wziął go do niewoli. Schwytany Niemiec ściągnięty pod groźbą broni z konia, potulnie wzniosłszy na rozkaz ręce do góry, błagał przelęknionym wzrokiem i bełkotliwym szprechaniem o darowanie mu życia. W jednej chwili oddział Poraja zdobył cenny, żywy nabytek, dzięki któremu można było zasięgnąć informacji o ruchach i zadaniach wojsk niemieckich znajdujących się w pobliżu. Jeniec został przesłuchany przez Poraję, z którego dowiedział się o przygotowaniu przez Niemców otoczenia batalionu Poraja oraz o ilości liczebnej sił niemieckich, wyposażeniu itp. Na skutek zeznań Niemca Poraj zarządził przegrupowanie oddziału w inne miejsce, co okazało się ze względów taktycznych

b. celowe, ponieważ po niespełna godzinie od chwili opuszczenia starego miejsca Niemcy położyli na niego gwałtowny ogień artyleryjski, który nie uczynił naszym najmniejszej krzywdy. Pojmany w niewolę Niemiec został przez „Hucuła” odprowadzony, przy czym od Poraja otrzymał polecenie przekazania swoim zwierzchnikom następującego zalecenia: „idź i powiedz swemu dowódcy, że las należy do polskich partyzantów, którzy będą go bronić i w każdej chwili gotowi są odeprzeć każdy atak”-. Drugiego pojmanego w niewolę Niemca również puszczono wolno do swoich.

Po tych wydarzeniach oddział Poraja zlokalizował się w rejonie lasów w Tabołach między Mrozową Wolą a Kołodziejem. Niemcy nie próbowali już organizować spotkań z partyzantami, którzy rozpoczęli z kolei akcję dywersyjną polegającą na niszczeniu niemieckich kabli telefonicznych, dzięki czemu Niemcy tracąc łączność gubili się w swych zamierzeniach taktycznych ulegając wkrótce całkowitej dezorientacji. To dopomogło do szybszego zbliżenia się frontu radzieckiego i wypchnięcia Niemców poza linię kolejową między Prostynią a Sadownem. Wkrótce komendant Poraj wydał rozkaz przejścia przez linię frontu i dołączenia do wojsk radzieckich. Spotkanie nastąpiło w lesie na dukcie, podczas którego dowódca radziecki podziękował polskim partyzantom za udział w walce z wspólnym wrogiem, po czym odbył się wspólny posiłek żołnierzy radzieckich i polskich.

Tak oto zakończyła się prawie 5-letnia batalia sadowieńskiego podziemia pod dowództwem komendanta Poraja. Przez cały okres okupacji aż do chwili jej dogasania człowiek ten wierny idei wyzwolenia Ojczyzny, nie opuścił naszego terenu nawet w chwilach dla niego najcięższych. Przez niemal 5 lat w warunkach o najróżniejszym stopniu trudności, trwał uparcie w powierzonym Mu zadaniu, z którego do ostatniej chwili wywiązał się z należytym żołnierskim honorem. Przykład tego człowieka emanował na podwładnych Mu żołnierzy, którzy w osobie swego komendanta widzieli wzór i przykład ofiarnej służby partyzanckiej, oraz całkowitego oddania się służbie dla Ojczyzny. Wysoki patriotyzm, głębokie umiłowanie gnębionego przez zaborcę kraju oraz nienawiść do wroga, który zabrał narodowi wolność, uczyniły zeń człowieka – Polaka, który ponad szczęście własne i swojej rodziny postawił wartość idei walki z zaborcą aż do całkowitego i ostatecznego zwycięstwa. Ponieważ człowiek ten w najtrudniejszych chwilach swego życia związał się niepodzielnie z losami naszego regionu w dobie okupacji, za co winniśmy Mu wielką wdzięczność.

Pogrom Żydów w 1942 i 1943 r. nie stanowił ukoronowania bestialskich akcji stosowanych na naszej ziemi przez okupanta. Suma okropnych nieszczęść jakie zwały się na nią, przezwaną przez Kreishauptmanna Grammsa „Banditen Erden” (ziemia bandytów) pomnażana była jeszcze później krwawymi akcjami stosowanymi z niemniejszym bestialstwem przeciw ludności cywilnej oraz polskim i radzieckim partyzantom.

Gestapowiec Gramms z uwagi na dużą odległość naszego terenu od swej siedziby w Sokołowie Podlaskim, gdzie pod ręką miał do dyspozycji zgrają taki, jak sam gestapowców i żandarmów – przekazał naszą ziemię pod opiekę Gestapo i Schultzpoliczei w niedalekiej Ostrowi Mazowieckiej. Niezbyt duża odległość i dobre połączenie za pomocą drogi bitej,

stwarzały korzystne dla nowych „opiekunów” warunki dla częstych i krwawych wypadów tej zgrai hitlerowskich zbrojców i okrutników w nasze strony. Ponadto w ostrowskiej Schupo znajdowało się dwóch przedwojennych kolonistów z Sadolesia i Płatkownicy, którzy znając doskonale teren sadowieński ułatwiali swym mocodawcom krwawą robotę.

Nie ulega również najmniejszej wątpliwości, że mieli Niemcy na naszym terenie dobrze zakonspirowany wywiad, który informował ich o wszystkich ważniejszych wydarzeniach dziejących się u nas. Musiały działać tu hitlerowskie wtyczki, które kontaktowały się z „Czerwoniakiem” ostrowskim i donosiły o wszystkim.

Wiele nieszczęść i tragizmu obfitującego w straszliwe wypadki połączone z rozlewem krwi polskiej sprowadził w końcu lutego i na początku marca 1943 roku na Zarzetkę, Grabiny i okoliczne wsie – prowokator niemiecki, szpieg podający się za Żyda, spryciarz, oszust i łotr w jednej osobie o nazwisku Rubin. Na długie czasy dźwięk tego nazwiska pozostanie w koszmarze wspomnień ludności tych wsi. Jego nikczemna, perfidna i gadzinowa działalność, jako rzekomego partyzanta przeszkolonego w Anglii wzbudziły wśród polskiego ludu współczucie i zaufanie, za które potem łatwowierni Polacy zapłacili ofiarę obficie przelanej krwi.

Oto jak o tym „partyzancie” pisze Adam Stankiewicz w swej pracy konkursowej „Okupacja w Rażnach” – drukowanej w kolejnych odcinkach „Chłopskiej drogi” w roku 1967.

„Wielkim wydarzeniem w historii walk partyzanckich na naszym terenie było pojawienie się w 1943 r. głośnego partyzanta „Rubina”. Miał to być podobno Żyd polski przeszkolony w Anglii i zrzucony na spadochronie. Po nawiązaniu kontaktu z partyzantami Rubin zyskał sympatię poszczególnych dowódców oddziałów. I Rubin został sławnym partyzantem. Chodził na akcje, wykonywał różne czynności, zachodził do domów okolicznych rolników i poznawał tych, którzy wspierali „leśnych” lub sympatyzowali z nimi. Był bardzo wścibski i wszystko go interesowało. Wreszcie Rubin z jednym partyzantem radzieckim zostali schwytani w Porębie n/B. Dostarczono ich do Gestapo w Ostrowi Maz. Żołnierz radziecki został podobno rozstrzelany, a Rubin stał się później postrachem okolicznej ludności. Chodził z Niemcami po wsiach i wskazywał tych, z którymi zetknął się w czasie swojej działalności partyzanckiej. W jego rękę zawisło życie niejednego mieszkańca wsi, w której bywał jako partyzant. Według opowiadania naocznych świadków miał decydować w czasie obławy kogo uwolnić od podejrzeń, kogo wysłać do obozu koncentracyjnego, czy też rozstrzelać na miejscu. Jeśli rolnik meldował do Zarządu Gminnego, że u niego byli partyzanci, to chociaż Rubin domagał się ukarania takiego obywatela, Niemcy kary nie stosowali. Tym sposobem ocalało wielu mężczyzn, bowiem złożenie meldunku do władz okupacyjnych uzgodniono z dowództwem oddziałów partyzanckich. Rubin musiał tego nie wiedzieć. Najgorszy jednak był los tych, co w jakiś sposób narazili się Rubinowi. Zemsta jego była straszna. SS-mani rozstrzelali ich na miejscu w jego obecności”.-

Znanym i stosowanym najczęściej przez okupanta sposobem wyłapywania podejrzanych osób, były zakrojone na bardzo szeroką skalę – obławy. Były to akcje represyjne, w których nieraz przy użyciu wielu setek żołnierzy Wehrmachtu, żandarmów i gestapowców przeczesywano w okresie kilku dni wyznaczony do tego teren i wyławiano wskazywanych przez szpiclów i prowokatorów ludzi, którzy mieli styczność z oddziałami partyzanckimi. W najtragiczniejszym dla naszej ziemi roku 1943 odbyły się 3 takie obławy przypominające stosowane w dawnych czasach łowy na dzikiego zwierza.

Obsadzał wtedy okupant prawy brzeg Bugu po stronie powiatu ostrowskiego, zaś ziemie położone na lewym brzegu rzeki ogarniał szerokim łukiem i zacieśniając jego kleszcze, wyłapywał podejrzanych wskazywanych na liście przez zdrajców, lub znajdujących się tu przypadkowo z innych miejscowości i stron kraju. Ci natomiast, którzy usiłowali przeprowić się na drugą stronę rzeki, wpadali w łapy oczekujących tam, dobrze w przybrzeżnych zaroślach ukrytych Niemców lub ostrzelani z broni maszynowej ginęli w nurtach Bugu.

Wiele niewinnych ofiar pochłonęła w tych akcjach nasza piękna rzeka. Adam Stankiewicz przytacza między innymi: „dzierżawców rzeki łowiących ryby – Aleksandra Gutkowskiego z Tuchlina i Pawłaka z Broku” – Wspomina również o niebezpieczeństwie utraty życia przez jego ojca, również Adama, który jadąc łódką o świcie podczas takiej obławy został ostrzelany przez ukrytych w zaroślach oprawców niemieckich, omal nie utracił życia i cudem prawie umknął ze szponów śmierci.

„Najwięcej ofiar spowodowała obława trzecia” – czytamy w dziewiątym odcinku wspomnień okupacyjnych A. Stankiewicza.

„Dzięki Rubinowi zginęło przy szkole w Grabinach, gmina Sadowne, 10 osób. Byli to mieszkańcy okolicznych wsi. Podejrzanych sprowadzono do budynku szkolnego i trzymano pod strażą całą dzień. Było kilkadziesiąt osób, z których część zwolniono, siedemnaście wysłano do obozu śmierci w Treblince, a dziesięć rozstrzelano. Do Treblinki kierowano tych z dalszych wsi. Z tutejszych znaleźli się w obozie: Józef Wysocki i Wiktor Ćwiek z Zarzetki, zamordowani tam, oraz Mieczysław Kowalczyk z naszej wsi (tj. Rażen dopisek własny), który powrócił.

Egzekucja skazanych na karę śmierci odbyła się wieczorem na placu szkolnym. Skazańców przyprowadzano na miejsce ze związanymi z tyłu rękami i pozbawiano ich życia strzałem karabinowym w tył głowy. Oto nazwiska rozstrzelanych: Stanisław Kobyliński i Stefan Ćwiek ze wsi Zarzetka, Jan Kalbarczyk – sołtys wsi Zarzetka, Stefan Zadrozny ze wsi Zalesie, Marcjanna Wierzbicka ze wsi Zalesie, Józef Leśniewski, Zygmunt Siatkowski i Stanisław Bala ze wsi Szykarzyzna, młoda panienka Jadwiga Kozłówna z Czaplowizny oraz Czesław Kowalczyk z naszej wsi (Rażen). „Rubin” wydał jego brata Bolesława, którego Niemcy nie zastali w domu, wzięty jako zakładnik Czesław, poległ śmiercią męczeńską. W poszukiwaniu brata Bolesława SS-mani kilkakrotnie nachodzili jego rodzinę. Spalili zabudowania, lecz poszukiwanego nie ujęli. Przeżył wojnę.”

„W tym tragicznym dniu (3.III.1943 przypis własny) – wspomina dalej A. Stankiewicz – skazanych było 12 osób. Egzekucja objęła tylko 10 osób, ponieważ dwom udało się zbiec. Ze zwolnionymi wyszedł niezauważony ze szkoły jeden z głównych oskarżonych, Ludwik Karczmarczyk z Zarzetki. Natomiast na kilka minut przed egzekucją zbiegł także mieszkaniec Zarzetki, Aleksander Sawicki. Sawickiego ścigało kilkunastu żołdaków niemieckich. Ucieczka mogła zakończyć się tragicznie, więc zbieg decyduje się na ukrycie w zabudowaniach Antoniego Wysockiego ze wsi Zarzetka. Wszedł do ubikacji. Niemcy przetrząsnęli budynki i nie znaleźli uciekiniera. Na koniec zapalili je. Byli pewni, że Sawicki znajdzie śmierć w płomieniach. Zapalili jeszcze kilka budynków – między innymi Ludwika Karczmarczyka i w nocy odjechali. Aleksander Sawicki jednak ocalał.

Trupy zamordowanych Niemcy zostawili w miejscu kaźni. Około południa następnego dnia rodziny otrzymały zezwolenie od władz okupacyjnych na zabranie ciał i pochowanie na cmentarzu. Okazało się, że kaci oddawali jeszcze strzały z broni krótkiej do leżących ofiar. Straszny był to pogrzeb. Okolica pogrążyła się w żałobie. Nienawiść do okupantów doszła do punktu kulminacyjnego”.-

Tak oto rzekomy partyzant rozprawił się z tymi, którzy kierując się względami ludzkimi okazali serce radzieckim jeńcom z obozów hitlerowskich i za swą dla nich opiekę i pomoc oddać musieli swoje życie. Od tego czasu zginął wszelki ślad i słuch o krwawym „Rubinie”. Straszliwe swe dzieło doprowadził do końca, wypełniając swój haniebny proceder z istic szatańskim okrucieństwem.

Okres okrutnej okupacji hitlerowskiej był okresem ciężkim nie tylko dla polskiej ludności cywilnej, lecz stał się również tragicznym dla ludzi radzieckich, którzy przypędzani z głębi okupowanych ziem rosyjskich, trzymanii byli w Rzeszy i na terenach polskich przezwananych przez krakowskiego satrapę Franka – Generalną Gubernią.

W naszej okolicy okupant zorganizował jesienią w roku 1941 dwa takie ośrodki zagłady, zwane tylko chyba dla zachowania pozorów obozami jenieckimi, a mianowicie w Ostrówku Węgrowskim i Komorowie k/Ostrowi Maz. Były to faktycznie nie żadne obozy jenieckie, lecz zwykłe, zorganizowane na sposób faszystowski obozy zagłady, których przeznaczeniem było wyniszczenie żołnierzy radzieckich, wziętych do niewoli na froncie wschodnim.

Ze względu na nienawiść hitlerowców do ustroju komunistycznego, sposoby i metody obchodzenia się z tymi ludźmi były stokroć gorsze niż w obozach koncentracyjnych. Lepiej traktowane były przez Niemców zwierzęta, niż nieszczęśni ludzie przeznaczeni w tych fabrykach zagłady na śmierć.

Obóz w Ostrówku nie od razu przybrał formę „Kriegsgefangenslager” – lecz z braku odpowiednich pomieszczeń mieścił się na terenie fabrycznym. W międzyczasie, po przeciwnej stronie szosy, w pobliżu fabryki, rękami polskich robotników i napływających stale jeńców z frontu niemiecko-rosyjskiego – poczęto budować parterowe, długie baraki,

ogrodzone wysoko drutami kolczastymi, mające służyć hitlerowskim ofiarom za pomieszczenia mieszkalne. Zwożeni tu masowo ludzie ci, pozbawieni wszelkich prawideł moralnego, ludzkiego bytowania, żyli tu gorzej niż zwierzęta. Źle traktowani, głodzeni i maltretowani, ginęli tu masowo w wyniku grasujących epidemii tyfusu i czerwonki. W latach od 1941 do 1943 zginęło tu śmiercią męczeńską około 11 tysięcy jeńców radzieckich. Ciała ich grzebali towarzysze niedoli na pobliskim, piaszczystym pagórku między wsią a linią kolejową, gdzie dziś wznoszą się zbiorowe mogiły kryjące w sobie tysiące ofiar hańby XX wieku.

Podobnie działo się w obozie Komorowo obok Ostrowi Mazowieckiej, gdzie zginęło w ten sposób około 24 tysiące jeńców rosyjskich. Tragedię tej fabryki śmierci przedstawił w swej pięknej książce Igor Neverly pt. „Chłopiec z Salskich stepów”.

Nielicznym tylko jednostkom udało się zbiec z tych obu obozów. Szczęśliwym trafem, lub wyjątkowo rzadkim zbiegiem okoliczności, las pozwolił im ocaleć. Nie wracali oni do swej dalekiej ojczyzny, lecz żywiąc straszliwą nienawiść do Niemców, kryli się w lasach lub wsiach polskich, tworząc oddziały partyzanckie. Byli wśród nich ludzie wyszkoleni w rzemiośle wojskowym jako oficerowie i podoficerowie. Oni to właśnie organizowali rozproszonych uciekinierów, tworząc groźne nieraz dla wroga i skutecznie działające grupy, siejące dywersję na jego tyłach i zapleczu. Życie tych ludzi borykających się z wielkimi trudnościami codziennych, w różnych porach roku, warunkach, stanowiło koszmar niepojętych zmagania przetrwania i działania na szkodę okupanta. Za mieszkania służyły im ziemianki leśne, w których kryjąc się przed okiem ludzkim wiodli żywot urągający niejednokrotnie warunkom człowieczeństwa, który przez „panów świata” spodlony został i poniżony do rzędu żywota dzikich zwierząt.

Niepojętym i nie mieszczącym się w umysłach ludzkich jest np. fakt zamieszkiwania przez jednego z uciekinierów z komorowskiego obozu zagłady, do dziś żyjącego wśród nas Jana Danilewicza przez okres jednego roku w grubej, wypróchniałej wierzbie na polach między Ociętym a Grabinami. Wierzba ta musiała być z konieczności miejscem zamieszkania człowieka ocalonego od zagłady, który chciał po prostu żyć!.. I przeżył!..

Pocziwa polska, stara wierzba okazała się wierniejsza od niejednego szakala w ludzkiej skórze. Wymoszczona wewnątrz sianem i słomą, stanowiła choć bardzo ciasne i w okresie chłódów zimne schronienie, lecz nie zdradziła swego lokatora i ochroniła go kilkakrotnie od zguby podczas urządzanych tu obław na ludzi.

Razu jednego – opowiadał szczęśliwie ocalony mieszkaniec wierzb – podczas grasującej tu zimą 1942 r. obławy niemieckiej, stanęło w bliskości ukrytego w wierzbie zbiega, dwóch żandarmów hitlerowskich, którzy zziębnięci na mrozie rozgrzewali się uderzeniem rąk pod pachy. Szwargocząc coś do siebie zatrzymali koło wierzb na kilkanaście minut i zapalili papierosy. Czujne i wylękłe oczy tropionego człowieka śledziły każdy ruch w ciągu tych długich jak wiek straszliwych minut.

Ale komuś by przyszło do głowy myśleć, że w pochylonej, zmurszałej wierzbie siedzi zdrętwiały z zimna i głodu człowiek.

Nie domyślając się niczego hitlerowcy powlekli się wkrótce ku swoim, a nieszczęsny zbieg mógł wtedy odprężyć się i rozprostować zdrętwiałe od zastygłego bezruchu i zimna członki.

W taki oto nieraz sposób bytowali ci ludzie, którym lęk przed śmiercią i mocniejsze od niego pragnienie życia dodawały sił i zdrowia do przetrwania tych straszliwych, okrutnych czasów.

Nie mniej ciekawym i obfitującym w grozę sytuacji i niepewność życia jest opisywany przez A. Stankiewicza w okupacyjnych wspomnieniach fakt ocalenia podczas jednej z obław sześciuosobowej grupy partyzantów radzieckich przebywających w tym czasie w Rażnach. Oceniając błyskawicznie grozę swego położenia, ludzie ci ukryli się pod odwróconym do góry dnem „wielkim czółnem, leżącym na podwórzu rolnika Ludwika Tymińskiego. Strudzeni dwudniowym przetrząsaniem terenu żołdacy niemieccy odpoczywali siedząc na tym czółnie. Nie przyszła im taka myśl do głowy, aby go odwrócić” – I... ocaleli!

Nie trudno wyobrazić sobie okropność położenia znajdujących się pod czółnem partyzantów, i jeszcze większy lęk w obawie o utratę życia właściciela czółna, któremu „za przechowywanie bandytów” – jak mówili Niemcy – groziła natychmiastowa śmierć. Taki właśnie los spotkał ludzi ze wsi Szyńkarzyna, w obejściu których Niemcy wykryli partyzancki schron.

„Niemcy wpadli na jego ślad – wspomina A. Stankiewicz – zabudowania gospodarskie spalili, a schron obrzucili granatami. Znalazło w nim śmierć kilku młodych, zbiegłych z niewoli jeńców radzieckich. Z rodziny udzielającej pomocy jeńcom zamordowali matkę i syna”.-

Radzieckich grup partyzanckich na naszym terenie istniało kilka. A. Stankiewicz wymienia oddziały „Pawła”, „Michała” i „Szymona”. Najbardziej znanym i sprawnie działającym był oddział „Szymona”. „Jego dowódca Szymon przez kilka miesięcy wykonywał dla wielu rolników buty z wełny, nazwane przez wieśniaków walonkami. Nic dziwnego, że jego oddział wspierali chłopci. W czasie starcia z Niemcami Szymon został ciężko ranny w nogę. Ranę leczy u pewnej rodziny w Udrzynie. Tam zastała go jedna z niemieckich obław. Na szczęście kryjówka rannego nie została odkryta. Partyzant Szymon przeżył okupację. Po wkroczeniu wojsk radzieckich w nasze strony wstąpił do Armii Czerwonej. Był on w randze kapitana.” Rzecz oczywista, że ludzie ci przetrwali te okropne czasy dzięki opiece i pomocy ludności naszego terenu. Ryzyko tych pomocy było wielkie i za udzielanie jej groziły straszliwe represje, których ogrom zwałił się na naszą ziemię w roku 1943 dzięki wspomnianemu wyżej „Rubinowi”.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że łotr ten został przez Niemców specjalnie tu wysłany, dla przeprowadzenia sondażu i dostarczenia informacji o mieszkańcach naszych wsi

pomagających partyzantom. Wścibski, sprytny i wyrafinowany w swym haniebnym działaniu „Rubin” poznał gruntownie sytuację pomocy polskiej i po rzekomym aresztowaniu go w Porębie n/Bugiem, przywieziony na teren obławy w lutym 1943 roku, chodził od domu do domu i wskazywał tych, o których wiedział doskonale, że udzielali pomocy partyzantom.

Ponad półroczna obecność w Sadownem, nieznanego bliżej osobnika zamieszkującego w tzw. Kantorze, wykonującego rzekomo zawód rymarza, rzuciła wkrótce podejrzenie na jego nieczystą działalność i zrobiwszy prawdopodobnie wszystko, co do niego należało, wyniósł się cichaczem i przepadł gdzieś bez wieści. Był to szpicel, którego zadaniem było informowanie komendy Schutzpolizei w Ostrowi za pomocą albo posiadanego radiowego nadajnika krótkofalowego, albo też przez specjalne urządzenie telefoniczne, dzięki któremu mógł w każdej chwili i każdym miejscu, przez podłączenie się do linii telefonicznej nadawać owe podłe informacje.

Wynikiem jego nikczemnej działalności był natychmiastowy, niespodziewany najazd ostrowskich żandarmów na dom Stanisława Bolchajmera, sadowieńskiego wieloletniego fryzjera, żołnierza AK, dobrego Polaka i gorącego patrioty, w dniu 8 maja 1943 roku podczas jego imieninowej uczty, na której zebrane było dość liczne grono bliskich Bolchajmerowi przyjaciół i towarzyszy pracy konspiracyjnej.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że informacja o tym zebraniu musiała być przekazana do Ostrowi drogą radiową lub telefoniczną, ponieważ „buda” z żandarmami pojawiła się niespodziewanie w kilkadziesiąt minut, po krótko trwającym u Bolchajmera spotkaniu. Na szczęście tuż przed przyjazdem ostrowskich sprawców, wszyscy rozeszli się i pozostał tylko sam gospodarz domu. Badanie, z którego wynikało, że byli on doskonale poinformowani o przebiegu spotkania i jego uczestnikach, odbyło się na miejscu. Dom został otoczony ze wszystkich stron, a miejscem straszliwej kзни jego gospodarza, stało się klepisko we własnej stodole. Rozpoczęły się około dwugodzinne tortury i badanie nieszczęsnego Bolchajmera, podczas których dla wydobycia wiadomości zastosowali straszliwi oprawcy, znaną metodę okropnego bicia przy pomocy znajdujących się na miejscu katowskich rekwizytów jak: orczyk, kołek lub drążek. Ślady obficie rozlanej krwi na ścianach i klepisku stodoły, oraz wiele połamanych narzędzi tortur, stosowanych podczas tego badania, świadczyły najlepiej o nieludzkim katowaniu i znęcaniu się nad ofiarą.

Z uznaniem i podziwu godnym szacunkiem podkreślić należy, że torturowany w straszliwy i trudny do opisania sposób Stanisław Bolchajmer, twardy i nieugięty żołnierz Polski Podziemnej nie wydał nikogo i nie zdradził hitlerowskim oprawcom żadnej wiadomości o działaniu sadowieńskiego podziemia.

Należy przypuszczać, że śmierć tego bohatera nastąpiła na miejscu, w jego własnej stodole, skoro po zakończeniu badania hitlerowscy kaci wynieśli bez oznak życia zmaltretowany strzęp ludzkiego ciała, wlekąc je za ręce i nogi do stojącego na ulicy samochodu, do którego jak wór trocin wrzucili z rozmachem pod ławkę nieszczęsne szczątki.

Krążyły później nie potwierdzone wersje o tym, że zwłoki Bolchajmera i innych wtedy zakatowanych na śmierć nie dojechały do Ostrowi, lecz zostały zakopane podczas powrotu żandarmów w lesie między Brokiem a Ostrowią. Według tych wersji scenę grzebania ofiar w tym czasie miał widzieć przypadkowo z ukrycia jeden z pracowników służby leśnej – gajowy o niewiadomym nazwisku.

Podczas tego najazdu na Sadowne, hitlerowcy posługiwali się listą, na której widniało wiele nazwisk członków organizacji podziemnej. Skatowano i wywieziono wtedy Stanisława Kłuska, Edwarda Krupę i Ogonowskiego z Ociętego. Z domu w Sadownem, pośród nocy wywleczono i zabrano Zygmunta Mrozowskiego, właściciela młyna w Sadownem, który oskarżony był za materialne popieranie tajnej organizacji. Wszyscy oni nie powrócili dotychczas i na pewno ponieśli śmierć męczeńską. Wieczna chwała tym bohaterom za oddanie życia i męczeństwo dla Ojczyzny!

Grasujący na naszej ziemi w okresie od marca 1943 do czerwca 1944 roku żandarmi ostrowscy poza wyżej opisaną zbrodnią dokonywali bardzo częstych wypadów, podczas których najczęściej nocą, zostawiając samochód – budę na szosie, dochodzili pieszo do upatrzonych domów i wywlekali z nich swe ofiary. Posiadali przy tym doskonałe rozeznanie terenu, ponieważ, jak się później okazało, pracowali wśród nich byli koloniści niemieccy z Sadolesia i Płatkownicy. Jeden z nich o ustalonym nazwisku Krebs, drugi Hartmann. Szubrawcy ci stanowili doskonałą pomoc dla swych mocodawców i przez dokładną znajomość terenu, na którym się urodzili i wychowali, dostarczali przy pomocy szpicłów potrzebnego ostrowskiej Schutzpolizei materiału

Za ich to przyczyną zginęli w ostrowskiej kaźni hitlerowskiej Aleksander Grądzki z synem Wacławem z Morzyczyna, Kibart Stefan z Sadolesia, Danaj Stanisław i Grochowski Stanisław z Kocielnika, Jan Ogonowski i jego zięć Robak z Mrozowej Woli, Puścion z Kołodziąza Rybie, 10.VI.1943 roku Kazimierz Dąbrowski i Górską Wacława, w lipcu Stanisława Dąbrowska, a 23.XII tegoż roku Świdarska Marianna z Szykarzyny.

Również do bardzo okrutnych akcji przeprowadzanych podczas działalności tej rozwydrzonej do ostatnich granic bandy ostrowskich oprawców, zaliczyć należy krwawy ich wypad w dzień Zielonych Świątek dnia 28.V.1944 do Wilczogąb.

Z oskarżenia szpicłów, według posiadanej listy wyłapywano podejrzanych o konspiracyjną działalność mężczyzn i sprowadzano na miejsce kaźni do miejscowej remizy strażackiej.

Jeden z poszukiwanych działaczy podziemia, żołnierz AK Bronisław Marczyk w obawie przed schwyтaniem ukrył się przedtem w przygotowanej od dawna kryjówce pod podłogą w tejże remizie. Ślepy traf zrządził, że człowiek ten stał się przypadkowym świadkiem straszliwych badań i tortur swoich współtowarzyszy z konspiracyjnej działalności. Znajdując się w potwornej sytuacji, wystuchał on wszystkiego, co się tam wtedy działo i przez szczelinę w podłodze widział straszliwe w skutkach i metodzie, badania hitlerowskich siepaczy.

Maltretowani i bici łamanymi na części drzewcami bosaków strażackich, bohaterzy Wilczogąb z uporem godnym gorących patriotów i Polaków nie wydali nikogo więcej.

Tortury zadawane prawie cały dzień, nie dały Niemcom oczekiwanego rezultatu. Ofiary, mimo katuszy, trwały zdecydowanie przy swoim i w obliczu męczeńskiej śmierci nie zdradziły świętej sprawy, oddając Ojczyźnie swe młode, w pełni siły i wiary w wyzwolenie – życie!

Na wieczną pamięć, za ofiarę męczeństwa, poświęcenia i przelanej krwi zasłużyli sobie: Eugeniusz Wycech – brat Marszałka Sejmu PRL Czesława Wycecha, Gałązka Stefan, Marczyk Eugeniusz – brat wspomnianego świadka tej krwawej opresji Bronisława, Sówka Eugeniusz, Puścion Stanisław i wywieziony do obozu koncentracyjnego Prabucki Aleksander. W więzieniu na Pawiaku w Warszawie zamordowani zostali: Bolesław i Dariusz Wycechowie. Po straszliwych badaniach przeprowadzonych w Ostrowi Mazowieckiej zostali wtrąceni do obozu koncentracyjnego: Wycech Kazimierz i Szczechura Kazimierz, którzy szczęśliwie ocalawszy powrócili po wyzwoleniu do rodzinnych Wilczogąb.

Dzięki tylko bohaterstwu wymienionych wyżej osób i ich zdecydowanemu oporowi przeciw szakalom z ostrowskiej schutzpolizei, wielu innych mieszkańców tej wsi ocalało wówczas, unikając pogromu i gwałtu zadawanego jeszcze często przez dogorywającą hitlerowską bestię.

Najazd na Wilczogęby spowodowany został doniesieniem o rzucie z samolotu ładunku broni i amunicji, którą zakonspirowani Wilczogębiacy starannie ukryli przed okiem wroga.

Był to już na szczęście ostatni, zaliczany do krwawych, wypad tych okrutników w nasze strony. Pojawiali się oni jeszcze potem kilkakrotnie w Sadownem i jego okolicy, siejąc za każdym razem strach i panikę wśród ludzi. Lecz krwawy i okrutny ich żywot miał się wkrótce skończyć dla nich tragicznie ku uciesze i nieopisanej ogólnie radości nękanym bandyckimi najazdami ludzi naszego zakątka i powiatu ostrowskiego.

W drugiej połowie czerwca 1944 r. na szosie między Wyszkiem a Ostrowią Mazowiecką, działające coraz aktywniej siły polskiego podziemia rozprawiły się ostatecznie z tą bandą, likwidując ją doszczętnie razem z ich przeklętym samochodem. Lotem błyskawicy wieść o tym sprawiedliwym rozrachunku obiegła naszą ziemię. Nieopisana radość zapanowała nagle wśród nękanym dotychczas okrucieństwem Polaków. Z ogromną ulgą odetchnęły dziesiątki tysięcy piersi ludzkich męczonych ciągłym strachem i obawą przed niespodziewanym zawsze gwałtem i bezprawiem ostrowskich oprawców. Świadomość uwolnienia naszej ziemi od najazdu ostrowskich łotrów, koła balsamem spokoju maltretowanych we dnie i w nocy mieszkańców naszego zakątka i dużej połaci sąsiedniej ziemi ostrowskiej i wyszkowskiej.

Był to już okres dogorywania bitej zapamiętane i skutecznie na wszystkich frontach bestii hitlerowskiej. Zagarnięte bezprawnie ziemie narodów miłujących wolność, paliły się teraz pod podszwami wczorajszych „panów świata” – cofających się w panicznym bezładzie i strachu ku barłogowi swego teutońskiego gniazda.

Do umęczonych 5-cio letnią tyranią Polaków, już w końcu czerwca i na początku lipca 1944 roku zaczęły docierać wymawiane teraz głośno i bez obawy wieści o zbliżającym się froncie wschodnim. Chełpiący się zawsze swą niezwykłą organizacją napastnik i prześladowca wielu narodów europejskich – cofał się teraz w bezładzie, zdruzgotany i zmaltretowany ciągłym odwrotem i niepowodzeniami na froncie. Miażdżąca lawina wojsk Czerwonej Armii gniotła z rozmachem i rozbijała doszczętnie „niezwycięzonych” brutali spod znaku swastyki.

Działające na tyłach wroga sprzymierzone przeciw wspólnemu wrogowi partyzanckie oddziały polsko-radzieckie siały dywersję i utrudniały dalsze prowadzenie napastniczej wojny.

Czerwiec i lipiec 1944 roku przyniosły umęczonym Polakom widoczne na każdym kroku odprężenie.

Cofające się przez Sadowne szosą w kierunku Warszawy wojska węgierskie w obliczu beznadziejności swego położenia, pod wątpliwym już wtedy dowództwem niemieckim, pozbywały się podczas jednodniowego postoju przy Drugim Moście, ciężących im i już niepotrzebnych karabinów, rzucając je masowo w czarną otchłań wody, która z pluskiem „rozbrajała” przymuszonych do służby dla Fuhrera Węgrów. Okazywali oni przy tym całkowitą rezygnację z narzuconej im siłą służby, widząc zbliżający się koniec wojny, który dla wschodnich ziem polskich nastąpił w drugiej połowie lipca, a dla ziem położonych między Bugiem a Wisłą dopiero w miesiąc później.

Szarańcza spod znaku Własowa.

W połowie lipca 1944 roku zwała się na naszą ziemię istna plaga wędrujących w odwrocie nie wiadomo skąd, chmara rozwyrzonych, wyzutych ze wszystkiego co ludzkie – Ukraińców spod znaku Własowa – sprzedawczyka i odszczepieńca zaprzedanego w służbę Hitlera. Ludzie ci pozbawieni wszelkich cech ludzkich, przypominający żarłoczną szarańczę, posługując się bronią, wywierali presję na miejscowej ludności rabując wszystko, co wpadło tej rozwyrzonej bandzie w łapy. Najbardziej ucierpiały wsie nadbużańskie, a najokrutniej położona przy szosie Płatkownica.

Chmara tych pijanych wykołajeńców, obok taborów, wozów z dobytkiem, kobietami i dziećmi, pędziła tabuny zrabowanych po drodze koni i bydła, dla których trzeba było paszy i zboża. Ani jedna kopa zboża, ani jeden stóg czy bróg napełniony sianem nie ostał się tej dziczy. Rosnące na pniu niedojrzałe jeszcze zboża zniszczone zostały doszczętnie. Wycięto wszystko co stanowiło jakąkolwiek przydatność dla tej złowieszczej zgrai rabusiów. Smutny

nadzwyczaj obraz przedstawiało nadbuże po kilkudniowym pobycie tych ukraińskich sprzedawczyków, wyglądem swym przypominających istne małpy, przyodziane w mundury na pół hitlerowskie, na pół carskie, czyniąc wrażenie rozpasanej do najwyższych granic bezpieczeństwa hołoty rządzącej się po swojemu, według bandyckich praw nie pisanych w kodeksie ludzkim.

Natychmiast po wkroczeniu rozpoczęli oni rabunek wszystkiego co napotkali, a potem handel tym wszystkim co przedtem zrabowali. Sprzedawali konie, bydło, wozy, odzież, a także sprzęt gospodarstwa domowego. Wszystko to, zrabowane kilka dni wcześniej w innych wioskach, sprzedawali teraz z chęcią zdobycia pieniędzy na bimber, który był nieodstępnym towarzyszem ich podłego, awanturniczego życia.

Zdarzało się, że sprzedawszy jednego dnia konia czy krowę, zjawiali się niespodziewanie nazajutrz do nabywcy i pod pozorem kradzieży ich rzekomej własności, odbierali przemocą, grożąc w razie oporu bronią, a nawet pozbawieniem życia.

Sterroryzowana pięcioletnią niewolą ludność nie reagowała zupełnie na bezprawie i przemoc tych szakali, i biernie przyglądała się gwałtowi zadawanemu w imię okrutnych praw wojennych narzuconych przez hitleryzm.

Na szczęście banda tych najciemniejszych typów opuściła po kilku dniach nasze strony i wywędrowała dalej w kierunku Warszawy.

Od tej pory ziemia nasza uwolniona została całkowicie od tego pokroju typów, jak również pozbawiona została dotychczasowego wpływu okupacyjnej władzy.

Aż do samego wyzwolenia tj. do ostatnich dni sierpnia 1944 roku nie zajął tu ani jeden przedstawiciel władzy niemieckiej. Dopiero około połowy sierpnia zwały się tu resztki cofającej się ze wschodu w bezładzie, przeredzonej mocno armii hitlerowskiego Wehrmachtu, które pędząc przed sobą gromady zrabowanego bydła, koni i wszelkiego łupu postanowiły uczynić na przedpolu Bugu frontowy punkt oporu przed naciskającą jak lawina Armią Czerwoną.

Wyzwolenie.

Już w pierwszych dniach sierpnia dały się słyszeć dalekie, dudniące odgłosy zbliżającej się wojny 1944 roku.

Przesycone promieniami sierpniowego słońca pogodne powietrze przenikało niebieskawym oparem dymów przynoszonych tu przez wiatry z niedalekiego, zbliżającego się codziennie coraz bardziej frontu wschodniego.

Odetchnęły głębiej piersi, zabiły żywiej stroskane niewolą serca ludzkie. Wraz z hukami armat i dymami wojennej pożogi, czuło się powiew idącej wolności.

W tym nowym czasie – Wojska I Frontu Białoruskiego toczyły zacięte walki w międzyczeczu Bugu i Wisły, dążąc do wyjścia na północny brzeg pierwszej z tych rzek. 48-ma armia, nacierając w ścisłym współdziałaniu z 23-cią armią, opanowała Czyżew, Zaręby Kościelne i po sforsowaniu rzeki Brok kierowała się w stronę Ostrowi Mazowieckiej i następnie wzdłuż szosy na Różan. Nacierająca na jej lewym skrzydle 65-ta armia, po opanowaniu 9 sierpnia Sokołowa Podlaskiego i Węgrowa, rozwinęła natarcie i wzdłuż wschodniego brzegu Liwca.

Dążąc do sforsowania Bugu na wschód od Wyszkowa, armia ta 10 sierpnia opanowała Sterdyń, 12 – Stoczek Węgr., 22 – Sadowne i 26 sierpnia uchwyciła w rejonie Udrzyna przyczółek na północnym brzegu Bugu. 28 sierpnia 48-ma armia opanowała Ostrów Mazowiecką, a 65-ta zajęła Brok (Kazimierz Sobaczak – „Wyzwolenie Mazowsza w latach 1944-45”, Rocznik Mazowiecki – tom I – 1967).

Około dwóch tygodni toczyły się boje na rozwinętej wzdłuż torów kolejowych linii frontu rosyjsko – niemieckiego. Cały teren dawnej gminy Sadowne, z wyjątkiem Kołodziaża i Bojewa, utrzymywany był przez ten okres w rękach Niemców, którzy - widząc zaciskające się od zachodu i wschodu kleszcze okrążenia - opuścili 22 sierpnia Sadowne, wycofując się za linię Bugu, za którym zniszczyli most na wysokości Broku.

Ustępujący okupant dopełnił dzieła zniszczenia Sadownego, paląc wiele ocalałych z wrześniowego pogromu budynków.

Ludność Sadownego i okolic w obawie przed pojmaniem w niewolę lub wyniszczeniem skryła się w pobliskim Jeglu, na niedostępnych pagórkach otoczonych wokół mokradłami trudnymi do przebycia. I teraz, jak dawniej gęste zarośla pocziwego lasu skrywały swym listowiem szukających w nim schronienia ludzi.

Opustoszałe domy i gospodarstwa stały się w tym czasie okazją do rabunków dla wyspecjalizowanych już w tym rzemiośle cofających się Niemców. Ograbiono doszczętnie domy, piwnice, budynki gospodarcze, a ukryte w ziemi resztki ocalałego z wojny dobytku były zręcznie i z nie małym znanstwem wykrywane za pomocą stalowych prętów przeszywających metr po metrze świeżo zruszoną po kopaniu dołów ziemię.

Po powrocie z ukrycia leśnego niejedni zastali tylko ziejące pustką jamy swych skrytek, opróżnione i zrabowane doszczętnie przez „kulturtrugerów” z Zachodu.

Nic to było w porównaniu z wolnością, której świadomość istnienia wypełniała teraz po brzegi serca Polaków.

Na umęczonych 5-cio letnią przemocą twarzach pojawiły się teraz oznaki radości. Przyszła wolność!

ROZDZIAŁ IX

SADOWIEŃSKIE PORTRETY.

1. Czesław Wycech

„Z myślą o Polsce” – żył, pracował, działał i tworzył najwybitniejszy syn ziemi sadowieńskiej Marszałek Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, syn chłopca z Wilczogąb na Mazowszu – Czesław WYCECH.

Urodził się w niewielkiej, wciśniętej w szeroki łuk Bugu wiosce powiatu węgrowskiego dnia 20 lipca 1899 roku. Dziecięce lata przyszłego marszałka ludowego parlamentu upłynęły w otoczeniu mazowieckiej przyrody, kwiatnych nadbużańskich łąk i pól przelanych słońcem lipcowych, skwarnych dni, zlewanych jesiennymi szarugami i prawie rok rocznie zatapianych przez wiosenne wylewy powodziowe cennego, ospałego, lecz groźnego niekiedy Bugu.

Były to jeszcze wtedy czasy niewoli zaborczej, narzuconej ziemiom polskim przez złych, chciwych i podstępnych politycznie sąsiadów.

Ojciec Czesława, Antoni był potomkiem osiadłej tu na Mazowszu od dawna chłopskiej rodziny Wycechów, której przodkowie zamieszkivali już od roku 1524 w Kołodziążu, a potem przez lat około 200 w Wilczej, zwanej dziś Wilczogębami. Jak na owe czasy zaborczego ucisku społeczno – politycznego, był to chłop świątły, rozumny, posiadający, co należało do wielkiej rzadkości, wykształcenie w zakresie 4 klas dawnego gimnazjum.

Rodzinę miał liczną, składającą się z 14-ciorga dzieci, dla których trzeba było nieprzerwanie ciężko pracować na kilkunastomorgowym gospodarstwie, aby utrzymać warunki normalnej egzystencji i zapewnienie potomstwu przyszłego bytu. Skromne gospodarstwo rolne nie zabezpieczało w pełni tej przyszłości i trzeba było zabiegać ponad siły, aby sprostać zadaniu i zagwarantować nie malej gromadce warunki przyszłego życia.

Pięciu synom udało się zapewnić przygotowanie zawodowe poza rolnictwem. Jednemu, Mieczysławowi – handlowe, dwóm – ślusarsko-mechaniczne, jednemu – urzędnicze i jednemu, właśnie Czesławowi – zdobycie zawodu nauczycielskiego. Tylko trzy córki i dwaj synowie – Stefan i Zygmunt – pozostali na chłopskim zagonie, orząc i siejąc wzorem swych dziadów i pradziadów.

Mimo niełatwego najczęściej życia, atmosfera domowa rodziny Wycechów opierała się na twardych, surowych i nieugiętych zasadach, dyktowanych przez oświeconego ojca, który sam będąc gorącym patriotą i dobrym Polakiem, pragnął swe przekonania przeszczepiać w dusze swych dzieci. Nic dziwnego, że głęboki patriotyzm, jak panował w tym domu, wyrobił

mu w rodzimej wsi i szerokim kręgu ziemi sadowieńskiej autorytet rodziny wysoce poważanej i cieszącej się dużym zaufaniem. „Pamiętam, że gdy byłem małym chłopcem, w rodzinnym domu odbywały się tajne zebrania chłopów z udziałem tajemniczych osób z Warszawy”. W rewolucyjnych latach 1904-1905 ojciec brał żywy udział w życiu politycznym i musiał się długo ukrywać przed władzami carskimi, których przedstawiciele kilkakrotnie nachodzili nasz dom”... wspomina Czesław Wycech w skromnie nakreślonej biografii rodzinnego domu.

Czynny udział Antoniego Wycecha i jego synów dorosłych w pracach konspiracyjnych organizacji niepodległościowych I i II wojen światowych, świadczą najdobitniej o wysokim poziomie patriotycznym i świadomej postawie tej prawdziwie, bez zastrzeżeń polskiej rodzinie nadbużańskiego chłopca.

Wśród takiej atmosfery wzrastał do lat młodzieńczych przyszły, czołowy działacz polskiego, radykalnego ruchu chłopskiego. Od najwcześniejszych lat nie były mu obce dążenia niepodległościowe i społeczno-polityczne narodu i chłopstwa polskiego. Trzy zasadnicze, jak sam wspomina, czynniki wywarły decydujący wpływ na ukształtowanie się jego późniejszych działalności: pochodzenie chłopskie, zdobycie wykształcenia pedagogicznego, które otworzyło mu drogę do bliskiego kontaktu z mieszkańcami wsi – chłopstwem oraz włączenie się od wczesnych lat młodzieńczych do pracy niepodległościowej i właściwie podchwyconej działalności w pracach rozwijającego się coraz bardziej ruchu ludowego.

Przeznaczeniem jego pracowitego i twórczego życia było od tej pory związanie się na zawsze z radykalnym ruchem chłopskim, w kontakcie z którym nie umiał dzielić swej pracy na zawodową i społeczną.

Od chwili zdobycia zawodu nauczyciela oba te aspekty związały się ze sobą nierozdzielnie i wytyczyły na drodze jego życia jasno wytknięty cel, do którego uparcie i niezmordowanie dążył.

Oprócz normalnych obowiązków zawodowej pracy nauczycielskiej, działalność społeczno-polityczna stała się treścią jego codziennego życia i zawładnęła nim całkowicie, bez reszty. Nieugięty charakter upartego i zdecydowanego postępowania, silna i niesłabnąca wola, tak bardzo wówczas potrzebna do przezwyciężenia piętrzących się nieraz trudności, krystalizowały i hartowały w nim pogląd o słusznie wybranej drodze, która prowadziła poprzez ciągłą walkę do polepszenia doli braci chłopskiej w Polsce lepszej, prawdziwie ludowej, o której marzyło się minionym pokoleniom.

Z życiem wsi rodzinnej związał się na krótko. Spędził tu czasy dziecięce, potem, dla zdobycia zawodu nauczycielskiego, opuścił ją na lat kilka, aby po pierwszej posadzie nauczycielskiej w Sokołowie powrócić i pracować w niej przez 3 lata jako nauczyciel, do roku 1922. Wilczogęby podówczas należały do tych nielicznych w powiecie węgrowskim wsi, które

od początku XX wieku posiadała szkołę, założoną tu dzięki usilnym staraniom ojca Antoniego Wycecha.

Odegrała ona w życiu wsi niepoślednią rolę – nie było tu analfabetów i dzięki niej wzrastała świadomość społeczna jej mieszkańców. Dlatego też stwierdzić należy, że spośród kilkunastu wsi dawnej gminy Sadowne, Wilczogęby wyróżniały się swym zdrowym, świadomym obliczem w pracy społeczno-politycznej, która dzięki szkole i wzmożonej, aktywnej działalności Wycechów, rosła szybko, czyniąc z wilczogębiaków chłopstwo świadome swej roli i zadań jakie przed nimi stały.

Znamiennym i odważnym, jak na owe czasy, był fakt, że w okresie rewolucji 1905 roku chłopci Wilczogęb jawnie i zdecydowanie domagali się prowadzenia nauki szkolnej w języku polskim, a nie rosyjskim, który to, jak powszechnie wiadomo, był w każdej polskiej szkole językiem urzędowym i obowiązującym. Rewolucyjny nurt niezadowolenia żywiołu polskiego z narzuconej już od ponad stu lat przemocy zaborczej znalazł swe odbicie także w spokojnych zdawałoby się Wilczogębach.

Odgłosy tej, wprawdzie krótkiej, ale ważkiej historycznie rewolucji dotarły do wsi rodzinnej przyszłego Marszałka Sejmu. Oto podniecone hasłami tej rewolucji, świadome już wtedy chłopstwo Wilczogęb wyraziło swe, z rządów cara Mikołaja II niezadowolenie, zdzierając i niszcząc jego portret, znajdujący się w szkole. Mały, bo zaledwie sześciolatek wtedy Czesław, choć nie był jeszcze wtedy uczniem tej szkoły, brał osobiście udział w niszczeniu urzędowego oblicza rosyjskiego satrapy.

Smak zakazanego chleba rósł szybko w świadomości młodego chłopca, czemu po wielokroć dawał wyraz w kolportowaniu nielegalnych, zakazanych ksiązek i broszur, przemycanych zręcznie z domowej biblioteczki ojca do rąk kolegów szkolnych. Jak nam wspomina w swym zwięzłym rysie biograficznym, został wraz z bratem pewnego razu surowo skarcony przez nauczyciela Litwina za posiadanie nielegalnej broszury Wł. Bełzy pt. „Katechizm małego Polaka”.

Niezwykle umiłowanie wszystkiego co polskie, wrodzone i nieugięte dążności do poznawania dziejów nękanego niewolą zaborczą kraju ojczystego, o których szkoła ówczesna grobowo milczała oraz pierwsze kontakty z przemycanymi do wsi egzemplarzami „ZARANIA” budziły i krystalizowały w dorastającym chłopcu wiejskim jasno określone cele i zadania przyszłego swego życia, jako działacza-społecznika.

Na pogłębienie rozwijających się pojęć oraz potrzebnej w działaniu społecznika wszechstronnej wiedzy – ogromną rolę odegrała jego mrówcza i dociekliwa, niezmordowana praca samokształceniowa. Będzie ona jego nieodstępną towarzyszką w latach młodości, potem szkolnych w seminarium nauczycielskim, jak też i w okresie studiów w Instytucie Pedagogicznym.

Będzie ona niedostępną towarzyszką w latach młodości, potem szkolnych w seminarium nauczycielskim, jak też i w okresie studiów w Instytucie Pedagogicznym.

Już jako dojrzewający młodzieniec rzuca się w okresie I wojny światowej w wir pracy społecznej swojej wsi. Tworzy tu kółko samokształceniowe, prowadzi wieczory dyskusyjne na tematy związane z bogatą historią kraju ojczystego, omawia zagadnienia polityczne, zwraca uwagę na krzywdę i rolę chłopów w dotychczasowej sytuacji społeczno-politycznej, organizuje pierwsze, w środowisku regionu sadowieńskiego, kółko teatralne młodzieży wilczogębskiej.

To wstępne kroki na drodze ku przyszłej ogromnej działalności społeczno-politycznej i pisarskiej Czesława Wycecha, stanowią na pewno znakomitą podbudowę do szeroko potem zakrojonej pracy we wszystkich podejmowanych przez niego problemach bezinteresownego działania na wielu jej odcinkach.

Rok 1917 stanowi w jego pracowitym życiu początek zdecydowanej i jasno skryształizowanej działalności społeczno-politycznej. Już w tym czasie nawiązuje kontakty z wybitnymi przywódcami ruchu ludowego i w latach 1918 – 1930 ściśle współpracuje w jego lewicowym nurcie „PSL Wyzwolenie”.

Pracując przez 3 lata jako nauczyciel w swych rodzinnych Wilczogębach jest już dojrzałym, świadomym swego celu i zadań działaczem rozwijającego się żywiotowo środowiska Sadowiego i okolic. Działają tu również wtedy w ścisłym z nim powiązaniu Wacław Polkowski i Jan Kić, obaj tak, jak i on nauczyciele – ludowcy, aktywna i z uporem prowadzona praca tej trójki sadowieńskich społeczników, postawiła to środowisko w rzędzie najbardziej radykalnych i świetnie działających politycznie ośrodków powiatu węgrowskiego.

Po odzyskaniu niepodległości w listopadzie 1918 roku, ster władzy w młodym państwie starają się przechwycić siły reakcji polskiej, wspierające się głównie na filarach obszarńczo – kapitalistycznych Zamojskich, Radziwiłłów czy Potockich. Są to czasy, kiedy endecja popierana przez wszelkiego rodzaju elementy wsteczne zabiega o utrzymanie prymatu kosztem wielu nikczemnych, podstępnych, a nawet podłych metod w rodzaju metod w rodzaju bratobójczych mordów politycznych, np. na osobie pierwszego prezydenta Gabriela Narutowicza.

Lewica polska szerokim frontem stanęła wówczas przeciwko takim metodom, przeciwko wsteczniactwu, zacofaniu i obskurantyzmowi, a w szczególności w okresie wyborów do Sejmu w roku 1919 i 1922. Dużym osiągnięciem wyżej wspomnianej Trójki i ich wielu sprzymierzeńców środowiska sadowieńskiego było, choć nie przeważające lecz równorzędne zwycięstwo lewicowych ugrupowań w politycznej walce wyborczej. To właśnie Czesław Wycech, Wacław Polkowski i Jan Kić prowadzili w tym okresie niezamordowaną akcję agitacyjną na rzecz sadowieńskiej lewicy, która dowiodła swą wyborczą podstawą o najaktywniejszym ugrupowaniu na terenie całego powiatu węgrowskiego.

Obok pracy politycznej w tym okresie Czesław Wycech angażuje się czynnie w pracach kół młodzieżowych tak podczas własnych studiów nauczycielskich w Seminarium Ursynowskim, jak i też w pracach z młodzieżą, nie tylko swojej wsi, ale wszędzie tam, gdzie rzuciły go losy „tułaczego” życia nauczycielskiego.

Od roku 1917 bierze czynny udział w związkowej pracy nauczycielskiej, piastując przez pewien okres czasu stanowisko prezesa „Ogniska” ZNP w Sadownem oraz prezesa Oddziału Powiatowego tegoż związku w Węgrowie, gdzie dał się poznać jako wartościowy jego działacz.

Jednym z czynników, który zaważył głęboko na ukierunkowaniu ideowym Cz. Wycecha, było jego wykształcenie zawodowe. Zawód nauczycielski przyszłego Marszałka Sejmu, nie stanowił czegoś przypadkowego. Za namową ojca i kierowany własnym, tkwiącym od dawna w głębi duszy instynktem powołania i przeznaczenia, wybiera ten pionierski zawód po to, aby poprzez czynne kontakty z wsią i całkowite zaangażowanie w sprawy chłopskie, mógł wyżywać swój, pełny młodzieńczego i ideowego temperamentu, charakter dużej miary społecznika.

Jak wspomniano wyżej, rzucały nim losy jego „tułaczego” życia nauczycielskiego, które przeważnie tylko na krótko pozwalały wiązać się z coraz to nowym środowiskiem. Nie dane było mu pracować dłużej na jednej placówce. Nie było zresztą jeszcze wówczas prawnych przepisów pragmatycznych, które tak, jak dziś, mogłyby brać w obronę nauczyciela. Zgodnie z metodą władz endeckich, stosowano wtedy nagminnie i powszechnie, ludzi tego typu i pokroju, podejrzanych o działalność i poglądy lewicowe, nie trzymano długo w jednym i tym samym miejscu. Wyszukiwanie byle jakich przyczyn, nie mających najczęściej żadnego uzasadnienia i pokrycia, czepianie się lada głupstwa, powodowało częste przerzucanie „dla dobra szkoły” z miejsca na miejsce, nieraz w odległe, nieznane zupełnie strony, w których trzeba było pracę swoją podejmować od podstaw, od nowa.

Podobne losy „tułacza” dzielili bliscy Cz. Wycechowi nauczyciele – ludowcy w powiecie węgrowskim, jak Władysław Okulus, Wacław Polkowski, Jan Kić i inni. Wystarczy nadmienić, że Cz. Wycech w latach od 1918 do 1937 pracował jako nauczyciel aż w siedmiu szkołach – najpierw w Małożewie, powiatu sokołowsko – podlaskiego, potem w Wilczogębach, Węgrowie, Włodawie, Lublinie, Chojnicach i Warszawie. To ciągłe napiętnowanie ze strony ówczesnej władzy endeckiej nie skłoniły zahartowanego już w niezłomnym działaniu bojownika o sprawiedliwość, ludową, a nie obszarniczo – kapitalistyczną.....

2. Stanisław Borkowski – ECCE HOMO SADOWIENSIS

Stanisław Borkowski, sadowieński szewc, choć nie był rodakiem tej ziemi, lecz spędził na niej większą część swego bardzo ciężkiego, rzemieślniczego żywota i tu złożył sterane trudem nie ludzkiej pracy kości na cmentarnym pagórku sadowieńskiego cmentarza, jako dziś mało

komu znany człowiek międzywojennego Sadownego. A był to, przyznać trzeba, człowiek w pełni zasługujący na swe ludzkie miano. Jego skromne, ciche i nader pracowite życie nie będzie z pewnością podstawą do gloryfikowania zasług na miarę pomnikową. Sylwetka tego typowego w latach przeszłych rzemieślnika, przykutego całymi dniami, a często i nocami, do szewskiego, niskiego stołka, na którym przesiedział około 40 lat, nie wiedząc nic poza obowiązkiem żmudnej pracy dla siebie i swojej rodziny oraz jego polityczno – społeczne zainteresowania wskazują na potrzebę rzucenia słów kilku, obrazując przykładowo Sadownego zasługuje w pełni na krótkie choćby o nim konieczne wspomnienie.

Ciężka i trudna była droga życia Stanisława Borkowskiego. Urodzony w roku 1886 w gminie Borzychy, powiatu węgrowskiego, jako 10-letni chłopiec traci rodziców, pozostając kompletnym sierotą, którym z litości zaopiekował się tamtejszy Żyd niewidomego nam nazwiska, lecz posiadający najwidoczniej serce bliskie niedoli ludzkiej.

Włącza go do członków swojej rodziny i po pewnym czasie, myśląc prawdopodobnie o przyszłości osieroconego chłopca, wywozi go do Warszawy, aby tam znaleźć dlań okazję dla zabezpieczenia jego dalszego losu. W późniejszych swych wspomnieniach, o tym humanitarnym postępku wyznaczonego mu przypadkowo czułego opiekuna, będzie opowiadał Borkowski swym dzieciom, żonie i znajomym lub towarzyszom pracy. Będzie mocno podkreślał i wskazywał na wrażliwość ludzką, mimo rasowych różnic, jakie dzieliły wówczas w pojęciu wielu, Żydów i Polaków.

Tenże Żyd zaopiekował się właśnie polskim dzieckiem – sierotą i umieszcza go w warsztacie szewskim warszawskiego majstra w tym zawodzie, u którego przez określony z góry okres kilku lat będzie pozostawał w tzw. „terminie”.

Zgodnie z istniejącym wówczas prawem, chłopiec oddany do „terminu” miał, oprócz nauki wybranego zawodu, spełniać wszystkie postęgi domowe u pani majstrowej i nie od razu mógł zasiąść na szewskim zydelku, aby poznawać arkana przyszłego swego fachu.

Kilkunastoletni wówczas Borkowski zaczynał swą naukę od szorowania podłóg, zmywania naczyń, niańczenia dzieci pana majstra oraz najprzeróżniejszych posług wynikających z warunków codziennego życia domu warszawskiego szewca.

Nagrodą i zapłatą za to wszystko było wyrko gdzieś w najlichszym kącie domu pana majstra i łyżka stawy, podtrzymująca życie rosnącego szybko przyszłego czeladnika!

Gdzieś po roku lub nieraz dwóch dopuszczano dopiero do wstępnych robót, które stopniowo, z upływem czasu, miały uczyć adepta szewskiej sztuki, poczynając od kręcenia i smołowania dratew, poprzez sztukę szpilkowania, ćwiekowania, itp. elementów składania buta w określoną całość formę kopyta.

Podczas wieloletniego „terminu” Stanisław Borkowski, nim został czeladnikiem, w swym zawodzie przeszedł prawdziwą gehennę życia dziecka, którego jedynym opiekunem, a zarazem i chlebobdawcą, był majster surowy i nie zawsze dobry dla dziecka – sieroty.

Nieodżywiony i przepracowany, nie mając bliskich sercu osób, młody Borkowski często myślał o samobójczych zamiarach. Z późniejszych jego wynurzeń wiadomo, że dwukrotnie czynił zamachy samobójcze na swe nieszczęsne, sieroce życie. W obu przypadkach został odratowany: raz z nurtów Wisły, drugi od śmierci przez zamarznięcie. Sprowadzony wtedy z powrotem do majstra, który w pierwszym przypadku wyłoił chłopcu skórę za taki postępek, zaś w drugim, tknięty wyrzutem sumienia, rozmawiał z nim serdeczniej i od tej pory, widząc i rozumiejąc najprawdopodobniej tragizm życia sieroty, zaopiekował się nim bardziej, a nawet podobno za jego uczciwość i solidność w pracy polubił go i doprowadził w zmienionych już nieco warunkach do ukończenia „terminu” i wyzwolenia na czeladnika w zawodzie szewskim.

Wielokrotnie przesiadywanie młodziutkiego jeszcze wtedy Borkowskiego na swym stołeczku wśród grona starszych od siebie pracowników pana majstra, pozwalało wsłuchiwać się w ich rozmowy, które stanowiły nieodłączną część szewskiego życia pracujących w chałupniczej produkcji warszawskich szewców.

Były to wówczas czasy budzenia się ruchów proletariackich i niepodległościowych spętanego kajdanami politycznej i społecznej niewoli narodu polskiego. Przenikały z dalekiej Rosji odgłosy o robotniczych buntach i ulicznych demonstracjach. Wśród polskiego proletariatu, wzorem rosyjskich towarzyszy, zaczęły powstawać pierwsze organizacje polityczne, mające na celu walkę z tym samym wrogiem, jakim był carat i narastający coraz bardziej w siłę i zasoby materialne kapitalizm.

Wśród stukotu szewskich młotków i przepojonego mdłym zapachem skóry powietrza chałupniczego warsztatu, chłonał młodziutki Borkowski słowa o rodzącym się socjalizmie, biorącym w obronę takich, jak on ludzi z dna nędzy, ucisku i wyzysku nieludzkiego.

Gorące nieraz dysputy starszych od niego mistrzów buta, słuchane chciwie przez dorastającego młodzieńca, rozpałały w nim ciekawość o odśłaniały nieznane dotąd sprawy, wyzwalając jednocześnie w duszy zdolnego chłopca pogląd na rzeczywistość ówczesnej sytuacji setek tysięcy jemu podobnych i budziły chęć działania do walki z niesprawiedliwym, krzywdzącym ustrojem.

Znajduje on wśród braci szewskiej dusze pokrewne, które tak samo musiały ciężko pracować i z trudem dorabiać się chleba.

Jest najpierw świadkiem czytania potajemnego nielegalnej bibuły, potem jej oddanym kolporterem.

Czuając w tym działaniu przyszłe wyzwolenie mas pracujących, bierze w nim czynny udział wspólnie z wieloma sprzysięgłymi tajemnicą towarzyszami niedoli i włącza się początkowo jako terminator, potem jako czeladnik, w wir pracy politycznej.

W początkach 1905 roku docierają do umęczonych stuletnią niewolą ziem polskich wieści o „krwawej niedzieli” w Petersburgu, powodując podniecenie nastrojów polskiego proletariatu przeciw wspólnemu wrogowi.

Rewolucja 1905 roku przeszczepiona na grunt polski wyzwała ukryte, starannie pielęgnowane i ciągle podniecane uczucia łódzkich i warszawskich robotniczy, którzy, jak ich towarzysze w dalekiej Rosji, wylegają na bruki ulic swych miast, demonstrując i okazując swe niezadowolenie z istniejącego stanu rzeczy. Strajki, pochody, tajne zebrania i kolportaż tajnej bibuły to jedyne wówczas formy działania setek i tysięcy takich właśnie Borkowskich i jemu podobnych, których wystąpienia były krwawo tłumione przez sprzymierzone z kapitalizmem oddziały wojsk carskich i nie przebierającej w środkach policji zwanej „ochroną”.

Wspólnie z wieloma współtowarzyszami proletariackiej niedoli bierze Borkowski udział w strajku powszechnym 1905 roku i jako już 19-letni młodzieniec jest czynnym uczestnikiem ulicznych demonstracji robotniczych, manifestujących przeciwko dwóm sprzysiężonym ze sobą wspólnymi interesami caratem i kapitalizmem.

Podczas jednej z ulicznych demonstracji rozgorzałej szybko Rewolucji, na własnej skórze doświadcza on smaku razów kozackiej nahażki, a idący z nim obok towarzysz jego, pchnięty sołdacką piką, wleczony jest wraz z nim przez zaciekłych kozunów i bity do utraty przytomności. Plac Grzybowski w Warszawie, zastany wielu trupami i rannymi w tej demonstracji, stał się wówczas jednym z wielu w większych skupiskach robotniczych miejscem cierpień i przelanej krwi robotników polskich.

Świadomość celu działania warszawskiego proletariatu, wśród którego jak w ukropie gorącym uwija się młody Borkowski, kształtuje i umacnia jego poglądy o słuszności wybranej, rewolucyjnej drogi, przy której pozostanie do końca swego pracowitego żywota. Nie danym mu będzie doczekać czasów, o których śniło na wyrku termiantorskim w kuchence domu warszawskiego szewca.

Krwawo stłumione wrzenia rewolucyjne polskiego proletariatu w tym czasie nakazują jego działaczom przejść do pracy jeszcze bardziej zakonspirowanej, a wielu z nich, zgodnie z nakazem ówczesnej racji stanu stłumionego ruchu rewolucyjnego, opuszcza Warszawę, udając się do mniejszych ośrodków prowincjonalnych, a nawet wielu wsi.

W roku 1906 jako już dojrzały członek PPS-Lewicy opuszcza Borkowski Warszawę i po wieloletnim, trudnym nader w niej żywocie, losy rzucają go w nasze strony, gdzie w Sadownem znajduje punkt oparcia z myślą o założeniu tu skromnego warsztatu w swoim szewskim zawodzie.

Trafia tu nasz bohater na podatny grunt. Ówczesne bowiem Sadowne jest w tym i późniejszym okresie miejscem szybkiego przyrostu ludności i z małej, niewidocznej dotychczas prawie wioszczyzny, przeistacza się w dużą, dość ruchliwą wieś leżącą w północnej części tzw. Guberni Siedleckiej.

Przyczyną poważnego napływu ludności z różnych stron kraju jest budowa w tym okresie (1906 – 1909) nowego, po rozebranych kościółku z Wieku, murowanego, bardzo okazałego, jak na warunki wiejskie, kościoła, z budową którego szczególnie rzemiosło i kupiectwo wiązały nadzieje na szybki rozwój tego wiejskiego środowiska.

Korzystne położenie obok bitego traktu biegnącego z dalekiej Łomży, przez Ostrołkę i Ostrów Mazowiecką, do Warszawy oraz poblizko stacji kolejowej, zwanej wówczas Zieleńcem, przy drodze żelaznej z Warszawy do Petersburga, pozwalały w sumie wróżyć Sadownemu jego dalszy, korzystny rozkwit. Ze względu na dobre położenie klimatyczne w sąsiedztwie żywicowych lasów sosnowych podnoszą się walory tej miejscowości szczególnie w lecie, podczas którego jest ono coraz liczniej odwiedzane przez Warszawiaków, szukających tu w uroczych zakątkach leśnych zdrowia, ciszy i spokoju z dala od wielkomiejskiego gwaru i zgiełku.

Sadowne, w którym osiedla się Borkowski, istotnie po kilkunastu latach przeradza się w dużą kościelną wieś, w której coraz bardziej zaczyna rozwijać się rzemiosło, handel i życie gospodarcze. Jest to również wzmożony okres napływu elementu żydowskiego, opierającego głównie swe życie na handlu i częściowo rzemiosle.

Wśród nielicznych wtedy szewców Sadownego Borkowski zakłada swój maleńki warsztat w wynajętej izdebce i poznaje wkrótce przyszłą swą towarzyszkę życia, biedną i skromną, jak i on, chłopkę z pochodzenia i związawszy się z nią dogonnym węzłem małżeńskim, będzie od tej pory pchał uciążliwie brzemienią w ciężar losów taczki żywota.

Młode małżeństwo, oszukane w podły sposób przez chytrego ojczyzna Borkowskiej, o obiecywanym posagu, nie otrzymawszy go (100 rubli), z uporem i niezwykłym samozaparciem gromadzi każdy grosz z myślą o budowie własnego dachu nad głową, który po kilku latach wytężonej pracy staje się wymarzoną rzeczywistością i będzie odtąd miejscem kilkunastogodzinnej pracy szewca chałupnika, punktem tajnych, zakonspirowanych zebrań sadowieńskiej lewicy oraz bazą ciężkiego, trudnego życia siedmioosobowej rodziny Borkowskich.

Stan liczebny rodziny wzrasta w przeciągu kilkunastu lat do pięciorga dzieci, z których najstarszą jest Kazimiera, potem Janina, Jadwiga, Jan i najmłodsza Regina.

W związku z rozwojem rodziny wzrastają stopniowo również i jej trudności bytowe. Jedynym źródłem dochodu i utrzymania domu jest żmudna i ciężka praca ojca, który ze swego szewskiego zydła podnosi się tylko wtedy, gdy trzeba przespać się kilka godzin,

załatwić sprawy związane z zakupem surowca na wytwarzanie obuwia lub kradzione chwile na nurtujące wiecznie jego myśli, sprawy polityczne lub społeczne.

Setki, a może tysiące par najróżnorodniejszego obuwia wyszły spod pracowitych rąk pochylonego nad swym warsztatem sadowieńskiego króla szewców, jak go cichaczem niektórzy nazywali. Bo istotnie, Borkowski stanowił w swym zawodzie klasę najwyższą.

Lata upływały, dzieci rosły, a z nimi wzrastały kłopoty i myśli nurtujące umysły obojga rodziców o zabezpieczeniu swym pociechom przyszłości. Najstarsza Kazimiera, po ukończeniu miejscowej siedmioklasowej szkoły St. Rytla, zapagnęła dalszej nauki, której realizacji w owych czasach nie była łatwa.

Troskliwy ojciec, świadomy potrzeby kształcenia swych dzieci, dla których przecież nie było morgów, za życzliwą namową kierownika szkoły St. Rytla, postanawia, zgodnie również z życzeniem córki, kształcić ją w zawodzie nauczycielskim.

Przez pięć długich lat trzeba będzie teraz myśleć już nie tylko o utrzymaniu rodziny, lecz również co miesiąc wysupływać ciężko zapracowany grosz, aby opłacić nim szkołę i internat w dalekim Wirowie, powiatu sokołowskiego.

Wkrótce następna córka Janina zdobywa także wykształcenie podstawowe i udaje się śladem starszej siostry do tegoż seminarium nauczycielskiego.

Ogrom kłopotów i trosk zwała się teraz na głowę Borkowskiego. Znikąd żadnej pomocy, każdy grosz musi być wystukany szewskim młotkiem przez pracującego teraz w dwójnasób zaciętego w swej pracy chałupnika. Dzięki chyba tylko niezłej wówczas koniunkturze gospodarczej i dużemu popytowi na obuwie Borkowskiego przypisać należy możliwość opłat szkolnych za dwie naraz kształcone córki. Nie jest to jeszcze najcięższy okres w zabezpieczeniu przyszłości swym dzieciom. Będą gorsze, bardzo ciężkie i niezwykle trudne dla całej ich rodziny.

Na szczęście Kazimiera zdobywa dyplom nauczycielski i zaczyna pracować. Przejmuje ona teraz z kolei część obowiązku pomocy w opłatach za naukę i utrzymanie w internacie Janiny, a potem także i Jadwigi. Ta łańcuszkowa forma wzajemnej pomocy w zdobywaniu wiedzy wszystkich później dzieci Borkowskich pozwoliła, mimo narastającej z każdym rokiem biedy w ich domu, zdobyć przez wszystkie córki wykształcenie pedagogiczne, zaś Jankowi wyższe wykształcenie prawnicze.

Pogłębiający się coraz bardziej w latach trzydziestych ogólnoswiatowy kryzys gospodarczy zachwiał także bezplanowym, źle zorganizowanym polskim systemem gospodarczym. Odczuł to momentalnie handel, potem rzemiosło, a najdotkliwiej ze wszystkich dziedzin – rolnictwo.

Taran biedy i skrajnego niedostatku uderzył wtedy także i w rodzinę Borkowskich. Wysupłani do ostatniego grosza z trudem niepojętym, przy pomocy nawet dwóch

pracujących najstarszych córek, gonią resztkami sił materialnych, aby ostatecznie całej piątce dzieci zagwarantować zdobycie wykształcenia i zawodu. Zarobki stawały się coraz lichsze, obstalunki na wytwarzane obuwie mały – do domu coraz częściej zaczął zaglądać nieodstępny satelita niedoli ludzkiej – głód! Podstawowym produktem utrzymania jest tylko czarny chleb i „cieniutkie” zupki, w których kartofle stanowiły podstawową ich okrasę.

Świętem wielkim, jak opowiadała w 30 lat potem ze łzami w oczach o tych przykrych czasach Jadwiga z męża Poczobutt, nauczycielka w Łodzi, było, gdy do czarnego chleba, popijanego najczęściej gorzką herbatą, pojawiał się biały ser lub odchudzony twaróg kupowany w miejscowej mleczarni.

A ambicje rozsądnego ojca, mimo tej okrutnej biedy, nie mały, lecz potęgowały się coraz bardziej, podtrzymując upór w doprowadzeniu do wykształcenia całej piątki swych dzieci.

I wtedy właśnie przyszło najgorsze! Gdy zdawało się, że bliski już będzie koniec męczarni i udręki, że każde z dzieci otrzyma upragnione wykształcenie i zakończy się gehenna strapień, głodowania i męki codziennej, do domu Borkowskich zajrzała jedna z najwierniejszych przyjaciółek proletariackiej nędzy – gruźlica!

Znalazszy podatny grunt, uderzyła z całym okrucieństwem swej krwiożerczej zachłanności w głowę domu – ojca!

Widmo całkowitego tragizmu i beznadziejności sytuacji stanęło w niknących co dzień i pałających niezdrowym blaskiem oczach chorego ciężko Borkowskiego! Wszystko sprzysięgło się przeciw jego losom i nieprzewidywany grom nieuleczalnej wówczas choroby uderzył znienacka w źle odżywionego i przepracowanego szewca.

Najbliżsi jego sercu, żona i dzieci, utworzyli teraz zdecydowany front działania przeciw złu, jakie nawiedziło wycieńczony do ostatnich granic organizm ojca. Trzeba było działać natychmiast i naprędce gromadzić wszystkie dostępne środki materialne na pokrycie kosztów przede wszystkim dobrego odżywiania, a następnie leczenia.

W tej sytuacji dwoje z najmłodszych, Janek i Reginka nie byli jeszcze przygotowani do życia samodzielnego. Najmłodsza z córek kształciła się jeszcze w Liceum Pedagogicznym, zaś Janek, po ukończeniu 8-klasowego gimnazjum, odbywał służbę wojskową jako podchorąży. Jedynym wówczas i całkowicie rozsądnym postanowieniem jego było pozostanie w wojsku, widząc w tym niezły wówczas i dobrze płatny kawałek chleba.

I tu również okrutny fatalizm uderza w stroskaną widokiem nieszczęść rodzinę Borkowskich, a w szczególności w gasnącego w oczach ojca. Oto pozostanie Janka w wojsku na zawodowego oficera wymagało przed jego przyjęciem do szkoły oficerskiej opinii środowiskowego czynnika, którym była wówczas granatowa policja.

Niedługi po jej opinii był pobyt Janka w tej szkole. Maltretowany i prześladowany przez oficerów i podoficerów jako syn bolszewika i komunisty, bo takie miano w tej opinii otrzymał jego ojciec – musiał się Janek pożegnać z myślą pozostania zawodowym oficerem ówczesnego polskiego wojska. Powraca do domu, aby patrzeć z bólem okrutnym na gasnącego coraz bardziej ukochanego ojca.

Zbiorowym wysiłkiem wszystkich członków rodziny zebrane na leczenie ciężko chorego Borkowskiego pieniądze okazały się już niepotrzebne. Warszawski lekarz, do którego udał się chory, odmówił wykonania zabiegu, jedyne wtedy zbawczego środka, jakim była odma płuc, stwierdzając bezsensowność jej stosowania ze względu na posiadane przez chorego już tylko strzępki płuc.

Niedługi już potem był żywot przeżartego gruźlicą jednego z najlepszych ojców Sadownego, któremu nie było danym doczekać chwili pociechy z wykształcenia wszystkich dzieci. Jego marzenia życiowe o szczęściu swej gromadki i zmiany ustroju na lepszy i sprawiedliwszy, w którym zdobywanie wiedzy nie musiałyby odbywać się kosztem bezgranicznych wyrzeczeń rodziców, spełzły na niczym. W roku 1936 nie dokończywszy swego wymarzonego dzieła życia, umiera przedwcześnie jako 50-letni zaledwie, lecz okrutnie wychłostany niedolą, cichy, spokojny działacz sadowieńskiej lewicy. Komunistą nigdy nie był – jak go i wielu jemu podobnych w Polsce międzywojennego dwudziestolecia złośliwie nazywano. Był skromnym, uczciwym człowiekiem, działaczem koła chłopskiego „Wyzwolenie, które szczególną ruchliwość przejawiało w naszym środowisku lat dwudziestych. Sadowieński człowiek – mrówka, który całe swe życie w każdym jego dniu przesiedział na szewskim zydlu, nie widząc nic poza ciężką pracą dla dobra tych, którym dał życie i chciał swym mozołem stworzyć im lepszą niż jego przyszłość.

Oto człowiek wyklęty poza nawias międzywojennej społeczności Sadownego, bliski współpracownik na niwie politycznej Jana Kicia, Wacława Polkowskiego i Cz. Wycecha. Ochrzczony nieuzasadnionym mianem bolszewika – komunisty za to tylko, że chciał widzieć wyzwoloną w roku 1918 Polskę, jako ojczyznę jednakowo dla wszystkich społecznie równą i sprawiedliwą matkę wszystkich jej dzieci – obywateli. Tymczasem widział na równi z innymi, że Polska ta wyzwoliła się nie tylko z politycznego ucisku trzech zaborców, ale nadal tkwiła w rękach tych, którzy przyzwyczajeni do łatwizny i wygod swego dostatniego życia, starali się za wszelką cenę utrzymać w niej swą władzę, którą nieudolnie pokierowali potem do nowego tragizmu dziejowego naszego narodu, jak po latach dwudziestu był pamiętny w skutkach wrzesień 1939 roku.

Niewielu takich ojców, jak Borkowski, posiadało Sadowne międzywojennego dwudziestolecia. Wielu jego towarzyszy pracy, przyjaciół i znajomych, znajdujących się niejednokrotnie w korzystniejszej niż on sytuacji materialnej, nie przejawiało takiego poczucia obowiązku względem swoich dzieci, jakie właśnie posiadał on, prosty, rozumny i zadziwiająco rozsądny, typowy wiejski rzemieślnik.

Swoją wrodzoną inteligencją trzeźwego patrzenia na świat oraz rzadko spotykanym, bezgranicznym oddaniem swego wiecznie zapracowanego żywota dla szczęścia dzieci, wyróżnił się Borkowski spośród wszystkich, dość licznych wtedy rzemieślników sadowieńskich.

I wtedy, kiedy inni z różnych przyczyn szukali nader często zapomnienia w kieliszku – Stanisław Borkowski zawsze stanowczo opierał się tego rodzaju uciechom życiowym, a przeciwnie, tłumaczył i wyjaśniał swoim kolegom i przyjaciołom bezsens tego szkodliwego przyzwyczajenia, prowadzącego często do zgubnego w skutkach niewolniczego nałogu pijaństwa.

Żaden z przedwojennych rzemieślników Sadownego nie dokonał tak pięknego dzieła życia, jak zrobił to właśnie Stanisław Borkowski. Dlatego w dziale portretów niniejszych zasługuje on, szary szewc, na wyróżnienie jako człowiek, który mimo piętrzących się ciągle w całym jego życiu trudności materialnych, losowych i niszczącej wątłe zdrowie choroby, umiał oprzeć się tym trudnościom, a nawet w większości pokonać je – wychowując swe dzieci na rozsądnych, szlachetnych i uczciwych tak, jak on – ludzi.

Niechże ten wspominek o nim będzie pewnego rodzaju rehabilitacją za wszystkie wyrządzone mu podczas jego skromnego, lecz jakże pięknego i bogatego w żywą, prawdziwie ludzką treść żywota, za niesłusznie wyrządzone mu krzywdy moralne i cierpienia jakich doznał w swym rzekomo wolnym wtedy kraju ojczystym.

Był to niewątpliwie jeden z najwspanialszych, godnych głębokiego szacunku i uznania ludzkich portretów dawnego Sadownego i jego okolic.

3. Bolesław Szabelski

Dumą naszej ziemi i jej ogromnym wielbicielem jest postać sławnego już nie tylko w kraju, lecz i daleko w świecie – kompozytora współczesnej muzyki poważnej – Bolesława SZABELSKIEGO.

Wprawdzie profesor Szabelski nie jest rodakiem sadowieńskim, bo urodził się 13 grudnia 1896 roku w Radoryżu, powiat Łuków, nie mniej jednak już od 9 roku życia, tj. od roku 1905 pozostanie w Sadownem w ścisłym i bardzo bliskim kontakcie, który potem przerodzi się, mimo długotrwałego poza nim pobytu, w serdeczne jego umiłowanie i chęć pozostania w nim na zawsze.

Ojciec jego Franciszek, organista z zawodu, przybywa w 1905 roku z Prostyni do Sadownego i zamieszka w nim wraz z 6-osobową rodziną do końca swojego życia, tj. do roku 1934.

Bolesław był najstarszym spośród 9-ciu synów rodziny Szabelskich, z której trzech zmarło w wieku niemowlęcym lub dziecięcym, zaś drugi z kolei Edward zostanie jako kapłan – kapelanem wojskowym i zginie podczas okupacji hitlerowskiej w obozie koncentracyjnym w Dachau, Józef zdobędzie zawód organisty i obejmie od roku 1934 posadę po zmarłym ojcu przy kościele w Sadownem, Dionizy ukończy najpierw Seminarium Nauczycielskie w Ursynowie, potem już podczas pracy zawodowej uzupełni swe wykształcenie pedagogiczne w Konserwatorium Muzycznym w Katowicach, specjalizując się jako późniejszy nauczyciel śpiewu i muzyki, i ostatni z tej rodziny Florian – ukończy gimnazjum w Ostrowi Mazowieckiej, by potem kontynuować studia prawnicze na Uniwersytecie Warszawskim.

Już od wczesnych lat przysły, znany muzyce polskiej i światowej Bolesław, jako kompozytor będzie zdradzał zamiłowania muzyczne i chęci poświęcenia się tej dziedzinie najbardziej spośród wszystkich swych braci.

To też już od najwcześniejszych jego lat dziecięcych zapobiegliwy i decydujący o wszystkim w rodzinnym domu ojciec sposobi małego chłopca w muzyce i starannie przygotowuje do dalszych studiów.

Wykształcenie początkowe pobiera najpierw w wiejskiej szkółce sadowieńskiej pod kierunkiem ówczesnej tu nauczycielki Sulikowskiej i uzupełnia je przez dodatkową naukę u nauczycieli prywatnych. Następnie, myśląc o studiach muzycznych, w roku 1909 opuszcza rodzinny dom i przenosi się do Warszawy, aby tam dokończyć wykształcenie ogólne i jednocześnie rozpocząć studia w Szkole Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego, mające przygotować go do zawodu organisty. Uczy się tu gry fortepianowej u profesora Jana Łysakowskiego, solfeżu u Józefa Furmanika, historii muzyki u Henryka Makowskiego i harmonii muzycznej u prof. Ignacego Pileckiego.

Niezwykła orientacja w dziedzinie muzyki oraz nieprzeciętne w tym kierunku zdolności młodego adepta niełatwej sztuki tonów, zwracają od razu uwagę profesorów tej szkoły i wróżą mu poważną w jej przedmiocie przyszłość. W roku 1912 kończy chlubnie tę szkołę.

Zachęcony następnie przez swych nauczycieli i poparty przez ojca, wstępuje Bolesław Szabelski do ówczesnego w Warszawie Konserwatorium Muzycznego, figurującego jeszcze wtedy pod urzędową nazwą Muzykalnyj Institut. Tu trafia w doskonałe ręce prof. Mieczysława Surzyńskiego – organy, Romana Statkowskiego – teoria i Aleksandra Polińskiego – historia muzyki. Po 3-letnich studiach w tej uczelni zdobywa dyplom i pracuje potem jako doskonały organista, najpierw w Radomiu, potem w Lublinie, Płocku i Warszawie.

Po tej wędrówce powrót do Warszawy nie spowodowany został chęcią w niej przebywania, ani atrakcyjnością jako środowiska wielkomiejskiego, lecz pokierowany był myślą pogłębienia jeszcze większego swych studiów muzycznych, po obudzeniu się pragnień kompozycyjnego tworzenia, w zakresie którego czuł się jeszcze niezbyt silnym i tylko dostatecznie wykształconym.

Czteroletni okres doskonalenia niełatwej sztuki kompozycji na szczytowym jej poziomie pod kierunkiem takich osobistości, jak Karol Szymanowski i Roman Siatkowski, czyni w roku 1928 z 32-letniego już wtedy Bolesława Szabelskiego nie zwykłego, przeciętnego muzyka, lecz w pełni dojrzałego artystę – kompozytora i wysokiej klasy wirtuoza gry organowej.

W latach trzydziestych zwolennicy koncertów organowych często mieli możliwość zachwywania się recitalami radiowymi w wykonaniu zyskującego większy rozgłos, uznanie i sławę, rozwijającego się szybko artysty.

Należał on wtedy do nielicznej grupy znakomitych polskich odtwórców muzyki organowej i jego popularność w świecie muzycznym rosła z dnia na dzień. Kariera muzyczna dojrzałego już w pełni artysty – wirtuoza i kompozytora toczy się już teraz bardzo szybko.

W roku 1929 otrzymuje katedrę muzyki organowej i kompozycji w nowootwartym Śląskim Konserwatorium Muzycznym w Katowicach i wchodzi w skład kadry pedagogów tej znakomitej uczelni.

Rozpoczyna się w życiu Bolesława Szabelskiego nowy okres, który na długie lata, aż do wybuchu wojny we wrześniu 1939 roku i po jej zakończeniu, zwiąże go ściśle z regionem Śląska. Jego wybitna praca pedagogiczna w tej uczelni wyda wkrótce obfite owoce. Z klasy profesora Szabelskiego wyjdzie wielu wartościowych i cennych dla polskiej muzyki wirtuozów, jak Franciszek Jamrozy, Romuald Jędrysek, Irma Thenier, Jan Gawlas, Bronisław Siarkowski, Kazimierz Bała, Antoni Poćwierz i wielu, wielu innych, którzy stanowią będą czołówkę polskich wirtuozów organowych.

Obok klasy organowej, podczas wieloletniego pobytu w tej placówce muzycznej, prowadził B. Szabelski również klasę kompozycji.

Jego pedagogiczny dorobek w obu tych dziedzinach należy zaliczyć do niezwykłych, ponad miarę ludzką, tego skromnego, cichego i nader twórczego człowieka.

Treścią jego życia stała się muzyka i praca pedagogiczna. Na wiele długich lat zwiąże się ściśle ze Śląskiem, ziemią dymów, przemysłu i ciężkiej pracy górnika i robotnika polskiego. Ziemi tej odda się bez reszty, pokocha ją jak rodzinną i dla niej poświęci swe ciche, skromne, dalekie od żądzy sławy – życie. Żadna tylko siła nie zdoła go tam zatrzymać podczas ferii zimowych czy letnich. Każdą wolną od zajęć chwilę spędza w ulubionym Sadownem. Tu także przetrwa najcięższy nie tylko dla Śląska, lecz całej ziemi polskiej, okres okrutnej okupacji. Trzeba było stamtąd uchodzić, by nie podzielić losu innych przedstawicieli kultury polskiej – bestialsko zamordowanych lub spalonych w piecach hitlerowskich krematoriów.

Na wiele lat przed wojną, także podczas okupacji w Sadownem, jak i w latach powojennych, rozwija prof. Szabelski, oprócz pracy pedagogicznej, szeroką działalność kompozytorską. W dotychczasowym tym dorobku ma Bolesław Szabelski wiele cennych

utworów muzyki współczesnej, które postawiły go w rzędzie jej najcenniejszych i najwybitniejszych przedstawicieli.

W swej pracy kompozytorskiej początkowo nawiązuje on do twórczego dziedzictwa swego sławnego nauczyciela Karola Szymanowskiego, a potem w latach powojennych sprecyzuje swój odrębny styl, jako silna indywidualność artystyczna i doprowadzi go do szczytowych form jasno i wyraźnie skryształizowanych w duchu całkowitej współczesności. Zerwie całkowicie z jakimkolwiek tradycjonalizmem muzycznym i stworzy muzykę nową, zyskującą coraz bardziej świat, nacechowaną siłą i głębią wyrazu, opartą na logicznym nastroju powagi i skupienia, imponującą swym muzycznym rozmachem i niezrównanym bogactwem przemyślanej szczerze treści.

Z niezmierną łatwością i znajomością swego warsztatu, każdy swój utwór muzyczny stworzony po wojnie wyprowadzi umiejętnie z zagmatwanej dżungli, gąszczy współczesności przez wielu jeszcze niestety nie zawsze zrozumianej.

Jego twórczość znalazła swą odrębną i skryształizowaną drogę, na której idąc po indywidualnie wytkniętej linii postępowania, stwarza styl umiarkowanego modernizmu, mający wiele cech podobieństwa do szymanowszczyzny, ale jakże odmienny od tamtego i zdecydowanie sprecyzowany według własnej myśli i form muzyki odrębnie po swojemu ukształtowanej i nadzwyczaj precyzyjnie opracowanej.

Ten indywidualizm Szymanowskiego postawił go w rzędzie najwybitniejszych muzyków europejskich, zaś jego dzieła jako tworzywa dojrzałe i niezapomniane cechuje głęboka emocja połączona z wytrawnym o szczytowej klasie kompozytorskim konstruktywizmem. Styl jego dzieł jest nowoczesnie błyskotliwy w muzycznym ujęciu, całkowicie różny i nieprawdopodobnie inny od innych.

Różnorodność pomysłów kompozytorskich oraz ich znakomita wartość pod względem układu i myśli twórczej stawia go dzisiaj w rzędzie pierwszych szermierzy polskiej muzycznej współczesności, jako osobliwe w ujęciu i samodzielne w nadzwyczaj dojrzałej swej budowie. Jest to bez wątpienia jedna z najznakomitszych indywidualności współczesnej muzyki polskiej, oceniona przez właściwy dotychczas sposób przez krytykę i czynniki do tego powołane.

Całkowicie zasłużenie za swą mrówczą pracę pedagogiczną i bogaty dorobek kompozytorski jest Bolesław Szabelski przez Ludową władzę odznaczony: Nagrodą Państwową na Festiwalu Muzyki Polskiej za niezrównane Concerto Grosso, w roku 1953 za III Symfonię Nagrodą Państwową, potem Nagrodą Ministra Kultury i Sztuki za Aforyzmy i wiersze, następnie znowu w roku 1966 Nagrodą Państwową za całokształt pracy kompozytorskiej. W latach 1956 i 1967 Związek Kompozytorów Polskich, którego jest stałym od lat członkiem, nagradza go za całokształt twórczości, potem otrzymuje Nagrodę Miasta Katowic i województwa katowickiego, które dopełniają sumy uznania za jego niezwykłą i bogatą twórczość.

Władza Ludowa, doceniając zasługi i dzieło muzyczne profesora Szabelskiego, nadaje mu wysokie odznaczenie państwowe: najpierw Oficerski Krzyż Odrodzenia Polski, w kilka lat później Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski, zaś ziemia śląska, której przez tyle lat służył wiernie, Złotą Odznaką Zasłużonego dla Województwa Katowickiego.

W swym dorobku kompozytorskim Szabelski dysponuje pokaźną ilością utworów wydanych i wykonywanych po wielokroć pod dyrekcją najznakomitszych dyrygentów krajowych i zagranicznych w radiu, polskiej telewizji, a także corocznie podczas gorąco oklaskiwanej Warszawskiej Jesieni i wielu koncertach zagranicznych, na które był zapraszany do Czechosłowacji, Jugosławii, Węgier, Szwecji, Holandii, Francji i dalekiej Japonii.

Przełtyśki wielkiego talentu kompozytorskiego były już widoczne podczas studiów w Warszawskim Konserwatorium Muzycznym. W roku 1914 pojawiają się jego pierwsze utwory, zrazu nieśmiałe i niepewne w swoim kompozycyjnym znaczeniu, by potem od roku 1926, w którym to tworzy swą I Symfonię, zabłysnąć jako kompozytor dojrzewający, a następnie poprzez szereg znakomitych dzieł muzycznych, jako doskonały twórca muzyki nowej, zdobywającej szybko pełne, należne sobie prawa obywatelstwa w rozwijającym się coraz bardziej w innych, lepszych niż kiedyś warunkach życia muzycznym Polski Ludowej.

Dotychczasowy dorobek muzyczny Szabelskiego obejmuje:

1. I Symfonia (1926)
2. Kantata na chór i orkiestrę symfoniczną do słów A. Mickiewicza (1928)
3. Passacaglia na organy (1930)
4. II Symfonia na sopran solo, chór i orkiestrę symf. z tekstem lud. (1934)
5. Suita na orkiestrę (1938)
6. Toccata na orkiestrę (1938)
7. Etiuda na orkiestrę (1939)
8. Magnificat, psalm na sopran solo, chór mieszany i orkiestrę z tekstem łacińskim (1942)
9. Sonata na organy (1943)
10. Sinfonietta na orkiestrę smyczkową i perkusję (1946)
11. Marsz żołnierski na chór i orkiestrę dętą do słów Wł. Broniewskiego (1948)
12. III Symfonia (1951)
13. Poemat bohaterski na chór mieszany i orkiestrę do słów A. Bezymińskiego (1952)
14. Uwertura uroczysta (1953)
15. Concerto grosso na orkiestrę (1955)
16. IV Symfonia (1956)
17. Kwartet smyczkowy (1956)
18. Sonety na orkiestrę (1958)
19. Improwizacje na chór i orkiestrę
20. Aforyzmy 9
21. Wiersze na fortepian i orkiestrę

22. Preludia na orkiestrę
23. Koncert na flet i orkiestrę
24. V Symfonia

Rok 1967 będzie dla 71-letniego już wielkiego pedagoga i kompozytora okresem ostatniego, poważnego przełomu życiowego. Zrezygnuje z pracy w Śląskiej Wyższej Szkole Muzycznej – przejdzie na zasłużoną emeryturę z myślą o opuszczeniu ukochanej przez wiele lat ziemi śląskiej i osiedlenia się na stałe w ulubionym tak bardzo przez siebie Sadownem, aby tu w ciszy swego domu rodzinnego, nie rezygnując z dalszego tworzenia, dopełnić wędrówki pracowitego i bogatego w treść życia wielkiej miary muzyka – artysty.

Czerstwość zdrowia, pogoda życia wśród swoich najbliższych pozwalają rokować jeszcze długie lata, w których spod ręki znakomitego twórcy nowoczesnych tonów, ujrzy światło dzienne jeszcze nie jeden utwór muzyczny, zadziwiający swym bogactwem formy i treści licznych jego zwolenników.

4. Jan Kić

5. Stanisław Rytel

6. Stanisław Iwaniuk

ROZDZIAŁ X

KRONIKA WCZEŚNIEJSZYCH WYDARZEŃ W REGIONIE SADOWEŃSKIM OD CZASÓW NAJDAWNIEJSZYCH DO ROKU 1970.

Przed rokiem 1425 – pierwsze wzmianki o powstaniu wsi Rażny.

1429 – lub wcześniej – powstanie wsi Morzyczyn.

1434 – książę mazowiecki Bolesław IV wyraża zgodę na przekazanie dóbr raźnieńskich kapitule kościoła kolegialnego św. Jana w Warszawie przez ich właściciela wojewodę Piotra Pylikowica.

1479 – książę mazowiecki Bolesław V uwalnia dobra raźnieńskie od podatków i innych opłat na rzecz skarbu książęcego – w zamian za modły kanoników kapituły za dusze swej matki Anny i brata Stanisława oraz za zbawienie dusz własnej i swoich spadkobierców.

1488 – założenie parafii w Łochowie.

1504 – wzmianki o istnieniu wsi Wilczogęby.

1511 – założenie parafii w Prostyni.

1514 – pierwsze wzmianki o istnieniu wsi Sadowne.

1518 – powstanie wsi Mrozowa Wola.

1518 – założenie parafii w sąsiednim Stoczku.

1524 – założenie parafii w Sadownem.

1530 – powstaje wieś Orzełek.

1532 – powstanie wsi Zieleniec.

1532 – powstanie wsi Sokółka.

1540 – powstanie wsi Brzózka.

1570 – powstanie wsi Grabiny, zwanej początkowo od jej założyciela wójta Dobrosza (gdańszczanina) Dobroszewem, a potem także Niemcową Wolą.

1572 i 1573 – katastrofalna epidemia „morowego powietrza” na całym Mazowszu, a także w regionie sadowieńskim.

1580 – pierwsza wzmianka o założeniu szkółki parafialnej w Sadownem.

1651 – klęska nieurodzaju spowodowana ulewnymi deszczami i powodzią.

1652 – 1654 – panowanie epidemii „morowego powietrza”.

1655 – 1657 – najazd szwedzki na Polskę i Mazowsze.

1657 – Szwedzi splądrowali Prostyń, zabijając księdza M. Rybińskiego.

1657 – 1663 – ponowny wybuch i trwanie epidemii zarazy.

1664 – pierwsza wzmianka o powstaniu Krupińskiego.

1677 – 1678 – wybuch epidemii zarazy.

1726 – pierwsza wzmianka o powstaniu wsi Bojewo.

1743 – pierwsza wzmianka o powstaniu wsi Ocięte.

1748 – budowa II kościoła drewnianego w Sadownem.

1756 – powstanie wsi Szynkarzyzna (pocz. nazwa Sękarzowiezna).

1757 – pojawienie się Żydów w regionie sadowieńskim.

1758 – pierwsze wzmianki o powstaniu Kuźnicy, dzisiejszej części Sadownego.

1795 – 1809 – region sadowieński pod rządami Austriaków.

1809 – 1812 – region sadowieński pod rządami Księstwa Warszawskiego.

1813 – 1814 – region sadowieński pod tymczas. zarządem rosyjskim.

od 1815 – region sadowieński pod rządami Królestwa Polskiego.

1827 – włączenie Pruskiej Kępy do Sadownego.

1829 i później – kolonizacja Niemców sprowadzonych przez Zamojskiego.

1830 – powstaje wieś Sójkówek.

10-13.II.1831 – przeprawa części armii Dybicza przez Bug w okolicy Broku i Morzyczyna, w kierunku na Węgrów.

1836 – powstają wsie Zarzetka i Podborze, jeszcze później Zalesie.

1839 – administracja dóbr Zamojskiego wydziela 3 morgi gruntu dla wyposażenia szkoły w Sadownem.

1843 – likwidacja cmentarza grzebalnego przy kościele.

1843 – wójt A. Szczurowski przenosi z Sójkówka do Sadownego budynek gminny, który przetrwał do roku 1965.

3.VI.1863 – bitwa powstańców pod Nagoszewem.

1865-6-7 – powstanie Sądu Pokoju w Sadownem.

3.III.1867 – wystawienie pomników carowi Aleksandrowi II za uwłaszczenie chłopów w Sójkówku i Sadownem.

1869 – powstanie szkoły w Grabinach.

1877 – likwidacja gminy w Płatkownicy.

1884 – powstanie szkoły w Wilczogębach.

1888 – katastrofalny wylew Bugu, wyrwanie dołów na drodze do Broku.

1891 – budowa szosy Ostrów Maz. – Mińsk Maz.

1905 – bunt mieszkańców gminy Sadowne z żądaniem wprowadzenia języka polskiego w gminie i w szkołach pod przewodem Antoniego Wycecha, Adama Zyśka i innych.

1906 – powstanie w Sadownem Spółdzielni Spożywców.

1906 – rozebranie II kościoła drewnianego w Sadownem.

1906-1909 – budowa nowego kościoła w Sadownem.

1907 – powstanie w Sadownem Kółka Rolniczego.

1907 – chłopcy wybierają Antoniego Kunickiego na sędziego Sądu Pokoju w Sadownem.

1910 – konsekracja kościoła w Sadownem.

1914 – powstanie kasy oszczędn.-pożyczkowej w Sadownem.

1915 marzec – wysiedlenie kolonistów niem. do Rosji. Powrót 1918.

1915 – cofająca się armia rosyjska dokonuje wielu zniszczeń w regionie sadowieńskim (spalenie części Wilczogąb, Zalesia i pojedynczych domów w Sadolesiu, Sadownem i Płatkownicy oraz zniszczenie budynku stacyjnego i mostów na Bugu i szosie do Broku).

1915 – Rosjanie opuszczają Sadowne, przybywają Niemcy.

1916 – powstanie placówki POW – komendant Władysław Wycech.

1916 – powstanie w Sadownem Koła Polskiej Macierzy Szkolnej – prezes ks. S. Obłóza, wiceprezes Wł. Godlewski, sekretarz ks. Rafał Łysanowicz, skarbnik Wiktor Sobotka - późniejszy przew. Szk. Rady Opiek.

1916 – otwarcie dla dzieci Ochronki zorg. przez Koło Pol. Macierzy Szk.

1917 – odsłonięcie pomnika Tadeusza Kościuszki w setną rocznicę jego śmierci. Nadanie jego imienia głównej ulicy Sadownego.

1918 – do Sadownego przybywa kierownik szkoły Stanisław Rytel

1918 listopad – Peowiacy rozbijają Niemców na terenie gminy Sadowne.

1919 – powstanie Ochotniczej Straży Pożarnej w Sadownem.

1919 – pierwsze wybory do Sejmu i Senatu.

1919-1922 – Cz. Wycech pracuje jako nauczyciel w szkole w Wilczogębach.

1920 – powstanie i upadek Komitetu Rewolucyjnego w Sadownem.

1921 – pierwszy powszechny spis ludności.

1921-1923 – odbudowa mostów na Bugu i na szosie do Broku.

1921-1922 – Cz. Wycech redaktorem czasopisma „Prac” z siedzibą redakcji w Wilczogębach.

5 i 12.XI.1922 – II wybory do Sejmu i Senatu.

1923 – odbudowa stacji kolejowej i przemianowanie jej na SADOWNE, zamiast dotychczasowej Zieleniec.

1925 – OSP Sadowne otrzymuje pierwszy swój sztandar.

1927 – powstanie Kasy Stefczyka w Sadownem.

4 i 11.III.1928 – III wybory do Sejmu i Senatu.

1928 – otwarcie poczty w Sadownem.

11.XI.1928 – odsłonięcie na cmentarzu w Sad. płyty Nieznanego Żołnierza.

1929-1939 – ciężki kryzys gospodarczy. Ciężkie położenie rolnictwa.

16 i 23.XI.1930 – IV wybory do Sejmu i Senatu.

1931 – drugi powszechny spis ludności.

1932-1934 – budowa szkoły w Sadownem.

1933 – parcelacja dawnego folwarczku plebańskiego.

1933-1935 – budowa szosy do Stoczka i Paplina.

lipiec 1934 – katastrofa autobusu na I moście w Sadownem. Zginęło 19 osób, w tym 2 Polaków i 17 Żydów przeważnie z Łomży.

1934 – oddanie do użytku nowowynbudowanej szkoły w Sadownem.

193. – budowa szkoły w Grabinach.

1936 – zgon zasłużonego dla sad. Regionu działacza Ant. Wycecha.

1.IX.1939 – wybuch II wojny światowej.

3.IX.1939 – bombardowanie przez Luftwaffe stacji kol. w Sadownem.

5.IX.1939 – pojawiają się pierwsi uciekinierzy spod Różana. Opowiadają o okrucieństwach żołdaków hitlerowskich w stos. do cywilnej ludności polskiej. Rozpoczyna się panika.

6.IX.1939 – na apel płk. Umiastowskiego mężczyźni opuszczają Sadowne i udają się na wschód.

8.IX.1939 – przeprawa wojsk hitlerowskich przez Bug.

9.IX.1939 – masakra Polaków w Grabinach.

9-10.IX.1939 – spalenie Sadownego przez żołdaków hitlerowskich.

10.IX.1939 – Niemcy opanowują Sadowne i region sadowieński.

12-14.IX.1939 – masowy pogrzeb poległych w walce z najeźdźcą żołnierzy polskich na cmentarzu w Sadownem.

25.IX.1939 – akcja terrorystyczna hitlerowców w stos. do ludności cywilnej. Aresztowania mężczyzn i popędzenie ich do punktu zbiorczego w koszarach 18 PAL w Komorowie k/Ostrowi Maz.

XII.1939 – koloniści niemieccy z Płatkownicy, Sadolesia, Ociętego i Sójkówka opuszczają region sadowieński i przenoszą się na polecenie zaborcy do Reichu.

1.V.1940 – okupant zezwala na otwarcie szkoły dla polskich dzieci w Sadolesiu, po zlikwidowanej szkole mniejszościowej niem.

II,III,IV,V – 1941 – okupant przy pomocy spędzonych robotników polskich buduje z kostki betonowej szosę od os. Sadowne do stacji Sadowne. Na st. kolej. buduje rampy i magazyny dla celów wojsk.

1941 – okupant rekwiruje i zabiera, wywożąc w nieznanym kierunku, 4 dzwony z kościoła, w tym jeden zabytkowy z roku 1745.

1941 – założenie getta żydowskiego w Stoczku.

I, II, III, IV, V, VI, VII – 1942 – groźna dla środowiska epidemia tyfusu plamistego. Szkoła sadowieńska zamieniona na szpital zakaźny. Umiera ok. 1000 osób.

1942 – administracja parafii Sadowne zakupuje z zarządu Liegenschaftu dom ponemiecki w Płatkownicy i zestawia go od strony pld.-wsch. kościoła dla potrzeb mieszkalnych personelu kościelnego (1943 wykończono, 1968 obmurowano białą cegłą).

1942-jesień – likwidacja getta w Stoczku.

1942 grudzień – masakra Żydów kryjących się w bunkrach ziemnych w pobliskim lesie zwanym Jeglem (zabito ponad 100 osób).

12.I.1943 – do Sadownego zjeżdża ekspedycja karna Schultzpolei z Łatowicza k/Mińska Maz. w celu „oczyszczenia” terenów sadowieńskich z Żydów – „polnische banditen”. Pobyt ok. 8 tyg.

13.I.1943 – wymordowanie rodziny Lubkiewiczów za sprzedanie Żydom chleba.

styczeń, luty 1943 – krwawa pacyfikacja regionu sadowieńskiego przez rozwścieczonych zbirów hitlerowskich. Według prowizorycznych obliczeń ginie ponad 300 osób, w tym większość Żydów. Grzebano ich w pobliżu szkoły i na pagórku przy drodze do Orzełka.

luty 1943 – walka patrolu partyzantki radzieckiej z Niemcami w Wilczogębach – ginie 4 partyzantów i 3 Niemców. Żandarmi mordują rodzinę Jana Gałązki.

3.III.1943 – masakra Polaków w szkole w Grabinach.

8.V.1943 – najazd na Sadowne żandarmów z Ostrowi Maz. Bohaterska śmierć żołnierzy AK Stanisława Bolchajmera, Edwarda Krupy, Stanisława Kłuska, Zygmunta Mrozowskiego i innych.

2.VIII.1943 – bunt i ucieczka więźniów żydowskich w Treblince.

.....- śmierć żołnierzy AK w walce z okupantem hitlerowskim: Włodzimierza Zabokrzyckiego, Olaka i Eugeniusza Zadrożnego. Pogrzeb poległych nocą na cmentarzu.

wiosna 1944 – zrzut broni w Wilczogębach.

3.V.1944 – najazd żandarmów na Wilczogęby, masakra członków AK i BCh w remizie strażackiej.

czerwiec 1944 – likwidacja żandarmów ostrowskich, przez żołnierzy podziemia na szosie między Ostrowią Maz. a Wyszkwem.

22.VIII.1944 – Wyzwolenie Sadownego.

23.VIII.1944 – biało-czerwony sztandar załopotał na budynku szkoły.

sierpień 1944 – pożar remizy strażackiej, domu dawnego Sądu i innych budynków w Sadownem.

28.XII.1944 – delegacja w składzie: Jan Kić, Wincenty Sapielak, Ludwik Karczmarczyk i Edward Sówka, udaje się jako reprezentacja pow. węgrowskiego na Kongres Chłopski do Lublina, podczas utworzenia Rządu Jedności Narodu.

29.XII.1944 – walne zebranie mieszkańców Sadownego, na którym wznawia się działalność Ochotniczej Straży Pożarnej.

sierpień 1945 – delegacja środowiskowa udaje się do Ministra Oświaty Cz. Wycecha z prośbą o otwarcie w Sadownem gimnazjum.

sierpień 1945 – Minister Oświaty Czesław Wycech podpisuje dekret o otwarciu Gimnazjum w Sadownem.

1.X.1945 – otwarcie Gimnazjum w Sadownem.

1945-1947 – rozdział, parcelacja 271 gospodarstw ponemieckich.

12.VI.1946 – zamordowanie zasłużonego działacza ziemi sadowieńskiej Jana KICIA.

1946 – założenie Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”.

1948-1950 – budowa Domu Strażaka w Sadownem.

marzec 1948 – Gimnazjum sprowadza baraki na lokalizację internatu.

1949-1951 – likwidacja analfabetyzmu na terenie gminy Sadowne.

1950 – OSP w Sadownem zakupuje w Strudze samochód „Dodge”.

2.XII.1952 – oddanie do użytku publicznego mostu na Bugu w Broku odbudowanego po zniszczeniach wojennych.

1953 – powstanie Ośrodka Zdrowia w Sadownem.

1954 – powstanie Państw. Zakładu Lecz. Zwierząt w Sadownem.

4.XII.1954 – oddanie do użytku własnej elektrowni szkolnej w Sadownem.

1954-1957 – rozbudowa budynku szkolnego w Sadownem.

1955 – Ośrodek Zdrowia otrzymuje aparaturę Rentgena.

1955 – przebudowa szkoły w Grabinach.

1956 – budowa szkoły podstawowej w Kołodziążu.

195. – budowa szkoły podstawowej w Zieleńcu.

1956-1958 – budowa mostów betonowych na szosie do Broku.

1957-1960 – budowa budynku dla potrzeb Gromadzkiej Rady Narodowej.

maj 1957 – Święto Ludowe w Wilczogębach z udziałem Marszałka Sejmu PRL Cz. Wycecha i innych osobistości.

7.IX.1957 – oddanie do użytku rozbudowanej szkoły w Sadownem.

22.XI.1957 – uruchomienie pierwszego w Sadownem telewizora w szkole.

wiosna 1958 – katastrofalny wylew Bugu. Akcja ratownicza z udziałem wojska i helikopterów.

1958 – oddanie do użytku budynków dla Lecznicy Zwierząt.

1958 – ułożenie płyt chodnikowych na ulicy Kościuszki w Sadownem.

20.VIII.1958 – zabłysło po raz pierwszy światło elektryczne w Sadownem i innych wsiach.

jesień 1958 – oddanie do użytku publicznego 3 mostów betonowych na szosie z Sadownego do Broku. Poprzednie, drewniane wybudowano w 1921-1922 i 1944.

12.VII.1959 – obchód 40-lecia istnienia OSP w Sadownem.

12.VII.1959 – społeczność Sadownego przekazuje swojej OSP ufundowany przez nie sztandar.

19.IX.1959 – oddanie do użytku przyszkolnego stadionu sportowego.

1959 – budowa drogi żużlowej z Sadownego do Wilczogęb.

1959 – budowa szosy smołowej Sadowne-Łochów-Brok.

1959-1960 – budowa magazynu GS.

14.IV.1961 – miejscowa ludność oglądała w telewizorze świetlicowym pierwszego kosmonautę Jurija GAGARINA.

1961 – przeniesienie GRN do nowej siedziby.

1961 – budowa szkoły podstawowej w Szykarzyźnie.

1962 – budowa szkoły podstawowej w Płatkownicy.

1963 – budowa pomnika Bohaterów 1939 roku na cmentarzu w Sadownem.

1964 – budowa szkoły podstawowej w Sokółce.

1964 – OSP w Sadownem otrzymuje typowy bojowy samochód strażacki.

lipiec 1964 – OSP Sadowne buduje garaż dla samochodu strażackiego.

14.II.1965 – Zjazd wybitnych rodaków ziemi sadowieńskiej z udziałem Marszałka Sejmu PRL Cz. Wycecha, kompozytora Bolesława Szabelskiego i innych uroczystości.

1965 – rozebranie budynku „Starej Gminy”.

grudzień 1965 – oddanie do użytku Domu Nauczyciela.

7.V.1966 – otwarcie nowowypbudowanego internatu przy LO w Sadownem z udziałem Marszałka Sejmu PRL Cz. Wycecha, Ministra Oświaty W. Tułodzieckiego i innych osobistości.

1966 – oddanie do użytku nowowypbudowanego budynku Ośrodka Zdrowia.

12.II.1967 – odsłonięcie pomnika pamięci Żydów i Polaków, ofiar bestialstwa hitlerowskiego, pomordowanych w styczniu i lutym 1943 r. na pagórku obok drogi do Orzelka.

2.VII.1967 – Święto Ludowe w Wilczogębach z udziałem Marszałka Sejmu PRL Cz. Wycecha i innych osobistości. Otwarcie nowowypbudowanej szkoły podstawowej w Wilczogębach.

19.XI.1967 – uroczystość obchodu 50-lecia działalności społeczno-politycznej Marszałka Sejmu PRL Cz. Wycecha.

1967-1968 – budowa i oddanie do użytku Agronomówki w Sadownem.

1968 – budowa i oddanie do użytku pawilonu handlowego GS.

8.VII.1968 – OSP Sadowne otrzymuje od Wojska Polskiego instrumenty dęte.

29.X.1968 – umiera b. dyrektor gimnazjum w Sadownem Wł. Rojkowski.

.....- powstanie Kola ZBOWiD w Sadownem.

.....

Wójtowie sadowieńscy.

1823 – 1855 – Antoni Szczurowski

1855 – 1890 – Józef Wycech

Brak danych – Laska, brak imienia

Brak danych – Brodzikowski, brak imienia

1902 – 1904 – Adam Zyśk

1904 – 1906 – Stanisław Bronisz

Brak danych – Antoni Brudko

Brak danych – Adam Zyśk

1923 – 1927 – Jan Małkiński

1927 – 1933 – Jan Kić

1933 – 1939 – Józef Gajewski

1939 – 1941 – Jan Widyński (z przymusu okupanta)

1941 – 1942 – Jan Wycech

1942 - Zygmunt Wildemann (folksdojcz, wójt komisaryczny, wyznaczony przez okupanta, bezwzględny satrapa)

1942 – 2.II.1944 – Jan Wycech

Antoni Cymerman

1944 przejściowo – Józef Gajewski

od XI.1944 do VIII 1946 – Tadeusz Bronisz

od VIII 1944 do 20.XI.1948 – Ludwik Karczmarczyk

20.XI.1948 – 13.III.1949 – Antoni Chojnowski

14.III.1949 - ...VI.1949 – Wincenty Wójcik

od VI.1949 do 19.VI.1950 – Franciszek Bruśk

od 20.VI.1950 do IV.1952 – Florian Kandulski

od IV.1952 do XII.1954 – Bronisław Tracz

1.I.1955 – 19.II.1958 – Wacław Puścion

19.II.1958 – 14.VI.1969 – Kazimierz Borowy

od 15.VI.1969 – Kazimierz Książek

.....

Dyrektorzy Liceum Ogólnokształcącego w Sadownem.

IX, X, XI, XII – 1945 – Stanisław Iwaniuk

1946 – 1947 – Stanisław Ciąćka

1947 – 1948 – Władysław Rojkowski

1948 – 1950 – Dionizy Szabelski

1950 – 1952 – Henryk Nawrocki

1952 – 1958 – Helena Puścionowa

1958 - - Stanisław Dragan

.....

Kierownicy Szkół Podstawowych w rejonie Sadowne (stan z roku 1970).

1. Edward Sówka – kierownik Szkoły Podstawowej w Sadownem
2. Eugeniusz Kosson – kierownik Szkoły Podstawowej w Sadolesiu
3. Andrzej Kowalski – kierownik Szkoły Podstawowej w Morzyczynie
4. Ryszard Dębowski – kierownik Szkoły Podstawowej w Płatkownicy
5. Jan Borowy – kierownik Szkoły Podstawowej w Wilczogębach
6. Adam Stankiewicz – kierownik Szkoły Podstawowej w Grabinach
7. Bogusław Kić – kierownik Szkoły Podstawowej w Szykarzyźnie
8. Cecylia Góral – kierownik Szkoły Podstawowej w Zieleńcu
9. Danuta Marczyk – kierownik Szkoły Podstawowej w Sokółce
10. Czesław Makowski – kierownik Szkoły Podstawowej w Kołodziążu

Literatura:

1. „Kronika parafialna Parafii Sadowne”
2. „Nad Bugiem, Ugoszczą, Wilczą” – Tomasz Szczechura – Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza – Warszawa 1967
3. „Katalog Zabytków Sztuki w Polsce”, Tom X, Województwo Warszawskie, Zeszyt 26 – Powiat Węgrowski - Instytut Sztuki Polskiej Akademii Nauk – Warszawa 1964
4. „Przekrój” Nr 1176 z dnia 22.10.1967 r.
5. Kazimierz Sobczak - Wyzwolenie Mazowsza w latach 1944 – 1945 – „Rocznik Mazowiecki” – tom I – 1967